

TŁÓMACZENIA ODYŃCA

II

KRAKÓW. — DRUK W. L. ANCZYCA I SPÓŁKI.

ANTONI EDWARD ODYNIEC

TŁÓMACZENIA

TOM II

KORSARZ — NARZECZONA Z ABYDOS
MAZEPA — NIEBO I ZIEMIA
CZCICIELE OGNIA — PERI I RAJ
DZIEWICA ORLEAŃSKA

WYDANIE TRZECIE

WARSZAWA
NAKŁAD GEBETHNERA I WOLFFA
KRAKÓW — G. GEBETHNER I SPÓŁKA
1897

820-1
WOJEWÓDZKA I MIEJSKA BIBLIOTEKA PUBLICZNA w Białymstoku
125400/II

Дозволено Цензурою.
Варшава 29 Мая 1895 г.

WOJEWÓDZKA i MIEJSKA BIBLIOTEKA PUBLICZNA w Białymstoku CZYTELNIA DLA DOROSŁYCH
27592/II
821.111-82 (082.2)

KORSARZ

POWIEŚĆ

LORDA BYRONA.

— »I suoi pensieri in lui dormir non ponno«.
Tasso. Canto X. *Gerusallemme Liberata.*

PIEŚŃ PIERWSZA.

— »Nessun maggior dolore,
»Che ricordarsi del tempo felice
»Nella miseria . . . . . .«
Dante.

I.

„Na modrych głębiach jasnej morskiej wody
Jak ona z wiatrem, buja duch swobody;
Jak burza nad nią, grzmi nasza potęga.
Gdzie wiatr, gdzie fala, gdzie miecz nasz dosięga,
Tam dom nasz, państwo, łup naszej odwagi!
Mórz i flot berłem jest maszt naszej flagi.
Nam w dzikiem życiu czuć wciąż, niespodzianie,
W każdym dniu nowość, rozkosz w każdej zmianie!—
O! i któż pojmie? — nie ty zniewieściały!
Cobyś mdlał patrząc na wzburzone wały;
Nie ty pieszczochu! co wiek w zbytkach trawisz,
Śpiąc nie spoczywasz, bawiąc się nie bawisz;
O! i któż pojmie? — prócz tych samych, którzy
Pląsali z falą rozigranej burzy:
Tę pełność życia, ten war krwi co pali
Serce żeglarza na bezdrożnej fali;

Tę żądzę bojów, tę pewność zwycięstwa,
Ten szał, tę rozkosz śród niebezpieczeństwa?...
Gdzie trwożni rozpacz — my tryumf znajdujem;
Gdzie słabi mdleją — my żyjem i czujem:
Czujem, jak w piersiach krzepi się i wzmaga
Duch i nadzieja, siła i odwaga!...
Nie strach nam śmierci — byle wprzód lub razem,
Wróg u stóp naszych skonał pod żelazem:
Byle wprzód z życia rozkosz wyssać w życiu!—
Gdy ginąć — cóż stąd, w bitwach czy w rozbiciu?—
Niech bojaźliwy zakochaniec świata
Woli w niemocy długie jęczeć lata,
I w puch przed śmiercią kryje się, nim skona!
Nam łożem piasek lub trawa zielona.
Gdy strach zeń duszę dzień po dniu wywleka:
Nam cios, strzał jeden — duch wolny ucieka!
Jemu niech dziedzic pyszną złoci trumnę,
Radzi że umarł, niech stawią kolumnę;
Po nas łzy płyną — krótko, ale szczerze,
Gdy nas w swe głębie ocean zabierze.
Nam ku czci nawet w biesiadniczem kole
Puhar pamięci zaiskrzy na stole;
Nagrobkiem dla nas zabrzmi chwała męstwa:
Gdy pozostali dzieląc łup zwycięstwa,
Wspomną poległych, i rzekną ze łzami:
„Szkoda, że mężni nie dzielą go z nami!“—

II.

Taka pieśń brzmiała na wyspie korsarzy,
Wkrąg przy ogniskach ponadbrzeżnej straży,

I bijąc echem o chropawe głazy,
Jak one twardy był ton i wyrazy.
Leżąc na piasku rozrzuconą zgrają,
Ci ostrzą bronie, ci piją lub grają,
Probują strzelby, handlują łupami,
Nie patrząc nawet na krew, co je plami.
Brzmią szczęki siekier ciosających łodzie:
Ów marząc patrzy po dalekiej wodzie,
Ów czyha rychło ptak mu w sidła wleci.
Mokre na słońcu rozwieszają sieci:
A każdy coraz pogląda ku morzu,
Czy gdzie nie dojrzeć żagla na przestworzu,
Lub wspominając ostatnią wygraną,
Radzą skąd znowu świeży łup dostaną. —
Skąd? wódz niech myśli! — im tylko przystało
Ufać, iść za nim, i uderzać śmiało. —
Któż jest tym wodzem? — Od brzega do brzega
Imię się jego jak piorun rozlega,
To dość — o resztę nie troszczy się rzesza.
W bitwach on tylko z ich tłumem się mięsza,
Zresztą sam zawsze; — krótkie jego słowa,
Lecz wnet co wyrzekł, dłoń spełnić gotowa.
Nie lubi gwaru; nigdy z nimi społem
Nie zasiadł wesół za biesiady stołem,
Śmiech ni żart nigdy ust mu nie umili:
Lecz mężny — męstwu hardość wybaczyli.
Próżno go kolej pełnego kielicha
Wabi w przechodzie: on z wzgardą odpycha;
A jego uczta! — najlichsi z czeladzi
Wzajemby z wzgardą odepchnąć ją radzi.

Jadło, chleb suchy; napój, czysta woda.
Zbytkiem nie częstym, owoc lub jagoda,
A i tych nawet ze wstrętem dotyka,
Jakby związany ślubem pokutnika.
Ale im żądze zmysłów trzyma srożej,
Rośnie w nim dusza, i siła się mnoży.
„Płyń tam!“—wnet płyną;—„rób to!“—wnet zaczęto;
„Za mną, i naprzód!“ — poszli, i łup wzięto.
Tak skory rozkaz, skorsza jego ręka:
Każdy drżąc słucha, lecz pytać się lęka.
Szyderczy uśmiech, wzrok i twarz surowa,
Karcą zuchwalca za niewczesne słowa.

III.

„Patrz! żagiel, żagiel! — Nastawcie lunety! —
„Skąd? — czyja flaga? — czy zdobycz?“ — niestety!
Nie zdobycz — jednak cieszą się weseli:
Z masztu czerwoną chorągiew ujrzeli.
„Nasza łódź, nasza! powraca z wyprawy!“ —
Dmij w pełne żagle, dmij wietrze łaskawy!
Nim słońce zajdzie, zawinie do brzegu. - -
„Patrz, patrz, jak lekka! zda się pląsa w biegu.
Jak wzdyma skrzydła! — jak buja wspaniale!
Z szumem przed sobą prze kipiące fale.
Weszła w zatokę — patrz! idzie jak żywa,
Zda się żywioły do walki wyzywa!
Możeż się lękać burz, bitew, lub trudu,
Pan takiej łodzi, wódz takiego ludu?“ —

IV.

Skrzypią powrozy, krzyczą robotnicy,
Opadły żagle — łódź drga na kotwicy.
Spuszczają czółno: — w podwójnym szeregu
Siedli wioślarze i pędzą do brzegu.
Wkoło na piasku tłum zebrany czeka,
Poznaje, woła, i wita z daleka.
O! słodkie głosu przyjaznego dźwięki!
O! słodki uścisk przyjacielskiej ręki!
Gdy wita w porcie żeglarza z wyprawy,
Gdy na bezpieczny brzeg wiedzie go z nawy;
Słodkie łzy, uśmiech, słodkie zapytania,
Gdy pocałunek odpowiedzi wzbrania!...

V.

Wieść się rozbiegła, tłum rośnie z pośpiechem,
Gwar, ciżba, wrzawa, przerywana śmiechem,
I głosy kobiet znać w cichszej rozmowie:
Imię kochanka, męża, w każdem słowie.
„Czy zdrów? czy żyje? czy na brzeg wysiądzie?
Czy dziś, czy jutro zabawi na lądzie?
Gdzie był? co robił? czy bił się walecznie?
Mniejsza, co zyskał? gdy wrócił bezpiecznie;
Lecz czy nie ranny? dla czego nie z wami?
Czyż on nie wiedział, że czekam ze łzami?“ —

VI.

— „Gdzie jest wódz? — ważne przywozim nowiny.
Śpieszmy! czas nagli, drogie są godziny. —

Dzięki wam, bracia, żeście braciom radzi!
Lecz niech nas Żuan do wodza prowadzi.
Wrócim za chwilę — zostańcie tu bliscy,
Wnet, co kto zechce, dowiecie się wszyscy“. —
I poszli, kędy na najwyższej górze
Zamek ich wodza wzbija się nad morze,
Śród bujnych krzewów i kwiatów pachnących,
Gdzie tysiąc zdrojów, świeżością dyszących,
Srebrzy się szemrząc po złomach granitu.
Poszli pod górę — dochodzą do szczytu.
Któż to nad brzegiem przepaścistej skały,
Wsparty na mieczu, spogląda na wały? —
To on! wódz! Konrad! — sam, jak zwykle — myśli.
„Idź naprzód, Żuan! powiedz żeśmy przyszli.
Okręt nasz widzi; — powiedz, że go prosim
O posłuchanie, ważną wieść przynosim.
Idź! my nie śmiemy; wiesz jak się wnet zżyma,
Gdy mu kto nagle stanie przed oczyma“. —

VII.

Przystąpił Żuan — Konrad spojrzał srogo,
Wysłuchał, skinął, że się zbliżyć mogą.
Przyszli — ukłonem witają z daleka.
Powitał wzajem — na słowa ich czeka.
„Wodzu! przynosim list od Greka szpiega,
Co nas o łupach i wrogach ostrzega.
Ważność tych wieści sam wódz niech oceni.
My też...“ — „Już dosyć!“ — zmilkli zawstydzeni.
Wziął list — ciekawi poglądają z boku,
Wrażenia wieści dojrzeć w jego oku.

Zgadł myśl — czytając twarz zwrócił na stronę,
Może by ukryć uczucia wzburzone.
Skończył — na świstku coś pisze. — „Żuanie!
Gdzie jest Gonzalwo?“ — W łodzi. — „Niech zostanie!
Nieś mu ten rozkaz! — Wy nie stójcie dłużej,
Każdy na miejsce, gotów do podróży!
Na waszej nawie sam z wami dziś płynę“. —
— „Dziś, wodzu? w nocy? — „Dziś, w dzień, za godzinę.
Wiatr będziem mieli. — Minuty nie zwlekać!
Wziąć mój płaszcz, pancerz — u portu mię czekać!
„Ty weź mą trąbkę i strzelbę opatrzyj!
Zamek źle spuszcza — oczyść go i natrzyj!
Wezwać płatnerza! niech mój miecz bojowy
Natoczy ostro i da mu hart nowy.
Rękojeść zwłaszcza niech szerzej rozkuje:
Ta broń mię gorzej niż bitwa morduje. —
Śpieszcie! na hasło, że czas już odpłynąć,
Dać ognia z działa i żagle rozwinąć!“ —

VIII.

Kazał — posłuszni odeszli w pokorze. —
Nie w smak im znowu puszczać się na morze,
Gotowi jednak: — Konrad sam prowadzi.
Dokąd? — któż pyta, gdy on co uradzi? —
Dziwny ten człowiek dumy i milczenia,
Którego nigdy śmiechu ni westchnienia
Nikt z nich nie słyszał; którego z daleka
Sam widok, twarz ich bladością powleka:
Rządzi ich duszą, z tą sztuką władania,
Co zmusza, mami, lecz sądzić zabrania.

Cóż jest ten urok, że mu nikt z korsarzy,
Choć szemrze, zajrzy, oprzeć się nie waży?
Co w nich dlań wzbudza tę cześć, posłuszeństwo?—
Potęga myśli, duszy czarnoksięstwo!
One go wzniosły, gdy i los mu sprzyja,
Tem on ich wolę pod rząd swój podbija.
Walczy ich ręką, sam jak mistrz sprężyny:
Gmin dziełem jego własne mniema czyny.
Jest, było, będzie — to bieg świata tego,
Wielu pracować musi dla jednego.
Lecz niech nieszczęśnik, co w trudach umiera,
Nie zajrzy temu, co owoc z nich zbiera!
Niechby znał ciężar, co wielkość nań zwala —
O! jakże lżejsza niższych cierpień szala! —

IX.

Nie na wzór świata dawnego mocarzy,
Szatanów w czynach, lecz bogów na twarzy,
Konrad nic w sobie nie ma nad człowieka.
Blask czarnych oczu ćmi smutna powieka.
Twarz ogorzała, skroń wzniosła i blada,
Włos kruczy bujno pierścieniami spada.
Krzepki w ramionach, lecz kształt nie olbrzymi,
Ani się wzrostem wyniósł nad innymi.
We wszystkiem jednak biegły wzrok badacza
Znajdzie coś, co go od gminu odznacza.
Patrząc nań, wszyscy dziwią się i śledzą,
Że tak jest, czują; lecz czemu? nie wiedzą. —
Nieraz z brwi groźnych, z drżenia ust, lub z czoła,
Znać dumę, której poskromić nie zdoła.

Głos jego wdzięczny, serce jednak ziębi:
Więcej niż mówi, znać że tai w głębi.
Szybka gra rysów nagle się mieniących,
Wabi ciekawość, lecz mięsza patrzących,
Jakby w tym duszy posępnym pomroku
Kryły się czucia zbyt straszne dla wzroku. —
Tak o nim sądzą — prawdy nieświadomi.
Wzrok jego śmiałość dostrzegacza gromi,
A i któż wzajem oka mu dotrzyma,
Gdy nań raz w pełni zaiskrzy oczyma? —
Umie on sztukę — gdy ciekawość skryta
Mniema, że z twarzy myśl jego wyczyta —
Umie on sztukę, że wnet zamiar zgadnie,
I sam w ciekawca duszy brodzi na dnie,
Aż zadrżeć musi, by go wzrok Konrada
Nie przejrzał całkiem, niż on coś w nim zbada.
W szyderczym jego, chociaż głośnym śmiechu,
Jakby sam szatan śmiał się w jego echu,
Jest coś, co w sercu słyszących go ludzi
I gniew, i trwogę, i nienawiść budzi.
Wzrok jego gniewny, zabija Nadzieję,
Przed groźbą jego, Miłosierdzie mdleje.

X.

Wstręt ma iść na jaw złej myśli katusza,
Wewnątrz to, wewnątrz — tam pracuje dusza!
Miłość jest szczera, śmieje się, czy wzdycha:
Ale nienawiść, lecz zbrodnia, lecz pycha,
Drgnieniem ust chyba, uśmiechem goryczy,
Zdradzą ci przepaść głębi tajemniczej.

Z gry chyba rysów, z mieniącej się twarzy,
Poznasz namiętność, gdy się w piersiach żarzy.
Lecz kto chcesz dojrzeć jej pełnię lub zmiany,
Wtenczas patrz chyba, gdyś sam nie widziany! —
Patrz! gdy wódz w nocy, z rozognionem czołem,
Załamał ręce, szybkiem chodzi kołem,
I nagle stanie, i zadrży — czy w ciszy
Śledzącej zdrady kroków nie dosłyszy? —
Patrz, jak się dziko groźna brew nachmurza,
Gdy każdym nerwem wnętrzna miota burza.
Patrz w jego wzroku na szaleństwo ducha!
Iskrzy, mgli, krzepnie, i znów ogniem bucha.
Patrz — jeśli zniesiesz widok tej katuszy,
Jaki los jego! jaki pokój duszy!
Jak cel zawiści gminu, śród ukrycia
Pożywa owoc występnego życia!
Patrz! tam go poznasz; — lecz któż tak z badaczy
Przejrzy człowieka? — kto ducha obaczy? —

XI.

Lecz nie natura stworzyła w Konradzie
Srogiego wodza zbójeckiej gromadzie.
Zmienił on duszę, wprzód nim czyny swemi
Wyparł się nieba, wojnę wydał ziemi.
Z młodu pan siebie, więzów świata jeniec,
Mędrzec w swych słowach, lecz w czynach szaleniec,
By drżeć, zbyt mocny; by uledz, zbyt hardy;
Za chęć być dobrym — cel szyderstw lub wzgardy:
Zamiast nawzajem wzgardzić zgrają podłą,
On przeklął cnotę, jak swych cierpień źródło.

Z urągowiskiem wbrew stając obłudzie,
Choć znał, zapomniał że są lepsi ludzie,
Dla których lepiej darów swych używszy,
Znalazłby szczęście, i stał się cnotliwszy. —
Lżony, gardzony, bez zgryzot nawzajem
Serce swe z ludzkim rozbratał rodzajem,
I obrał sobie, za swój cel na ziemi:
Za winy kilku, mścić się nad wszystkiemi. —
Czuł się występnym — lecz dumny, rozumiał
Że nikt nie lepszy, choć nim zdać się umiał,
I gardził dobrym, jak tym, co w obawie
Czyni to skrycie, co mężny na jawie. —
Nienawidzony, wiedział, że u ludzi
Nienawiść jego strach i zgrozę budzi:
Przestawał na tem; — zimny, dziki, hardy,
Nie dbał o miłość, gdy nie bał się wzgardy.
Stronić, drżeć przed nim, potępiać go, skarżyć,
Kląć, może każdy — lecz nikt lekceważyć!
Depcą robaka — lecz któż bez bojaźni,
Kto nie pomyśli, nim węża rozdrażni?
Robak się zwinie, i nie mszcząc się kryje,
Wąż zginie, ale i wroga zabije.
Sam się nań rzuci — łamie się, pasuje,
Choć nie pokona — krew jadem zatruje.

XII.

Nikt nie zły całkiem: — i w duszy Konrada
Jedno tajemnie słodsze czucie włada.
Szydzi on z drugich, że ich wikła w sieci
Namiętność godna szaleńców lub dzieci;

Sam, próżno rozum przeciw niej wytęża —
W nim nawet miłość wolę przezwycięża.
Tak! jest to miłość — wzajemna — płomienna.
Jedyna dotąd, i niczem niezmienna! —
Tłum się mu branek na oczy nawija:
On ich ni stroni, ni szuka — lecz mija.
Niejedną piękność w mocy swojej trzyma:
Żadnej słodszemi nie uczcił oczyma.
Tak, jest to miłość! — jeżeli myśl tkliwa,
Stateczna w probach, w każdej chwili żywa,
Której samotność, świat, szyderstwo ludzi,
Ani, co większa, sam czas nie ostudzi:
Której ni zmienne fortuny igrzysko
Nie zaćmi smutkiem — póki *Ona* blisko;
Która w boleści, w gniewie, ni w niedoli,
Cierpkiego na *Nią* słowa nie dozwoli,
I bez pociechy woli znieść katusze,
Niż ich podziałem zasmucić *Jej* duszę:
Jeśli myśl taka, niezmienna, nie płocha,
Jest tem, co zowią kochaniem — on kocha!
Występca, zbrodzień, z każdej cnoty zboczył,
Przeciw tej jednej w niczem nie wykroczył;
Ona, gdy wszystkie zgasły po kolei,
Świeci mu jeszcze, jak gwiazda nadziei.

XIII.

Zaczekał nieco — brew marszczy ponuro,
Aż śpiesząc z braćmi Żuan znikł za górą.
„Straszna wieść! — tylem niebezpieczeństw przebył,
Cóż jest, żem nigdy jak dziś smutny nie był? —

Źle wróży serce — ale się nie boi,
Ni mię tak ujrzą towarzysze moi.
„Idziem śmierć spotkać: — lecz gdybym tu zwlekał,
Pewniejbym śmierci i hańby doczekał.
Dziś, gdy plan pójdzie, los wzmoże w potrzebie,
Przybędzie płaczu na naszym pogrzebie! —
„O! niech spokojnie, niech śpią rozmarzeni,
Przyśpieszę dla nich świt takich promieni —
Wiej tylko wietrze! — tak jasnych i ciepłych,
Że aż krew zawre w ich sercach zakrzepłych! —
„Czas do Medory! — Milcz, milcz serce moje!
Nie mogąc siebie, czyż ją uspokoję? —
Jednak jam śmiały! — Lecz tu wszyscy śmieli,
Gad, gdy się broni, równą śmiałość dzieli.
Zwierząt nie ludzi godna jest odwaga,
Gdy ją strach śmierci lub chęć łupu wzmaga.
Gardzę jej chwałą! — Cel godny mej dumy
Był, uczyć garstkę, jak zwyciężać tłumy.
Wódz ich, nie dałem krwi ich marnie płynąć. —
„Lecz dziś! — dziś trzeba zwyciężyć, lub zginąć. —
Ha! to los wojny! — i nie to mnie smuci. —
Lecz wieść tam wszystkich, skąd żaden nie wróci,
Albo tu drzemiąc dać się ująć w pęta?...
„Czyż pamięć wodza nie będzie przeklęta,
Co przywiódł na to: że aby się zbawić,
Na jedną kartę trzeba wszystko stawić?... —
Losie mój, losie! czuję dłoń twą groźną.
Zbaw, jeśli możesz — jeszcze nie za późno!“ —

XIV.

Tak dumał w sobie, aż idąc ponury
Doszedł do wieży na wierzchołku góry.
Wstrzymał się u drzwi: — głos się ozwał w ciszy,
Głos, co choć często, zawsze on rad słyszy;
I taką piosnkę posępnej czułości
Nucił z za kraty jego „Ptak piękności".

„Żyje w mej duszy myśl-tajemnica,
„Drży mi na ustach, gore w spojrzeniu,
„Gdy obok ciebie patrzę w twe lica:
„I znów się w dawnem kryje milczeniu.

„Jak lampa w grobie, skryta przed okiem,
„Myśl ta w mem sercu błyska i tleje,
„Smutek jej blasku nie ćmi swym mrokiem,
„Choć sam jej blaskiem nie rozjaśnieje.

„Przyjdź, gdy ja umrę, do mej mogiły,
„Pomódl się za mnie, łzy wylej po mnie!
„Tej tylko myśli znieść nie mam siły,
„Że ty, mój luby, zapomnisz o mnie! —

„Nie wstyd jest płakać zeszłych ze świata.
„Raz pierwszy proszę — łzy i wspomnienia.
„Będzie to pierwsza, jedna zapłata,
„Mojej miłości, mego cierpienia!" —

Porwał się Konrad, pchnął drzwi, i z pośpiechem
Wszedł — struny arfy brzmiały jeszcze echem.

„Smutna, Medoro, jest twoja balada!" —
— „Chciałżbyś wesołej, gdy niema Konrada? —
Gdy ciebie niema, a żal miota duszą,
Tęskne się myśli w pieśniach zdradzić muszą.
Każdy ton, serca uczucia wydaje;
Lecz choć pieśń milczy, boleść nie ustaje. —
„Ach! ileż nocy, na bezsennem łożu,
Marzę jak we śnie, o skałach, o morzu!
Zmierzcha — ja myślę, że niebo się chmurzy;
Wiatr ledwo szemrze — mnie słychać szum burzy.
Cóż, gdy posępnem odezwie się wyciem?
Zda się, że jęczy nad twojem rozbiciem! —
Zrywam się, patrzę, czy stróże niekarni
Nie dali zgasnąć portowej latarni,
I o pogodę gwiazd pytam oczyma.
„Nastał poranek — ciebie jeszcze niema!... —
Jak wtedy zimno na me serce wiało,
Jak przez łzy słońce mgliste się zdawało! —
Patrzę i patrzę dzień cały — daremnie.
Konrad gdzieś jeszcze daleko odemnie! —
Wreszcie — postrzegam maszt, okręt — tu płynął,
Witam go, czekam; — zbliżył się — i minął.
Znów drugi! — twój był. Powróciłeś z boju.
„O! mój Konradzie! mam-że w niepokoju
Zawszę tak czekać? — nigdyż serca twego
Nie ujmie powab szczęścia spokojnego? —
Masz dosyć skarbów — ach! więcej niż trzeba;
Znajdziem kraj milszy, pogodniejsze nieba,
Pójdźmy! — O siebie wiesz, że się nie boję. —
Lecz twoje szczęście — lecz ach! życie twoje!...

WOJEWÓDZKA MIEJSKA BIBLIOTEKA PUBLICZNA w Białymstoku

Dziwne twe serce! gdy dla mnie tak tkliwe,
Tak razem srogie dla drugich, tak mściwe!...“ —
— „Tak, moja luba! dziwne jest to serce.
Zwiedli je zdrajcy, zelżyli oszczerce,
Jak płaz zdeptane, lecz mści się jak żmija:
Ludzie w nie wleli jad, co ich zabija! —
„Bez żadnej zniskąd pociechy, prócz ciebie,
Bez celu w życiu, bez nadziei w niebie,
W duszy się mojej tak wiąże i splata
Miłość dla ciebie z nienawiścią świata,
Że gdy się jedna, wnet druga ostudzi:
Przestałbym ciebie, gdybym kochał ludzi! —
„O to się nie bój! — przeszłość moja cała
Ręczy, że przyszłość nie będzie się chwiała.
Lecz uzbrój serce! — raz jeszcze, Medoro!
Dziś — muszę jechać — ale wrócę skoro“. —
— „Jechać! dziś jeszcze? — ach! jam to przeczuła!...
Tak znikły wszystkie sny, com sobie snuła,
Sny moje złote!... — Lecz dziś? — być nie może!
Łódź ledwo przyszła, maż znów iść na morze?
Nie czekać drugiej? — Znużeni jej ludzie
Muszą choć chwilę odpocząć po trudzie!... —
Nie! ty, mój luby, chcesz przez to udanie
Poznać, nauczyć, jak mam znieść rozstanie.
Igrasz z mem sercem! — ono ci wybaczy,
Lecz z takich żartów blisko do rozpaczy! —
„Milcz, milcz, Konradzie! — nie jedziesz dziś! — wie-
Pójdź dzielić ze mną twą skromną wieczerzę! [rzę.
Nikt prócz mnie nie śmiał tknąć jej, ni zastawić.
Lekki trud wprawdzie ucztę ci przyprawić!

Owoc ten rwałam z najwyższego drzewa,
Im bliższy słońca, tem prędzej dojrzewa.
Trzy razy górę obiegłam, nim w cieniu
Najświeższą wodę znalazłam w strumieniu.
Pójdź! niech cię sorbet orzeźwi po skwarze:
Patrz, jak się iskrzy w kryształowej czarze!
Wina ty nigdy kosztować nie raczysz,
Drżysz jak Muzułman, gdy puhar obaczysz. —
Nie sądź, że ganię — o! nie! — to mnie cieszy,
Że i w tem nawet różnisz się od rzeszy.
„Lecz pójdź! stół gotów; ja okna zasłonię.
Srebrna tam lampa, patrz, jak jasno płonie!
Wezwę mych dziewic — niech zaczną wokoło
Lub rażny taniec, lub piosnkę wesołą! —
Lubisz mą arfę — czy chcesz? — wnet nastroję.
Lub jeśli wolisz, będziemy oboje
Czytać z Aryosta Olimpii żale,
Gdy zdrajca śpiącą zostawił na skale [1]).
Po tobie jednak mnie byłoby smutniej!
Gdybyś dziś jechał, zrobiłbyś okrutniej,
Okrutniej nawet niż Tezeusz zdradny! —
„Wiem, ty się śmiejesz, gdy ci Aryadny
Wyspę niekiedy wskazuję z wysoka,
A mnie myśl smutna łzy pędzi do oka:
Gdyby mnie kiedy Konrad tak porzucił? —
Aleś ty lepszy! tyś do mnie powrócił!“ —
— „Wróciłem, luba, i powrócę znowu,
Zawierz miłości i Konrada słowu.
Wrócę, i rychło; — lecz teraz już chyża
Chwila rozstania na skrzydłach się zbliża.

Gdzie? po co jadę? — szkoda chwil na słowa,
Gdy je ma skończyć najgorsze: bądź zdrowa!
Odkryłbym jednak — lecz już czas zbyt drogi.
Nie bój się! wcale nie straszne są wrogi.
Tu ci zostaje straż silna, podwójna,
Będziesz bezpieczna — o mnie bądź spokojna!
Nie baw samotna, gdym ja oddalony.
Jadących ze mną poruczam ci żony.
W tem miej pociechę, że po tem zwycięstwie,
Nagrodę trudów znajdziem w bezpieczeństwie. —
„Słyszysz! dźwięk trąbki? — ha! łódź już gotowa. —
Jeden wzrok, uścisk! — raz jeszcze! — bądź zdrowa!“

Łkając na szyi zawisła rękami,
Drżące w nim serce czuje pod ustami.
On nie śmiał podnieść, nie śmiał znieść widoku
Bladości w twarzy i rozpaczy w oku. —
W całej dzikości bezładnego wdzięku,
Włos jej po jego rozesłał się ręku;
Stłumiony oddech i mdłe serca bicie
Świadczą w niej tylko cierpienie i życie...
Zagrzmiał huk działa — odjazdu godzina!
Słońce zachodzi — on słońce przeklina.
Strzał drugi, trzeci; — ścisnął z uniesieniem
Niemą od żalu, proszącą milczeniem,
I drżącym krokiem zaniósł ją na łoże.
Spojrzał z rozpaczą — raz ostatni może!
Dreszcz przebiegł serce: — uczuł, że dla niego
Prócz niej na świecie nic niema miłego.

Dotknął ust, zimne; — spotkał wzrok, wpół zgasły. —
Zwrócił się nagle — drzwi z łoskotem trzasły.

XV.

„Co? już go niema?“ — straszliwe pytanie,
Gdy kto tak nagle samotnym zostanie!
Myśl nie śmie wierzyć, że oczy nie mylą —
Przed chwilą jeszcze tu stał — był przed chwilą —
Gdzież jest? — Wybiegła obłąkanym krokiem,
Aż łzy jej wreszcie lunęły potokiem,
Bujne, gorące; — myślą za nim woła:
„Bądź zdrów!“ — wymówić nie śmie, i nie zdoła.
Ach! bo w tem słowie — choć się chcą uśmiéchać
Wiara, nadzieja — rozpacz tylko słychać.
W bladych jej rysach, jak w twarzy z kamienia,
Tchnie dziki wyraz wiecznego cierpienia;
Oczy jej modre, szkliste, bez promieni,
Jak gwiazdy we mgle błądzą po przestrzeni.
I ach! dostrzegły — to on! — już daleki!...
Wtedy raz jeszcze z pod łzawej powieki
Błysły, jak słońce z za deszczowej chmury.
Próżno! nie spojrzał, znikł w zaroślach góry.
„Poszedł!“ — Jak posąg blada, nieruchoma,
Łkające piersi przyciska rękoma.
Spojrzała jeszcze — port przed jej oczyma:
Bielą się żagle i morze się wzdyma.
Nie patrzy więcej — w drzwiach błyska jej postać —
„Prawda więc! — jedzie! — samej kazał zostać!“ —

XVI.

Szybko wprost z góry, na głaz skacząc z głazu,
Biegł Konrad — nazad nie spojrzał ni razu.
Lecz drżał ilekroć ścieżka przed nim boczy,
By na zakręcie nie wpadła mu w oczy
Samotna jego, lecz miła mu wieża.
Zawsze go pierwsza witała z nadbrzeża,
Jak on ją z morza! — i ona w niej, ona!
Burzliwej duszy gwiazda niezamglona! —
Jeden wzrok jeszcze — a moc w nim rozbroi.
Nie śmie go ujrzeć; pomyśleć się boi,
Że mógłby zostać; — chciałby — któż mu broni? —
Zostać? — by zginąć od katowskiej dłoni? —
Nie, nie! — Raz jednak, chciał stanąć, chciał wrócić,
Na los zdać wszystko, zamiar na wiatr rzucić —
Nie! — myśl niegodna! — nie! — prawego męża
Płacz niewiast miękczy, ale nie zwycięża. —
Ujrzał swą nawę — zważa wiatr przychylny,
Zwrócił myśl ku nim — i znów w sobie silny,
Znów chyżej naprzód; — i gdy z brzegu słyszy
Wesołą wrzawę mężnych towarzyszy,
I łoskot fali, co pod wiatrem rosła,
I hasła majtków, i szybki szum wiosła:
Gdy widzi okręt — maszt niebu urąga,
Rozskrzydlił żagle, kotwicę wyciąga: —
Gdy widzi czółna, w których ludzie zbrojni
Płyną na okręt — jak wszyscy spokojni!
Choć jak śnieg biało i gęściej od śniegu
Chustki żon ku nim powiewają z brzegu;

Gdy widzi zwłaszcza, jak z masztu zwieszona
Igra z wiatrami chorągiew czerwona —
Sam się zadziwił, że był słabym tyle,
W wielkim zamiarze zachwiać się na chwilę.
Żar w jego oczach, dzikość w jego duszy,
Uczuł sam siebie — nic go już nie wzruszy.
Pośpiesza, bieży — aż zbiegł gdzie równina,
Co skałę kończy a brzeg rozpoczyna.
Tam zwolnił kroku; — świeżość bliskiej głębi
Krzepi znużenie, ogień lica ziębi;
Lecz stanął raczej, by zimną odwagę
Wrócił swej twarzy, swym krokom powagę,
Wprzód nim go ujrzą. — Konrad sztukę umie,
Jak tając dumę, tłum zhołdować dumie.
Wyniosłość lica, i zimną postawę,
Co stroniąc niby obudza obawę;
I wzrok, i uśmiech, co choć serc nie zraża,
Hamuje płochość i śmiałość przeraża;
Wszystko ma w mocy, by zgrają zaślepić,
Rozbroić opór, i władzę ukrzepić.
Lecz gdy chce ująć — z ufnością przyjaźni
Każdy wnet pierwszej zapomni bojaźni,
Niewolnik, z duszą na rozkaz gotową.
Nad dary drugich, droższe jego słowo,
Gdy jakby z serca głębi tajemniczej
Zagra do serca głos tęsknej słodyczy. —
Lecz rzadko słodycz w parze z jego duszą:
Nie dba czy zechcą, gdy co każe, muszą.
Czy podłość drugich, czy dumy szaleństwo —
On depce miłość, by mieć posłuszeństwo.

XVII.

Wkoło broń straży brzękła czcią wodzowi.
Zbliżył się Żuan. — „Czy wszyscy gotowi?“ —
— „Już są w okręcie; ostatnie przy lądzie
Czółno to czeka, póki wódz nie wsiądzie“. —
„Miecz mój, płaszcz, trąbkę!“ — Miecz przypiął [z niechcenia,
Trąbkę ma w dłoni, płaszcz zwiesił z ramienia.
„Zawołać Pedra!“ — Przyszedł — Konrad wita,
Pierwszemu z wodzów grzeczność należyta.
„Weźmij ten papier! — zawiera rozkazy.
Ważne — bacz pilnie na wszystkie wyrazy.
Anzelmo także, jak skoro przybędzie,
Ma je wykonać. — Straż podwoić wszędzie!
Za trzy dni, jeśli — jeśli wiatr posłuży —
Powrócę. Bądź zdrów!“ — i nie zwłócząc dłużej,
Podał dłoń, ścisnął — skinął na wioślarzy,
I skoczył w czółno z wyniosłością w twarzy.
Ruszyły wiosła — jak gwiazd droga mleczna,
Iskrzy za niemi jasność fosforyczna [2]).
Dopłynął nawy — stoi na pokładzie.
Gwiznięto z góry — ruch w całej gromadzie.
On zważa okręt, jak lekki na fali,
Jak słucha steru — uważa, i chwali.
„Gdzie jest Gonzalwo?“ — Zbliżył się młodzieniec,
W skłonionej twarzy radości rumieniec.
Uprzejme słowo wódz już w ustach trzyma —
Czegóż się wzdrygnął? czy się gniewem zżyma? —
Ach nie! — on ujrzał swą wieżę na skale,
Wspomniał rozstanie, zgadł Medory żale,

Jeśli na okręt spogląda w tę chwilę, —
Nigdy on, nigdy nie kochał jej tyle! —
Lecz nim noc minie, wiele zrobić trzeba.
Odwrócił oczy, spojrzał w błękit nieba,
I wnet z Gonzalwem zszedłszy na spód nawy,
Odkrywa cele i środki wyprawy.
Przed nimi mapa i lampa na stole,
I kompas; w ręku cyrkiel i półkole.
Północ — czuwają; twarz obudwu groźna.
Bezsennym oczom któraż chwila późna? —
Tymczasem w żagle dął wiatr pożądany,
Okręt jak sokół leci przez bałwany;
Sto wysp minęli sterczących granitem:
Cieszą się — celu dopłyną przed świtem.
Już przez szkła nocne liczą bez obawy,
W ciasnej zatoce natłoczone nawy
Baszy Seida; widzą, jak niedbali
Stróże przy ogniach gasnących czuwali!...
Okręt ich kołem obiegł czaty przednie,
Wszedł, gdzie bezpieczny skryłby się choć we dnie.
Przy pustym brzegu, za skałą wysoką,
Straży ni szpiega nie dojrzy go oko. —
Konrad na pokład zgromadził swych ludzi,
Do powinności — lecz nie ze snu, budzi.
Wsparł się na poręcz, rozkazy objawia,
Rozmawia zimno — choć o krwi rozmawia. —

PIEŚŃ DRUGA.

»Conoscete i dubbiosi desiri?«
Dante.

I.

W zatoce Koron las masztów się jeży,
Na zamku Koron lampy błyszczą z wieży,
Tam Seid Basza częstuje żołnierzy.
Święci swój tryumf — jutro spodziewany —
Gdy zbójców zgromi i pojma w kajdany.
Tak na Allaha przysiągł swemu Panu.
Wierny przysiędze i słowom firmanu,
Zwołał swe nawy; — coraz w liczbę rosną,
Tłum coraz większy tryumfuje głośno.
O łup, o branki, przed wzięciem się kłócą,
Jeszcze nie wyszli, już pewni że wrócą.
O świcie dosyć niech pod żagle wsiędą,
Przed zmrokiem zbójców port i łup zdobędą! —
Tymczasem straże mogą spać bezpiecznie.
Nie dość jest bić się — niech marzą walecznie!
Lub gdy sen komu nie cięży w powiekach,
Może ramienia próbować na Grekach!...

O! godne czyny barbarzyńskiej dłoni!
Katować więźnia, gdy się sam nie broni;
Napaść dom Greka, sprzęt skruszyć pod nogą,
Bić — byle tylko nie zabić nikogo! —
Dziś są łaskawi — nie chcą, czy nie mogą.
Gdzieniegdzie tylko słychać jęk i razy.
Lecz to żart! — Basza zakazał obrazy.
Wzdłuż brzegu wszędzie śmiech, muzyka, wrzawy:
Kto kochasz głowę, śmiej się, dziel zabawy!
Bo dziś muzułman wesół — choć bez wina,
Wytężył dowcip — łaje i przeklina.

II.

W biesiadnej sali, w ślniącym złotogłowiu,
W białym zawoju, wsparty na wezgłowiu,
Seid śród gości spogląda wesoły.
Skończona uczta, odstawione stoły.
Twarz jego płonie, ogień iskrzy z oka;
Pije on, mówią, napój nie Proroka.
Nie śmieją drudzy; prawowierni, trzeźwi,
War wonnej mokki myśl w nich tylko rzeźwi.
Z długich cybuchów dym bucha wokoło,
Gdy Almy w środku tańcują wesoło [1]).
Jutro na bitwę! — lecz dziś, w nocnej porze,
Nie dość bezpiecznie puszczać się na morze!
Na wzdętych falach sny nie tak powabne,
Jak gdy ich łoże kołysze jedwabne! —
Więc się dziś bawią; — jak błyśnie świtanie,
Pójdą, bo muszą — nadzieja w Koranie!

Choć widok floty i gwar tłumnej rzeszy,
Ziemską nadzieją niemniej dumę cieszy.

III.

Ze czcią bojaźni, od wnętrznych podwoi,
Idzie niewolnik, co w nich stróżem stoi.
Schylił się, czołem uderzył podłogę,
Nim w drżących ustach głos rozwiązał trwogę.
„Derwisz podróżny, zbieg z więzów korsarzy,
Przybył, i czeka czy się wejść odważy?“ —
W skinieniu Baszy zgadł znak jego woli.
Odszedł. — Wszedł derwisz — zbliża się powoli.
Skromnie na piersiach krzyżuje ramiona,
Krok jego słaby, źrenica spuszczona.
Trudów, nie wieku, starość znać z postawy,
Twarz jego blada z postów, nie z obawy.
Poświęcon Bogu włos spada szeroko,
Okryty czapką okrągłą, wysoką.
Długa, powiewna, rozpuszczona szata,
Obwija piersi — oziębłe dla świata.
Pokorny, jednak pan siebie, bez strachu
Spotyka oczy iskrzące wzdłuż gmachu.
Nikt nie śmie pytać, lecz wszyscy ciekawi
Co wnet spytany przed baszą objawi.

IV.

„Skądeś derwiszu?“ — „Przez zbójców pojmany,
Uszedłem z więzów“. — „Gdzie? kiedy zabrany?“ —
— „Do wyspy Scio z portu Skalanowy
Płynął nasz okręt, wiózł towar handlowy.

Nie szczęścił Allah — wola jego święta!
Napadli zbójcy, nawa nasza wzięta,
Towar złupiony — myśmy poszli w pęta.
Nie miałem bogactw, śmierci się nie bałem,
Lecz tracąc wolność, straciłem co miałem. —
Długo mię gniotła przemoc świętokradzka;
Aż dziś noc ciemna i łódka rybacka
Tu mię zbawiły — tu, w opiece twojej,
Potężny Baszo! któż się zbójców boi?“ —
— „Jakże ci zbójcy? jak zbrojni? czy śmieli?
Myślisz, że opór stawićby mi chcieli?
Czy wiedzą o mnie, że z jutrzejszą gwiazdą
Mam zniszczyć ogniem skorpijonów gniazdo?“ —
— „Baszo! wzrok we łzach nie wiele dostrzega,
Trudna więźniowi przenikliwość szpiega.
Słuchałem tylko morskich fal łoskotu,
Ptastwu morskiemu zazdroszcząc przelotu;
Widziałem tylko — ach! przez kraty ciasne,
Niebo — zbyt czyste, słońce — zbyt mi jasne;
I żeby innem czem zająć mą duszę,
Czułem że wolność wprzód odzyskać muszę. —
Lecz z mej ucieczki znać że się nie strzegą,
Że się nie muszą obawiać niczego.
Sposobność ujścia próżnoby mi znikła,
Jeśliby brzegów strzegła czujność zwykła.
Niebaczność straży, jak mojej podróży,
Równie zbliżeniu twej floty posłuży. —
„Lecz Baszo! głosu i sił mi już braknie,
Trud odpoczynku, głód posiłku łaknie.

Pozwól, bym odszedł. — Pokój, pokój z wami!
Odchodzę za was modlić się ze łzami". —
— „Stój, stój derwiszu! mam cię jeszcze badać.
Stój! — słyszysz? każę — musisz odpowiadać.
Usiądź! wieczerzę przyniosą ci słudzy,
Nie będziesz pościł, gdzie ucztują drudzy.
Powiesz mi potem, jak naoczny świadek,
Krótko i jasno — nie lubię zagadek". —
Nie wiedzieć czemu, derwisz drgnął — i srogo
Z pod brwi zmarszczonych spojrzał jakby z trwogą.
Łaska w nim Baszy nie budzi wdzięczności,
Ni go snać wzrusza cześć obecnych gości,
Bo przygryzł wargę, i bladość niezwykła
Jak błysk po licu przebiegła i znikła.
Usiadł w milczeniu, i w rychle na nowo
Przybrał wzrok zimny i postać surową.
Przynieśli ucztę — wykwintne potrawy.
Jakby w nich jadu lękał się zaprawy,
Zadrżał na widok, ze wzgardą odpycha —
Dziwna w zgłodniałym wstrzemięźliwość mnicha! —
— „Co ci derwiszu? — jedz! — ust ci nie splami
Psie jadło Giaurów; tuś nie ze zbójcami. —
Co? sól odpychasz? — zgody zakład święty,
Co podzielona koi gniew zawzięty,
Sprzysięgłe na się łączy pokolenia,
I serc nieprzyjaźń w braterstwo przemienia?..."
— „Sól jest przysmakiem; — pożywieniem mojem
Są polne zioła, woda mym napojem.
Prawa zakonu i ślub mój przed Bogiem [2])
Bronią mi łamać chleb z bratem, czy z wrogiem.

To cię zadziwia — i może obruszy,
Lecz względy ziemskie nie zbawią mej duszy.
Ty, ni sam sułtan nie zmusi mię niczem,
Bym dotknął uczty przed ludzi obliczem,
Bo gdy raz zgrzeszę, gniew mi Mohameda
Do świętej Mekki pielgrzymować nie da". —
— „Dobrze, derwiszu! gdyś tak bogobojny,
Powiedz mi tylko — odejdziesz spokojny —
Ilu ich? — Cóż to? ha! to nie jest zorze!
Co za meteor? co za blask na dworze!
Patrzcie! nad portem jakby ognia morze! —
Pożar! do broni! śpieszcie! pożar! zdrada!
Flota się pali! a jam tu — o! biada!
Przeklęty derwisz! — przyszedł w sidła zwabić,
Giaur, szpieg przebrany! — pojmać go i zabić!" —

Porwał się derwisz na wybuch płomieni,
Nagłą w nim zmianą zbledli przerażeni.
Porwał się derwisz — nie już w mniszym stroju,
Lecz jak wojownik gotowy do boju.
Rozdarł swą szatę, czapkę zerwał z skroni:
Pancerz na piersiach, szabla błyszczy w dłoni!
Hełm nizki, lśniący, nad nim czarne pióro.
Twarz się zczerniła, oczy ogniem gorą.
Jak na zjawisko piekielnego ducha
Pierzchły z serc Turków męstwo i otucha.
Tłoczą się, biegną, śród zgiełku, śród gwaru —
Tu blask pochodni, tu łuna pożaru!
Krzyk, hałas, groźby, przekleństwa i jęki,
Huk trąb i bębnów, i oręża szczęki

Grzmią po powietrzu — jakby z mocą wściekłą
Całe na ziemię wywarło się piekło.
Zlękłe, zdumione, obłąkane straże,
Patrząc na morze, na niebo w pożarze,
Nie widzą pana — nie słyszą, co każe.
Próżno wre Baszy wściekłość rozdąsana:
„Pojmajcie szpiega! pojmajcie szatana!“ —
On ujrzał popłoch — cofnął krok rozpaczny,
Którym się na śmierć miotał nieobaczny,
Gdy pośpiech braci, wcześniej niż zalecił,
Niż wydał hasło, pożarem zaświecił.
On ujrzał popłoch — trąbkę do ust złożył,
Dźwięk krótki, ostry, trzykroć się powtórzył.
Odpowiedziano. — „Wy tu, bracia mili!
Mogłżem posądzać, w niebezpiecznej chwili
Że mię umyślnie samym zostawili?...“ —
Rzekł, miecz i ramię puścił w krąg szeroki,
Jakby chciał pierwszej powetować zwłoki.
Przestrach we wrogach, męstwo w nim podwaja. —
Pierzchła przed jednym rozpłoszona zgraja.
Toczą się głowy po krwawej podłodze,
Nikt nie śmie dostać: żołnierze i wodze,
Nieufni w dłoni, zaufali w nodze.
Seid ostatni w pierzchających tłumie,
Grozi, klnie, błaga — wstrzymać ich nie umie.
Mężny — sam jednak spotkania unika:
Strach uolbrzymił siłę przeciwnika.
Spojrzał z rozpaczą, gdzie flota się pali,
I rwąc swą brodę, wściekły wybiegł z sali [3]).
Nie czas już czekać: — przełamano wartę,

Bramy pałacu runęły wyparte.
Wpadają zbójcy. — Próżno trwoga blada,
Próżno pokora na kolana pada,
U nóg zwycięzców próżno składa miecze:
Przeszli — krew wrząca strumieniami ciecze.
Pędzą, gdzie znowu brzmi trąbka Konrada,
I jęk ginących tryumf zapowiada.
Wpadli — okrzykiem witają weseli:
Śród stosu trupów zwycięzcę ujrzeli!
Miecz trzyma w górze, ogniem iskrzą oczy,
Jak syty tygrys w krwi rozlanej broczy. —
Krótka rozmowa: „Flota już w perzynie!“ —
— „Dobrze! Lecz Seid musi zginąć“. — Zginie!“ —
— „Za mną, i naprzód! z ogniem i żelazem!
Płonie port — czemuż i miasto nie razem?“ —

V.

Skory na rozkaz — każdy żagiew chwyta,
Miasto i zamek jedną łuną świta.
Z dziką rozkoszą Konrad się uśmiecha:
Wzdrygnął się nagle — jakież słyszy echa?
Ha! to jęk niewiast! — jak dzwon na pogrzebie
Wstrząsł sercem jego — tak twardem w potrzebie.
„Harem się pali! — za mną! do obrony!
Śpieszcie! pomnijcie — i my mamy żony.
Na nie, ach! spadnie krew niewiast; — pomnijcie!
Nie krzywdzić żadnej, kto stoi o życie!
Śmierć nieść mężczyznom — lecz pomoc kobiecie! —
Ach! jam zapomniał! — lecz czyż Bóg przebaczy
Sprawcy niewinnych śmierci i rozpaczy? —

Idź kto chcesz za mną! ja choćby sam, idę
Odeprzeć od nas tej zbrodni ohydę!“ —
I skoczył w ogień po wschodach runących,
Wyłamał otwór we drzwiach gorejących;
Po rozpalonych kamieniach podłogi,
Śród kłębów dymu i iskier pożogi,
On, i w ślad za nim śpieszący bez trwogi,
Wpadli — porwali — każdy na swych rękach
Unosi jedną — nie myśląc o wdziękach,
Ośmiela, cieszy, błaga, uspakaja.
Zna cześć piękności Konradowa zgraja.
Nie iść w ślad wodza najdzikszy się sroma,
Ratuje słabość — krwawemi rękoma.
Lecz któż jest? któż jest ta piękna i blada,
Ta najpiękniejsza w objęciach Konrada? —
Postać niebianki, tronu godne lica,
Anioła godne! — Któż jest ta dziewica? —
Pani haremu — Baszy niewolnica.

VI.

Krótko wódz spojrzał na wdzięki Gulnary [4])
Krótko ośmielał, niosąc przez pożary,
Krótko pożegnał; — nie czas stać spokojnie! —
Gdy litość chwilę sfolgowała wojnie,
Wróg nieścigany zaczął się ozierać,
Zwalniać krok, stawać, zwracać się, opierać —
Widzi to Seid — widzi i poznaje,
Przed jaką garstką pierzchły jego zgraje.
Wstydzi się błędu — wstyd wściekłość w nim drażni
Gdy widzi dzieło zbyt skorej bojaźni.

„Alla il Alla!“ okrzyk zagrzmiał w gminie,
Każdy jak wściekły, pomści się, lub zginie.
Ogień za ogień, krew za krew niech płaci! —
Lecą do boju, po trupach swych braci.
Znów szczęk, wrzask, ciżba — wre bitwa straszliwa.
Szczęście jak nagle wezbrało — odpływa.
Zwycięzcy tłuszczą ściśnieni zuchwalczą,
Już nie o tryumf, o swe życie walczą.
Ujrzał wódz — pojął, zgadł niebezpieczeństwo.
Słabnie przed tłumem siła — choć nie męstwo.
„Jeszcze raz, za mną! rozbić zgraję trwożną!“ —
Kupią się — biegną — uderzyli — próżno!
Wszystko stracone! — wróg ciaśniej otacza,
Nikt ujść nie zdoła, lecz nikt nie rozpacza.
Jeszcze są w szyku! — ha! już przełamani,
Już rozpierzchnieni, ujęci, zrąbani!...
Kto został, milcząc pasuje się w gminie,
Aż z trudu raczej niż z rąk wroga zginie;
Aż choć raz jeszcze, w konwulsyjnej pięści,
Na czaszce wroga mściwy miecz zachrzęści.

VII.

Lecz nim tłum dziki wszczęwszy bój zażarcie,
Sam się na wstępne odważył natarcie,
Wraz ze swą panią, dziewice Gulnary,
W domu mieszkańca jednej z niemi wiary,
Z rozkazu wodza umieszczone skrycie,
Przestały bać się o sławę i życie.
Z łez i Gulnary oschło czarne oko,
Lecz smutna, milczy i duma głęboko.

Tkwi w jej pamięci wybawca z płomienia,
Dźwięk jego głosu, blask jego spojrzenia.
Dziw jej, że zbójca, śród boju dzikości,
Zdał się być czulszym, niż Seid w miłości.
W pieszczotach nawet Baszy niewolnica
Czuć musi łaskę, jaką pan zaszczyca;
Korsarz niósł pomoc, osłodę boleści,
Jak hołd należny godności niewieściej!...
„Źle jest — co gorsza — wiem, że próżno żądać.
Chciałabym jednak — muszę go oglądać.
Winnam mu życie moje i tych branek. —
Zapomniał o niem mój pan — mój kochanek!“ —

VIII.

I wnet go widzi — gdzie bój najzaciętszy,
Jęk najgłośniejszy i tłok coraz gęstszy.
Sam wpośród trupów szczęśliwszych już braci,
Cofa się, groźny w licu i postaci.
Każda piędź ziemi krwią za nim przesiękła.
Mięsza się pogoń, ustaje zalękła —
Aż w krwi ślizgocie krok się jego zwinął.
Zachwiał się, upadł — chce zginąć, nie zginął,
Wzięty! — Ha! zbrodnia nie ujdzie bezkarnie,
Niech tylko zemsta wymyśli męczarnie! —
Tamują rany — śmierć nie czyni zadość.
Kroplą po kropli przelać krew, to radość,
Jęki po jękach słyszeć, gdy je wyda,
To będzie rozkosz dla Baszy Seida! —
Obyż mąk rodzaj wynaleźć, wykonać,
By wciąż z nich konał, nigdy nie mógł skonać! —

Widzi Gulnara — tenże to syn męstwa,
Przed chwilą jeszcze wódz i pan zwycięstwa,
Którego słowo lub ręki skinienie
Tysiącom niosło śmierć lub przebaczenie? —
On to! — bezbronny, lecz mężny w złej doli,
Życie go tylko, że je ustrzegł, boli.
Rany ma lekkie, choć sam ciosy wabił,
Choćby całował miecz coby go zabił,
Niktże z tysiąców — jednego potrzeba —
Nie chce go posłać — mniejsza! czy do nieba?
Samże on z braci ma zostać na ziemi,
On, co śmierć spotkać śpieszył przed wszystkiemi?...
Czuł on, co człowiek czuje, gdy na czoło
Ze szczytu upadł pod Fortuny koło:
Czuł złe, co zbroił; czuł bliskie katownie,
Czuł hardość wroga — czuł gorzko, gwałtownie;
Ale taż duma, co go w głąb strąciła,
Wzmogła w nim serce i boleść pokryła.
Wzrok pogardliwy i twarz obojętna,
W jeńcu, zwycięzcy jeszcze noszą piętna.
Ranny, znużony — lecz gdzież są w tej chwili
Coby spokojniej i mocniej patrzyli? —
Słucha bez gniewu, jak stojąc zdaleka
Podła nań tłuszcza urąganiem szczeka;
Mężni, co zbliska w boju go widzieli,
Szanują w więzach dłoń, przed którą drżeli.
Ledwo nań który z wiodącej go straży,
Żaden beze czci spojrzeć się nie waży.

IX.

Posłany lekarz — nie litość posyła —
Ma rzec, co w mękach zniesie jeńca siła.
Znalazł jej dosyć, by dźwigać kajdany;
Znalazł dość czucia, by czuć ból zadany;
Jutro więc, jutro, gasnąc na gór szczycie,
Słońce obaczy pierwsze na pal wzbicie,
A rano z morza w zwykłej wstając mocy,
Ujrzy jak dotrwał w mękach całej nocy.
Z mąk to najsroższa, najdłuższe z cierpienia;
Z bolem konania łącząc żar pragnienia,
Śmierć, jedną ulgę, z dnia na dzień oddala,
Gdy już ćma sępów kracze koło pala.
„Ach! wody! wody!“ — Zemsta się naśmiewa,
Wskazuje puhar — zbliża — i rozlewa.
Próżno nieszczęśnik usta ku niej kwapił:
Skończyłby cierpieć, gdyby się raz napił.
To wyrok jego. — Odeszli strażnicy,
On został — jeden, w kajdanach, w ciemnicy.

X.

Któż uczuć jego pojąłby męczarnie,
Gdy on, ofiara, sam ich nie ogarnie?
Noc, wojna, zamęt, w myślach jego duszy:
Wszystkie w niej siły mdleją od katuszy,
Wszystkiemi jego uczuciami miota
Nieżałująca, rozpaczna zgryzota,
Ów wróg nasz mściwy, co milcząc w potrzebie,
Po czasie woła: „ostrzegałem ciebie!“ —
Próżno! — pierś mężna, jadem jej zatruta,

Klnie albo milczy — dla słabych pokuta!
Przed chmurą ciosów, czyż obwód jej tarczy
Okryciu serca wielkiego wystarczy? —
W tej nawet chwili, gdy nawpół jak w grobie,
Całe swe życie czuje, widzi w sobie,
Żadna w niem zbrodnia nad inne grożąca,
Żadna namiętność, ni myśl panująca,
Nie ćmi się przed nim tak, aby swym cieniem
Resztę przynajmniej skryła przed wspomnieniem.
Nie! — okiem ducha patrzy on od razu
Na całą przestrzeń dzikiego obrazu:
Widzi rozpierzchłe sny dumnej wielkości,
Skażoną chwałę, łzy, rozpacz miłości,
Znikłe nadzieje szczęścia, czcze zamiary,
Tryumf swych wrogów, każń swej bliskiej kary!...
Przeszłość się czerni, jak otchłań bezdenna,
Przyszłość jak chmura gromami brzemienna;
Czyny i słowa, złe myśli i chęci,
Co jak ćma nocna kryły się w pamięci;
Błędy wesołe lub miłe w swym czasie,
Lecz z których dzisiaj każdy zbrodnią zda się;
I wszystkie krzywdy, któremi przewinił,
Co choć utaił, sam wie, że uczynił,
Których naprawić nie ma już sposobu:
Wszystkie, jak duchy z otwartego grobu,
Wznoszą się z serca, okryte żałobą,
I groźnym palcem wołają za sobą...
Wszystko on widzi — nim zwierciadło duszy
Ockniona duma porwie i rozkruszy.
Tak! duma pokryć, odwaga znieść śmiało

Potrafi wszystko — wszystko co się stało;
Lecz któż bez trwogi? — cóż stąd, że ukryta?
Godzien jest tylko chwały hipokryta:
Nie nędznik, co się wprzód chełpiąc, ucieka,
Lecz ten, co nawet widzi śmierć — i czeka;
Lub gdy weń godzi grot niechybny losu,
Bieży wpół drogi na spotkanie ciosu.

IX.

W warownej izbie, na najwyższej wieży,
Okuty Konrad na posłaniu leży.
Pałac spalony — ta wieża zamyka
Baszę, kobiety, dwór i niewolnika.
Nie wini Konrad o srogość zwycięzcę,
Sam mu los równy gotował po klęsce.
Duma sam w sobie: — strach, zgryzotę przemógł;
Lecz jest myśl jedna, której uśpić nie mógł,
Której pomyśleć nie śmiał: — jak te wieści
Przyjmie Medora? jak zniesie boleści?... —
Wtenczas — raz tylko wtenczas — z cichym jękiem
Porwał się z miejsca, i z kajdanów brzękiem
Wzniósł nagle ręce — jakby zerwać żądał
Więzy, na które z wściekłością poglądał. —
Lecz udał męstwo, czy się w nie uzbroił:
Zaśmiał się gorzko, i gniew uspokoił.
„Teraz niech przyjdą! — niech znajdą katusze
Gorsze! niech znajdą!... — Lecz odpocząć muszę“.—
Rzekł, padł na łoże, zamknął skrzące oko,
I cobądź marzy — znać, że śpi głęboko.
Noc jeszcze — północ już była minęła,

Gdy pożar floty i bitwa się wszczęła.
Jak Konrad w planach, godna wodza rzesza
Skora w pełnieniu i w pracy pośpiesza.
Nie było złego, choć w tak krótkiej chwili,
Coby go mogąc, wrogom nie zrobili.
W godzinie Konrad — korsarz na pokładzie,
Na lądzie rycerz, derwisz na biesiadzie,
Odkryty, bliski śmierci, ocalony,
Zwycięzca, tyran, zbawca, zwyciężony,
Jeniec, w kajdanach, jak zbrodzień po wojnie
Skazany na śmierć — i usnął spokojnie!

XII.

Śpi — uśmiech w ustach, łza lśni z pod powieki,
Oddycha lekko — oby spał na wieki! —
Któż się to zbliża z łzawemi oczyma?
Wrogi odeszli, przyjaciół tu niema!
Seraf-li, niebios utaiwszy blaski,
Niesie mu we śnie zwiastowanie łaski? —
Nie! — choć anielska w licu piękność świta,
Ziemski to tylko jest anioł — kobieta!
Wzniesioną lampę w jednej trzyma dłoni,
Drugą jej światło przed uśpionym chroni,
By blask niewczesny nie padał na oczy,
Co z snu otwarte, wnet znów śmierć zamroczy.
W powiewnej bieli, postać jej w milczeniu,
Jak duch wiejący, posuwa się w cieniu.
Lekka, wysoka — pierś tylko i lica
Mdłe światło lampy zaledwo oświeca.
Włos rozpuszczony — na białej odzieży

Jak smug ciemności, wpół na piersiach leży,
Wpół spływa z ramion; — stopa jak śnieg biała,
I jak śnieg cicho na ziemię spadała. —
Któż ona? — Sama, w nocy, mimo straży,
Jak tu wejść mogła? — jak się wchodzić waży? —
O! spytaj raczej, przed jaką przeszkodą
Zadrży kobieta, gdy jej duszę młodą
Czułość i litość, jak Gulnarę wiodą? —
Nie mogła usnąć — i gdy Basza we śnie,
Marząc o klęsce, klnie, jęczy boleśnie,
Marząc o jeńcu, nakazuje męki: —
Wstała, i sygnet zdjęła z jego ręki,
Znak jego woli: który gdy okaże,
Wszelkie wnet przed nią rozstąpią się straże.
Przeszła bezpiecznie — nikt o nic nie bada.
Znużeni bojem strażnicy Konrada,
Zazdroszcząc więźnia spoczynkowi, sami
Wpół senni ziemię zalegli przed drzwiami.
Ujrzeli pierścień — mało się kłopocą
Kto go przynosi, gdzie idzie, i po co? —

XIII.

Patrzy zdumiona — „On śpi? — gdy z rozpaczą
Tysiące po nim, lub na niego płaczą?...
Ja sama nawet!... — Jakaż czarów siła
Tak mi go nagle drogim uczyniła? —
Zbawił mi życie, poświęcił sam siebie —
Mamże go wzajem opuścić w potrzebie? —
Nie! — chcę mu pomódz — nie dbam o sąd ludzi. —
Lecz cicho! — westchnął — poruszył się — budzi!“ —

Podniósł wzrok — blaskiem zaślepione oczy
Zdają się wątpić czy sen ich nie mroczy.
Lecz ruszył ręką — głuchy brzęk okowu
Dowiódł, że żyje, i cierpieć ma znowu. —
„Któż jest ta postać? Anioł stróż z wejrzenia!
Zbyt zda się piękny na stróża więzienia“. —
— „Nie znasz mnie? — jestem z tych co czują wdzięczność
Za czyn, do jakich rzadkoś miewał zręczność.
Patrz! czyż nie pomnisz, żeś sam swą odwagą
Wyrwał mię z ognia, ustrzegł przed zniewagą?... —
Przyszłam — nie pytaj po co? — lecz nie szydzić.
Ja cię nie mogę, nie chcę nienawidzić“. —
— „Jeśli tak, pani! jesteś więc tu jedna,
Której śmierć moja uciechy nie zjedna.
Tem gorzej! — smutku nie radbym ci sprawić.
Lecz dziś ich pora! — chcą, mogą się bawić.
Słuszna im jednak wdzięczność niewolnika,
Że tak pięknego ślą mu spowiednika“. —
Z najgłębszym smutkiem niekiedy się mięsza
Dziwna wesołość: — serca nie pociesza,
Choć błyszczy w oczach, łza z nich nie osycha;
Uśmiech jej gorzki — jednak się uśmiecha,
I nieraz światu, zamiast pożegnania,
Żart płochy rzuca z wierzchu rusztowania [5]),
Co choć nie radość, jak zda się, go budzi, —
Łudza drugich — lecz któż siebie złudzi? —
Co bądź czuł Konrad — jak łuna z ogniska,
Dzika wesołość w rysach jego błyska.
Mówił z uśmiechem, z szyderstwem na poły:
Wesołe słowa, i ton ich wesoły —

Znać, że mu obcy; w burzliwem swem życiu
Rzadko miał porę miewać go w użyciu.

XIV.

„Korsarzu! pal twój gotów — lecz ma władza
Często gniew Baszy i wyrok złagadza.
Chciałabym — tak jest — chcę, muszę cię zbawić.
Dziś nie! — dzień bliski mógłby nas wyjawić.
Lecz dość zyskamy, jeżeli, jak wróżę,
Czas twojej kaźni do jutra przedłużę.
Dzisiaj nic więcej nie żądaj odemnie,
Gdyżbyśmy tylko zginęli daremnie“. —
— „Ja nic nie żądam — niech się kres mój zbliży!
Spadłem zbyt nisko, bym się bał spaść niżej.
Więc oszczędź sobie trudu, mnie życzenia,
Bym jak zbieg podły uchodził z więzienia.
Gdym nie zwyciężył — mamże z braci całej
Sam, nie śmiąc umrzeć, powracać bez chwały?... —
„Jest wszakże jedna — o której duch marzy,
Której łzę, zda się, że czuję na twarzy!...
W życiu mem dotąd jedyne pociechy
Były: mój okręt, mój miecz, jej uśmiechy,
I Bóg mój niegdyś! — przeszłość to daleka!
Jam się Go z młodu, dziś On mnie wyrzeka.
Za niecześć ojca, mściwy karze sędzia.
Zwycięzcy moi Jego są narzędzia!
Nie czas już wszakże, bym rozpacznik podły
Samolubnemi znieważał go modły!
Nie! — nie mam prawa prosić — i nie proszę.
Co zesłał, cierpię; co znieść mogę, znoszę. —

Miecz mój z niegodnej wytrącono dłoni,
Niegodnej dźwigać jak on wiernej broni.
Okręt mój wzięty — lecz ta, tak mnie droga!...
Ach! za nią jeszcze chciałbym prosić Boga.
Ona jest wszystkiem dla mnie — a te wieści
Skruszą jej serce ogromem boleści! —
Ta myśl jest dla mnie nad śmierć sroższą karą. —
Ona tak tkliwa, tak piękna! — Gulnaro!
Nimem cię ujrzał, przeszły lata długie,
Żem nie pomyślał, czy są piękne drugie“. —
— „Ty więc już kochasz? — ty już kochasz inną? —
Cóż mi to znaczy? — nic, nic nie powinno!
Jednak — ty kochasz! — ach! ja zajrzeć muszę
Duszy, wzajemną kochającą duszę,
Która nie czuje, i nigdy nie czuła
Tej czczości serca — co moje zatruła“. —
— „Twoje? — sądziłem, że z ogniów haremu
Jam cię ratując, zachował lubemu“. —
— „Seid mój luby? — ach! nie! nie mój luby!
Niegdyś to serce, dziś już wzięte w kluby,
Długo się niegdyś ubijało we mnie,
By czuć wzajemność — niestety! daremnie.
Pragnęłam kochać, kochać jestem zdolną,
Lecz czułam, czuję — wprzód trzeba być wolną.
Jam niewolnica — cóż że z łaski pana
Na panią innych niewolnic wybrana?
Gorzkie pieszczoty, gdy je przyjąć każą,
Podląca wierność, pod dozorców strażą;
Lecz trudniej jeszcze, gdy wstręt serce mrozi!
Udawać czułość — bo pan gniewem grozi!

Stokroć w dzień muszę w duszy mej złorzeczyć
Zimnym „czy kochasz?“ nie śmiejąc zaprzeczyć.
Bierze mą rękę — ni daję, ni bronię,
Krew w niej jak martwa, ni krzepnie, ni płonie.
Patrzy mi w oczy — niezmięszana stoję;
Ust jego żarem nie palą się moje.
Sama się sobą muszę tylko brzydzić.
Nie dość kochałam, by choć znienawidzić.
Nie, nic nie czuję! — Odchodzi — nie pytam
Gdzie? kiedy wróci? — Powraca — nie witam,
Nie widzę prawie. — Straszliwa rozwaga,
Czuję, jak coraz wstręt i sytość wzmaga.
O! gdybyż wreszcie nasycon wzajemnie,
Chciał sobie milszą wynaleźć odemnie,
I mnie zostawił — przed godziną boju
Mogłabym jeszcze powiedzieć: w pokoju! —
Lecz już się stało! — Dzisiaj jeszcze muszę
Udawać czułość — nim twe więzy skruszę.
Za smutne życie ocalone brance,
Zbawcę mojego chcę wrócić kochance;
Wrócić jej sercu szczęście i wesele,
Jakiego sama z nikim nie podzielę. —
Bądź zdrów! — dzień świta, straże zejść nas mogą.—
Nie umrzesz dzisiaj — okupię cię drogo“. —

XV.

Rzekła, i ręce okute Konrada
Z tkliwą pokorą do serca przykłada.
Poszła, jak przyszła — jako sen przelotny.
Byłaż tu ona? — znówże on samotny? —

Jakażto kropla, jak brylant promienny,
Lśni na okowach od jasności dziennej?
Łza ta najświętsza — niewieściej czułości —
Najdroższa perła, co z morza litości
Nim tkliwa dusza na świat ją uroni,
Już wygładzona w Cherubina dłoni!
O! jak urocza, jak silnie zwycięzka,
W oczach kobiety, jej łza czarnoksięska!
Broń jej słabości — razem miecz i tarcza,
Jak do obrony, do zwycięztw wystarcza.
O! nie patrz na nią! — Cnota z drogi boczy,
Mądrość się zbłąka, gdy w nią wlepi oczy.
Jedna łza w oku egipskiej królowej —
Pierzchnął bohater, świat poszedł w okowy.
Lecz nie potępiać błędu tryumwira! —
Tylu się nieba, nie ziemi wypiera,
Rzuca się w piekło, wieczność w mękach pędzić,
By zalotnicy kilku łez oszczędzić! —

XVI.

Ranek — przez kraty na twarz więźnia pada
Dzień — co kres wszystkich dni mu zapowiada.
Dzień już bez jutra, a w nim pamięć *wczora,*
Straszniejsza stokroć, niż widok upiora! —
Wczora pan morza, wódz dzielnych zastępów! —
Dziś, jeniec wrogów — może pastwa sępów,
Kiedy to słońce, co wschodzi tak jaśnie,
Okiem już jego niedojrzane zgaśnie,
Gdy wkoło świeżość chłodu wieczornego
Ożywi wszystko — wszystko oprócz niego!... —

PIEŚŃ TRZECIA.

»Come vedi! — amor non m'abbandonna«. — *Dante.*

I.

Zwolna — piękniejsze niż w dziennej kolei,
Zniża się słońce za wzgórza Morei.
Nie w mgle, jak indziej, blade, bez promieni,
Lecz jak ognisko żyjących płomieni.
Po śpiącej głębi smugiem złota ciska,
Wre zda się woda, gdy z drżeniem połyska.
Nad wyspą Hydry, nad Eginy czołem,
Bóg wesołości, spojrzeniem wesołem,
Po raz ostatni luby kraj swój darzy,
Choć w nim już dawnych nie widzi ołtarzy.
Słupem z gór wierzchu cień zstępując siny,
Port niepodbitej zaległ Salaminy.
Przez głąb wąwozów, we zwierciadłach fali,
Krwawą purpurą horyzont się pali,
Gdy na gór szczycie, jak złota korona,
Lśni jeszcze słońca jasność zawieszona:
Aż wreszcie blaski zagarnąwszy całe,
Utonie do snu za Delficką skałę.

Taki był zachód dnia, w którym przed wieki
Najmędrszy z Greków miał zawrzeć powieki.
Jak wtedy jego uczniowie płaczący
Drżeli o każdy promień konający,
Gdy jak to słońce, z niem razem, przed niemi
Mądrość ich mistrza zajść miała na ziemi! [1])
„Jeszcze nie! — jeszcze! — słońce zachód zwleka,
Chwila rozstania jeszcze jest daleka!“ —
Lecz słońce patrząc w konające oczy,
Blask swój przed niemi i swe barwy mroczy;
Żałobę zda się po kraju rozlewać,
Gdzie dotąd Febus nie umiał się gniewać.
I nim Cytery zakryła go skała,
Puhar stał próżny — duch uleciał z ciała —
Duch, co dla prawdy śmierć i trwogę przemógł,
Co żył, i umarł — jak nikt drugi nie mógł.

Lecz patrz! milcząca z za Hymetu szczytów [2])
Wzbija się nocnych królowa błękitów.
Ni mgła, ni obłok, zapowiednik burzy,
Nie ćmi jej kształtu, ani lic nie chmurzy.
Ówdzie śród ruin, pełnym wzrostem dumna,
Blaskiem jej dawna bieleje kolumna;
Tam z okrągłego minaretów wierzchu,
Młody jej obraz połyska się w zmierzchu.
Gajem oliwne rozsadzone drzewa,
Gdzie skromny Cefiz wązki nurt przelewa;
Między cyprysy gronami stojące,
Letnich kiosków wieżyczki błyszczące; [3])
I owa palma, samotna stróżyni

Przy Tezeusza zwalonej świątyni,
Wszystkie koleją przynęcają oczy —
Ślepą ma duszę, kto idąc nie zoczy!

Wojną z wiatrami Neptun zmordowany,
Do snu Egejskie uciszył bałwany.
W pręgach jasności złota i błękitu,
Leżą zwierciadłem u stóp ścian granitu.
Prócz gdzie cień wysep czerni się na wodzie,
Wszystko się w nocnej uśmiecha pogodzie![4])

II.

Czas do mej treści — czyż myśl od niej boczy?
O! ziemio grecka! o! kraju uroczy!
Któż, gdy cię poznał — o czemkolwiek pienia,
Nie rad w nich twego uświęcić wspomnienia?
Kto widząc z Aten zachód twego Feba,
Ich wieczornego mógł zapomnieć nieba? —
Nie ten, co z gościa jakby syn twej ziemi,
Niezmienny miejscy, ni laty długiemi,
Myślą po tobie dawne licząc ślady,
Żyje zaklęty między twe Cyklady!
Ni hołd ten obcym pieśni swej uważa.
Twą była, wyspa mojego korsarza —
Wyzwól ją z jarzma, którem wróg znieważa! —

III.

Słońce już zaszło — i jak wyspa cała,
Z ostatnim jego blaskiem pociemniała

Dusza Medory; — trzeci dzień przeminął.
Dziś on miał zbłąkał się? wrócić: — czy zginął? —
Burzy nie było, wiatr wiał wciąż łaskawy.
Anzelmo wczoraj powrócił z wyprawy,
Lecz wieść jedyna, którą opowiada,
Jest, że nie spotkał okrętu Konrada.
O! gdyby spotkał! — chociaż krwawszych w treści,
Innychby w skutku doczekano wieści! —
Noc, wiatr dmie zimny: — ona przez dzień cały
Z okna swej wieży patrzyła na wały,
Łudząc się widmem to masztów, to żagli,
Nie może dłużej — niespokojność nagli.
Zbiegła nad morze, i w lekkiej odzieży
Błądzi niebaczna wzdłuż płaskich wybrzeży. —
Próżno ją fala pryskająca z brzega,
Oblewa rosą, o burzy ostrzega:
Nie dba, nie zważa, w tył kroku nie ruszy,
Nie czuje zimna — jej zimno w jej duszy!
Aż straszna pewność tak myśl jej obległa,
Że gdyby wtedy kształt jego postrzegła,
Lubby ją rozum, lub dusza odbiegła.

Wtem łódka jakaś weszła do przystani,
W niej kilku ludzi — wszyscy krwią oblani,
Wszyscy Konrada towarzysze śmieli.
Uszli — jak? — sami prawie nie wiedzieli.
Widzą Medorę, poznali zdaleka. —
Zbliża się — milczą — każdy zda się czeka
Aż drugi zacznie, sam w duszy niewieściej
Bojąc się zbytniej obudzić boleści.

Ona nie pyta — ona wszystko zgadła —
Jednak nie blednie, nie drży, nie upadła.
W dziewiczej piersi wielkie czucia żyły,
Dotąd swej własnej nieświadome siły:
Póki nadzieja — bała się, płakała;
Straciwszy wszystko — czułość skamieniała.
I głos się w sercu z dziką ozwał mocą:
Kto wszystko stracił, bać się niema o co! —
Nadludzkie męstwo! jakie w sercach ludzi
Szał chyba tylko, albo rozpacz budzi! —
„Milczycie? — dobrze! — ja nic nie chcę wiedzieć.
Nic — jedno tylko — ktoby mógł powiedzieć?...
Nie patrzcie na mnie z twarzą obłąkaną! —
Prędko i krótko — gdzie go pochowano?“ —
— „Pani! nie wiemy: — zaledwośmy sami
Z życiem ujść mogli. — Lecz jest między nami
Co utrzymuje, że wódz nie zabity,
Że jest w niewoli; że go sam ukryty
Widział pod strażą: — ranny, ale żywy“. —
Nie słucha więcej — wieści przeraźliwej
Nie zniosło serce: — przytomność i siła
Razem krzepnącą duszę opuściła.
Chwieje się, padła — i nawpół umarłą
Możeby morze mogile wydarło,
Lecz wnet ze łzami, choć dłońmi twardemi,
Skorzy w ratunku podnieśli ją z ziemi.
Niema sił stąpić — na rękach ją niosą —
Skroń, piersi, morską oblewają rosą,
Aż barwa życia wróciła na lice. —
Posłali zbudzić śpiące służebnice,

I wnet, matrony zostawiwszy przy niej,
Odchodzą szukać Anzelma jaskini,
Smutnej wyprawy oznajmują skutki:
Zbyt długa powieść, na tryumf tak krótki!

IV.

Złożono radę — słowa się zatliły
Groźbą i zemstą; — nie patrzą na siły,
Powinność woła! — zda się że Konrada
Duch jeszcze z nimi na radzie zasiada.
Cobądź go czeka, poprzysięgli zgodnie
Albo go zbawić, albo pomścić godnie.
Biada niewiernym! — bo jeszcze zostali
Śmieli na wszystko i o nic niedbali! —

V.

W haremu swego głębi niedostępnej
Zamknął się Seid, i duma posępny.
Miłość, nienawiść naprzemian nim włada,
Gdy lub Gulnarę wspomni, lub Konrada.
U stóp mu siedzi piękna niewolnica,
Wzrokiem obawy patrząc w jego lica
Mroczne; — daremnie jej piękność i sztuka
Iskry uczucia w sercu jego szuka.
On licząc niby kaliwa różańca, [5])
Kroplami w myślach przelewa krew brańca.

„Baszo! dniem chwały dziś cię Allah darzy,
Bitwa wygrana, w więzach wódz korsarzy.

Ma umrzeć — słusznie! — wart twej nienawiści.
Lecz czyżbyś większych nie osiągł korzyści,
Gdybyś pozwolił — sam to rozważ ściśle,
Ja radzić nie śmiem, lecz mówię co myślę —
By on wszystkimi skarby, które złupił,
Ten raz, na krótko z więzów się wykupił. —
O skarbach jego wieść cuda rozgłasza,
Radabym żeby posiadł je mój Basza! —
On znów, osłabion klęską poprzedniczą,
Z resztą swych łatwą stałby się zdobyczą.
Lecz gdy tu zginie, tamci zdjęci zgrozą
Uciekną z wyspy i skarby uwiozą. —
— „Słuchaj Gulnaro! gdyby mi za każdą
Kroplę krwi jego, dyamentu gwiazdą
Zapłacić chciano; za każdy włos jego
Dawano sztabę złota dziewiczego;
Gdyby, jak plotą arabscy bajarze,
Skarb w Salomona zamknięty pieczarze
U stóp mi sypał: — za te wszystkie dary
Jednąbym chwilą nie zwlókł jego kary,
Gdybym nie wiedział, że raz w mojej mocy,
Ujść z niej nie zdoła, ni znajdzie pomocy.
Tymczasem myśleć kazałem w seraju,
Nad wynalazkiem nowych mąk rodzaju,
I sam rozmyślam, jakich środków użyć,
By ból powiększyć, a życie przedłużyć“. —
— „Źleś sobie, Baszo! myśl mą wytłómaczył.
Nie chcę, nie radzę, abyś mu przebaczył.
Nie! — chciałam tylko wskazać ci sposoby
Zyskania skarbów; — gdyż co do osoby —

Choćbyś go puścił — w tym, w jakim jest stanie,
Nigdy on całkiem wolnym nie zostanie:
Sam ranny, banda zmniejszona połową,
Byleś chciał, pojmać mógłbyś go na nowo“. —
— „Mógłbym go pojmać? — i chcesz, bym dlatego
Miał go dziś puścić? — dziś już pojmanego?
Puścić psa Giaura, zbójcę, wroga mego?...
Puścić? — i może powiedzieć, na czyje
Prośby? i komu zawdzięcza że żyje?...
Chcesz bym go może nagrodził, pochwalił,
Że mnie chciał zabić, lecz ciebie ocalił?... —
Mądrze doradzasz! — Słuchaj, ja też radzę —
Co powiem, zapisz w sercu i uwadze. —
Nie wierzę tobie, kobieto! — w tej chwili
Stwierdziłaś sama, co drudzy mówili. —
Mów! czy gdy ciebie unosił z pożaru,
Ujść z nim natenczas nie miałaś zamiaru?...
Lecz nie! — milcz raczej! — ten ogień na twarzy,
Sam już cię więcej, niżbym żądał, skarży. —
Więc strzeż się, piękna! rada innych zbawiać,
Patrz, czy za tobą będzie się kto wstawiać? —
„Rozumiesz? — dosyć! — Przeklęta godzina,
Gdy cię uniosło ramię poganina!...
Wolałbym gdybyś!... — Lecz nie! wtedy pewnie
Łzami kochanka płakałbym cię rzewnie.
Dziś pan ostrzega. — Próżne twe mamidła!
Wiesz, że zbyt lotne umiem obciąć skrzydła;
Nie w słowach tylko grożę, i nie próżno! —
Wejdź w siebie dobrze! — pomnij! bądź ostrożną!“ —

Powstał, i dumnym oddala się krokiem,
Szyderstwo w ustach, gniew wisi nad okiem. —
Nieznany jemu hart niewieściej duszy,
Że go surowość ni groźba nie skruszy.
Nie zna Gulnary — nie wiedział, co ona
Czuje, gdy tkliwa — śmie, gdy obrażona. —
W niewiarze mniema że krzywdę poniosła;
Nie wie skąd litość w sercu jej tak wzrosła.
Zbawca — więc słusznie, że wdzięczność dlań czuje;
Branka — nad losem więźnia się lituje.
Nie śledzi dalej; — niepomna na groźby,
Na niebezpieczne znów się waży prośby.
Znów pogardzone; — aż w głębi jej duszy
Zawziął się zamiar — nic go już nie wzruszy; —
Ujdzie z nim z więzów — lub zginie w katuszy! —

VI.

Tymczasem długie, tęskne, jednostajne,
Dzień i noc przeszły. — Konrad męki tajne
Zniósł — w strasznej walce zwątpień i bojaźni:
Gdy każda chwila zda się chwilą kaźni,
Gdy się krok każdy, co u drzwi rozlega,
Zdaje być krokiem oprawcy lub szpiega;
Kiedy głos każdy, co się ozwie w ciszy,
Mniema ostatnim, co przed śmiercią słyszy; —
On zniósł to wszystko — mężnie i spokojnie
Dotrwał w najsroższej z sobą samym wojnie.
Gorącość bitwy, groza, wściekłość burzy,
Dręczącą wewnątrz myśl tępi lub nuży:

Lecz być samotnym, wtrąconym w okowy,
Być, czuć się pastwą każdej myśli nowej;
Patrzeć w swe serce, i drżeć, lub przed marą
Zbrodni swych przeszłych, lub przed przyszłą karą:
Tamtych naprawić, tej nie módz odwrócić;
Kląć każdą chwilę, po każdej się smucić; —
Bez przyjaciela — coby słabość wspierał,
Coby rzekł ludziom, żeś mężnie umierał;
Śród nieprzyjaciół — co wiesz, że potwarzą
Jak całe życie, śmierć twoją znieważą;
W obec mąk — które choć duch widzi śmiało,
Nie wiesz, nie zgadniesz, jak je zniesie ciało,
A jednak czujesz, że jęk, że łza jedna,
Skazi twe męstwo, wrogom tryumf zjedna; —
Gdy ci zbyt sroga surowość człowiecza
Nadziei nawet zbawienia zaprzecza —
A raj twój ziemski — pewniejszy niż w niebie,
Ta, którą kochasz, daleko od ciebie: —
Oto są myśli, w których duch Konrada
Miota się, błąka — ale nie upada;
To są męczarnie, które musiał znosić —
Zniósł — źle czy dobrze? nie uległ — już dosyć.

VII.

Przeszedł dzień pierwszy — on miał być dniem kary;
Zszedł drugi, trzeci — nie widać Gulnary.
Lecz co przyrzekła, stało się; — nie wróżył
By w mocy Baszy jutra nawet dożył.
Idzie dzień czwarty — przeminął, a z nocą
Ciemność i burza przyszły z całą mocą.

O! jak mu luby szum, ryczenie morza,
Gdy zapienione wre u ścian podnóża!
Porwał się — słucha — jakby z wiatry społem
Duch jego bujał nad dzikim żywiołem. —
W takich on nocach, na wzdętych bałwanach,
Po rozhukanych latał oceanach,
Zawisał w chmurach, i z dumnym uśmiechem
Spadał w otchłanie — ciesząc się pośpiechem!... —
Dziś, głos tak znany, jak na pośmiewisko,
Woła, niestety! próżno, choć tak blisko! —
Świszcząc dmie wicher; po nad dachem domu
Toczy się w chmurach huk ciągłego gromu,
Bucha nań łuna błyskawic tysiąca: —
Blask ich dla niego weselszy od słońca!
Wdarł się ku oknu — przez kraty wyciąga
Okute ręce — błaga czy urąga? —
Wzniósł je ku niebu, ku chmurom — i razem
Przyzywa gromu klątwą i żelazem. —
Próżno! — kłębami chmura się przewala,
I poszła dalej. — Ucisza się fala,
Huk coraz słabszy, oddala się, głuszy!
Ustał — ucichło — martwość w jego duszy!
Uczuł samotność, i serce zatwardził,
Jakby ostatni przyjaciel nim wzgardził,

VIII.

Północ — przed drzwiami usłyszał stąpanie.
Krok lekki — coraz pomknie się, i stanie.
Skrzypła pod kluczem klamka zardzewiona.
„Ona!“ — przeczuło serce — tak, to ona!

Anioł stróż jego! jakiebądź jej grzechy,
Miła mu, piękna, jak anioł pociechy! —
Lecz dziś w niej zmianę widzi wzrok Konrada.
Krok bardziej drżący, twarz jej bardziej blada.
Spojrzała dziko — w tym wzroku wyczytał
To słowo „umrzesz!“ — i o nic nie pytał.
„Tak! dziś masz umrzeć! — lecz jest sposób, który...
Który nie gorszy niż żal i tortury!“ —
— „Ja go nie widzę — umiem znieść cierpienia,
Com rzekł, powtarzam — Konrad się nie zmienia. —
Lecz skąd chęć w tobie ocalić zbrodniarza,
Gdy go świat cały potępia, spotwarza,
Gdy, jak bądź srogie ma być ukaranie
Sam znam, że słusznie zasłużyłem na nie?“ —
— „Skąd ta chęć we mnie? — ty mię pytasz o to? —
Któż mię wybawił, ustrzegł przed sromotą? —
Skąd ta chęć we mnie? — tak ci więc z mąk długich
Oślepła dusza na uczucia drugich,
Że chcesz bym sama — chociaż wstydem płonę,
Zrywała z serca skromności zasłonę? —
Tak jest! — pomimo twych zbrodni, ja czuję
Wielkość twej duszy; dziwię się, lituję,
Kocham cię! — Nie mów! ja wiem że daremnie,
Że kochasz drugą, że kocha wzajemnie,
Że może czulsza, piękniejsza ode mnie! —
Lecz gdzież jest? — czemu cierpień twych nie dzieli? —
Czemu się na to, co ja nie ośmieli? —
Gdybym ja była twoją — o tej dobie,
Byłbyś już wolny, albo ja przy tobie! —

Żona korsarza! samym go wyprawić!...
Czemże ta pani ma się w domu bawić? —
„Nie marszcz brwi! nie czas gniewać się za słowo,
Gdy miecz na włosie wisi nad twą głową. —
Jeśli chcesz działać — jeśliś działać zdolny —
Masz, weź ten sztylet — pójdź, a będziesz wolny!“ —
— „Mam iść? — zaprawdę, w brzęczących okowach
Piękniebym stąpał po ich sennych głowach! —
Patrz! zapomniałaś widzę o mym stroju.
A z tem narzędziem cóżbym zrobił w boju?“ —
— „Nieufny człeku! — przekupiłam straże;
Chciwe zapłaty, uczynią co każę.
Dość wyrzec słowo, a więzy twe spadną. —
Myślisz że sama przyjść tu mogłam snadno? —
Czas choć był krótki, użyłam go godnie,
Na twój ratunek — choć może na zbrodnię. —
Zbrodnię? — nie! — nigdy zbrodnią się nie wyda
Śmierć prześladowcy. — Pójdź, zabij Seida! —
„Cóż to? tyś zadrżał? — skąd ci ta obawa? —
Jam też nie była ni dzika, ni krwawa,
Aż on sam jadem zatruł moją duszę! —
Skrzywdził mię, zelżył — pomszczoną być muszę.
Obwinił o to, czem dotąd gardziłam —
Tak, choć pod strażą, ja mu wierną byłam. —
Śmiej się! ty możesz — on nie miał przyczyny,
Nie! — jam się jeszcze nie czuła do winy.
Chciałam cię zbawić, krwiąbym okupiła,
Lecz nie wiedziałam, że to miłość była.
On to rzekł pierwszy — zawistny szyderca!
Sam on myśl zdrady wrzucił mi do serca.

Jam nie kochała jego, lecz nikogo
Kochać nie śmiałam. — Kupił mię — zbyt drogo,
Bo niekupione serce biło we mnie.
Znosiłam jednak — aż mi sam nikczemnie
Urągać, wmawiać nie zaczął zamiaru,
Żem chciała z tobą ujść podczas pożaru. —
To fałsz, wiesz dobrze; — lecz wróżby zawiści
Skrzywdzone serce prędzej, później ziści. —
„Nie sądź, że dla mnie spóźnił twe męczarnie,
Nie! — prosić nawet nie mogłam bezkarnie.
Na to on tylko czas tej zwłoki łożył,
By tobie cierpień, mnie żalu przymnożył. —
Mnie też on grozi! — czas jakiś łaskawie
Ku swej mię pańskiej zatrzyma zabawie,
Lecz nasycony, dość by skinął wzrokiem,
Wór się otworzy — śmierć w morzu głębokiem! —
„Jaż mam za cacko służyć do pieszczoty,
Nim czas łudzącej nie zetrze pozłoty? —
Nie! kocham ciebie — poprzysięgłam zbawić,
By ci choć wdzięczność w pamięci zostawić.
Lecz gdyby Seid nie był mię znieważał,
Nie krzywdził sławy, życiu nie zagrażał —
A wiem do czego okrutnik jest zdolny —
Wtedy!... — i wtedy musiałbyś być wolny,
Tak! — lecz krwi jego nie chciałabym przelać. —
Teraz, jam twoją! — chcę twój los podzielać,
Słuchać co każesz, i pełnić w pokorze. —
„Ty mię nie kochasz, nie znasz, gardzisz może —
Nie przetom jednak gorsza, żem jest szczersza!
Pierwsza to miłość — i nienawiść pierwsza! —

O! gdybyś kiedy wiary mej doświadczył!
Wtenczasbyś może pojął, i obaczył
Miłość, co płonie w sercach niewiast wschodnich! —
„Ona ci świeci blaskiem gwiazd przewodnich,
Ona wskazuje wolność! — Jeśliś gotów,
Pójdź! — w porcie na nas czeka łódź Majnotów
Lecz w izbie, którą przejść nam trzeba właśnie,
Śpi Seid — uderz! niech na wieki zaśnie! —
Bledniesz?“ —

„Gulnaro! przed śmiercią nie bladłem
Nie czułem dotąd, że tak nisko spadłem! —
Seid jest wróg mój — mściwie i zażarcie
Ścigał nas, szkodzi, — lecz walczył otwarcie.
Myśmy też przyszli, moc jego osłabić,
Pomścić się braci, i zabójcę zabić.
Przyszliśmy z mieczem, nie z nożem; — ten, czyj
Dłoń niewiast broni, śpiących nie zabija! —
„Nie na tom, pani, z ognia cię ratował;
Nie chciej, bym czynu dobrego żałował! —
Odejdź! — bądź zdrowa! — uspokój swą duszę!
Dzień wnet zabłyśnie — ja wprzód spocząć muszę“ —
— Śpij, śpij! o wschodzie ockniesz się na palu
Umrzesz jak zbrodzień: cel wzgardy nie żalu. —
Słyszałam rozkaz, widziałam zebrany
Lud, rusztowanie, pal już zaciosany —
Reszty nie ujrzę — nie zdołam cię przeżyć. —
„Korsarzu! trudnoż wznieść dłoń, i uderzyć? —
Rozmyśl się! — miłość, nienawiść, zniewaga,
Twe bezpieczeństwo tej śmierci wymaga.

Bez niej ucieczka na nic się nie przyda,
Ujść nie zdołamy pogoni Seida. —
„Pójdź! niech go słuszna nie minie zapłata,
Za moje młode, pohańbione lata,
Za krzywdy twoje, za krew braci twojej! —
Pójdź, pójdź! — cios jeden wszystko zaspokoi. —
„Co? — jeszcze nie śmiesz? — Więc ja się odważę! —
Ujrzysz, co ręka kobiety dokaże. —
Straż przekupiona — wychodź stąd czem prędzej! —
Ujrzym się wolni — albo nigdy więcej!“ —

IX.

Rzekła — nie czeka, nie chce odpowiedzi.
Znikła — on drżący oczyma ją śledzi.
Wlokący łańcuch w węzeł zebrał w ręku,
By i szedł wolno, i nie wydał brzęku. —
Drzwi otworzone — wyszedł; — straże zdjęte,
Pusto i ciemno — przejście wązkie, kręte.
Nie wie gdzie idzie; ręką ścian się trzyma. —
Blask jakiś mglisty mignął przed oczyma:
Czy światło dzienne? — wierzy i nie wierzy.
Iść czy nie? — poszedł; — chłód rzeźwiący, świeży,
W twarz mu powionął; — czuje woń poranku.
Wnet na otwartym ujrzał się krużganku —
Odetchnął wolno, spojrzał wkoło siebie. —
Ostatnie gwiazdy bledniały na niebie,
Wschód się zajmował brzaskiem; — wtem z uboczy
Blask, jakby lampy, uderzył go w oczy.
Z samotnej izby blask się ten przeciska —
Drzwi wpół przemknięte — wpatruje się z blizka:

Światło jest wewnątrz, lecz przy niem nikogo. —
Usłyszał szelest, i cofnął się z trwogą.
Szybkimi kroki, bielą otulona,
Postać wybiegła — stanęła — to ona!
Dłoń jej bezbronna, krew szat nie plamiła —
„Dzięki jej sercu, dzięki! — nie zabiła!“ —
Spogląda na nią: obłęd w jej spojrzeniu,
Jakby je w jakiemś utkwiła widzeniu!...
Stanęła — bacznem nasłuchuje uchem:
Cichość dokoła! — konwulsyjnym ruchem
W tył odrzuciła włosy, co po całej
Twarzy i piersiach w nieładzie spadały:
Znać że musiała nachylać się nizko,
Na jakieś straszne patrząc widowisko, —
Zwraca się — wzrok jej spotkał się z Konradem. —
Cofnął się przed nią. — Na jej czole bladem,
Nad brwią — nieznaczna — której pewno sama
Dojrzeć nie mogła — jedna mała plama! —
Ujrzał jej barwę — mdłość mu wzrok zaćmiła —
Pojął, zgadł wszystko — to kropla krwi była!

X.

Bywał on w bitwach — w niewoli bezbronnej
Czuł blizkie męki śmierci nieuchronnej;
Wykraczał, cierpiał, i jeszcze nie zgadnie
Czy to okucie z rąk jego opadnie:
Lecz nigdy bitwa, niewola, zgryzota,
Która nim kiedy miotała lub miota,
Żadne cierpienie w całej swojej sile,
Nie przeraziło, nie wstrząsło go tyle,

Jako ta plama, ta kropla zbrodnicza! —
W niej zgasł mu urok pięknego oblicza. —
Widok krwi nieraz męstwo w nim zagrzewał,
Lecz gdy ją w boju, mężczyzna przelewał! —

XI.

„Stało się! — pójdźmy! — Porwał się był z trwogą.
Lecz już się stało! — kosztujesz mię drogo! —
Pójdźmy stąd, pójdźmy! — nie tu czas na słowa! —
Patrz! dzień już świta — łódź czeka gotowa.
Kupione straże wnet za mną pośpieszą,
Wszyscy chcą z twoją połączyć się rzeszą. —
Czyn mój w wolniejszej uniewinnię porze,
Gdy już bezpieczni wypłyniem na morze“. —

XII.

Klasnęła w dłonie: — skryci, niedalecy,
Wbiegli jej słudzy — Murzyni i Grecy.
Zdjęli okowy na rozkaz władczyni. —
Znowu on wolny jak wiatr na pustyni!
Lecz w sercu jego taki smutek cięży,
Jakby z rąk na nie przełożono więzy.
Skinęła — drzwi się otwarły tajemne,
Wiodą ku morzu przez przejścia podziemne.
Wyszli za miasto — przyśpieszają biegu,
Gdzie fala szemrząc srebrzy się po brzegu... —
Konrad szedł zwolna — nie dba i nie bada
Co go ma spotkać? — swoboda czy zdrada? —
Czuje że opór na nic się nie przyda,
Jak gdyby jeszcze był w mocy Seida.

XIII.

Łódź czeka — wsiedli; — rozdęły się żagle,
Pękł sznur — łódź w pianach zaryła się nagle,
I poszła z wiatrem. — Cieszy się gromada! —
Ileż tu wspomnień dla duszy Konrada! —
Dumał sam w sobie — aż głaz nad zatoką,
Gdzie wysiadł na ląd, spotkał jego oko.
Ach! od tej nocy, on, choć czas tak krótki,
Wiekowe przeżył trwogi, zbrodnie, smutki! —
I gdy cień głazu posępny, olbrzymi,
Sięgając łodzi, czernił się nad nimi,
On wzrok odwrócił, twarz płaszczem obwinął,
I stał dumając, aż ten cień przeminął.
Przypomniał wszystko — Gonzalwa, swą nawę,
Braci swych, tryumf, klęskę, więzy krwawe,
I onę — tkliwą, kochaną jedynie!... —
Wzniósł wzrok, i ujrzał — Gulnarę, zbójczynię.

XIV.

Długo w milczeniu spoglądała z trwogą
Na odwróconą twarz, zimną i srogą.
Spojrzał — nie zniosła oczu jego mroźnych.
Dzikość jej wzroku zgasła w łzach — zbyt późnych!
Uklękła przed nim — dłoń łamie w rozpaczy:
„Przebacz mi! — Allah może nie przebaczy:
Aleś ty sądzić powinien łagodniej! —
Cóżby się z tobą stało bez mej zbrodni? —
Karz mię, gdy zechcesz — lecz ach! nie w tej chwili
Nie dzisiaj jeszcze! — dziś pozór cię myli.

Nie jestem taką, jakem się być zdała —
Ta noc straszliwa, ta mię obłąkała! —
Gdyby nie miłość — niewinnąbym była —
Lecz tybyś nie żył! — karz, gdym przewiniła!“ —

XV.

Krzywdzi go: — siebie, a nie ją on winił.
On źródłem zbrodni — choć jej sam nie czynił! —
Lecz mroczne, nieme, w duszy tylko na dnie
Krwawią te myśli — któż myśl jego zgadnie? —

Pod lekkim wiatrem pełny żagiel wzdycha,
Mknie łódź swobodna: — woda jasna, cicha.
Na widnokręgu, z trwogą niespokojną,
Widzą punkt, plamkę, maszt, żagle, łódź zbrojną! —
Znać że ich łódkę postrzegła zdaleka:
Wszystkie swe żagle z pośpiechem nawleka.
Olbrzymia, nakształt morskiego straszydła,
Pędzi — nadbiega — nastawiwszy skrzydła.
Półkolem w pianach zarywszy się chyżo,
Iskrzącą ku nim zawróciła spiżą.
Błysnęło — kula świszcząc przeleciała,
Plusnęła w wodę, woda zasyczała.
Porwał się Konrad na znajome echo,
Oczy się jasną zaśmiały pociechą:
„Mój strzał! mój okręt! widzę flagę moję! —
Jam znów pan morza — i nic się nie boję“. —
Dał znak, poznali; — okrzykiem weseli,
Spuszczają czółno, i żagle zwinęli.

„To Konrad! Konrad!“ — ciżba na pokładzie —
Próżny głos wodzów! — w niesfornej gromadzie
Tłoczą się, patrzą, jak z dumną postacią
Wchodzi na okręt — stanął między bracią!...
Każdy go wita usty i oczyma,
Dłoń się ich ledwo od uścisku wstrzyma.
On, wpół niepomny swej straty i klęski,
Wita nawzajem jakby wódz zwycięzki;
Ścisnął Anzelma dłoń — i znowu czuje,
Że może walczyć, i że rozkazuje.

XVI.

Umilkła radość — żal im nie pomału
Że wódz na wolność wrócił bez wystrzału.
Szli szukać zemsty — i gdyby wiedzieli
Że dłoń kobiety spełniła co chcieli,
Cześć jej królewską niosłaby gromada.
Mniej oni trudni, niż duma Konrada;
Wszystkie im drogi dobre, gdy u celu
Łup albo zemsta na nieprzyjacielu.
Kryjąc uśmiechy, z podziwieniem w oku,
Szepcą, i ku niej spoglądają z boku:
A ona — wyższa, niższa od płci swojej,
Krwi się nie bała — ich wzroku się boi! —
Milczy — i na dół spuściwszy źrenice,
Gęstą zasłonę nawlokła na lice.
Ręce na piersiach złożone z pokorą. —
Konrad bezpieczny — w piersiach tych nie gorą
Gniew ni nienawiść — i cobądź w nich wrzało,
Serce kobiety tkliwem pozostało.

XVII.

Pojął to Konrad, i czuł mimo woli
Wstręt dla jej zbrodni, lecz żal dla niedoli. —
Co uczyniła, żadna łza nie zmaże,
W dzień gniewu swego niebo ją ukarze.
Lecz już się stało! — on karać niezdolny.
Wielka jej zbrodnia — lecz on przez nią wolny!
Ona dla niego poświęciła siebie,
Wszystko na ziemi, i wszystko swe w niebie!... —
Z żalem ku brance spojrzał czarnookiej.
Skroń jej schylona od myśli głębokiej,
Bladość marmuru piękną twarz okrywa:
I tylko jedna ta plama straszliwa,
Krew zabitego — co barwy nie mieni,
Śród tej bladości jedna się czerwieni!...
Ujął jej rękę — drżała — już zapóźno! —
Tak trwożna teraz, mogłaż być tak groźną? —
Ścisnął jej rękę — drżała — i dłoń jego
Osłabła; uczuł drżenie głosu swego.
„Gulnaro!“ — milczy — „kochana Gulnaro!“
Podniosła oczy, z bojaźnią, z niewiarą —
Wzrok jej rozjaśniał — i jakby zemdlona
Nagle się w jego rzuciła ramiona.
Gdyby odepchnął — on, jedna opieka! —
Byłby coś więcej lub mniej od człowieka.
Pozwolił zostać; — i gdyby nie ciemne
Przeczucia serca — straszne, choć tajemne —
Może w tej chwili ostatnia na ziemi
Cnotaby jego poszła za drugiemi.

Lecz przed nią nawet grzechem się nie stanie,
Jedno tak pięknych ust pocałowanie!
Pierwsze, co płochość wykradła wierności;
Jedna nagroda — tak wielkiej miłości!

XVIII.

Brzegi swej wyspy ujrzeli o zmroku.
Każda się skała uśmiecha ich oku!
U portu słychać zgiełk, wrzawę stłumioną,
Strażnicze ognie na swych miejscach płoną.
W zatoce szybkie ślizgają się łodzie,
Skacząc delfiny igrają po wodzie;
Krzyk nawet ptastwa, co się wkrąg rozlega,
Brzmi dla nich wdzięcznie zwiastowaniem brzega.
Przy każdem świetle chcą dojrzeć postaci,
Każdy swej żony, kochanki lub braci!... —
Ach! któż tak czuje wdzięk własnej ustroni,
Jak błędny żeglarz na burzliwej toni?

XIX.

Palą się światła wzdłuż całych wybrzeży,
Lecz Konrad światła nie widzi na wieży.
Dziwią się wszyscy, i patrzą — daremno!
W jednej Medory oknach tylko ciemno! —
W nich zwykło jaśnieć powitania hasło:
Może i teraz ścmiło się, nie zgasło!... —
Rzucił się w łódkę — leniwo zbyt niosła —
Z niecierpliwością pogląda na wiosła.
Ach! onby pragnął sokolemi pióry,
Wiatrem zalecieć na wierzchołek góry!...

Słabną wioślarze — znużenie ich zoczył,
Nie czeka dłużej — i w morze wyskoczył.
Łamie się z falą — dopłynął do brzegu,
I biegł — na chwilę nie zwalniając biegu.
U drzwi zamkniętych wstrzymał się, i słucha:
Wszystko uśpione — wkoło ciemność głucha!
Puka, i głośno — echo się rozlega —
Nikt nie otwiera, — i nikt nie przybiega.
Puka — lecz zcicha — bo dłoń jego drżąca,
Bo w duszy jego myśl przerażająca!... —
Drzwi się otwarły — lecz przy nich nie ona,
Na której uścisk gotował ramiona!
A sługa milczy: — on dwakroć próbował,
Dwakroć chciał spytać — i słów nie znajdował.
Porywa lampę — w pośpiechu i trwodze
Z rąk mu wypadła, i zgasła przy nodze. —
Poszedł w ciemności — lampa tylko druga
Z głębi mrocznego kurytarza mruga.
Rozemknął izbę — wszystko się odkryło,
Co serce jego czuło — nie wierzyło.

XX.

Nie wyszedł, nie padł, nie płakał — wzrok wlepił,
Zimny dreszcz serce ścisnął — nie pokrzepił.
On patrzał — boleść wzrastała tajemnie —
Czuł, lecz pomyśleć nie śmiał, że daremnie!...
Za życia ona piękniejszą nie była.
Śmierć ją jak dziecię do snu utuliła.
Zimny kwiat, tkwiący w jej zimniejszem ręku [6]),
Trzyma z ujęciem tak żywego wdzięku,

Że zda się żartem utaiła we śnie,
Że jeszcze budzić i płakać zawcześnie! —
Śnieżne powieki rzęsami długiemi
Ćmią — myśl się wzdryga na to, co pod niemi!...—
Tam to się naprzód pastwi śmierć niszcząca,
Gdy duszę z tronu światłości wytrąca,
I promieniste gwiazdy życia gasi:
Choć blask ich jeszcze, jak w niej, usta krasi!
Zda się uśmiechem zmordowane mile,
Drzemią — nim znów się uśmiechną za chwilę!...—
Lecz biała, lekka, przejrzysta zasłona,
Żadnym na piersiach tchem nieporuszona;
Lecz włos jej długi, utrefiony, lśniący,
Martwo na śnieżnych ramionach leżący,
Co kiedyś w pasma rozwiany promienne
Wonnością wiatry napawał wiosenne;
Lecz twarz jej blada — nieruchoma postać!...
Ona umarła! — Maż on sam tu zostać? —

XXI.

Nie pytał o nic — cóż nada pytanie?
Umarła, widzi — wie, że nie powstanie. —
Miłość lat młodych, nadzieja następnych,
Źródło chwil miłych, osłoda posępnych,
Jedyna, którą między żyjącemi
Nie nienawidził, kochać mógł na ziemi:
Wszystko mu wzięte! — On zasłużył na to —
Ach! i tem srożej czuł boleść nad stratą:
Czuł bez pociechy. — Cnota ulgę znajdzie
Tam, kędy zbrodnia ni dojrzy, ni zajdzie.

Żli, dumni, cel swój co tu założyli,
Tracąc go, wszystko tracą w jednej chwili,
Choćby rzecz błahą — lecz wszystko co mieli! —
Któż się bez żalu z swem szczęściem rozdzieli? —
Niejedno czoło stoickie i oko
Maskują tylko ranę zbyt głęboką;
Niejedna rozpacz stroi się w uśmiechy,
Aby daremnej nie żebrać pociechy,
Na niewetowne straty albo grzechy! —

XXII.

Któż z tych, co czują, wysłowi katusze,
Gdy chaos cierpień zwali się na duszę?
Gdy tysiąc myśli plącze się i mięsza,
A wszystkie dręczą, żadna nie pociesza?
Gdy sercem coraz szarpią czucia nowe,
A ból ich ustom odbiera wymowę?... —
Któż to wysłowi? — Pod takiem brzemieniem
Dusza Konrada łamie się z cierpieniem;
A zda się czułość straconej na świecie
W serce mu weszła — i płakał jak dziecię!... —
Słabość to tylko, nie pociecha była,
Wydała boleść — ulgi nie sprawiła.
Nikt łez nie widział — i w tej nawet porze
Przy świadku z serca nie wyszłyby może.
Sam je wnet otarł; — znów długo spoglądał —
Wyszedł — pociechy ni szukał, ni żądał.
Czy słońce wejdzie — ciemny mu blask słońca;
Czy noc zapadnie — noc jego bez końca! —

Niema ciemnoty, jak smutku pomroka,
Niema ślepoty, jak ponurość oka,
Co na nic patrzeć nie chce, i unika,
I idzie w ciemność — ach! bez przewodnika! —

XXIII.

Serce w nim było tkliwe: lecz skrzywdzone,
Strute zbyt wcześnie, zbyt długo drażnione,
Poszło ku złemu; — czucia były czyste:
Lecz jako rosy krople przezroczyste,
W głębi grot zimnych, niedostępnych słońcu,
Ścięły się, skrzepły, skamieniały wkońcu. —
Grom kruszy skały: — serce w nim jak skała,
Śmierć je Medory jak piorun strzaskała.
W cieniu się skały jeden kwiat rozwijał,
Cień groźny innym, jemu służył, sprzyjał;
Nadeszła burza — grom zniszczył od razu
Lilii piękność i wytrwałość głazu.
Żadnego liścia nie zostało z kwiatu,
By jego życie, śmierć przypomnieć światu;
A strzaskanego głazu zimne szczątki
Leżą — już tylko grobowe pamiątki! —

XXIV.

Ranek — południe — nie widać Konrada. —
Samotność jego szanuje gromada.
Poszli nakoniec. — Pusta była wieża.
Wódz znikł! — Przebiegli wyspę i nadbrzeża.
Noc — jego niema; — szukali noc całą,
Imię Konrada echa zmordowało.

Góry, doliny, jaskinie przebiegli —
Próżno! — Dzień nastał — przy brzegu postrzegli
Zerwany łańcuch, gdzie barka stać zwykła.
Uszedł! — z nim piękna niewolnica znikła. —
„Ha! a więc w pogoń! — wiatr ten sam co wczora!“
Żeglują w pogoń. — Mylna, czy nieskora! —
Minęło wiele tygodni, miesięcy —
Konrad nie wrócił — nie powróci więcej!
Śladu ni wieści, gdzie swój żal tułaczy
Ukrył przed światem, lub zginął z rozpaczy.

Długo się wierna smuciła gromada;
Świetny grób wznieśli kochance Konrada.
Jemu nikt grobu, pomnika nie święci:
Zostało tylko długich lat pamięci
Imię Korsarza, i powieść smucąca,
Jedynej cnoty — a zbrodni tysiąca [7]).

PRZYPISY AUTORA.

Czas w tej powieści mógłby się zdawać za krótkim na wypadki, lecz każda z wysp Egejskich leży o kilka tylko godzin żeglugi od lądu, a łaskawy czytelnik raczy sobie wyobrazić wiatr taki, jakiego ja sam nieraz w istocie doznałem.

PIEŚŃ PIERWSZA.

1. Str. 19. . . . . Będziemy oboje
Czytać z Aryosta Olimpii żale,
Gdy zdrajca śpiącą zostawił na skale.

Orlando Furioso. Pieśń X.

2. Str. 24. Ruszyły wiosła — jak gwiazd droga mleczna,
Iskrzy za niemi jasność fosforyczna.

W nocy, szczególniej pod cieplejszą strefą, za każdem uderzeniem wiosła, za każdem poruszeniem czółna lub okrętu, daje się widzieć pewna mdła jasność, która jak błyskawica z wody wynika.

PIEŚŃ DRUGA.

Słyszałem zarzut, że wejście Konrada, przebranego za szpiega, jest niezgodne z naturą. Być może. — Coś podobnego jednak w historyi znalazłem.

„Chcąc przekonać się własnemi oczyma o sile Wandalów, Majorian przemieniwszy kolor swych włosów, udał się sam do Kartaginy w charakterze własnego posła swojego; i Genserik nie pomału żałował, gdy się potem dowiedział, że podejmował i wypuścił cesarza rzymskiego. Podanie to możnaby za zmyślone uważać; ale jest to zmyślenie, które tylko w życiu bohatera użyte być mogło“. (Gibbon).

Że charakter Konrada nie jest całkiem w sprzeczności z naturą, najlepszym tego dowodem są niektóre podobieństwa historyczne, z któremi się już po napisaniu „Korsarza“ spotkałem.

„Ezzelin prisonier, dit Rollandini, s'enfermait dans un silence menaçant; il fixait sur la terre son visage féroce, et ne donnait point d'essor à sa profonde indignation. — De toutes parts cependant les soldats et le peuple accouraient; ils voulaient voir cet homme, jadis si puissant, et la joie universelle éclatait de toutes parts“.

„Ezzelin était d'une petite taille; mais tout l'aspect de sa personne, tous ses mouvements indiquaient un soldat. — Son langage était amer, son déportement superbe — et par son seul regard, il faisait trembler les plus hardis“ (Sismondi).

„Gizericus (Genserik, król Wandalów, zdobywca Kartaginy i Rzymu) statura mediocris, et qui casu claudicans, animo profundus, sermone rarus, luxuriae contemptor, ira turbidus, habendi cupidus, ad solicitandas gentes providentissimus“. etc. etc. (Jornandes de Rebus Geticis).

Pozwalam sobie przytoczyć te fakta na usprawiedliwienie mego Korsarza i Giaura.

1. Str. 27. Gdy Almy w środku tańcują wesoło.

Almy — tanecznice.

2. Str. 30. Prawa zakonu i ślub mój przed Bogiem.

Derwisze dzielą się na zakony rozmaitych reguł jak mnisi.

3. Str. 32. I rwąc swą brodę wściekły wybiegł z sali.

Powszechny i wcale nie nowy objaw gniewu Muzułmanów *(Patrz Pamiętniki księcia Eugeniusza na karcie 24).* „Seraskier został ranny w udo, i gniewny, że z bitwy ustąpić musiał, wyrwał sobie całą swą brodę".

4. Str. 34. Krótko wódz spojrzał na wdzięki Gulnary.

Gulnara, imię niewieście, znaczy dosłownie: kwiat granatu.

5. Str. 43. I nie raz światu zamiast pożegnania
Żart płochy rzuca z wierzchu rusztowania.

N. p. Tomasz Morus na rusztowaniu, i Anna Boleyn w więzieniu, gdy obejmując dłonią swą szyję, zrobiła uwagę; „iż zanadto cienka, aby mogła mistrzowi wiele trudu przyczynić". — W czasie rewolucyi francuskiej stało się prawie modą, aby ginąc pod gilotyną, jakie „*bon mot*" po sobie zostawić. I zbiór tych wszystkich dowcipnych słówek, w ciągu całej rewolucyi rzeczonych, utworzyłby bez wątpienia książkę znacznej objętości.

PIEŚŃ TRZECIA.

1. Str. 49. Mądrość ich mistrza zajść miała na ziemi.

Sokrates wypił cykutę nieco przed zachodem słońca (czasem naznaczonym), pomimo próśb uczniów swoich, aby się wstrzymał, nim słońce nie zajdzie.

2. Str. 49. Lecz patrz! milcząca z za Hymetu szczytów...

Zmrok w Grecyi jest bez porównania krótszy niż u nas — dni są dłuższe w zimie, krótsze zaś w lecie.

3. Str. 49. Letnich kiosków wieżyczki błyszczące...

Kioski, są to letnie mieszkania Turków. — Nurt Cefizu jest w istocie bardzo wązki — a Ilissus wcale bez wody.

4. Str. 50. Prócz gdzie cień wysep czerni się na wodzie,
Wszystko się w jasnej uśmiecha pogodzie.

Cała strofa tej pieśni pod n. I. jest tu może nie wiedzieć po co, i należała do innego poematu, nie ogłoszonego choć drukowanego, a była napisana na miejscu, wiosną 1811 r. — Czytelnik więc, ja sam nie wiem dla czego, musi przebaczyć, jeśli może, że ją tutaj znajduje

5. Str. 53. On licząc niby kaliwa różańca.

Kombołojo, albo różaniec muzułmański, zawiera ziarn dziewięćdziesiąt dziewięć.

6. Str. 71. Zimny kwiat, tkwiący w jej zimniejszem ręku.

Na wschodzie jest zwyczaj rozsypywać kwiaty przy ciałach zmarłych, i dawać bukiet w ręce młodych osób.

7. Str. 75. Jedynej cnoty, a zbrodni tysiąca.

Że uczucie honoru, które jest cechą charakteru Konrada, nie wykracza z granic prawdopodobieństwa, mogłaby tego dowieść niejako następująca historyczna wiadomość o jednym amerykańskim rozbójniku morskim z r. 1814.

Czytelnicy nasi słyszeli bez wątpienia, o wyprawie przeciwko rozbójnikom morskim w Barrataryi; że jednak nie wszyscy mogą być dokładnie uwiadomieni o położeniu, historyi i naturze tego zakładu, kładziemy tu następujące opowiadanie naocznego świadka, spodziewając się, że to dla wielu czytelników obojętnem nie będzie.

„Barratarya jest to zatoka, a raczej wązkie długie ramię odnogi Meksykańskiej. Rozciąga się wzdłuż żyznego lecz bardzo płaskiego kraju, i aż o milę tylko do rzeki Mississipi dochodzi 15 mil poniżej miasta Nowego Orleanu. Zatoka

ta dzieli się na niezliczone gałęzie, w których przed najściślejszem poszukiwaniem, bezpiecznie ukryć się łatwo. Prócz tego ma jeszcze związek z trzema jeziorami, leżącemi na południowo zachodnim jej brzegu, i łączącemi się z czwartem, także Barratarya zwanem, które przytyka do morza, i właśnie w miejscu zetknięcia się tworzy wyspę, z dwóch stron temże jeziorem, zresztą morzem oblaną. W roku 1811 wschodni i zachodni brzeg tej wyspy od strony lądu, zostały umocnione warownią przez bandę zbójców morskich, pod dowództwem niejakiego Monsieur La Fitte, niegdyś kapitana w wojsku Napoleona. Banda ta po większej części składała się z tej klasy mieszkańców Luizyany, którzy uciekłszy z wyspy St. Domingo, podczas zamieszek tamże wynikłych, udali się byli naprzód na wyspę Kuba; lecz wnet z niej, z powodu wojny Francyi z Hiszpanią, wygnani, przybyli nieproszeni do Zjednoczonych Stanów i prawie wszyscy w kraju Luizyany osiedli.

Wyspa Barratarya leży pod 29 stopniem szerokości a 92 długości geogr. i słynie zdrowem powietrzem i wielką obfitością ryb wszelkiego rodzaju. Naczelnik bandy, na wzór Karola Moora w tragedyi Szyllera, obok wielu występków posiadał niektóre cnoty. W r. 1813 zuchwałość i łupieztwa jego hordy, zwróciły na nią baczność wielkorządzcy Luizyany, który, aby ją tem łatwiej mógł zniszczyć pozbawiając wodza, ogłosił 500 dolarów nagrody za głowę Lafitta znanego dobrze mieszkańcom Nowego Orleanu, już to przez swoje z nimi związki, już to z powodu, że był niegdyś w tem mieście sławnym nauczycielem sztuki fechtowania. — Na to ogłoszenie wielkorządzcy, Lafitte odpowiedział wzajemnem, obiecującem 15,000 dolarów za głowę wielkorządcy. Ten naówczas wysłał oddział wojska z rozkazem zdobycia wyspy Lafitta, zniszczenia ogniem wszelkiej własności zbójców, i przywiedzenia ich samych do Nowego Orleanu. Oddział ten, pod dowództwem dawnego niegdyś wspólnika i najzaufańszego przyjaciela Lafitta, podstąpił pod samą wyspę od strony lądu, nie widząc żywej duszy, ani słysząc głosu

ludzkiego. Lecz nagle usłyszano gwiznienie, podobne do hasła majtków, i cały oddział ujrzał się otoczonym przewyższającą siłą zbrojnych ludzi, którzy nań z zasadzki wypadli. W tej okoliczności, nowy Karol Moor rozwinął szlachetne rysy swego charakteru. Nie tylko bowiem darował życie człowiekowi, który go zdradził, który na życie jego i na wszystko co mu drogiem było nastawał; lecz nadto ofiarował mu taką sumę pieniędzy, iż mu na przystojne aż do śmierci utrzymanie się wystarczyć mogła, i choć ją ów z pogardą odrzucił, bezpiecznie mu do Nowego Orleanu powrócić do, zwolił. — Wypadek ten i kilka podobnych, przekonały, że wyspa korsarzy od strony lądu jest niezdobytą. — Postanowiono więc uderzyć na nią od morza. Zrazu siła morska przy tych brzegach będąca, nie była dostateczna do tego przedsięwzięcia, i ze stratą przez Lafitta odpartą została. — Lecz ściągnąwszy posiłki, ponowiono napad, który się nareszcie zupełnem zniszczeniem bandy korsarzów zakończył“.— *(Z gazety amerykańskiej).*

W dykcyonarzu biograficznym Grangera, kontynuowanym przez Noblego, w życiu arcybiskupa Blackbourne, znajduje się szczególne miejsce, które ponieważ ma niejaki związek z rzemiosłem bohatera mego poematu, nie mogę oprzeć się pokusie, umieszczenia go tutaj.

„Jest coś tajemniczego w historyi i w charakterze doktora Blackbourne. Pierwsza, nigdy dokładnie znaną nie była; lecz biegały wieści, że był niegdyś korsarzem, i że jeden z jego braci w rzemiośle, powróciwszy do Anglii, rozpytywał się głośno o dawnym swoim towarzyszu Blackbourne, i nie chciał wierzyć gdy mu powiadano, że został arcybiskupem w Yorku. Ta wieść jednakże, zdaje się być tylko bezzasadną potwarzą. Jako arcybiskup, postępował on zawsze z wielką roztropnością, i jako stróż dochodów dyecezalnych na powszechny szacunek zasłużył. — Wprawdzie szeptano pokątnie, że zachowywał jeszcze wiele błędów młodości, i że uwielbienie dla płci pięknej trzymało nie ostatnie miejsce w liście jego słabości. — Lecz gdy przy tylu oskarże-

niach, o nic istotnie przekonanym nie był, wszystkie te wieści uważam tylko za skutek zawistnej złośliwości. — Bo czyż podobna, aby rozbójnik morski mógł być tak uczonym człowiekiem, jakim bez zaprzeczenia był Blackbourne? On, który posiadał tak doskonałą znajomość pisarzów starożytnych, mianowicie tragików greckich, iż był w stanie czytać ich z równą łatwością jak Szekspira, musiał poświęcić wiele pracy nauce języków starożytnych, i mieć na to wiele czasu i dobrych nauczycieli. Jakoż niewątpliwie wiadomo, że odbierał nauki w Oxfordzie. Przyznawano mu powszechnie, że był bardzo w społeczeństwie przyjemnym, z czego nawet zrobiono przeciw niemu zarzut, mówiąc, że więcej serc niż dusz pozyskał". —

NARZECZONA Z ABYDOS

POWIEŚĆ TURECKA

LORDA BYRONA.

Had we never loved so kindly,
Had we never loved so blindly,
Never met, or never parted,
We had ne'er been brokenhearted.

Burns.

PIEŚŃ PIERWSZA.

I.

Znacie kraj, gdzie laur chwały i cyprys żałoby,
Godłem są dni obecnych i wieków minionych?
Gdzie żałośna turkawka, i sęp krwawo-dzióby,
Powtarza dzikość panów, i jęk zwyciężonych?
Kraj cedrów w niebo rosłych, i winnic nektaru;
Kraj niewiędnącej wiosny, i wiecznej pogody;
Kędy skrzydła Zefirów, od woni ciężaru
Słabieją, przelatując różane ogrody?
Gdzie śród gajów zieleni błyszcząca cytryna,
Dziś jeszcze Hesperyjskie sady przypomina;
W jagodach złoty balsam oliwy dojrzewa,
A w cieniu drzew jej słowik nie przestając śpiewa?
Kraj, gdzie ziemi zieloność i niebios lazury
Walczą o piękność barwy przed słońcem bez chmury,
A ocean gra ogniem najżywszej purpury?
Gdzie dziewice jak kwiaty, co noszą do tańców?
Gdzie wszystko piękne, boskie — oprócz serc mie-
[szkańców? —

Kraj to Wschodu! kraj słońca, co mu naprzód świeci!—
Możeż się tak uśmiechać na zbrodnie swych dzieci?—
Dzikie, jak krzyk wiecznego rozstania boleści,
Są ich serca — i czyny — i o nich powieści.

II.

Otoczon tłumnem niewolników gronem,
Lśniących od złota, i z kornym pokłonem
Gotowych służyć dworaczo czy zbrojnie,
Za orszak w domu, lub za straż na wojnie,
Jak się podoba i baszy i panu:
Zasiadł Giaffir*) śród swego dywanu.
Z brwi nasępionych i groźnego oka,
Znać że go trapi jakaś myśl głęboka.
I choć nie łatwo z twarzy Muzułmana
Wyczytać duszę — nawykłą przed tłumy
Kryć wszystkie swoje uczucia, prócz dumy —
Twarz Giaffira mroczna, zadumana,
Zdradza coś więcej, niżby wydać żądał,
Więcej, niż ścierpi aby dwór oglądał.

III.

„Chcę być sam“ — skinął — skinieniu pańskiemu
Posłuszni, tłumem ku drzwiom się cofali. —
„Zawołać do mnie dozorcę haremu!“ —
Już w głębi sali, sam na sam zostali,
Basza z swym synem; i w progu zdaleka
Wezwany murzyn na rozkazy czeka.

*) Czytaj *Gijafir*.

„Słuchaj, Harunie! skoro tłum ten cały
„Wyjdzie z pałacu za bramę i wały —
„Bo biada głowie, którejby źrenice
„Śmiały wzrok podnieść na Zulejki lice! —
„Córkę tu moją przywiedziesz z haremu.
„Dziś chcę na przyszłość ustalić jej dolę. —
„Mów, niech pośpiesza; lecz nie mówiąc: czemu? —
„Sam chcę jej pierwszy objawić mą wolę“. —
— „Baszo! mem prawem są rozkazy twoje!“ —
Niewolnik innej odpowiedzi nie ma. —
I już wychodził za sali podwoje,
Kiedy go ramię wstrzymało Selima.
Selim z potrójnym, głębokim pokłonem
Wrócił ku baszy, i z okiem spuszczonem,
Nieśmiałym głosem rzekł, stojąc przed tronem:
Bo muzułmana nie ośmielić niczem,
Aby śmiał usieść przed ojca obliczem.
„Bojąc się, ojcze! abyś się nie gniewał,
„Czy na Haruna, czy na siostrę moję,
„Jeśli tak rychło, jakbyś się spodziewał,
„Nie zdąży przybyć na rozkazy twoje:
„Wyznam mą winę — jeśli w tem jest wina,
„Że we mnie jednym tej zwłoki przyczyna.
„Słońce dziś rano wschodziło tak jasno,
„Że — chyba starcy ujrzawszy to, zasną —
„Jam zasnąć nie mógł; — lecz w tak pięknej porze,
„Patrzeć samemu na niebo, na morze,
„Gdy nikt nie słucha i nikt nie podziela
„Natchnionych myśli i uczuć wesela,
„Smutno jest — zwłaszcza mnie, com od powicia

„Nie nawykł znosić samotności życia. —
„Zulejkę zatem namówiłem z sobą. —
„Tyś sam dozwolił, aby każdą dobą
„Wstęp do haremu był dla mnie otwarty. —
„I nim wpół senne ocknęły się warty,
„Już my ukryci w cyprysowym gaju,
„Pojąc się wdziękiem natury i kraju,
„Zapominali o obecnej chwili
„W rymach Sadego i pieśniach Leili! [1])
„Aż usłyszawszy głos bębna, postrzegłem [2])
„Że się zbliżyła godzina Dywanu,
„I wnet, pamiętny twej woli, przybiegłem
„Złożyć cześć winną i ojcu i panu.
„Ale Zulejka dotąd błądzi w gaju. —
„O! przebacz ojcze! nie nasrożaj czoła!
„Wszakże prócz niewiast i stróżów seraju,
„Nikt się tam przedrzeć, ni zajrzeć nie zdoła". —

IV.

Gniew zawrzał w baszy: „Synu niewolnika,
„Z niewiernej matki! — bo próżno od młodu
„Szukałem w tobie, godnych mego rodu,
„Uczuć człowieka albo wojownika! —
„Ty zamiast wprawiać do boju twe dłonie,
„Zawstydzać strzelców, wyzywać szermierze,
„Ciskać dzirytem, lub ujeżdżać konie:
„Ty, Greku w duszy, jeżeli nie w wierze!
„Gotów iść wzdychać całe dni i noce,
„Gdzie jakaś woda w strumieniu bełkoce,
„Kwiat jaki pachnie, albo ptak świergoce!... —

„Niechbyż przynajmniej to słońce promienne,
„Co tak twe oczy zachwyca bezsenne,
„Wlało ci swego choć iskrę płomienia,
„By i twą duszę obudzić z uśpienia! —
„Lech nie! ty okiem patrzałbyś nieczułem,
„Choćby tu przyszły psie wojska pogańskie;
„Choć by ich działa grzmiały pod Stambułem;
„Nie! choćby wszystkie państwa Ottomańskie
„Zależeć miały od wsparcia twej dłoni:
„Nie śmiałbyś dotknąć zaostrzonej broni!... —
„Precz! — niech twa słabsza od niewieściej ręka,
„Kręci wrzeciono, gdy się szabli lęka! —
„A ty, Harunie! śpiesz do córki mojej!
„Ten raz przebaczam — dla starości twojej.
„Lecz niech Zulejka raz jeszcze na nowo
„Wyjdzie z nim kiedy — odpowiesz mi głową!" —

V.

Selim nie wyrzekł słowa — ale z twarzy,
Lecz z oczu jego łatwo myśli dociec. —
Wyrzuty baszy i słowa szydercze
Przebodły duszę jak włócznie mordercze; —
„Syn niewolnika! — O podłość mię skarży! —
„Chce mię poniżyć! — najgrawać się waży! —
„Syn niewolnika! Któż więc jest mój ojciec?" —
Temi myślami wrzał w duszy, a lice
Pałały ogniem, a groźne źrenice
Błysły z pod powiek jak dwie błyskawice. —
Giaffir spojrzał — i zląkł się widoku
Gniewnego syna; — poznał jak go drasło

Urągowisko — i w tym jego wzroku
Dostrzegł, lub przeczuł pierwsze buntu hasło.
„Pójdź, chłopcze! — Cóż to? nie chcesz odpowia-
[dać? —
„O! ja znam ciebie, umiem myśl twą zbadać —
„Szkoda, żeś dłonią nie uczył się władać? —
„Lecz niechno męska urośnie ci broda,
„A wiek odwagi, albo siły doda:
„Doczekam jeszcze pociechy, jak wróżę,
„Ujrzeć cię zbrojnym — albo spotkać może!“ —
I gdy to mówił z szyderczym przyciskiem,
Wzrok dumnej wzgardy utopił w Selima. —
Selim nie zadrżał — i z urągowiskiem
Tak go nawzajem przejmował oczyma,
Że basza z trwogą obejrzał się wkoło,
I ogniem wstydu oblało się czoło.
Dla czego? — Basza dobrze czuł i wiedział
Przyczynę trwogi — lecz jej nie powiedział.
„Nie próżne, myślał, przeczucia, jak widzę,
Żem nigdy jego nie ufał przyjaźni!
Zrozumiał, odgadł, że go nienawidzę. —
I... — lecz dłoń jego nie warta bojaźni!
Na łowach ledwo można go ośmielić
Potkać się z sarną, lub strzelbę wystrzelić;
Cóż gdyby z ludźmi miał toczyć bój krwawy,
Narażać życie dla zemsty lub sławy?...
Tak! — gdyżbym zwierzchniej nie ufał pokorze,
Tem mniej krwi związkom — krwi, co kiedyś może...
Ha! lecz on niewie o tem!... — Nic nie znaczy!
Muszę podwoić czujność dostrzegaczy! —

Giaur, pies pogański, Arab memu oku
Znośniejszy stokroć od jego widoku [3])!“ —

„Lecz otóż słyszę głos Zulejki mojej! —
On mi wzburzoną duszę uspokoi;
Miły mym uszom jak hurysek pienia! —
W niej widzę moje najsłodsze wspomnienia,
Pierwszej, jedynej miłości zadatki:
Droższa mi nawet, milsza od swej matki!
Moja nadzieja, chluba, szczęście moje!
Jedna, co kocham — i co się nie boję!“ —

„Witaj, ty moja! ty Peri, bogini!
„Chłodna fontanna w piaszczystej pustyni
„Mniej miła ustom spragnionym pielgrzyma,
„Niż tyś jest zawsze przed ojca oczyma! —
„Pielgrzym nie może czuć wdzięczności więcej,
„Ni Prorokowi dziękować goręcej,
„Jak ja dlań w duszy za ciebie ją czuję,
„Jak ja mu zawsze, i teraz dziękuję.“ —

VI.

Piękna, jak pierwsza ze stworzonych w raju,
Gdy z zaufaniem, z weselem dziewiczem,
Śmiała się patrząc w zakazanym gaju,
Jak ją wąż okiem urzekał zwodniczem,
I blask swych oczu zaszczepiał w jej wzroku —
Źródło obłudy jej płci, i uroku! —
Miła — jak sennej pociechy widzenie,
Co łzy na jawie płynące osusza,

Gdy w nieśmiertelne ubrana promienie,
Duszę płaczących cieszy zmarłych dusza;
Tkliwa — jak pamięć miłości niewinnej;
Czysta — jak wiara modlitwy dziecinnej;
Była dziewica, cel ojca miłości.
Który ją witał ze łzami — radości.

Któż nie doświadczył, że trudno słów dźwiękiem
Dać uczuć piękność, z jej blaskiem i dźwiękiem?
Kto nie czuł patrząc — nim niesyte oczy
Mgła upojenia albo łza zamroczy —
Jak wzbudzający cześć, i jak zwycięzki
Jest niewinności urok czarnoksięzki! —
Ona je łączy: — w niej jednej zebrane,
Kwitną powaby — jej tylko nieznane:
Niebieskiej łaski świętość tajemnicza,
Pogoda myśli, swoboda dziewicza,
Dusza — muzyka tchnąca z jej oblicza! [4])
I czułość, którą lada myśli wzruszą —
I ach! oko! co samo już zda się być duszą! —

Skromnie na piersiach krzyżując ramiona —
I pierwszem tkliwem słowem ośmielona,
Na szyję ojca zarzucając ręce,
Co jej wesołe pieszczoty dziecięce
Dzielił i wzajem odpłacał, słowami,
Błogosławieństwy i całowaniami —
Zulejka przyszła. — Giaffir czuł w duszy,
Że zamiar jego miękczy się i kruszy.
Nie by się troskał o przyszłem jej szczęściu,

Czy je mieć może w wybranem zamęściu:
Lecz myśl rozstania zamysłem zachwiała —
Miłość ją wlała — duma pokonała.

VII.

„Zulejko moja! dziecię mej miłości!
„Dziś się przekonasz, jak cię kochać muszę,
„Gdy niepamiętny tęsknot samotności,
„W jakiej twa strata pogrąży mą duszę,
„Sam się ojcowskiej pociechy wyrzekę,
„Aby ci męża zapewnić opiekę:
„Męża — którego, prócz chyba Padyszy,
„Nikt w państwach jego niczem nie przewyższy.—
„Bo choć Moślemin mało o ród bada,
„Godna jest względu krew Kara-Osmana [5]),
„Której potęga, z przodków przekazana,
„Dzierżonym krajem, jak dziedzictwem włada,
„I w razie wojny ma na swe skinienie
„Timariotów dzielne pokolenie. —
„Z tej krwi Osmana wybrałem więc zięcia;
„Dziedzic i bliski Oglu-Beja krewny. —
„O wiek nie będziesz dbała — jestem pewny —
„Dziecku-bym mego nie zwierzył dziecięcia!
„Bogactwo twemu odpowiada wianu;
„A temi śluby złączona moc nasza,
„Urągać będzie ze śmierci firmanu,
„Którego widok tak drugich przestrasza!
„I gdy najśmielszy, najmożniejszy basza,
„Śmie wprzód dać szyję, niż się oprzeć Panu:

„My uczyć będziem sułtańskie Tatary [6]),
„Jakiej nagrody warte takie dary! —
„Teraz, Zulejko! wiesz o woli mojej,
„Wiesz wszystko, co płci twej wiedzieć przystoi.—
„Do posłuszeństwa, ojciec córkę skłania;
„Sam mąż niech żonę nauczy kochania!“ —

VIII.

Zulejka milcząc skłoniła oblicze —
Czy żeby ukryć zmięszanie dziewicze,
Czy łzy, któremi czuła, że nie władła,
I twarz, co w kolej płonęła i bladła:
Gdy słowa ojca, jak strzały, przez uszy
Świszcząc leciały i więzły w jej duszy? —
Lecz ten rumieniec, ta bladość, ta żałość,
Co oznaczają? — czy wstręt? czy nieśmiałość? —

Łza w pięknem oku tak słodko porusza,
Że nawet miłość z żalem ją osusza;
Skromny rumieniec tak twarz piękną krasi,
Że nawet litość niechętnie go gasi! —
Czy to Giaffir czuł, czy nie obaczył
Łez i rumieńca; czy zważać nie raczył: —
Trzykroć w dłoń klasnął [7]) — konia podać każe:
Rzucił z rąk cybuch oprawny w klejnoty [8]),
I szedł, gdzie zbrojne czekały go straże:
Janczarów, Spahów, Mameluków roty.
I śród nich śpieszy na pole gonitwy,
Widzieć ich zręczność i wprawiać do bitwy. —

Sam Kislar-Aga, na czele rzezańców [9]),
Został na straży haremu i szańców.

IX.

Selim na dłoni wsparł czoło, i okiem
Zdawał się toczyć po morzu szerokiem,
Gdzie prąc się między Dardanelskie skały,
Z szumem w pieniste popiętrza się wały.
Nie widział jednak ni morza, ni brzegów,
Ni nawet baszy wojennych szeregów,
Co bliżej przed nim tocząc bój udany,
To z koni twarde płatają turbany [10]),
To na dwie zręcznie rozbiegłszy się roty
Biją na siebie stępionymi groty,
A wrzask ich „Ollah!“ powietrze rodziera [11]): —
Selim nie słyszy, nie widząc spoziera —
W myśli mu tylko — córka Giaffira.

X.

Zulejka nie śmie przerywać milczenia,
Lecz smutek myśli zdradzają westchnienia.
Selim wciąż z okna patrzał zamyślony,
Niemy, i blady, i nieporuszony.
Próżno nań siostra spogląda ciekawie:
Nic nie wyczytać w tej zimnej postawie!
Smutek jej równy — ale go pokrywa.
W sercu dla brata tchnie miłość tak tkliwa,
Że wstyd dziewiczy, sama nie wie czemu,
Nie dał jej dotąd wyznać — nawet jemu.

Terazby chciała — chce mówić — daremnie!
„Tak smutny! tak się odwraca odemnie! —
Nie tak bywało za każdem spotkaniem;
Czyż się raz pierwszy tak zimno rozstaniem?“ —
Trzykroć komnatę obeszła dokoła,
Patrząc na niego; — on nie zwrócił czoła.
Ledwo nie płacząc, pochwyciła dłonią
Urnę stojącą z róż arabskich wonią,
I wonnym deszczem prysnęła z niej wkoło
Na strop, na ściany — i Selima czoło!...—
Krople po twarzy stoczyły się zbladłej,
I z szat złocistych na pierś jego spadły;
On się nie wzruszył, nie zwrócił baczenia,
Jak gdyby lice i pierś miał z kamienia.
„Co? jeszcze smutny? — ach! któż to wytrzyma!
Taka nieczułość — i to od Selima!...“ —
Wkrąg gmachu kwiaty najrzadsze na wschodzie,
Kwiaty w naczyniach, jak w sztucznym ogrodzie.—
„On lubi kwiaty! — może z rąk mych przyjmie?...—
Musisz się rozśmiać, mój luby Selimie!“ —
Ledwo dziecinna myśl przyszła do głowy,
Kwiat był zerwany i bukiet gotowy:
Z nim się po cichu zbliża niewidziana,
I u stóp brata ugięła kolana.
„Słowik tę różę przysyła za posła [12]),
„By ci pociechę i radość przyniosła;
„I sam prócz tego, jak jej obiecywał,
„Będzie noc całą dla Selima śpiewał.
„I z wszystkich piosnek, co umie na wiosnę,
„Wybierze same wesołe i głośne,

„Z miłą nadzieją, że jak on swe tony,
„Odmieni myśli Selim zasmucony“. —

XI.

„Co? nie chcesz nawet przyjąć mego kwiatu? —
„Jestże gdzie siostra bardziej nieszczęśliwa,
„Coby nie mogła ulgi przynieść bratu,
„Którego smutek serce jej rozrywa? —
„O! nie patrz na mnie oczyma takiemi! —
„Któż cię nademnie kocha na tej ziemi? —
„Bracie mój drogi! — obym droższe imię
„Wynaleźć mogła! — mój luby Selimie!
„Podziel twój smutek ze mną! — lub przynamnie,
„Jeśli się gniewasz — powiedz, że nie na mnie! —
„Pójdź, usiądź! głowę skłoń na piersi moje!
„Ja całowaniem twą boleść ukoję,
„Gdy cię ni płochy żart mój nie rozśmieszył,
„Ni mój zmyślony słowik nie pocieszył. —
„Wiem, że nasz ojciec niekiedy zbyt ostry:
„Aleś ty takim nie bywał dla siostry!
„Wiem, wiem, że ciebie nie kocha jak syna:
„Ale czyż Selim o mnie zapomina?... —
„Ach! może zgadłam? — tyś jest nie rad z planu
„Owego związku z Bejem Karasmanu?... —
„Może ku niemu masz powód urazy?... —
„Powiedz mi tylko! pomimo rozkazy
„Ojca — przysięgam na Mekki ołtarze,
„Jeśli się na nie przysięgać odważę —
„Że bez porady, bez woli Selima,
„Nikt mię — sam nawet sułtan nie otrzyma! —

„Myślisz, że zniosę oddalenie twoje,
„Lub mogę serce rozedrzeć na dwoje? —
„Któżby nam został — jeśli się rozdzielem,
„Mnie przewodnikiem, tobie przyjacielem? —
„Nie, nie! dzień taki nie błyśnie na niebie,
„Coby mą duszę oderwał od ciebie!
„Nie — sam Azrael — on, którego ramię [13])
„Wszystko na świecie rozrywa i łamie.
„Gdy się na jedno z nas dwojga zamierzy,
„Uczuje litość — oboje uderzy!“ —

XII.

Ożył — odetchnął — z lic ogień wytrysnął —
Podniósł dziewicę — do piersi przycisnął.
Gniew, boleść znikła — z oczu niezwykła
Radość, jak jasność, błysła spojrzeniem,
Myśli promieniem, uczuć płomieniem.
Jak woda z gór lecąca,
Gdy ją ciasny brzeg zwęzi,
Wyrywa się iskrząca,
Z pod wierzbowych gałęzi;
Jako piorun, gdy z góry
Ogniem błyśnie w obłoku:
Tak z pod brwi tej ponurej,
Dusza błyszczy w tem oku! —
Na dźwięk trąby koń wrzący,
Na wrzask łowów lew śpiący,
Na krzyk buntu szalony
Tyran ze snu zbudzony,

Mniej gwałtownie się wzruszy,
Mniej uczuje sił w duszy,
Jak Selim słysząc przysięgę dziewicy,
Słysząc wyznanie uczuć tajemnicy! —

„Teraz tyś moją! tyś na wieki moją!
„Bóg sam nas chyba, nie ludzie rozdwoją.
„Mojąś na wieki! — ta święta przysięga,
„Coś ty wyrzekła, oboje nas sprzęga. —
„Dobrze zrobiłaś! bo przez to wyznanie
„Nie jedna głowa na karku zostanie! —
„Lecz ty się nie trwóż! — póki miecz w mej dłoni,
„Żaden włos nigdy nie spadnie z twej skroni;
„Strwożyć cię nawet nie miałbym zamiaru,
„Za wszystkie skarby pieczar Istakaru!... — [14]).
„Z innych się przyczyn gniew w sercu mem warzył.
„Giaffir dzisiaj zelżył mię, znieważył,
„Nikczemnym prawie nazwać się odważył!...
„Ha! teraz pora okazać mu w czynie,
„Jaka krew w synu niewolnika płynie! —
„Drżysz? — On tak nazwał! — lecz serce Selima,
„Choć się nie chełpi przed ludźmi oczyma,
„Jeszcze mu w słowach i czynach dotrzyma! —
„Ja synem jego?... — Lecz ukój twą trwogę! —
„Tymczasem, pomnij! by przysięgi naszej
„Niebaczne słowa nie zdradziły baszy! —
„Znam ja nędznika, co u Giaffira
„Ręki się twojej i wiana napiera;
„Podlejszej duszy, i skarbów niezmiernych,
„Gorzej zebranych, nie ma kraj niewiernych

„Chciwszy od Greka, trwożliwszy od Żyda!
„Gorszego nadeń Egrippo nie wyda![15])... —
„Lecz dosyć o tem! — Okiem ni językiem
„Pomnij, tajemnic nie zdradzić przed nikim!
„Na resztę środek znajdziemy w potrzebie. —
„Osmana Beja, ja biorę na siebie! —
„Słuchaj, Zulejko! — raz pierwszy wyznaję —
„Słuchaj! — nie jestem, czem się być wydaję.
„Tyś mi do szczęścia otworzyła drogę —
„Mam broń, przyjaciół — zawady znieść mogę!“ —

XIII.

— „Co? ty nie jesteś czem się być wydajesz? —
Dziwne mi dzisiaj zagadki zadajesz! —
„O! mój Selimie! skąd ci ta odmiana? —
„Byłeś tak dobry, tak wesół dziś zrana! —
„Czem cię tak mogły wzruszyć moje słowa? —
„Że ja cię kocham — czyż to ci rzecz nowa? —
„Kocham! jak kochać nie można goręcej,
„Zawsze jednako — bo nie umiem więcej! —
„Innego szczęścia nie wystawiam sobie,
„Jak by cię widzieć, słyszeć, być przy tobie. —
„I stąd dzień lubię, a nocą się brzydzę:
„Że noc nas dzieli, a we dnie cię widzę. —
„I gdybym mogła na przyszłość wybierać,
„Z tobą chcę tylko i żyć i umierać;
„Ciebie pocieszać, doglądać, piastować,
„Bawić, usypiać, uściskać, całować...
„Tak, tak! jak teraz — jak teraz!... — Już dosyć!
„Dosyć, Selimie! — w twych ustach żar tleje! —

„Nie, nie! nie mogę! — ach! przestań mię prosić! —
„Ja sama nie wiem co się ze mną dzieje!...
„Obym tak zawsze być mogła przy tobie:
„Strzedz twego zdrowia, doglądać w chorobie,
„Rządzić twym domem — nie trwoniąc ci mienia.
„Lub dzielić nędzę — bez łez, bez cierpienia:
„I wszystko czynić i pełnić z pośpiechem,
„I wszystko cierpieć i znosić z uśmiechem!... —
„Jednej ci tylko nie oddam posługi:
„Oczy twe kiedyś niech zamknie ktoś drugi!... —
„Bo wiem że umrę, mając to oglądać. —
„Mogęż co więcej — ja zrobić — ty żądać?... —

„Lecz, mój Selimie! powiedz mi, dla czego
„Ty się tak ojca obawiasz naszego,
„Aby się naszych uczuć nie dowiedział? —
„Ja milczeć będę — boś ty mnie powiedział;
„Lecz czemużbyśmy ojcu nie ufali? —
„I to mi także powtórz zrozumialej,
„Coś wprzód nadmienił o sobie — o broni —
„O przyjaciołach. — Kto są? gdzie są oni? —
„Jabym wolała ojcu się otworzyć!
„Gniewby mię jego nie zdołał zatrwożyć. —
„Lecz za cóż gniewy? — Ach! nie! on pozwoli,
„On mię zostawi panią mojej woli! —
„Cóż w tem dziwnego, jeślibym życzyła
„Być dla cię zawsze, jakem dotąd była?
„Że odłączona od ludzi i świata,
„Świat i mąż obcy przeraża mię trwogą?
„Że nieznająca nikogo prócz brata,

„Prócz niego kochać nie mogę nikogo?... —
„Czyżby te dotąd uczucia bez winy,
„Grzechem dziś były? — lub z jakiej przyczyny,
„Mybyśmy dzisiaj prawdy się wstydzili,
„Cośmy jak cnotę kochali i czcili?... —
„Wiesz sam, Selimie! jak za fraszkę lada
„Ojciec wnet na cię w zapalczywość wpada;
„Cóż, gdybyś słuszne dał do niej powody?...
„Strzeż nas, Allahu! od takiej przygody! —
„Ta tajemnica — nie pojmuję czemu,
Jakby grzech jaki cięży sercu memu!... —
„Tyś ją narzucił — miej litość nademną!
„Zdejm ją — lub rozwiąż tę zagadkę ciemną!
„Lecz nie zostawuj w tych myślach i trwodze!...—
„Ach! Czokadera już widzę na drodze [16]);
„Ojciec nasz wraca!... — Jak mi serce bije! —
„Czuję, że wszystko z mej twarzy odkryje. —
„Nigdym nie drżała na spotkanie jego —
„Dziś drżę — i nie wiem — ty powiedz, dla czego?“—

XV.

— „Odejdź! ja sam tu spotkam Giaffira.
„Będziem jak zwykle rozmawiać przy świadkach,
„O dżumie, wojnie, firmanach, podatkach,
„I o złych wieściach z obozu Wezyra:
„Jak stojąc mężnie nad brzegiem Dunaju,
„Czas nieczynnością, a lud głodem traci;
„Za co mu kiedyś Giaur złotem zapłaci:
„Jeśli wprzód jeszcze, za tę miłość kraju,
„Sułtan mu stryczka nie przyszle z seraju... —

„To zwykły przedmiot rozmów — i w tej chwili
„O niczem innem nie będziem mówili. —
„Ale pamiętaj! że skoro o zmroku
„Bęben na hasło spoczynku uderzy,
„Selim cię czeka u drzwi twojej wieży! —
„Zakryci nocą od dozorców wzroku,
„Możem bezpiecznie do jutra, do wschodu,
„Błądzić samotnie śród wałów ogrodu.
„Strome — szpieg na nie nie wedrze się snadnie,
„A choćby wdarł się — mam sposób, że spadnie. —
„Wtedy się dowiesz o losach Selima,
„Czego nikt o nim ani wie, ni mniema. —
„Ty się mnie nie bój! zawierz sercu memu! —
„Wiesz, że mam klucze tajnych drzwi haremu...“—
— „Ja się bać ciebie?—Z twych ust taka mowa?...—
„O! mój Selimie!...“ —
— „Nie trać chwil na słowa!
„Mam klucz haremu — straż rygle odsunie.
„Umiałem wzbudzić przychylność w Harunie.
„On nas nie zdradzi — zaufaj mu śmiele! —
„Dziś ci odkryję mój los, moje cele. —
„Ale, Zulejko! — pomnij, że nie taję,
„Żem rzekł — nie jestem, czem się być wydaję“.—

PIEŚŃ DRUGA.

I.

Wiatr hucząc wzdyma Hellespontu wody,
Jak w owej strasznej i pamiętnej nocy,
Gdy urągając z fal i niepogody,
Piękny, szlachetny, odważny i młody,
Kochanek w bogów zaufał pomocy,
I sam zwiedziony nadzieją opieki,
Nadzieje lubej omylił na wieki! —

Lecz ach! gdy ujrzał, że z wieży jej wierzchu,
Hasło jej, lampa połyska się w zmierzchu:
Cóż, że mógł widzieć jak niebo się chmurzy,
Że go krzyk ptastwa ostrzegał o burzy?
Że wiatry w górze, ryk wałów u dołu,
Zdały się grozić i radzić pospołu?
On, pełen uczuć i nadziei błogich,
Nie baczył znaków, ni głosów złowrogich;
Na światło tylko kochanki spoglądał,
Gwiazdę miłości! — i innych nie żądał.

Kochanki tylko śpiew słyszał zdaleka:
„Śpiesz się, mój luby! kochanka cię czeka!“ —
Stara to powieść — lecz zawsze i wszędzie
Miłość ją lubić i powtarzać będzie.

II.

Wiatr dmie od morza, i w paszczę ciaśniny
Prze wał po wale, pieniący się, siny;
I noc ponurą rzuciła zasłonę,
Na pola niegdyś tylą krwi zbroczone,
Gdzie stare grody Pryama świeciły: —
Dzisiaj pustynia, gruzy i mogiły!
Jedna znikłej potęgi i chwały oznaka —
Prócz nieśmiertelnych marzeń ślepego żebraka!

III.

Oby mi jeszcze dano na te brzegi wrócić,
Gdziem raz już proch ich święty deptał stopą młodą:
Łamać się, jakem łamał, z Hellespontu wodą,
I z tobą, wieszczu Grecki! cieszyć się i smucić!
We wszystkiem widzieć ślady dzieł dawnych rycerzy,
Wierzyć, że w każdym grobie proch półboga leży:
Myśleć, że jako przed ich, przed memi oczyma,
Też góry błękitnieją, toż morze się wzdyma:
Żyć ich myślą, ich czuciem, ich wiekiem!—któż z ludzi,
Raz tak marząc, dla wieszcza wiecznej czci nie
[wzbudzi? —

IV.

Pomrok okrywa ziemię i morze — nim wznijdzie,
Jako dziewicza jego bogini na Idzie,

Ów księżyc, co stąd niegdyś patrząc skróś ciemnoty,
Przeglądał mury Troi i Greków namioty. —
Nie klną mu dziś na zdradę śpieszący rycerze:
Lecz błogosławią dotąd spokojni pasterze.
Na zielonym pagórku pasą się ich trzody —
Grób to jest Achillesa! ołtarz jego chwały!
On, przed którym bił czołem Macedończyk młody! [1])
Który króle wieńczyły, sławiły narody!
Grób, pomnik bohatera! — jak ciasny, jak mały!...
Dzieł jego i imienia zapomniał lud płochy;
Przez rozpadłe kamienie wiatr wydmuchał prochy;
Obcy chyba przychodzień, dumając w milczeniu,
Westchnie nad nim — i ducha wezwie po imieniu! —

V.

Późno dziś, późno księżyc rozweseli
Smutny pasterza nocleg, i ośmieli
Błędną rybaka łódź — który inaczej
Brzegów, ni drogi do nich nie zobaczy.
Chmurą się gwiazdy zakryły przewodnie,
Wzdłuż brzegów morskie pogasły pochodnie;
Z Zulejki tylko samotnej komnaty
Mdłe światło lampy miga się przez kraty.
W złotym kagańcu ta lampa się pali,
Z góry u stropu zwieszona śród sali.
Na sofach z tkani perskiego przędziwa,
Leżą w nieładzie, ale pełnym wdzięku,
Tu bursztynowe różańca kaliwa,
Z których woń cudna rozlewa się w ręku [2]);

Owdzie, w szmaragdów promienie objęty —
(O! jak zła wróżba, że go zapomniała!)
Z tekstem Koranu amulet jej święty [3]),
Co go jej matka przed skonaniem dała,
By słów wyrytych mocą tajemniczą,
Świecił jej duszy gwiazdą przewodniczą.
I bliżej przy nim, alkoran otwarty,
Złotem barwnemi połyska się karty [4]);
I dalej nieco, zwoje lżejszej treści,
Perskich poetów pieśni i powieści;
I na nich wsparta, brzmieć niemi lubiąca,
Spoczywa lutnia — rzadko tak milcząca.
Śród izby, kwiaty świeżą tchnące wiosną,
Z japońskich naczyń, jak ze śniegu rosną,
I wszystkie zmysły czarują od razu
Barwą Kaszmiru i wonią Szyrazu. —
Wszystko, co tylko natura i sztuka,
Pięknego stworzy, miłego wyszuka,
Wszystko się zbiegło w tej wdzięków świątyni —
I wszystko tylko smutniejszą ją czyni,
Gdy w niej nie widać kapłanki-bogini! —
Gdzież ona? — mogłaż rzucić ją w tej porze,
Gdy taka noc, wiatr taki, i burza na dworze? —

VI.

W szacie czarniejszej niż tej nocy cienie,
(Żadna z cór gminu równej nie używa),
Którą ramiona i pierś swą okrywa,
Pierś, Selimowi droższą nad zbawienie:

Po krętych ścieżkach, krzewami zarosłych,
Drżąc na świst wiatru, na szum drzew wyniosłych,
Co wkoło skrzypem chylą się ku ziemi;
W ciemności, mgłami zwiększonej morskiemi,
Z wytężonemi przed siebie oczyma,
Niepewnym krokiem szła obok Selima.
I chociaż serce do powrotu radzi,
Choć w niem złych przeczuć potłumić nie może:
Czyż go samego zostawi w tej porze?
Czyż się ma lękać, gdy on ją prowadzi?

VII.

Doszli do groty, którą w łonie skały
Sztuka z naturą wspólnie wykowały;
Gdzie nieraz w chwilach wieczornych lub rannych,
Lub w skwar świeżego szukając powiewu,
Słuchała morza harmonii szklannych,
Lub głos swej lutni budziła do śpiewu;
Albo się ucząc z Koranu miejsc świętych,
W marzeniach, wiary prostotą natchniętych,
Roiła obraz rozkoszy niezmiernych,
Jakie raj przyszły gotuje dla wiernych. —
Gdzie duszom niewiast przybytek oznaczył,
Prorok im o tem powiedzieć nie raczył;
Lecz jeśli Selim miejsce w nim otrzyma,
Czyż raj ten byłby rajem dla Selima,
Czyżby go przyjął, i w nim się weselił,
Gdyby z nią jego rozkoszy nie dzielił?... —
Jestże huryska, któraby zdołała
Kochać go tyle — jak ona kochała? —

VIII.

Od ostatniego niewidzenia groty
Zda się w niej jakąś postrzegać odmianę:
Może to ciemność odmienia przedmioty,
Przy świetle tylko dnia dotąd widziane? —
Z wpół przygasłego na środku ogniska,
Mdłe ledwo światło na ściany odbłyska.
Patrzy ciekawie; — lecz czegóż tak zbladła? —
Na dziwny widok źrenica jej padła!
W głębi stos broni! — nie broń Muzułmanów!
Zamiast janczarek, łuków, ataganów,
Znać strzelbę obcą z kształtu i oprawy!
Proste pałasze — przebóg! jeden krwawy! —
Blask się od niego odbija czerwono. —
Na stole widzi czarę postawioną,
Ach! nie sorbetem zda się napełnioną!... —
Strach ją ogarnął — chce pytać Selima,
Zwraca się — onże to przed jej oczyma? —

IX.

Szat swych zasłonę, rzucił na stronę —
Na skroniach jego, zamiast turbanu,
Szal okręcony, jak krew czerwony,
Dwoma końcami zwisa do stanu.
W pasie z rzemienia, z obojej strony,
Zamiast nagłowia złotych sztyletów,
Zdobnych w kamienie godne korony,
Błyszczy żelazo dwóch pistoletów.
U boku prosty miecz przypasany;

Z ramienia krótki, w fałdy zebrany,
Z rozwieszonemi na dół wyloty,
Powiewa śnieżny płaszcz Kandyoty.
Na piersiach kaftan — lecz z pod kaftana,
W srebrzyste łuszczki zręcznie łamana,
Zbroja od pasa sięga kolana;
Dalsza w poziomem świetle ogniska,
Greckim koturnem stopa połyska. —
Gdyby nie wyraz oczu i twarzy,
Gdyby nie ogień, co się w nich żarzy,
Rzekłbyś, że prosty Galjongi grecki [5])
Lub że na lądzie Arnaut zbojecki.

X.

„Widzisz! — nie jestem, czem być się zdawałem! —
„A teraz mojej posłuchaj powieści! —
„Jeżeli smutna — nie ja ją pisałem
„Ogniem mych wstydów i łzami boleści;
„Moja rzecz tylko — prawdę jej okazać,
„I krwią mych wrogów dopisać — i zmazać! —
„Tyś pierwsza na jej słuchaczkę wybrana. —
„Przysięgłaś nie być małżonką Osmana;
„Lecz gdyby usta twe dziś nie zdradziły
„Tajemnic serca, jak ci jestem miły:
„I jabym strasznych nie rozwarł skrytości. —
„Nie bierz słów moich za dowód miłości! —
„Nie! — jać jej czynem dowiodę w potrzebie,
„Życiem dla ciebie, lub śmiercią za ciebie! —
„Tyś mi przysięgła nawzajem — dość na tem! —
„Ja — ja, Zulejko! — nie jestem twym bratem!“ —

XI.

— „Ty nie mym bratem? — Boże! — O! ja [biedna!... —
„Lecz nie! — ty możesz... — jeszcze czas zaprze- [czyć!... —
„Milczysz? — Więc mamże pozostać tak jedna,
„I żyć, by płakać — bo nie śmiem złorzeczyć —
„Że się sierotą na świat narodziłam?... —
„Ale się zlituj nad niedolą moją!
„Mnie pozwól zostać przynajmniej czem byłam,
„Siostrą, Zulejką, przyjaciółką twoją!... —
„Lecz ty mię kochać nie zechcesz już dłużej! —
„Zdawna mi serce coś jakby śmierć wróży. —
„Może ty nawet masz zemsty zamiary?
„Może mię zabić chcesz śród tej pieczary? —
„Ach! dobrze! zabij! — lepiej raz być w grobie,
„Niż żyć tak obcą, nienawistną tobie!... —
„Ach tak! — bo teraz pojmuję dlaczego
„Giaffir zawsze był z tobą tak ostry;
„On cię obraził — a jam dziecię jego! —
„Nie! ty nie możesz kochać mię jak siostry.
„Ale miej litość nad biedną dziewicą!
„Pozwól przy sobie być choć niewolnicą!“ —

XII.

— „Ty niewolnicą? — O! nie! mnie to raczej
„Twym niewolnikiem pozostać na wieki! —
„Ale pohamuj ten zapęd rozpaczy!
„Klnę się na świętość Medyny i Mekki,

„Nikt cię, nikt z mojej nie wydrze opieki! —
„I niech tak święty tekst na mem żelazie, [6])
„Na twą obronę, w niebezpiecznym razie,
„Ramieniu memu dodaje potęgi —
„Jak ja tej święcie dochowam przysięgi! —
„Tak! bądź spokojna! — choć odmieniam imię,
„Które tak było sercu twemu drogiem,
„Miłości brata nie tracisz w Selimie.
„Choć ojca twego zwać muszę mym wrogiem,
„Bliższe, niż myślisz, łączą nas ogniwa: —
„Słuchaj, i zadrżyj! — bo powieść straszliwa.
„Abdalla było imię mego ojca —
„Giaffir jego brat — i bratobójca! —
„Brat zajrzał bratu potęgi — i zabił,
„By urząd jego i skarby zagrabił!
„Lecz mnie sierotą zrobiwszy w powiciu,
„Mnie — nie wiem czemu — zostawił przy życiu,
„I dotąd zdradą uwodząc nikczemnie —
„Czegóż prócz zdrady ma czekać odemnie? —
„Kazał mi zwać się — i sam zwał mię synem,
„Fałsz słowa każdym okazując czynem.
„Strzegł mię — jak gdyby potomka Kaima, [7])
„Lub jak lwię młode, co kto w klatce trzyma,
„Upokorzeniem gnębiąc siłę ducha,
„By ją uczuwszy nie zerwał łańcucha! —
„Krew ojca mego wre we mnie, i woła
„O pomstę w duszy, jakby głos anioła!
„Mógłbym się pomścić — lecz uśmierz twą trwogę! —
„Dla ciebiem wszystko przebaczyć gotowy,

„Wszystko — krew ojca, i moje okowy —
„Lecz już w nich dłużej pozostać nie mogę.
„Nie! — Lecz wprzód słuchaj! — choć wbrew twej bo-
„Muszę dokończyć ciąg strasznej powieści. — [leści,

XIII.

„Skąd się w nich bratnia zawzięła nienawiść?
„Co ją zrodziło? — łakomstwo czy zawiść?
„Nie wiem; — lecz często pożar nieprzyjaźni,
„W gwałtownych sercach, lada skra rozdraźni. —
„Abdalla w męstwie nie znalazł równego.
„W Bośnii brzmi dotąd sława dzieł jego,
„Gdzie mieczem jego zwycięzko ścigana,
„Pierzchała przed nim dzicz Oglu-Paswana. —
„Lecz o tem z inąd możesz się dowiedzieć —
„Śmierć tylko jego ja muszę powiedzieć,
„I jak to rodu mojego odkrycie,
„Dało mi wolność — choć zatruło życie.

XIV.

„Gdy Paswan-Oglu, z buntownymi tłumy, [8])
„Naprzód z obawy śmierci, potem z dumy,
„Wszczął bój z Padyszą: i po latach wielu
„Morderczych bitew, bez skutku i celu,
„Twierdze Widdinu owładał nareszcie;
„Bracia baszowie oblegli go w mieście.
„Równi znaczeniem i z władzą podobną,
„Każdy swem wojskiem dowodził osobno. —
„Z dwóch stron do szturmu iść miały ich roty;
„Już obu wojskom plac bitwy wskazano,

„Dla obu wodzów rozbito namioty:
„Lecz ach! napróżno Abdallę czekano! —
„Cóż mówić więcej? — Puhar z ręki brata,
„Z jadem ukrytym, jak myśl jego serca,
„Posłał Abdallę do lepszego świata —
„Dóbr tego tylko zadrościł morderca! —
„Abdalla nie czuł podejrzeń bojaźni,
„Znać że o bratniej nie wątpił przyjaźni.
„I gdy po łowach, po dniu skrwawnej spieki,
„Wieczorem w łaźni orzeźwiał się z znoju;
„Brat przysłał czarę chłodnego napoju —
„Skosztował kroplę — i zasnął na wieki! — [9])
„Jeśli ci trudno zawierzyć mej mowie —
„Spytaj Haruna! — on świadek! on powie! —

XV.

„Czyn raz spełniony — i władza Paswana
„Zachwiana z gruntu, choć niepokonana: —
„Urząd, paszalik, i skarby Abdalli,
„Mordercy brata, jak bratu oddali!... —
„Nie wiesz, co w naszym Dywanie niecnota
„Dokaże mocą intrygi i złota! —
„Wprawdzie zbyt drogo tę łaskę opłacił:
„Rozsypał wszystko, czem go mord zbogacił —
„Ale wnet umiał odzyskać, co stracił! —
„Jak? spytasz może! — Patrz na te pustynie,
„Patrz na te ludy konające z nędzy!
„Z krwi, z łez ich tyran ładuje w swe skrzynie
„Stosy klejnotów i wory pieniędzy! —
„Ale dlaczego mnie życie ocalił?

„Czemu nie wygnał? z ócz swych nie oddalił?...
„Nie wiem — i nawet zgadywać daremnie. —
„Może zgryzota dręcząca tajemnie:
„Może nadzieja przebaczenia winie,
„Gdy krzywdę ojca poprawi na synie,
„I wzięte jemu, mnie wróci bogactwa:
„Może cel jaki, lub powód dziwactwa,
„Złączone z małem ważeniem mej siły,
„Uśpiły bojaźń, i mnie ocaliły: —
„Nie wiem. — Lecz przyszedł dzień zdawna żądany,
„Że nas łączące czas zerwać kajdany!
„Mściciela we mnie czuć musi zabójca —
„I ja nie mogę przebaczyć krwi ojca! —

XVI.

„W pałacu jego, śród haremu progów,
„Z między tych nawet, z którymi chleb łamie,
„Znam wielu tajnych Giaffira wrogów:
„Mógłbym do zemsty uzbroić ich ramię.
„Dość bym rzekł słowo, i ród mój powierzył,
„Każdyby mieczem lub nożem uderzył. —
„Lecz Harun dotąd jeden wie, lub wiedział
„Tę tajemnicę; — on mi ją powiedział —
„Nie dość — o prawdzie słów swoich przekonał. —
„Z młodu w pałacu Abdalli sprawował
„Ten co tu urząd. — Harun mię wychował,
„Kochał Abdallę — widział go, gdy konał! —
„Lecz cóż mógł biedny niewolnik poradzić? —
„Zemścić się pana? — czyn już był spełniony.
„Czy mnie ocalić, chronić i prowadzić? —

„Wybrał ostatnie; — i gdy otoczony
„Niewolnikami, którzy przed nim drżeli,
„Lub pochlebcami, co łask jego chcieli,
„Giaffir łupy rozdzielał zbrodnicze:
„Przyniósł mię dzieckiem przed jego oblicze.
„I nie napróżno znać że się domagał
„Łaski, o którą na kolanach błagał.
„Przysięgą tylko związał się wzajemną,
„Kryć mię przed światem, i ród mój przedemną. —
Wkrótce Giaffir paszalik swój zmienił,
„I z Rumilii, z nad brzegów Dunaju,
„Gdy ją swem zdzierstwem wyssał i wyplenił,
„Jak sęp przeleciał do świeżego kraju,
„Tu, gdzie jesteśmy — w ten ogród rozkoszy,
„Co go dziś własny lud klnie, on pustoszy! —
„Sam Harun, z dawnej niewolników zgrai,
„Przybył z nim tutaj — zyskał ufność pana:
„Widząc, jak święcie tajemnicę tai,
„Przestał się lękać że mu była znana. —
„Lecz tajemnica zbrodniarza i zbrodni,
„Cięży jak łańcuch na sercu człowieka;
„By się jej pozbyć, pory tylko czeka. —
„Skorom wzrósł — Harun uwolnił się od niej. —
„Tak Allah nieraz zbrodniarzom udziela
„Sług, wykonawców — nigdy przyjaciela.

XVII.

„Com rzekł, Zulejko! dziko razi uszy,
„Lecz dziksżą jeszcze być musi ma powieść.
„Nie radbym głębiej rozraniać twej duszy,

„Ale ci muszę szczerości mej dowieść. —
„Widziałem drżenie, gdyś strój mój spostrzegła —
„Noszę go zdawna, długo muszę nosić!
„Ten, komuś dzisiaj na wiarę przysięgła,
„Co cię o trwałość przysięgi śmie prosić;
„Jest — hordą morskich korsarzów dowodzi!
„Bez praw — prócz miecza; bez domu — prócz łodzi;
„A których czyny, i o nich powieści,
„Nie są dla uszu i duszy niewieściej! —
„Broń tę co widzisz, ich dłoń tu przyniosła,
„Na znak mój blisko czekają ich wiosła:
„I na nich czeka ta czara na stole.
„Z niej krzepią męstwo — mniejsza! jakim płynem —
„Pijąc, nie pomną na Proroka wolę: —
„Ach! gdybyż tylko kalali się winem!

XVIII.

„Jestem ich wodzem; — czemże miałem zostać?
„Gnębiony w domu niewolą i sromem,
„Zniskąd pociechy niemogący dostać,
„Wyśmiany, gdym jej chciał szukać za domem:
„W gnuśnej się nudzie młody wiek mój trwonił.
„Giaffir miecza i konia mi wzbronił!
„Choć nieraz — Allah! ty wiesz ile razy! —
„W pełnym Dywanie śmiał tyran urągać,
„Jakbym ja ostrza lękał się obrazy,
„Lub nie miał siły wędzidła zawściągać! —
„Na wojnę nawet brać z sobą nie raczył,
„Na wieczną nicość, na wzgardę przeznaczył,
„Bym bez nadziei, bez siły, bez chwały,

„Śród niewolników przegnuśniał wiek cały!
„Gdy ty — ty! której przychylność i wdzięki,
„Choć słabiąc duszę, słodziły jej męki —
„Na zamek baszy zasłana spokojny,
„Gościć w nim zwykłaś do skończenia wojny!... —
„Harun naówczas, widząc jak mię nękał,
„Jak mię bezczynny każdy dzień przywalał,
„Wzruszył się — kary, śmierci się nie lękał,
„Więźniowi użyć swobody pozwalał;
„Puszczał samego — ufny memu słowu,
„Że wprzód niż basza — w pęta wrócę znowu. —
„Próżnoby mówić, com czuł, com doświadczył,
„Gdym po raz pierwszy na wolnym przestworze,
„Wolnem powietrzem odetchnął — obaczył
„Błękitne niebo i szerokie morze!
„Na wskroś ich dusza leciała jak strzała,
„Wszystkie ich cuda pojęła, zbadała!
„Do czegoż wtedy nie czułbym się zdolny? —
„Silny, szczęśliwy, równy bogom — wolny! —
„Znikł z myśli obraz cierpień i katuszy —
„Świat — O! nie! — Niebo czułem w mojej duszy!

XIX.

Harun naraił sternika Murzyna,
„Biegłego w sztuce, i wiernego panu.
„Ster nasz zwabiła wysp greckich drużyna — [10])
„Pas szmaragdowy szaty Oceanu!
„Każdą z kolei zwiedziłem tajemnie.
„Lecz gdzie — jak hordę spotkałem i kiedy,

„Obrany wodzem, przysiągłem wzajemnie
„Żyć nim lub zginąć? — opowiem ci wtedy,
„Gdy wszystko dzisiaj zamierzone skończym,
„Odetchniem wolno, i z nimi się złączym.

XX.

„Wprawdzie, Zulejko! są to rozbójnicy,
„Równie w uczuciach, jak w zwyczajach dzicy;
„I każda wiara, i różne plemiona,
„Mają lub mogą mieć wstęp do ich grona.
„Lecz dzielna ręka, i otwarta mowa,
„I dusza śmiała, na wszystko gotowa,
„Co na nic strachu nie spojrzy oczyma:
„I przyjaźń, którą jeden z drugim trzyma,
„I wspólna ufność, i wierność bez skazy,
„I posłuszeństwo na wodza rozkazy,
„Łatwoby mogły otworzyć im drogę
„Do wyższych celów — niż ja wskazać mogę.
„Wielu z nich nawet — a wszystkich zbadałem,
„Znaczniejszych czucia lub myśli zapałem:
„Chociaż do rady tych raczej przyzywam,
„W kim większą Franków przebiegłość odkrywam;
„Wielu z nich nawet roi wyższe cele:
„Są to greckiego Lambra przyjaciele. [11])
„Dusza ich, zamiast używać swobody,
„Jakiej im żadne nie dadzą narody,
„Niewolą tylko Grecyi zajęta;
„I czy wkrąg masztu legną na pokładzie,
„Czy wkrąg ogniska zasiądą w gromadzie,

„Rozmowa zawsze: jak skruszyć jej pęta?
„Jak wskrzesić z grobu ducha dawnych Greków,
„I w krwi tyranów zmyć wstyd tylu wieków?... —
„Pozwalam gwarzyć — i słucham zdaleka,
„Jak rozprawiają o prawach człowieka,
„I o wolności, której świat wygląda,
„I o równości, której próżno żąda!...
„Słucham z uśmiechem i marzę sam w sobie. —
„Ach! i ja kocham wolność — choć w różnym spo-
[sobie! —

„Obym mógł bujać, jak ów patryarcha morza,
„Lub koczować jak Tatar śród pustyń przestworza! [12])
„Lekki namiot na brzegu, lotna łódź nad wody,
„Milsze mi są nad wszystkie pałace i grody.
„Na grzbiecie wzdętej fali, na dzikim rumaku,
„Na otchłaniach bez brzega, na stepach bez szlaku,
„Nie dbam gdzie wiatr popędzi, gdzie koń zwróci
[wodze —
„Ty tylko, gwiazdo moja! przyświecaj mej drodze!
„Ty gołąbko pokoju! przodkuj mojej łodzi,
„I gałązkę oliwną przynieś z nad powodzi!
„Lub, gdy dla niej pokoju niema prócz rozbicia,
„Świeć mi przynajmniej tęczą w burzach tego życia!
„Promieniem, który pomrok nocnych chmur rozgania,
„I proroczo jutrzejsze zwiastuje zarania!

„Święte — jak Muezzina wołanie z wież Mekki,
„Na które ze czcią pielgrzym przyklęka daleki;
„Miłe — jak nuta pieśni znana z lat dziecinnych,

„Wspomnieniem ich słodząca gorycz wszystkich in-
[nych:
„Drogie — jak wygnańcowi dźwięk ojczystej mowy,
„Będą mi wszystkie twoje słowa i romowy!
„Dla ciebie na tych wyspach wynajdę schronienie,
„Kwitnące, jako w nowo stworzonym Edenie; [13])
„Tysiąc rąk, tysiąc piersi, tysiąc serc uzbroję,
„By cię strzegły, służyły na skinienia twoje!
„Na ich czele, przy tobie, zbiegłszy ląd czy morze,
„Łupy krajów i ludów u stóp twoich złożę! —
„Czyż się pieszczot haremu gnuśnych i jednakich,
„Zrzec nie warto dla trudów — dla rozkoszy takich? —
„Cóż, że patrząc w mą dolę, widzę — lecz nie ble-
[dnę —
„Niebezpieczeństw tysiące — szczęście tylko jedne,
„Miłość twoją? — ach! ona wszystko mi nagradza,
„Niech mię los prześladuje, niech przyjaciel zdradza,
„Najczarniejszy mrok duszy ta myśl rozpromieni:
„„Wszystko się odmieniło — Jej nic nie odmieni!“ —
„Niech tylko moc twa, mocy duszy mej dotrzyma,
„Niech twa miłość dorówna miłości Selima,
„Potrafim zdwoić rozkosz, smutek rozweselić,
„Pokonać, lub znieść wszystko — byle się nie dzielić! —
„Raz stargawszy me pęta, z przyjacioły memi,
„Bez trwogi wojnę całej wypowiemy ziemi,
„Wojnę ludziom! — bo wojna przeznaczeniem ludzi;
„Bo sama w nich natura żądzę wojny budzi.
„Patrz! gdzież się nasycili łupem i rozbojem?
„Kraj zamienią w pustynię, i to zwą — pokojem!
„A jaż nie miałbym ufać mej sztuce lub sile? —

„Nie by ziemie zdobywać! — dość gdy jej mam tyle,
„Ile mi wkrąg potrzeba na zamach mej broni —
„Lecz by nie być ich łupem, muszę być jak oni! —
„Chcę władzy — nie co z trwogą przez niezgodę włada,
„Której dwoistem berłem jest moc albo zdrada: —
„Nie! — ja w moc tylko ufam! — podstęp przyzwiem [wreszcie
„Jeśli się kiedy w ludnem zniewolniczym mieście.
„Tam to niebezpieczeństwo godne naszej trwogi!
„Tam twa nawetby dusza mogła zboczyć z drogi. —
„Ileż serc nierozdzielnych w niebezpieczeństw fali,
„Obłudnicy zwaśnili, zdrajcy rozerwali!
„A niewiasta im łacniej niśli mąż ulegnie. —
„Gdy los lub świat kochanka poniży i zegnie,
„Gdy szyderstwo lub potwarz utopią weń miecze:
„Trwożna o siebie próżność, wyprze się go, zrzecze,
„I wstydzić się go będzie! — Precz te podejrzenia!
„Nie skażą one mojej Zulejki imienia! —
„Lecz życie jest grą losu!“ — Po cóż zwlekać dłużej,
„Tu, gdzie nam nic wygranej, wszystko zgubę wróży:
„Tak, zgubę! — czyż mi jutro nie masz być wyrwana
„Wyrokiem Giaffira, przemocą Osmana?
„Lecz dziś jeszcze na wieki zbędziem tej obawy.
„Niech tylko wiatr swe skrzydła przypnie do mej nawy!
„Raz złączonych na zawsze, o cóż bojaźń wzruszy?
„Błądząc bez odpoczynku, pokój znajdziem w duszy.
„Przy tobie, silny w czynach, śmiały w przedsięwzię- [ciach,
„Ląd, morze dla mnie jedno! — świat mój w twych [objęciach! —

„O! niech wre wściekła fala, niech grom w maszty
„Skoro ty mi tem tkliwiej rzucisz się na szyję! — [bije,
„Każda myśl, każde słowo, każde me westchnienie,
„Będzie tylko modlitwą za twe ocalenie!
„Najdziksza waśń żywiołów mniejszą trwogę wzbudzi,
„Niżbyśmy tu drżeć mieli przed przemocą ludzi.
„To skały, w pośród których nie ujdziem rozbicia;
„Tam chwile niebezpieczne — tu każdy dzień życia! —
„Precz złowrogie przeczucia! — ta chwila rozstrzygnie,
„Czy nas los wtrąci w przepaść, czy miłość podźwi- [gnie?... —
„W niewielu słowach skończę powieść mojej doli,
„Twoje jedno — wnet z mocy wrogów nas wyzwoli.
„Tak! wrogów! — Czyż Giaffir nie jest wrogiem moim,
„Lub Osman—co nas chciałby rozłączyć—nie twoim?“—

XXI.

„Głowę Haruna by ustrzedz od kary,
„Wróciłem na czas, wierny słowu memu;
„Mało kto wiedział, nikt nie złamał wiary,
„Żem się śmiał wykraść za progi haremu.
„Odtąd choć zdala od wiernej gromady,
„Rzadko omylić mogę czujne straże,
„Wszystkie ich czyny, zamysły i rady,
„Ja rozporządzam, kieruje i ważę:
„Ja daję plany, ja wskazuję cele,
„Ja godzę spory, i zdobycze dzielę —
„Czas, bym sam wreszcie walczył na ich czele! —
„Skończyłem powieść. — Zulejko! czas nagli:
„Łódź moja blisko — w chwili ją mieć mogę;

„I wnet pod skrzydłem opiekuńczych żagli
„Rzucim za sobą nienawiść i trwogę!
„Jutro przybywa Osman — my tej nocy
„Ujść stąd musimy — lub uledz przemocy. —
„Jeśli więc pragniesz oszczędzić krwi beja,
„Krwi droższej może — nie zwlekaj daremno!
„W pośpiechu dla nas jedyna nadzieja:
„Zulejko moja! bądź moją! pójdź ze mną!... —
„Lecz jeśli słysząc tajemnic wyznanie,
„Żałujesz przysiąg wyrzeczonych z rana:
„Zostań! — lecz wtedy i Selim zostanie —
„Ale cię żoną nie ujrzy Osmana!“ —

XXII.

Rzekł — ona blada, bez ruchu i tchnienia,
Jako ów posąg i pomnik cierpienia,
Gdy wszystko tracąc, wszystko czując razem,
Matka z rozpaczy skamieniała głazem: —
W równej postawie i lica żałobie,
Stała i sercem podobna Niobie.
Lecz wprzód nim usty, nim nawet oczyma,
Wydać zdołała myśl — wyrok Selima:
Brzękły wrzeciądze u bramy ogrodu —
I z mrocznej głębi sklepionego wchodu,
Wybiegła jasność pochodni iskrząca;
Druga, i trzecia — i szereg bez końca!
W różne się strony rój ogniów rozlata: —
„Uchodź, mój! — ach! nie bracie! — lecz droższy
[od brata!“ —

Śród drzew, w ciemnościach, iskrzące czerwono,
Rozpierzchłe światła migają się, wioną:
Nie same światła; — w każdej prawej dłoni
Lśni od ich blasku ostrz dobytej broni.
Dzielą się, plączą, zbiegają się razem,
Świecący ogniem, grożący żelazem.
Wśród nich Giaffir zżyma się i dąsa,
Miecz bratobójczy nad głową potrząsa. —
Już w głąb jaskini sięgają oczyma —
Maż ona stać się grobem dla Selima? —

XXIII.

On czekał śmiało: — „Co ma stać się, stanie! —
„Zulejko! uścisk i pocałowanie!
„Może ostatnie nasze pożegnanie! —
„Blisko gdzieś jednak łódź mych towarzyszy;
„Może da pomoc, gdy hasło posłyszy! —
„I tak nas mało! — lecz ujrzym, co znaczy
„Złączona siła męstwa i rozpaczy!“ —
Rzekł, i ku wyjściu groty skoczył śmiało. —
Echo wystrzału w powietrzu zagrzmiało.
Zulejka z żalu jak martwa opoka,
Ani zadrżała, ni zmrużyła oka! —
„Nie słyszą może — lub chociaż przybędą,
„Śmierci mej chyba mścić się tylko będą!
„Strzał zwabił ku mnie nieprzyjaciół roje. —
„Teraz, mój mieczu, pokaż dzielność twoję!
„Ty ojca mego spuścizno jedyna,
„Dziś za krew jego daj pomstę dla syna! —

„Bądź zdrowa, luba! — uchodź! albo raczej
„Schroń się w głąb groty! — Chroń się! już są blisko. —
„Ojciec cię kocha, i wszystko przebaczy. —
„Chroń się! na krwawe nie patrz widowisko:
„By czasem kula zbłąkana lub strzała
„Niewinnej piersi za cel nie obrała! —
„Nie drżyj o Niego! — choć mego zabójca —
„Wolałbym zginąć, niż ci wydrzeć ojca! —
„Nie! — choćby z mieczem sam na mnie nastawał,
„Choćby mi podłość na nowo zadawał!
„Ale się zgrai nie poddam tak snadnie —
„Prócz głowy Jego — każda inna spadnie!“ —

XXIV.

Skoczył ku morzu; — jak błysk piorunowy,
Miecz jego z pochew na powietrzu błysnął.
Drgająca głowa i tułów bez głowy
Padł mu pod nogi, z tłumu co się cisnął.
Padają drudzy — lecz nakształt mrowiska,
Ruchoma ciżba otacza go, ściska.
On w lewo, w prawo, tnąc ścieżkę krwawą,
Z falą już prawie spotyka się w biegu: —
O strzał już ledwo towarzysze z nawą —
Łódź bliżej jeszcze: — jak szybko, jak żwawo,
Z rozpaczną siłą wiosłują do brzegu! —
Ach! chwila jeszcze — a zbawić go mogą!... —
On już fal morskich dotyka się nogą —
Korsarze z czółna rzucają się w morze,
Z szablami w zębach, ze strzelbami w górze:

Zapamiętali, rozżarci, zajadli,
Już skaczą na brzeg — na bitwę przypadli... —
Ach! — Zemsta chyba teraz sił im doda! —
Krwią serca jego rumieni się woda.

XXV.

Śród kul, i mieczów, i grotów miotanych,
Bez ran, lub wcale nie czując zadanych,
Przedarł się Selim — i ku morskiej toni
Biegł spotkać odsiecz, lub ujść od pogoni.
Już wpław ku łodzi miał rzucić się bratniej,
Już podniósł ramię na zamach ostatni —
Czegóż się wstrzymał? — nieszczęsna przewłoka! —
Próżno w głąb groty chciał sięgnąć oczyma! —
Ta jedna chwila, ten jeden rzut oka,
Może go zgubić, lub w więzach zatrzyma! —
O! smutny dowód, jak serce człowieka
Trudno ostatniej pociechy się zrzeka!... —
U stóp się jego już fala rozpryska —
Pomoc tuż przed nim — już widna, już bliska!... —
Wtem razem wystrzał i głos zagrzmiał srogi:
„Tak giną wszystkie Giaffira wrogi!“ —
Czyj głos, czyj wystrzał? czyja, śród tak wielu,
Kula, zbyt bliska by chybić do celu,
Świsła w powietrzu, i plusła do fali? —
Twoja to, twoja, morderco Abdalli!
W mękach trucizny ojciec życie kończył;
Prędszą z nim śmiercią sierota się złączył! —
Wrząca krew pluszcząc wylewa się z rany,
Śnieżne nią wkoło zbroczyły się piany.

On padł bez jęku — próżno usty ruszył,
Głos śmierć stłumiła, lub szum fal zagłuszył.

XXVI.

Ranek — wiatr w kłębach rozwiewa mgły nocne. —
Gdzież ślady bitwy, co tak krwawą była? —
Strzały, co echa budziły północne,
Groźby, błagania, jęki niepomocne,
Ścichły — dym opadł — krew woda obmyła —
Powietrze, morze spokojne.
Na piasku tylko gdzie niegdzie rzucone
Szczątki orężów, lub w nim wytłoczone,
W rozpacznej z wrogiem czy ze śmiercią walce,
Ślady stóp zbrojnych, i rąk krwawe palce,
Świadczą człowieka czyn — wojnę.

Z brzegu na wodzie — znać ledwo co zniosła —
Pływa pochodnia i łódka bez wiosła,
I dalej nieco, w zielska zaplątany,
Okryty pleśnią i morskiemi piany,
Z falą się biały płaszcz wznosił:
Z rozrzuconemi na wodzie wyloty,
Zwykła greckiego odzież Kandyoty —
Gdzież jest ten, który ją nosił? —
Widzisz tę plamę? — czerwona, straszliwa!
Morze jej dotąd nie zmyło — nie zmywa!... —
Lecz kto chcesz płakać nad ciałem ofiary,
W kim los jej litość ocuca:
Idź, kędy płucząc Sygejskie pieczary,

Podwodnym nurtem morze swe ciężary
Na brzegi Lemnu wyrzuca! —
Tam czarne ptaki nad swoją zdobyczą
Ciężkiemi skrzydły podlatują, krzyczą,
Ilekroć fala, co ku brzegom dysze,
Leżącą na niej głową zakołysze;
Ilekroć, jakby strasząca ptastw chmury,
Stężała ręka, dłoń blada,
Z silniejszym wałem wzniesie się do góry,
I znów z nim razem opada!
Cóż ma obchodzić, czyli go w swem łonie
Ziemia pogrzebie, czy może pochłonie?
Czy że szarpiące już go dzióby ptaków,
Pozbawią pastwy ryby lub robaków?... —
Jedyne serce, coby się krwawiło,
Jedyne oko, coby łzę wylało
Nad jego ciałem, lub jego mogiłą:
Serce to pękło, oko się zaćmiło,
Wprzód, niż śmierć jego ujrzało! —

XXVII.

W haremie Giaffira płacz i narzekanie;
Oko niewiast zroszone, i mężczyzn twarz blada. —
Czyjże to okrzyk rozpaczy?
„Zulejko! córko moja! — daremne wołanie!
Biada ci, tyranie, biada!
Ona ci nie odpowie — ha! i nie przebaczy! —

* * *

Zapóźno, oblubieńcze, przybywasz na gody!
Nie widziałeś — nie ujrzysz narzeczonej wdzięków! —
Czyżeś nie słyszał, wjeżdżając w te grody,
Smutnych pieśni derwiszów i płaczennic jęków,
Że się przybliżasz tak śmiele?
Czyż te skupione przy bramach haremu
Tłumy niewieście:
Ta niewolników postać nieruchoma,
Z założonemi na piersiach rękoma:
Żal w mieście —
Nie dosyć jeszcze mówią sercu twemu,
Jakie cię czeka wesele? —

* * *

Pokój sercu dziewicy! — Allah twemu oku,
Duszy twej, najsroższego oszczędził widoku:
Śmierci twojego Selima! —
W chwili, gdy z objęć twoich wydarł się, i w mroku
Znikł przed twojemi oczyma:
Rozpacz twe serce strętwiła.
On ci był wszystkiem! — szczęściem, nadzieją i chlubą:
Myśl że go tracisz, ustrzedz nie możesz przed zgubą:
Ta myśl — zabiła!
Usłyszano krzyk jeden — głośny, niedaleki —
Czyj? — On zgadł! — wstrzymał się chwilę;
Słucha — próżno! — Już wszystko ucichło — na wieki! —
Pokój dziewiczej duszy, i wczesnej mogile!

* * *

Szczęśliwaś! — jak kwiat w pełni rannego rozwicia,
Serce zwiędło — nie piło gorzkich mętów życia!
Ból ten — srogi, śmiertelny — był pierwszy, jedyny!
Nie doznałaś co gorycz żalu, wstydu, winy,
Pychy, zemsty, zgryzoty! — ach! ni tej katuszy,
Co jak wieczne szaleństwo wre w mózgu i w duszy:
Jak robak lęgnie w sercu, i na wskróś je wierci,
I nie śpiąc sam, nie daje zasnąć — prócz snem śmierci;
Każdą myślą, jakby żądłem zatrutem kaleczy,
Obawia się ciemności, a światłu złorzeczy;
Jak ogień w suchem oku i we krwi się pali,
I aż w popiół obróci — wprzód się nie oddali!

* * *

Biada tobie, morderco! na dni i na lata,
W życiu, i w wieczności biada! —
Darmo tarzasz się w prochu, i sinemi usty
Klniesz siebie, i z przestrachem błagasz o odpusty —
Pokuta, rozpacz nie nada!
Dłoń, z której legł Abdalla, Selim — brat, syn brata —
Próżno będzie targała włos i szaty darła:
Zbrodni nie minie zapłata!
Chluba twoja — rękojmia przyjaźni Osmana:
Godna, gdyby ją poznał, dzielić tron sułtana —
Córka twoja — umarła!

* * *

Zgasła u wschodu gwiazda dziewiczej czystości,
Której blask, noc twej chmurnej duszy rozweselał:

Jutrzenka twych nadziei, zorze twej starości! —
Któż ją zagasił? — Krew, którąś ty przelał! —
Biada ojcu-zabójcy! tyranowi biada! —
Słyszysz ten okrzyk rozpaczy?
„Gdzie dziecię moje?“ — Echo mu „gdzie?“ —
[odpowiada [14]).
Ona mu nie odpowie — ha! i nie przebaczy! —

XXVIII.

Między pomników i grobów tysiące,
Lśniących się spodem, gdy z boków i z góry,
Cyprysy mroczne, choć zieleniejące
Zimą i latem, ścielą cień ponury,
Jak myśl rzucona na groby:
Jest jedno miejsce — osobne, kwitnące,
Wiecznie zielone, rozweselające
Nawet te gaje żałoby. —
Tam jedna tylko, tchnąc samotną wonią,
Róża rozkwita — posępna i blada,
Rzekłbyś, rozpaczy zasadzona dłonią:
Tak mdła, tak słaba, że zda się wiatr lada
Liść jej po polu rozprószy;
Jednak choć wicher, choć burza się wścieka,
Kwiat jej trwa cało; — choć ręka człowieka,
Co wszystko piękne w tym kraju pustoszy,
Kwiat jej oberwie: — niepojęta władza,
Kwiat ten nazajutrz na nowo odradza:
Jakby duch jaki miał ją w swojej pieczy,
Który jej rany łzami niebios leczy,

I czarodziejską mocą swego śpiewu,
Co noc kwiat nowy wykołysze z krzewu! —
Nie dziw, że dotąd helleńskie dziewice
Wierzą, że kwiat ten nie jest z tego świata,
Co mu ni szkodzić nie śmią nawałnice,
Ni szrony zimy, ani skwary lata:
On zawsze smutny, lecz piękny jak w maju,
Zdaje się tęsknić po kraju swym — raju.

Nad kwiatem co noc ptaszek jakiś śpiewa,
Ukryty w liściach pobliskiego drzewa:
Sam dotąd ludzkiem okiem niedojrzany,
Lecz głos ma wdzięczny, jak hurysek lutnie.
Nie jest to słowik w róży zakochany —
Słowik nie śpiewa tak czule, tak smutnie!
Ci, którzy słyszą śpiew ten tajemniczy,
Doznają w duszy tak rzewnej słodyczy,
I czują w sercu taką tęskność tkliwą,
Jak gdyby czuli miłość nieszczęśliwą,
I choćby chcieli, łez wstrzymać nie mogą.
Lecz te łzy same, tak słodko im płyną,
Żal ten tak z żadną nie zmięszany trwogą,
Że się im zdaje rozkoszą jedyną:
Że się lękają promienia poranku,
Chcieliby słuchać, płakać bez przestanku —
Taki jest urok w tym śpiewie! —
Lecz skoro pierwszy świt niebo zapłoni,
Ptaszek, nie wiedzieć, znika, czy się chroni,
I śpiew zamilka na drzewie. —

Są nawet — może urok przysłyszenia —
(Lecz ci co czują, nie będą się śmieli),
Są którzy mówią, że śród jego pienia,
W najtkliwszej jego nucie dosłyszeli
Brzmienie Zulejki imienia! [15])
Bo dla niej zda się ten ptaszek tak śpiewa,
Z cyprysowego nad jej grobem drzewa;
Bo z jej to właśnie mogiły dziewiczej
Wykwita róży ów kwiat tajemniczy. —
Niegdyś kamienny grób stawiać jej chciano —
Lecz postawiony wieczorem — znikł rano.
Ni dłoń to ludzka, co go w nocnej porze,
Wyrwawszy z miejsca, przeniosła nad morze! —
Bo go tam właśnie ujrzano o świcie,
Gdzie Selim w boju dał za nią swe życie,
I skąd go fale uniosłszy, zbawiły
Czci pogrzebowej i ziemskiej mogiły. —

I odtąd co noc, gdy księżyc lśni w górze,
Widać na białym pomnika marmurze,
Wspartą, jak gdyby dumającą z żalem,
Głowę czerwonym okręconym szalem.
Powieści o niej lud z trwogą powtarza,
I pomnik zowie „Wezgłowiem Korsarza“. —
A na Zulejki mogile, jak pierwej,
Zakwitła róża — i kwitnie bez przerwy:
Smutna i blada — jak lice piękności,
Gdy słucha dziejów nieszczęsnej miłości! —

PRZYPISY AUTORA.

PIEŚŃ PIERWSZA.

1. Str. 88. Zapominali o obecnej chwili
W rymach Sadego, i pieśniach Leili.

Sadi, jeden z najsławniejszych poetów perskich. — Leila i Mejnun, para kochanków, sławna na Wschodzie, jak w Europie Romeo i Julia, lub Abelard i Heloiza.

2. Str. 88. Aż usłyszawszy głos bębna, postrzegłem...

W Turcyi uderzenie w bęben ogłasza wschód, południe i zachód słońca.

3. Str. 91. Giaur, pies pogański, Arab memu oku
Znośniejszy stokroć od jego widoku.

Turcy nienawidzą Arabów, którzy im w dziesięcioro odpłacają się wzajemnością, więcej nawet niż chrześcijanin.

4. Str. 92. Dusza, muzyka tchnąca z jej oblicza.

Wyrażenie to uległo zarzutom. Nie odpowiadając na nie krytykom „niemającym muzyki w duszy“ proszę tylko czytelnika, aby przypomniał w myśli na chwilę, rysy najpiękniejszej, jaką znał, kobiety. A jeśli wtenczas jeszcze nie zrozumie tego, co mój wiersz słabo wyraża, wyznaję, iż będę żałował nas obu.

W dziele „O Niemczech“ (tom III, roz. 10), napisanem przez kobietę, przewyższającą geniuszem kobiety wszystkich wieków, znajduje się bardzo wymowny ustęp, o podobieństwie zachodzącem między malarstwem a muzyką; i porównanie tych obu sztuk, wynikające z tegoż podobieństwa. Czyżby więc podobieństwo muzyki nie miało być większe z oryginałem jak z kopią? z kolorytem natury, jak sztuki? Wreszcie jest to rzecz, która się więcej daje czuć niż wyrazić. Jestem pewny, iż znajdzie się zawsze kilka osób, które to wyrażenie moje zrozumieją, a przynajmniej któreby zrozumiały, gdyby widziały twarz, której mówiąca harmonia tę myśl mi natchnęła. Wyrażenie to bowiem nie jest wzięte z wyobraźni; znalazłam je w mojej pamięci — w tem zwierciadle, które smutek rzuca o ziemię, a patrząc na jego szczątki, widzi w nich tylko pomnożone odbicie.

5. Str. 93. Godna jest względu krew Kara-Osmana.

Karasman-Oglu, albo Kara Osman Oglu, jest najznakomitszym dzierżawcą dóbr ziemskich w Turcyi; a zarazem rządcą Magnezyi. Timariotami zowią się ci, którzy niejako lennem prawem posiadają ziemie, z obowiązkiem służenia wojskowo. Służą pospolicie w jeździe, jako Spahi, i obowiązani są własnym kosztem uzbroić pewną liczbę żołnierzy, stosownie do rozciągłości posiadanej dzierżawy.

6. Str. 94. My uczyć będziem sułtańskie Tatary,
Jakiej nagrody warte takie dary.

Jeśli basza czuje się dosyć potężnym aby się oprzeć sułtanowi, rozkazuje pospolicie udusić posłańca, który mu rozkaz śmierci i stryczek przywozi. Niekiedy pięciu lub sześciu podobnych posłańców ginie jeden po drugim na rozkaz zbuntowanego baszy. — Lecz jeśli przeciwnie basza czuje się słabym, lub nieposłusznym okazać się nie chce, natenczas schyla głowę, całuje podpis sułtana, i pozwala się udusić z pokorą. W r. 1810 wystawiono nad bramą

Seraju głowy wielu razem baszów, którzy podobnego losu doznali; a między innymi głowę baszy Bagdadu, dzielnego młodzieńca, który po długim oporze przez zdradę nakoniec zamordowanym został.

7. Str. 94. Trzykroć w dłoń klasnął.

Turcy klaszczą w dłonie wołając na sługi. Nie lubią trwonić próżno głosu, a dzwonków nie znają.

8. Str. 94. Rzucił z rąk cybuch oprawny w klejnoty.

Cybuchy bogatych Turków, a często i same lulki, oprawne bywają w najdroższe kamienie. Munsztuczek jest tylko pospolicie z bursztynu.

9. Str. 95. Sam Kislar-Aga na czele rzezańców.

Kislar-Aga jest to tytuł naczelnika czarnych stróżów Seraju.

10. Str. 95. To z koni twarde płatają turbany.

W Turcyi do wypróbowania szabel używają pospolicie złożonych w kilkoro wojłoków z pilśni, albo też bardzo twardych turbanów; i żadna inna szabla, oprócz najlepszej tureckiej, nie zdoła ich przeciąć od razu. Walka na stępione dziryty, ulubione igrzysko jazdy tureckiej, przedstawia bardzo ożywiony i malowniczy widok.

11. Str. 95. A wrzask ich »Ollah!« powietrze rozdziera.

„Ollah! Alla il Allah!“ są to zwykłe okrzyki tureckie, którymi na lud milczący, zanadto szczodrze szafują, zwłaszcza podczas walk na dziryty, na łowach, a najwięcej śród bitwy. Ożywienie Turków w otwartem polu, z powagą ich w izbie, przy lulce lub różańcu, zabawną przedstawia sprzeczność.

12. Str. 96. Słowik tę różę przysyła za posła.

Miłostki słowika i róży są ulubionem zmyśleniem poetów wschodnich.

13. Str. 98. Nie — sam Azrael — on, którego ramię.

Azrael, anioł śmierci.

14. Str. 99. Za wszystkie skarby pieczar Istakaru.

Mają to być zaklęte skarby sułtanów, przed Adamem jeszcze żyjących.

15. Str. 100. Gorszego nadeń Egrippo nie wyda.

Egrippo, tak Turcy nazywają Negrepont. Podług krajowego przysłowia, Turcy z Egrippo, Żydzi z Saloniki, a Grecy z Aten, są najgorszymi, każdy ze swego plemienia.

16. Str. 102. Ach! Czokadera już widzę na drodze.

Czokader, nazwisko sługi, poprzedzającego zwykle orszak znakomitych Turków.

PIEŚŃ DRUGA.

1. Str. 106. On, przed którym bił czołem Macedończyk młody.

Aleksander W. przed wyprawą do Persyi zwiedził grób Achillesa, i uwieńczył laurem wystawiony przez siebie na cześć jego ołtarz. Naśladował go w tem Karakalla, cesarz rzymski. Jest podanie, że ten ostatni otruł umyślnie przyjaciela swego Festusa, aby mieć powód ponowienia igrzysk, jakie niegdyś Achilles na cześć Patrokla wyprawił. Widziałem pasące się owce na grobach Esyeta i Antilocha; pierwszy z nich leży w środku równiny.

2. Str. 106. Tu bursztynowe różańca kaliwa,
Z których woń cudna rozlewa się w ręku.

Różaniec turecki zowie się w ich języku „Kombolojo“; składające go ziarna bywają u bogatszych z drogich kamieni, albo z bursztynu, który potarty lub w ręku rozgrzany wydaje z siebie wonność, nie mocną, ale przyjemną.

3. Str. 107. Z tekstem koranu amulet jej święty.

Wiara w amulety, rznięte na drogich kamieniach lub w puszkach złotych zamknięte, jest dotąd powszechną na Wschodzie. Napis ich składa się z kilku wierszy alkoranu. Noszą je zawieszone na szyi, lub zamiast bransoletek na ręku. Wiersze z drugiego rozdziału alkoranu, opisujące własności Najwyższego, stanowią najskuteczniejsze amulety, i są najczęściej używane.

4. Str. 107. I bliżej przy nim, alkoran otwarty,
Złotem barwnemi połyska się karty.

Wszystkie rękopisma wschodnie, a mianowicie alkoran, ozdobione są z wielkim przepychem i zbytkiem. — Kobiety greckie są pospolicie trzymane w zupełnej ciemnocie i niewiadomości; ale wiele młodych Turczynek odbiera bardzo staranne wychowanie; wprawdzie nie mogące się równać z wychowaniem europejskich kobiet.

5. Str. 110. Rzekłbyś, że prosty Galjongi grecki.

Galjongi, majtek. Na flotach tureckich majtkami są Grecy, żołnierzami Turcy. Ubiór Galiongich jest bardzo malowniczy; widziałem w nim nieraz samego Kapudana baszę, który go nosił wychodząc *incognito*. — Nogi ich jednak są nagie po kolana. — Opis obuwia i zbroi w tekscie jest podług stroju arnauckiego rozbójnika, u którego mieszkałem w Morei: ma się rozumieć, że już był wtedy swojej profesyi zaniechał.

6. Str. 112. I niech tak święty tekst na mem żelazie.

Na wszystkich prawie szablach tureckich znajdują się napisy, czasem wyrażające tylko nazwisko robotnika lub miejsca gdzie były robione; ale częściej jeszcze jaki tekst z koranu, wypisany literami złotemi.

7. Str. 112. Strzegł mię, jak gdyby potomka Kaima.

Wiedzieć trzeba, że wszelkie aluzye tak do osób, jak do wypadków w Starym Testamencie opisanych, równie są powszechne u Muzułmanów, jak u Żydów. Turcy nawet przechwalają się z tego, że wiedzą więcej o życiu patryarchów, niż to, co nasze Pismo Święte o nich podaje; i nie przestając na Adamie, mają szczegółowe biografie patryarchów przed nim żyjących. — Salomon jest przez nich uważany jako największy mędrzec, mający nawet władzę nad duchami; Mojżesz zaś, jako prorok, niższy tylko od Chrystusa i Mahometa.

8. Str. 113. Gdy Paswan-Oglu, z buntownymi tłumy.

Paswan-Oglu, basza Widdynu, podniósł bunt przeciw sułtanowi, i przez wiele lat zagrażał całej potędze Porty Ottomańskiej.

9. Str. 114. Skosztował kroplę i zasnął na wieki.

W r. 1811 Giaffir basza Scutari został otruty przez Albańczyka Alego, sposobem opisanym w tekście. Trucizna była w sorbecie, którym Muzułmani po wyjściu z łaźni ochładzać się zwykli. W kilka miesięcy po dokonanej zbrodni Ali pojął w małżeństwo córkę zamordowanego przez siebie Giaffira.

10. Str. 118. Ster nasz zwabiła wysp greckich drużyna.

Turcy nie znają prawie innych wysp, oprócz Archipelagu Greckiego.

11. Str. 119. Są to greckiego Lambra przyjaciele.

Lambro Canzani, sławny naczelnik powstania greckiego w 1789—90 r. Zawiedziony w nadziei wybicia się z pod tureckiego jarzma został korsarzem, i długo był postrachem Turków na Archipelagu. On i Riga, są dwaj najsławniejsi powstańcy greccy, przed ostatecznem wybiciem się Grecyi.

12. Str. 120. Obym mógł bujać, jak ów patryarcha morza,
Lub koczować jak Tatar śród pustyń przestworza.

Noe. — Sposób życia koczujących Arabów, Tatarów i Turków opisany jest szczegółowo przez wszystkich podróżujących na Wschodzie, jako mający dla nich szczególniejszy powab. Młody jeden Francuz, renegat, opowiadał sam panu Chateaubriand, że ile razy, jako farys, czwałował na koniu, sam jeden w pustyni, doświadczał zawsze niewypowiedzianej rozkoszy, która się do zachwytu zbliżała.

13. Str. 121. Kwitnące, jako w nowo stworzonym Edenie.

Januat-al-Eden, tak się zowie raj Muzułmanów.

14. Str. 132. Gdzie dziecię moje? — Echo mu »gdzie?« odpowiada.

„Przyszedłem na miejsce urodzenia mojego, i zawołałem: Przyjaciele młodości mojej, gdzie są? — Echo odpowiedziało: „gdzie są?“ *(Wyciąg z rękopisu arabskiego).*

15. Str. 134. Brzmienie Zulejki imienia.

And airy tongues that syllable men's name. Milton.
(I powietrzne głosy, wymawiające imiona ludzi).

Mniemanie, że dusze umarłych przybierają niekiedy kształt ptaków, nie na samym tylko Wschodzie jest znane. Powieść o księżnie Kendal, wierzącej i przekonanej, że dusza Jerzego I przylatywała do jej okna w postaci kruka, jako też wiele innych podobnych powieści, przekonywają nas, że to mniemanie znajduje się i u nas (w Anglii). —

Niejaka Lady Worcester uroiwszy sobie, że dusza jej siostry przeszła w jakiegoś śpiewającego ptaka, całe swoje oratorium w kościele napełniła podobnymiż ptakami, zamkniętymi w klatkach. Ponieważ była to pani bogata i wiele na ozdobę kościoła łożyła, nie sprzeciwiano się jej dziwactwu.

MAZEPA

POWIEŚĆ

LORDA BYRONA

DO CZYTELNIKA.

Podanie o Mazepie, na którem się treść niniejszej powieści opiera, znane jest u nas powszechnie. Autor wziął je z historyi Karola XII. przez Woltera, który je za prawdziwe przytacza. Za takie też uchodziło i u nas, aż do czasów ogłoszenia znakomitych Pamiętników Jana Chryzostoma Paska, z czasów króla Jana Kazimierza, gdzie obok innych szczegółów, tyczących się pierwszej młodości Mazepy i pobytu jego na dworze królewskim, znajduje się opis prawdziwego zdarzenia, które stało się powodem i wyjazdu Mazepy na Ukrainę, i rozszerzonej o nim w kraju powieści. Porównanie rzeczywistej prawdy z poetycką fikcyą podania, może tu ujść za ciekawą wskazówkę, jak się tworzą wszystkie tradycye gminne; to jest, jak poetycka wyobraźnia ludu, dopełniając i upiększając stopniami dany wypadek, nakoniec go całkiem przekształca.

Obszerniejsza wiadomość o dalszem politycznem życiu Mazepy, jako naprzód Assauły, a potem Hetmana Kozaków, znajduje się w Atheneum z r. 1842, przez Aleksandra hr. Przezdzieckiego.

I.

Było to wkrótce po dniu pod Połtawą,
Gdy los odstąpił Szwedzkiego Karola,
A wojsko jego z wstydem i niesławą,
Zaległo trupem, lub uciekło z pola.
Szczęście i chwała, jako ich czciciele,
Płoche w przemianach, w łaskach niestateczne,
Zastępom Piotra stanęły na czele,
I mury Moskwy znów stoją bezpieczne.
Aż znowu na nie, z straszliwszymi gromy
Nie przyjdzie burza: i w ich ognisk dymie
Nie zgaśnie, jako meteor znikomy,
Większa potęga, i sławniejsze imie! *)
Groźna nauka dla ludów i tronów,
Cios dla jednego — wstrząśnienie milionów!

II.

Tak los zwykł igrać z wielkością człowieka. —
Karol raniony przed wrogiem ucieka,

*) Rok 1812.

Wcwał, dniem i nocą, po polach oblanych
Krwią swoją własną i swoich poddanych.
Bowiem tysiące poległy, ażeby
Króla z ostatniej ratować potrzeby:
Przecież głos żaden, w tylu ofiar tłumie,
Nie śmiał złorzeczyć poniżonej dumie;
Nikt się nie pomścił — choćby mógł bezkarnie
Słowem wyrzutu — za śmierć i męczarnie!
Koń jego poległ: — Gieta dał mu swego,
I na śmierć pewną został w miejscu jego.
Lecz i ten drugi, gnany bez wytchnienia,
Omdlał nakoniec, i padł z wysilenia.
I w głębi lasów — gdy wkoło na błoni
Świecą się ognie zwycięzkiej pogoni —
Król musi spocząć — pod cieniem jedliny,
Na suchych liściach: — toż-li są wawrzyny,
Co dla się z młodu polewał krwią ludów?
To-li spoczynek bohaterskich trudów? —
Skostniałe członki, krew zakrzepła w ranie,
Noc zimna, wietrzna — mrożące posłanie...
Sen, jedną ulgę dla myśli i ciała,
Krew gorączkowa z ócz mu odpychała.
Przecież, choć w mroku nie śledził go świadek,
Król po królewsku znosił swój upadek.
Pod moc swej woli podbijał cierpienia,
Jak niegdyś wrogi; a żal i westchnienia,
Milczały w jego łonie tajemniczem,
Jak niegdyś ludy przed jego obliczem.

III.

Z nim grono wodzów — o! jakże zmniejszone,
Od dnia, co dla nich miał być dniem zwycięstwa!
Lecz za toż serca w wierze doświadczone!
Los zmógł ich siłę, lecz nie zachwiał męstwa.
Smutni, w milczeniu, cugle dzierżąc w dłoni,
Każdy szerokim płaszczem obwinięty,
Siedzą przy królu, i obok swych koni. —
Nieszczęście zbliża człowieka z zwierzęty:
W niebezpieczeństwie, jeździec i koń jego
Są jakby bracią jeden dla drugiego.
Śród nich, Mazepa, pod rozłożystemi
Gałęźmi dębu, na chropawej ziemi,
Słał sobie liście i drzewne konary.
Jak dąb ów silny, i ledwo mniej stary,
Hetman Kozaków — jak śród gromów wojny,
Śród burzy losu zimny i spokojny. —
Ale nim uległ, zwyczajem kozaka,
Opatrzył naprzód wiernego rumaka.
Otarł go burką, i głaszcząc po grzywie,
Cieszył się, patrząc jak pasł się skwapliwie:
Bo nie był próżen tej jednej obawy,
Że jeść nie zechce zaroszonej trawy.
Lecz w tem koń-kozak był równy Mazepie:
Dziki i chyży, jak wicher na stepie,
Mało dbał o to, czem wzmoże swe siły,
Byleby panu w potrzebie starczyły.
W skwary jak w mrozy, wytrwały do jazdy,
We mgle bez słońca, i w nocach bez gwiazdy,

Na krok w pustyni nie zbłądził do rana;
W tłumie tysiąców znał twarz swego pana,
I na głos jego, biegł doń pędem strzały,
I ślad w ślad za nim szedł choćby dzień cały.

IV.

Gdy tak koń pasł się — Mazepa tymczasem,
Wsparłszy o gałęź dzidy swojej drzewce,
Wyjął krócice zatknięte za pasem,
Spojrzał czy suchy był proch na panewce,
Czy ostre skałki, czy spust niezawodny.
Szablę swą potem otarł z rosy chłodnej,
Brzeszczot i pochwę; i z olster u siodła
Dobył chleb suchy i wodę ze źródła;
I jakby krajczy śród dworskiej biesiady,
Obdzielał króla i resztę gromady.

Król gwałtem uśmiech wymógłszy na czole,
By się zdać wyższym nad ból i niedolę,
Przyjął swój udział i rzekł: — „Wyznać trzeba,
Że choć nam wszystkim nie skąpiły nieba
Sił i wytrwania: nikt z nas w tej pustyni,
Mniej nie rozprawia, a więcej nie czyni,
Jak ty, Mazepo! — przykład twój co chwila,
Jak i twój zapas, nas wszystkich posila.
Od Aleksandra i od Bucefała,
Dzielniejszej pary ziemia nie widziała,
Jak ty i koń twój; a od przodków Scytów,
Godzieneś jeźdzca najpierwszych zaszczytów!“ —
A Hetman na to: „Strzeż Boże nauki,
„Jaką za młodu doszedłem tej sztuki!“ —

— „Czemu?“ — Król spytał — „twój przykład, hetma-
Broni twych mistrzów przeciw twej naganie“.— [nie,
— „Długoby o tem mówić“ — rzekł Mazepa —
A nie czas teraz; — noc mglista i ślepa
Pozwala spocząć, by jutrzejszą porą
Śpieszyć tem prędzej. — Wrogi nie za górą —
Na niebie widać ich ogniów odbłyski.
Rano wstać trzeba; — a świat to nie bliski
Do brzegów Dniestru, nim rumaki nasze
Puścim swobodnie na turecką paszę! —
A więc, śpij królu! — ja zastąpię straże“. —
— „Owszem“ — rzekł Karol — „proszę cię i każę,
Powiedz nam twoją tę powieść: a może,
Słuchając prędzej oczy do snu złożę —
Bo senność dotąd mych powiek nie klei“. —
— „A! gdy rzecz o to: — w tej miłej nadziei —
Rzekł stary hetman — „chętnie w mej pamięci
Odnowię przeciąg lat siedemdziesięci“. —
„Mogłem mieć wtedy rok dwudziesty prawie.
Na dworze króla — Jana Kazimierza —
Siedem lat paziem przebyłem w Warszawie.
Był to pan dobry: nie tak na rycerza,
Jako na mędrca; — jak niebo do ziemi
Z Waszą Królewską Mością! — Uczty, bale,
Książka, rozmowa z ludźmi uczonemi,
To jego rozkosz! — O wojennej chwale
Ani pomyślał; tem mniej o zaborach
Ziem i państw cudzych. — Prawda, że z swem jednem
Dość miał kłopotu! — Lecz w życiu powszednem,
Gdyby nie sejmy w ustawicznych sporach,

I gdyby w domu nie swarliwa żona,
Wiódłby dni miłe króla Salomona. —
Lecz dwie te rzeczy — z dodaniem i trzeciej:
Zajść, skarg i dziwactw zawistnych piękności,
Co w kolej króla imały w swe sieci —
Truły mu rozkosz myśli i miłości.
Aż obmierziwszy blask świata i tronu,
Skończył dni w murach świętego zakonu.
„Ale to było potem: — za mych czasów
Król nie o furtach rozmyślał klasztornych.
Zamek tam pękał od ciągłych hałasów
Dziennych pijatyk i tańców wieczornych.
Co było wyższych z bogactw i zaszczytów,
Każdy rad nie rad kręcił się w tym wirze;
A żaki ze szkół Ojców Jezuitów,
Różnymi tony, na chropawej lirze,
Sławili cuda królewskich splendorów.
I tak ta wierszy mania uczona
Objęła wszystkich: dworzan, senatorów,
Mnie nawet w końcu; żem kilka wieczorów
Skandował żale czułego Damona! —
Dyabła to warte! — A jednak bywało,
Kiedy się czasem z niechcenia, znienacka,
Przy teorbanie dumkę zaśpiewało:
To jakby ogniem grała krew kozacka,
A i łez czasem popłynęły zdroje! —
Bo jak to mówią: gdzie bez kolców róże?
Gdzie człek bez troski? — a paź tak ma swoje,
Jak król i hetman. — Przy królewskim dworze,

Mieszkał w Warszawie jeden z kasztelanów.
Starosta starostw bez liku, pan z panów,
Możny, bogaty, jak mina Olkusza —
A przytem dumna i pozioma dusza.
Zasługi przodków mniemając swojemi,
Na Ukrainie, w Litwie i Koronie,
W całem królestwie — ba! na całej ziemi,
Sądził się pierwszym pomiędzy pierwszemi,
I tak się godnym czuł zasiąść na tronie,
Jak — jak, rzec prawdę — każdy z polskich panów. —
„Lecz co w obliczu nas młodszych dworzanów
Było przedmiotem i czci i zazdrości,
To żona jego: — cud, anioł piękności!
Ofiara dumnej rodziców przemocy,
Przy boku starca, jako dzień przy nocy,
Młodsza od niego lat najmniej trzydzieści,
W pełni powabów i krasy niewieściej,
Wiodła dni w nudach i tajonych żalach.
I kto ją widział na ucztach i balach:
Blask jej klejnotów, i mgłę smutku w oczach,
Bladość w jej licach, i perły w warkoczach:
Równać ją musiał do królowej sadu,
Gdy więdnie zgięta pod ziarnami gradu.

V.

„Ja byłem wtedy — dziś to bez przechwałek
Powiedzieć mogę, gdy trzy ćwierci wieku
Dźwigam na barkach; — byłem tęgi śmiałek.
Syn Ukrainy, nie kąpany w mleku,

Z odwagą w sercu, a próżnością w głowie,
Żywy, wesoły: — nikt w czynie ni słowie,
Czy to z paniątek, czy ze szlachty braci,
Nie śmiał tak bardzo zajść w drogę Mazepie! —
Gładkość też lica i giętkość postaci,
Nim je wiatr zwarzył i schylił na stepie,
Inaksze były niż dziś; — i na czole,
Nim je zorały losu nawałnice,
Była moc duszy; i oczy sokole
Umiały ogniem sypać na dziewice! —
Wszystko to przeszło! — prócz tej jednej mocy
Co choć już może nie błyszczy jak wprzódy,
Nie zgasła przecież: — gdy wam w takiej nocy
Jak dzisiaj, w lesie, śród wrogów przemocy,
Prawię me stare, miłosne przygody. —
„Lecz wracam do nich. — Piękność Izabeli —
To było imię żony Kasztelana. —
Zda się ją widzę — cała zda się w bieli,
Jak raz ostatni widziałem — ubrana,
Spływa z powietrza i staje przede mną!...
A jednak czuję, że chciałbym daremno
Opisać w słowach jej postać i lice,
A nadewszystko ten blask czarnych oczu,
Te pełne, duże, głębokie źrenice,
Co jak dwie gwiazdy w cichem wód przezroczu,
Zdały się pływać w strumieniu łez jasnych,
I topnieć we łzy — od promieni własnych!...
Całe w miłości — na poły w omdleniu,
Na poły w ogniu; — jakoby dwaj święci,
Co już na stosie płomieniem objęci,

Wzrok wznosząc w niebo, trwają w dziękczynieniu,
Jakby za rozkosz w śmierci i cierpieniu! —
„Czoło jej gładkie, jak przejrzysta woda,
Gdy się w niej letnia odbija pogoda,
A żaden powiew powierzchni nie zmąca,
A na dnie tylko blask nieba i słońca! —
Twarz jej i usta!... — Lecz co tu wyrazy?
Dość — jam ją kochał! — kocham jeszcze teraz! —
Dla niej to lata zniewagi, obrazy,
Zniosłem cierpliwie; — złorzeczyłem nieraz
Sobie, jej nigdy; — za nią, nie za siebie,
Ha! wziąłem pomstę; — i oby sąd w niebie
Mnie karał za nią! — Czem w świecie i w sobie
Byłem i jestem — jej to wszystko dzieło! —
Serce Mazepy twarde — lecz aż w grobie
Zagaśnie chyba, gdy raz zapłonęło.

VI.

„Jam kochał — wzdychał — spotykał ją w tłumie,
Milczał — a jednak czuł, że mię rozumie. —
Jest tysiąc tonów, tysiąc znaków myśli,
Co każdy pojmie, choć nikt nie określi.
Skry mimowolne wulkanicznej duszy,
Co z chmur jej uczuć, jej burz i katuszy,
Pryskają same — i jedna po drugiej,
Tworzą ów łańcuch tajemniczy, długi,
Co gdy raz tylko spoi duszę z duszą,
Już go na wieki razem dźwigać muszą,
A każde wzajem uczucie, myśl każda,
Przebiega po nim — jak piorun lub gwiazda! —

„Jam kochał — milczał — z bojaźni czy sromu?
Nie wiem; — i nawet, kiedym już jej w domu
Częstym był gościem: ilekolwiek razy
Chciałem przemówić — czułem jak wyrazy
Krzepły mi w ustach; — aż przyszła godzina!“
„Jest gra — nie pomnę nazwiska — dziecinna,
Prosta gra w karty; — do niej raz za stołem,
Nie wiem jak, z czego, zasiedliśmy społem.
Grałem nie myśląc; — ale być tak blisko
Tej, co się kocha! — twarz w twarz, oko w oku!
Każde jej tchnienie, każdy promień wzroku
Chwytać, i w jedno zlewać jej ognisko!...
O! to jest rozkosz, za którą miliony
Przegraćby warto! — Myśmy o nic grali.
Lecz widząc wzajem jej wzrok zamyślony,
Jej twarz płonącą rumieńcem korali:
I natężenie, z jakiem się zdawała
Patrzeć na karty, choć nic nie widziała:
I długość czasu gry naszej, do której,
Tajemna, zda się, wiązała ją siła: —
To gdy postrzegłem — jakby piorun z góry,
Myśl nagła we mnie błysła — zaświeciła —
I z ust, i z oczu, serca tajemnica,
W łzach, iskrach, słowach, wybuchła zarazem!...—
Ona słuchała; — błędna jej źrenica
Utkwiła we mnie: — i choć nie wyrazem,
Odpowiedziała! — i od tej już chwili,
W sobieśmy tylko i dla siebie żyli.

VII.

„Kochałem — byłem kochany wzajemnie! —
Lecz jeśli prawda, co powszechne zdanie
Głosi o tobie, Najjaśniejszy Panie!
Że dotąd nie znasz co miłość; — daremnie
Byłoby kreślić dalsze mojej dzieje.
To, na co we mnie cała krew goreje,
W tobie pogardy może uśmiech wzbudzi. —
Ale cóż czynić? — nie każdemu z ludzi
Dano, jak tobie, woli majestatem
Umieć panować nad sobą i światem! —
Jam jest — lub raczej, jam też był hetmanem,
Królem tysiąców; — z sercem niezachwianem
Wiodłem je w ogień; — a przecież daremnie
Chciałem zmódz słabość natury człowieczej,
Zmódz serce moje! — Lecz wracam do rzeczy.
„Kochałem — byłem kochany wzajemnie! —
Były to chwile najszczęśliwsze w życiu!
Codzień ją mogłem widywać w ukryciu,
I żyłem tylko nadzieją tej chwili.
Czas, świat i ludzie stali mi się niczem:
Wschód mego słońca był przed jej obliczem,
Noc mojej duszy — gdyśmy się dzielili!... —
O! teraz jeszcze całą Ukrainę
Oddałbym chętnie za taką godzinę,
Za owe chwile — kiedy paź ubogi,
Na całym świata obszarze, nie miałem
Nic prócz jej serca — i nic mieć nie chciałem,
Prócz, bym ją częściej widywał bez trwogi! —

„Wiem, że jest wielu, w których tajemnica
Bronnej miłości, jej zapał podsyca.
Jam tego nie czuł; — nie było mi trzeba
Tych sztucznych podniet; — ja oddałbym życie,
By wobec świata, i ludzi, i nieba,
Nazwać ją moją! — Przeczuwałem, zda się,
Co mię już w bliskim spotkać miało czasie,
Za to, żem tylko mógł kochać ją skrycie! —

VIII.

„Jak cień za szczęściem idzie ludzka zawiść.
W Warszawie, tłumy jej możnych czcicieli,
Szeptali o mnie, lecz wierzyć nie chcieli.
Jam drwił z ich dumy, nie dbał o nienawiść,
I latem za nią jechał na Podole. —
Tam tając imię, nieznany nikomu,
W cichym szlachcica ubogiego domu,
O miedzę z zamkiem mieszkałem przez pole.
Aż traf, czy zdrajca odkrył kroki moje.
I dnia jednego, w zbrojnych dworzan kole,
Kasztelan w gaju pojmał nas oboje. —
„O! widzieć było gniew pana i męża,
Gniew pychy jego! — Nie miałem oręża,
Lecz choćbym w zbroi był od stóp do głowy,
Musiałbym uledz tłuszczy i przemocy. —
Było to w czerwcu — już na schyłku nocy,
I nie sądziłem, bym ujrzał dzień nowy! —
Znikąd odsieczy, a sędzia we wrogu! —
Duszę więc w myślach poleciwszy Bogu,

Czekałem śmiało mej śmierci wyroku,
I drżałem tylko o los Izabeli. —
Jaki był — nie wiem; śród drzew, i w pomroku,
Widziałem tylko miganie się bieli
Szat i zasłony: gdy na wpół omdloną,
Szybko, na rękach, do zamku niesiono! —
Mąż został przy mnie — i jako złoczyńcę,
Kazał wieść w zamku zewnętrzne dziedzińce:
Kazał giestami — bo nie mógł już głosem,
Drżąc cały z gniewu i pieniąc się wściekle. —
Król mógłby może pogodzić go z losem.
Ale paź! — Czułem, że rażon tym ciosem,
Kary dość dla mnie nie znalazłby w piekle! —

IX.

— „Konia tu! konia!“ — spojrzę, aż prowadzą
Czarta nie konia! — czterech masztalerzy
Trzyma za uzdę — i rady nie dadzą.
Wspina się, parska, grzywa mu się jeży,
Żar iskrzy z oczu — z wściekłości i zgrozy. —
Dzień ledwo temu, jak wzięty ze stada,
Dziki syn stepów! — Przynoszą powrozy,
Do grzbietu jego wiąże mię gromada.
I nagle wszyscy, z przeraźliwym wrzaskiem,
Siekąc biczami i strasząc ich trzaskiem,
Zrozpaczonego puszczają na wolę. —
Wypadł za bramę: — wiatr, strumień wezbrany,
Grom nie tak szybki — jak on rozhukany,
Ze mną na grzbiecie, pomknął się przez pole.

X.

„Lecim i lecim — na oślep, przed siebie,
Prosto jak strzała! — Brzask pierwszy na niebie
Posrebrza chmury, lecz jeszcze nie świeci. —
Noc, step przed nami! — koń leci i leci.
Tchu brak mi w piersiach, patrzę nieprzytomnie,
Wzrok mi się kręci: — i tylko wkoło mnie
Słyszę świst wiatru; — a ostatnie głosy,
Co długo za mną przeciągłemi echy,
Ścigały w stepie i biły w niebiosy:
Były to wrzaski i szydercze śmiechy
Zgrai mych wrogów! — Co krwi we mnie było,
Zawrzała ogniem: — i z nadludzką siłą,
Targnąwszy głową, zerwałem ogniwo,
Co kark mój z końską związywało grzywą.
I wstecz, jak mogąc, zwrócony pół ciałem,
Wzajem obelgi i klątwy miotałem.
Bezsilne klątwy! — ale i te może
Wiatr i pęd konia zagłuszył w ich uszach.
I to mię boli: — bo chciałem w tej porze
Ślad wzgardy mojej zostawić w ich duszach! —
„Potem — ha! potem! — nie próżnemi słowy
Jam ich odpłacił! — Podole i stepy
Pomną obrazę i zemstę Mazepy!
Ten gmach, te baszty, ten mur opasowy,
Co mógł urągać wojska oblężeniu —
Gdzież są? — nie został kamień na kamieniu;
Na polach jego nie rośnie źdźbło słomy;
Na gmach i pola spadł ogień Sodomy! —

Cegły, kamienie, w popiół się rozwiały:
W ognistych kroplach, jako deszcz obfity,
Stopniały dachów ołowiane szczyty,
Co go przed zemstą zakryć nie zdołały!... —
„Nikt z nich nie myślał o tym dniu odpłaty,
Gdy na grzbiet koński, jako martwe drewno,
Wiążąc mnie z wzgardą — i na zgubę pewną
Puściwszy — szydząc wznosili wiwaty! —
Nikt z nich nie myślał, że z tej samej błoni,
Ten sam, na czele stu tysięcy koni,
I stu tysięcy dzid, szabel, mołojców,
Przyjdzie jak piorun — i nad głową zbójców,
Sprawiedliwości i zemsty zarazem,
Sąd czynić będzie — ogniem i żelazem!... —
„Bo czas nakoniec równa wszystkie rzeczy,
I byle umieć jak korzystać z pory,
Niema na świecie potęgi człowieczej,
Coby ujść mogła przed zemstą — do której,
Bodźcem jest pamięć krzywd takich — a celem,
Tryumf przed światem nad nieprzyjacielem!

XI.

„Tymczasem dalej i dalej, bez toru,
Koń mój, jak wicher, jak błysk meteoru,
Leci i leci: — wsie, ziemia uprawna,
W tyle za nami zostały już zdawna.
Przed nami wkoło, jak oko zasięga,
Step równy, pusty — w końcu widnokręga,
Przeze mgłę tylko widać — że jak pasem,
Sinym po bokach otoczony lasem. —

Niedawno jeszcze ćma Krymskich Tatarów,
Wracając z Polski z jeńcami i łupem,
Dognana w pośród tych dzikich obszarów,
Przestrzeń ich wkoło zasłała swym trupem.
Oprócz ich mogił widzialnych zdaleka,
Żadnego śladu, ni dzieła człowieka. —
„My lecim, lecim; — już przyszedł wschód słońca,
Lecz dzień pochmurny i cisza dusząca.
Słyszę świst w uszach — lecz nigdzie powiewu,
By nim choć westchnąć; — a koń chrapiąc z gniewu,
Leci i leci. — Mdłość głowy zawrotu
Owładła członki; zimne krople potu
Leją się ze mnie. — Chcę mówić modlitwy —
Próżno! — Koń leci; — myślę, że się znuży,
Że zwolni biegu; że takiej gonitwy
Nad dwie, trzy godzin, nie wytrzyma dłużej.
Próżne nadzieje! — ciężar ciała mego
Był niczem — owszem, był bodźcem dla niego.
A ruch mój każdy — skorom się odważał
Poruszyć na nim — czułem, jak pomnażał
Pęd, i strach jego, i gniew jego pychy. —
Próbuję głosu: — słaby był i cichy;
Lecz na dźwięk pierwszy, jak rażony strzałem,
Koń drgnął, podskoczył, i z wściekłym zapałem
Pędził tem chyżej — i na każde słowo,
Wstrząsał się, jakby na trąbę bojową. —
Powrozy w ciało coraz głębiej grzęzły,
Aż krew pryskając zbroczyła ich węzły;
A jakby ognia żywego płomienie,
Pierś mi i usta paliło pragnienie.

XII.

„Las tuż przed nami: — od brzega do brzega,
Wszerz horyzontu step zda się przelega.
Las drzew odwiecznych, których nawet czoła
Huragan stepu uchylić nie zdoła.
Lecz te gdzie niegdzie: — a pomiędzy niemi,
Gęstwa zarośli z gałęźmi wiotkiemi,
W całem bogactwie liści i zieleni
Szat swoich letnich: — nim wicher jesieni
Przyjdzie z za morza, i w dzikim poświście
Rozmiecie w stepie zczerwieniałe liście,
Gdzie już z pod szronów, przy słońca zabłysku,
Lśnią, jak krew skrzepła na pobojowisku,
Gdy je okrywszy cień nocy zimowej,
Posrebrzy mrozem niegrzebane głowy,
I tak je stwardni, że próżno dziób kruka,
Z dzwoniącem echem, w zmarzłe twarze stuka! —
„Była to ciemna, zielona dąbrowa
Młodszych zarośli; — dąb, sosna masztowa,
Z rzadka gdzie niegdzie; — o! i gdyby nie to,
Las tenby dla mnie ostatnią był metą! —
Lecz wiotkie krzewy, nie szarpiąc zbyt srodze,
Łatwo przed nami rozdały się w drodze. —
Zamknąłem oczy, ku grzywie przypadłem,
I więzom moim dzięki, że nie spadłem. —
Koń mkął jak piorun: — bo z tyłu gromadą,
Ścigało wilków rozjuszone stado. —
W stepie nas jeszcze zajrzeli przed lasem,
I zewsząd z wściekłym opadli hałasem.

Koń przez ich środek przeleciał jak strzała,
A ślad w ślad za nim biegła ruja cała. —
„Nie mogąc dojrzeć, z obudwu wciąż boków,
Słyszałem w lesie trzask, szelest ich kroków;
I czasem tylko przez krzewy cieniste
Migał grzbiet bury, lub oczy ogniste. —
Lecz gdy las rzednieć zaczynał ku błoni,
I coraz bliżej brzmiał cwał ich pogoni,
Podniósłszy głowę, spojrzałem z obawą. —
O strzał zaledwo pędzili już ławą,
Jak stado owiec, a chyżej niż charty! —
Tak czy tak, czułem, że śmierć mię nie minie;
Lecz iść na pastwę bestyi rozżartej —
Myśl ta straszliwa, w tej nawet godzinie,
Wszystkie me włosy zjeżyła na czole:
I wszystkie inne obawy i bole,
Umilkły przed nią. — Całe me nadzieje
Były z początku, że koń mój zwolnieje,
Że padnie w końcu; — teraz tylko o to
Drżałem, by nie padł; — i głosem, i ruchem,
Chciałem go, zda się, przeniknąć mym duchem,
I wzmódz mą siłą, i natchnąć ochotą,
By ujść przed rują! — Lecz strach mój był marny!
Koń, zda się, z trwogą, wziął i chyżość sarny.
I z mniejszym pędem, pieniąca się fala,
Z porohów Dniepru, w dół z góry się zwala,
Jak on wciąż pędził w niepojętej sile —
Aż las i wilcy zostali się w tyle.

XIII.

„Lecim i lecim: — już blisko południa,
A krew mi ścięło jakby zimno grudnia,
I z nową mdłością przyszedł zawrót nowy.
Zwisłem w dół głową jak potok zimowy.
Brzemię mych cierpień złamało wytrwałość.
I gdy dziś jeszcze przypomnę ich całość:
Wstyd, wściekłość, rozpacz, strach i przerażenie,
Więzy i nagość, ból, głód i pragnienie,
I myśl o wrogach i mojej zniewadze:
Dziwię się własnej mocy i odwadze,
Żem zniósł to wszystko — a nie, że na chwilę
Ciało duchowej nie sprostało sile.
Wzrok mi się zaćmił, a członki bezwładne
Zwisły ku ziemi; — zdało się, że spadnę,
Ale nie! — mocno trzymały powrozy. —
Czułem przez chwilę dreszcz śmiertelnej zgrozy.
Ale wnet pamięć, i myśl, i pojęcie,
W jednym się mglistym zmięszały odmęcie.
Step, ziemia, niebo, i ja z niemi społem,
Zdały się szybkiem obracać się kołem:
Aż wzrok mój ciemna powlokła zasłona,
I w piersiach serca konwulsyjne drgania
Ustały nagle. — Człowiek co już kona,
Nie może mocniej czuć chwili skonania,
Jak jam czuł wtedy. — Jak żeglarz w rozbiciu,
Na kruchej desce, gdy hucząca fala
Niesie go, miota, głuszy i przywala,
W głąb szedłem zda się; — czułem żem był w życiu,

Lecz życie było jak sen gorączkowy,
Wątły, znikomy: a jednak się zdaje,
Że w nim przytłacza głaz ciężki, grobowy,
Co ni się ocknąć, ni spocząć nie daje. —
Jeśli przy śmierci są takie męczarnie,
Nie dziw, że przed nią natura się trwoży! —
Przy śmierci nawet może jeszcze gorzej,
Nim wieczność całkiem człowieka ogarnie. —
Mniejsza! jam wtedy raz już oczy moje
Oswoił z śmiercią — toć i znów oswoję.

XIV.

„Jak długo trwały te mdłości — nie zgadnę;
Myśl z ciałem były zarówno bezwładne.
Przytomność pierwsza wróciła. — Gdzież jestem?
Czuję chłód jakiś: — serce się porusza,
Krew uderzyła — ożywia się dusza:
Słuch jakimś dziwnym napełnion szelestem.
Otwieram oczy — oglądam się — ciemno!
Koń parska — słyszę — lecz czy koniec jazdy?
Nie czuję biegu. — Spojrzę, aż pode mną
Woda — i w wodzie niebiosa i gwiazdy! —
Zamknąłem — znowu otwieram powiekę:
To nie sen! — rumak mój płynie przez rzekę. —
Wzdęta i bystra! — a rozlana fala,
Przed i za nami połyska się zdala;
Głąb wre i szumi: a my śród jej prądu
Do nieznanego sterujem się lądu. —
Chłód świeżej wody zbudził mię z omdlenia. —
Koń silną piersią porze nurt strumienia,

Parska — a piana, jak płachtami śniegu,
Posrebrza falę. — Dopływamy brzegu —
Lecz cóż port dla mnie za różnicę czyni?
Tamby śmierć w głębi, a tu śmierć w pustyni!
A gdzieby prędzej, i jak lżej umierać:
Anim pomyślał, anim mógł wybierać.

XV.

„Zmokły, zziajany, z dymiącymi boki,
Trzęsąc się z zimna, koń na brzeg wysoki
Wspiął się, wyskoczył. — Przed nami równina,
Jak w nocy zajrzeć, zamglona i sina,
I w lewo, w prawo, w mdłem świetle miesiąca,
Zda się gdzieś w przestrzeń przedłużać bez końca!—
„My lecim, lecim. — Czasem w mgle poziomej
Miga coś biało; czasem się coś czerni,
Jak drzew gromada; — byłyżby to domy? —
Nic dojrzeć pewnie nie da blask znikomy —
Lecz sąż to sady, czy zarośle cierni?
Bo nigdzie żadne światełko zdaleka,
Żaden głos zniskąd nie wróży człowieka.
Ognik się nawet nie zerwie z pod ziemi,
By choć urągać przed oczyma memi.
Blaskby mi jego nowej dodał siły!
Bo choćby nawet łudził mię — już dosyć
Byłoby dla mnie, gdybym mógł choć wnosić,
Że już tu przecie są ludzkie mogiły! —

XVI.

„Lecim wciąż naprzód; — lecz coraz i coraz
Słabieje konia moc nieukrócona.

Robiąc bokami i piersią, raz po raz
Utknie — i zda się upadnie, i skona.
I znów się wzmaga. — Dziecię go w tej porze
Wstrzymaćby mogło!... — Cóż mi to pomoże?
Nie mam rąk wolnych — a choćby i były,
Może już na to nie miałbym dość siły! —
„Ostatek jednak wytężam — azali
Nie zerwę więzów; — niestety! daremnie!
Powrozy tylko wpijają się we mnie,
I ból się zdwaja. — Koń dalej, i dalej,
Pędzi — lecz czuję, że chwieje się w pędzie,
Że musi upaść! — lecz cóż ze mną będzie?... —
A już od wschodu, u brzegu przestrzeni,
Pierwszy brzask świtu srebrzy się, rumieni —
Lecz jakże wschodzi powoli!
Jak tu noc długa! jak leniwe słońce! —
Wzywam go, czekam — jak mego obrońcę,
Jak kresu mojej niedoli! —
I już, już coraz jaśniej i czerwieniej
Wschód się zajmuje, i smugi promieni
Buchają na niebios sklepie; —
I wnet krąg tarczy, napoły widomy,
Wyjrzał nad ziemię — i blask jej poziomy
Piorunem strzelił po stepie.

XVII.

„Słońce pogodne — i tuman kłębami
Zwija się, wznosi; — przed nami, za nami,
Stepy, pustynia, równina jak morze!
Końca nie dojrzeć! — lecz w całym przestworze,

Nigdzie człowieka ni ręki, ni śladu.
Powietrze nawet bez głosu i ruchu:
Nigdzie śpiew ptaka, nigdzie brzęk owadu,
Szmer nawet wiatru nie ozwie się w uchu.
Cisza i martwość! — Koń milę po mili,
Dysząc, że zda się pierś pęknie co chwili,
Pędzi, i resztą tchu robi bokami.
A wciąż jesteśmy — lub zdajem się sami. —
„Wtem jedną razą, rozległ się po błoni
Głos jakiś cudzy: — czy to rżenie koni?
Czy wiatr w gałęziach widomej dąbrowy? —
Nie, nie! to tętent — to tabun stepowy!
Widzę już, widzę, jak całe ich stado
Z lasu na pole wybiegło gromadą,
I w cwał, na przełaj, zabiega nam drogę! —
Chciałbym zawołać — próbuję — nie mogę. —
Ziemia się wstrząsa od echa ich biegu.
Pędzą, jak jazda w bojowym szeregu.
Lecz gdzież są jeźdzcy? — Wglądam się zdaleka:
Koni jest z tysiąc — żadnego człowieka! —
Z grzywami na wiatr, podjąwszy ogony,
Chrapiąc nozdrzami, harcują w przegony.
Rzędy po rzędach, na stepów przestworzu,
Czernią się, huczą, jak fale na morzu,
I w całym pędzie mkną ku nam przez błonia. —
Widok ich, zda się, wzmógł moc mego konia.
Pomknął się, zarżał — i jak martwe brzemię,
Zachwiał się — zarył — i runął o ziemię.
„Z dymiącem nozdrzem, tocząc piany białe.
Leżał — i nogi wyciągał zmartwiałe.

Skończył swój zawód pierwszy i ostatni! —
Kołem go zewsząd obiegł orszak bratni.
Patrzą się na mnie — zbliżają się — stają,
Parskną — odskoczą — i znowu wracają;
Znać że się dziwią i boją zarazem. —
A wtem — jak gdyby za danym rozkazem,
Wszystkie za jednym — znać wodzem ich stada,
Czarnym, roślejszym niż cała gromada,
Chrapiąc, parskając, kopnęły z kopyta!
W chmurach kurzawy, co z pod nóg ich wzbita,
Z hukiem stu gromów, tłum w stepy ucieka,
Jakby z instynktu przed twarzą człowieka! —
„Jam został jeden — z rozpaczą w mej duszy,
Na martwym koniu, co już się nie ruszy,
I chcąc się z niego odwiązać daremnie! —
Chłód jego śmierci przenikał aż we mnie,
Razem ze straszną pewnością, że społem
Popiół mój z jego zmięsza się popiołem. —

XVIII.

„I tak od rana do późnego mroku,
Leżałem pastwą mych myśli natłoku;
Żyjąc jak na to, by okiem gasnącem
Z ostatniem mojem pożegnać się słońcem,
I zajść z niem razem — tylko że na wieki! —
Od wszelkiej ludzkiej pomocy daleki,
W samej pewności straszliwego losu
Znalazłem siłę na zniesienie ciosu,
Przed którym serce i natura ludzi
Truchleją równie; — choć ich już nie łudzi

Świat; chociaż mdlejąc od pracy i znoju,
Nie chcą innego szczęścia — prócz pokoju,
Którego, wiedzą, że niema na świecie,
Że w grobie tylko znaleźć go; — a przecie,
Tak drżą przed grobem, i mijają kołem,
Jakby grób tylko był zdradzieckim dołem,
Co go się ustrzedz i uniknąć można,
Byle roztropność i baczność ostrożna! —
I śmierć — choć nieraz zwana głosem jęku,
Nieraz szukana z krwawym mieczem w ręku,
Śmierć, gdy się zbliży — w jakąkolwiek porę —
Człowiek w niej zawsze obaczy potworę.

XIX.

„A jednak dziwna! że nieraz piastuny
Szczęścia, przepychu, zbytku i fortuny,
Co z wiecznym śmiechem na czole i ustach,
Godują w świecie i toną w rozpustach,
Konają nieraz spokojniej i śmielej,
Od tych, co tutaj nic prócz łez nie mieli! —
Bo człowiek w szczęściu, któremu niczego
Nie brakło nigdy, i który wszystkiego
Słodycz i gorycz poznał po kolei,
Cóż ma do żądzy, i co do nadziei,
Prócz chyba przyszłych, niezmiennych radości,
Gdy mu je wiara zwiastuje w wieczności?
A bez nadziei i żądzy, cóż znaczy
Życie na ziemi? — Nieszczęśnik inaczej.
Wtrącony w przepaść, z wszystkiego obrany.
On zawsze jakiejś spodziewa się zmiany,

Ulgi, pociechy; — i choćby dlań w świecie
Śmierć była ulgą jedyną: — on przecie,
Widzi w niej wroga, który mu w zawięzi
Chce owoc szczęścia strząść z rajskiej gałęzi! —
Jutroby może był panem dostatku,
Otrząsł się z cierpień, podniósł się z upadku:
Jutroby pierwszem być mogło ogniwem,
W paśmie dni jego nowem i szczęśliwem,
Nagrodą długich i mąk i wytrwania;
Jutroby może dopiął panowania,
Władzy, potęgi; zawistnych prześcignął,
Starł nieprzyjaciół, przyjaciół podźwignął;
Od jutra może spodziewać się tyle —
Maż mu to jutro świtać na mogile? —

XX.

„Zachód już blisko; — jam leżał jak z rana,
Licząc minuty, aż śmierć pożądana
Przyjdzie ból skrócić i uśpić na wieki. —
Przez gwałt ku niebu podniosłem powieki,
I na powietrzu, między mną a słońcem,
Ujrzałem kruka — jak skrzydłem świszczącem
Krążył i krakał: — zdało się, że czeka,
By razem z koniem mógł żreć krew człowieka.
I coraz, coraz spuszczając się niżej,
Coraz mię kołem oblatywał bliżej.
W zmierzchu, widziałem, jak wisiał nade mną,
Świszcząc skrzydłami; a gdy już wpół-ciemno
Było na stepie — raz tak blisko z góry
Śmignął koło mnie — że szorstkiemi pióry

Rozwiał mi włosy i omusknął skronie.
Byłbym go schwytał, gdyby wolne dłonie! -
Lecz samo drgnienie przestrachu i zgrozy,
I skrzyp, co przez nie wydały powrozy,
I głos — jeżeli zwać głosem chrypanie,
Com ledwo z piersi wydobyć był w stanie —
Spłoszyły wreszcie krwiożercę. —
Co dalej — nie wiem; — tylko jeszcze jedno
Pomnę jak przez sen: — jakąś gwiazdkę błędną,
Jakieś światełko w iskierce:
Co gdzieś, daleko, przed mglistem spojrzeniem,
Migało bladym, niepewnym promieniem,
I przyświecało aż w serce.
I to, co w sobie w tej chwili doznałem,
Czując niknącą moc woli nad ciałem:
Jakąś mdłość, senność, lodowate mrowie,
Jakiś ból w sercu, jakieś iskry w głowie,
Coś nakształt trwogi dziecięcej:
Coś nakształt myśli, że to jest konanie;
I znów ból, zimno, konwulsyjne drganie.
Westchnienie — i już nic więcej! —

XXI.

„Budzę się — cóż to? czy jeszcze marzenie?
Czy wzrok mój ludzkie spotyka wejrzenie? —
Wkołoż mnie ściany wiejskiego mieszkania?
Toż-li wezgłowie miękkiego posłania? —
Jestże śmiertelnym, ten wzrok tak promienny,
Milszy mojemu od jasności dziennej,

Co tak z czułością wpatruje się we mnie? —
Drżę, by się jeszcze nie łudzić daremnie.
Wytężam oczy, poglądam ciekawie —
Nie! to nie mara! — nie! widzę na jawie.
Młoda dziewica, kształtna i wysoka,
Siedzi opodal, nie spuszczając oka.
I gdy ujrzała żem odzyskał zmysły,
Czarne jej oczy jak ogniem zabłysły,
I usta nagłym zadrgały uśmiechem. —
Powstawszy, ku mnie przybiegła z pośpiechem.
I widząc z ruchu ust moich, że chciałem
Przemówić do niej, lecz głosu nie miałem:
Palcem na ustach, i wstrząsając głową,
Dała znak milczeć: bym niewczesną mową
Strzegł się nadużyć wracającej siły,
Ażby się same powoli wzmocniły.
I rękę moją ująwszy swą dłonią,
Drugą wezgłowie podniosła pod skronią,
I ledwo stopą dotykając ziemi,
Poszła na palcach, krokami prędkiemi,
I stojąc w progu, przez drzwi wpół przemknione
Szeptała zcicha; — a słowa tłumione,
Rajskiemi dźwięki grały w mojem uchu. —
Patrzałem na nią — a ona bez ruchu
Postawszy chwilę — gdy widać uśpieni
Ci, których zwała: — wnet sama do sieni
Wyszła — lecz pierwej, wyraźniej niż słowy,
Twarzą i ręką dała mi znak nowy,
Bym był spokojny i czekał. — Gdy znikła,
Taka mię żałość objęła niezwykła,

Taka tęsknota: — że mi się zdawało,
Że życie za nią przez pół uleciało.

XXII.

„Wróciła z matką i ojcem kozakiem. —
Cóż mówić więcej? — jako mię przed nocą,
Znaleźli w stepie z nieżywym rumakiem,
I z chrześcijańską śpiesząc się pomoeą,
W dom swój przenieśli rękami własnemi —
Mnie — com miał kiedyś hetmanić nad niemi! —
„Tak ów okrutnik, co w swej zemście ślepej,
Chcąc zwiększyć boleść i męczarnie skonu,
Myślał, że na śmierć posłał mię na stepy,
Drogę mi tylko otworzył do tronu! —
Nikt z ludzi nie wie, co mu los przeznacza —
Lecz też niech żaden darmo nie rozpacza!
Co dziś złem zda się, na dobre wyjść może. —

„I byle prędzej ranne ujrzeć zorze,
I konie nasze pokrzepić noclegiem:
Wczas staniem jeszcze nad Dniestrowym brzegiem! —
I wyznać muszę, że nigdy śród spieki
Jeleń się chciwiej nie kwapił do rzeki,
Jak ja, by za nią ujść wrogów przemocy. —
Lecz dość już bajać. — Bracia! dobrej nocy!“ —

Skończył — i dłonią ku słuchaczom skinął —
Pogłaskał konia, burką się obwinął,

I na posłanie, dla niego nie nowe,
Legł, o pień dębu opierając głowę,
I zasnął wkrótce jak śród Ukrainy. —
Lecz gdy się może dziwicie, dla czego
Król nic mu nie rzekł o powieści jego?
Przyczyna prosta! — Król spał od godziny.

NIEBO I ZIEMIA

DRAMAT LIRYCZNY

LORDA BYRONA.

Treść niniejszego poematu oparta jest na następujących słowach Pisma Świętego, w księgach *Genesis,* w rozdziale VI:

„A gdy się ludzie poczęli rozmnażać na ziemi i zrodzili córki, widząc synowie Boży córki ludzkie, iż były piękne, wzięli sobie żony ze wszystkich, które obrali.

„A olbrzymowie byli na ziemi w one dni.

„A widząc Bóg, że wiele było złości ludzkiej na ziemi, a wszystka myśl serca była napięta ku złemu po wszystek czas, rzekł: Wygładzę człowieka, któregom stworzył, z obliczności ziemi i t. d".

Poema to liczone słusznie do najcelniejszych utworów swego autora, odznacza się nadto od wszystkich innych dzieł jego, oprócz może „Manfreda", osobnym swym stylem i tonem; i to jest, co mię zwłaszcza skłoniło, że je do tłomaczenia wybrałem. Nie wiem jak czytelnicy moi, nawykli zapewne do okrągłego toku wiersza i śpiewnego odbijania rymów, zniosą w niniejszym przekładzie różną nieco jego budowę, i ciągłe prawie w dyalogu zacieranie się tychże. Nie uprzedzając wcale ich sądu, winienem wszakże oświadczyć, iż jedno i drugie uważałem właśnie za główny warunek zachowania charakterystycznych cech oryginału.

OSOBY:

Rafael, archanioł.
Azaziel, Samiasa, } aniołowie.
Noe.
Sem, Jafet, } synowie jego.
Irad, przyjaciel Jafeta.
Anah, Aholibamah, } siostry, z rodu Kaimitów.

CHÓR DUCHÓW. CHÓR LUDZI.

Rzecz dzieje się przed potopem.

SCENA I.

Okolica górzysta i leśna w blizkości góry Araratu. (Północ).

Wchodzą: Anah i Aholibamah.

ANAH.

Ojciec nasz usnął; — siostro! oto pora
Gdy kochankowie nasi na obłokach
Zstępują ku nam! — Patrz, jak dziś ta góra
Nawisła mgłami! jaki szum w opokach!...
Serce mi bije.

AHOLIBAMAH.

Kolej dziś na ciebie,
Zacznij wezwanie!

ANAH.

Siostro! ja się trwożę.

AHOLIBAMAH.

Ja też — lecz tylko gdy myślę, że w niebie
Moc jaka wyższa zatrzymać ich może.

ANAH.

Aholibamah, siostro moja droga!
Nie wiem dla czego głos się nie ośmiela
Wyjść z piersi moich; — niepojęta trwoga
Ziębi mię dreszczem. — Wiesz, Azaziela

Jak kocham — siostro! kocham więcej może
Niż kochać wolno; — więcej niż — o! Boże!
Cożem rzec chciała? — jaka myśl bezbożna!...

AHOLIBAMAH.

W czem jest bezbożność? — Miałażby być zdrożna
Miłość aniołów? —

ANAH.

Lecz jest głos, co woła
W głębi mej duszy; że mniej kocham Boga,
Odkąd ujrzałam blask jego anioła! —
Nie! to nie dobrze! — nie! Aholibamah!
To nie jest dobrze! — i choć często sama
Nie wiem w czem grzeszę — ten strach źle mi wróży.

AHOLIBAMAH.

A więc dla czego masz się dręczyć dłużej
Związkiem z duchami? — raz jedno wybieraj!
Jafet cię kocha — kochał od lat wiela —
Idź zań! prządź, pracuj, ródź proch, i umieraj!

ANAH.

Nie! — jednak czuję, że Azaziela,
Choćby był równie śmiertelnym — ja przecie
Równiebym zawsze kochała! — choć lepiej,
Lepiej że nie jest; — nie będę na świecie
Płakała po nim! — Jak mię ta myśl krzepi!
I gdy pomyślę, że przyjdzie czas, kiedy
On nad mym grobem roztoczy swe skrzydła,
I będzie wiecznie pomniał o mnie: — wtedy
Śmierć traci dla mnie swą postać straszydła,
Chciałabym umrzeć — i tylko drżę o to,

Że końca jego nie będzie rospaczy,
Że nieśmiertelną, jak on sam, tęsknotą
Trawić się musi wiecznie!

AHOLIBAMAH.

Myśl więc raczej,
Że znajdzie drugą, którą, nim też skona,
Kochać jak ciebie będzie wiarołomnie.

ANAH.

Niechby tak było! byleby go ona
Kochała wzajem: — wolę, niżby po mnie
Płakać miał wiecznie.

AHOLIBAMAH.

Nie pojmuję ciebie!
Gdybym tak miała myśleć o kochanku,
Choćby sto razy był aniołem w Niebie,
Dziśbym go jeszcze wzgardziła na wieki! —
Lecz śpiesz się, siostro! — czuję woń poranku —
Śpiesz się z wezwaniem — dzień już niedaleki!

ANAH.

Serafinie!
W gwiazd krainie,
Gdzie bądź skrzydło twoje wionie:
Czy wespoły
Z archanioły
Przy Wiecznego czuwasz tronie:
Czy w przestrzeni nieskończonej
Jasnych światów miliony
Wiedziesz nynie:
Serafinie!

Ja cię wzywam: — usłysz w Niebie,
Pomyśl o mnie — ach! przynamnie:
Żem choć niczem jest dla ciebie,
Tyś, aniele, wszystkiem dla mnie!

Ty nie czujesz — ach! i oby
Nikt ich nie czuł, prócz mnie samej! —
Tych łez trwogi i żałoby,
Co tu ludzie wylewamy.
Tyś syn chwały, co bez końca;
Twoja piękność — promień słońca,
Istność — duch nieskazitelny,
Niezrodzony, nieśmiertelny! —
Cóż równego znajdziesz we mnie,
Prócz miłości — co daremnie
Tłumiąc, czuję, że zuchwała:
Jakiej żadna z córek ziemi,
Ni doznała, ni oblała
Jak ja łzami rzewniejszemi? —

Tyś stróż tronu Tego, który,
Tak cię równie w blask swój odział,
Jak pomiędzy swymi twory
Mnie najlichszej łzy dał w podział! —
Cierpię jednak, i nie winię
Na me losy, Serafinie!
Bo ty kochasz mię — pocieszysz,
Usłyszysz mię, i pośpieszysz! —
Pośpiesz, pośpiesz! bo czas płynie —
Mnie, nie tobie, Serafinie!
Mnie nie tobie chwila droga,

W której sercu grzech i trwoga
W każdej chwili walczyć śmieją
Z mą miłością i nadzieją! —

Lecz przebacz jęk boleści!
Boleść jest żywioł ludzi.
Rozkosz u was się mieści,
Nas tylko sen jej łudzi. —
Zstąp, zstąp! nim czas upłynie,
Luby mój Serafinie!
Rzuć gwiazdy! — gwiazdy w niebie
Świecić mogą bez ciebie; —
Ja biedna, ja nie mogę
Żyć nawet; — łzy i trwogę
Twój chyba wzrok ukoi. —
Zstąp, zstąp! niech twe przybycie,
Chwilą wieczności twojej
Moje rozjaśni życie!

AHOLIBAMAH.

Samiaso! gdzie bądź w górze
Dzierżysz władzę: czy gromami
Zbrojny, toczysz bój z duchami
Nieczystymi, co w oporze
Śmią się mierzyć z Niezrównanym?
Czy za światem obłąkanym
Pędzisz w pogoń: co w przestrzeni,
Za wskazany tór i krańce
Wybiegł, i sam, i mieszkańce,
Jak my na śmierć przeznaczeni,
Lecą w przepaść wiecznej zguby?

Czy to łącząc głos z Cheruby,
Których twoją gasisz krasą,
Śpiewasz Panu, co na niebie?
Samiaso!
Wołam ciebie, czekam ciebie, kocham ciebie! —
Inni niech ci biją czołem,
Ja nie będę; — lecz jeżeli
Dość ci na tem — zstąp! i społem
Duch twój z moim los niech dzieli! —

Chociem ja córka ziemi,
Ty syn promieni,
Jaśniejszych, niż któremi
Wschód się rumieni:
Nie możesz mi nic dać więcej
Prócz uczucia — ni goręcej
Czuć, jak czuję ja! — bo we mnie
Jest też promień, choć ukryty,
Lecz zatlony tam, skąd i ty
Blask swój wziąłeś! — I daremnie
Śmierć, pierwszego grzechu córa,
Grozi mi: ja się nie trwożę,
Nie! — czuję w sobie moc, która
Zwalczy śmierć! — Śmierć nas nie może
Rozłączyć — bośmy oboje
Nieśmiertelni! — W mojej duszy
Czuję nieśmiertelność twoję,
Potężniejszą od katuszy
Wszystkich trosk i cierpień ziemi;
W sercu mem, jak grom daleki,

Głos brzmi słowy proroczemi:
„Będziesz, musisz żyć na wieki!“ —
Lecz czy w szczęściu? — nie wiem tego,
Ani chcę badać wyroku,
Co skrył w tajemnic obłoku
Źródła dobrego i złego. —
On wie tylko, On, co w niebie! —
Lecz On sam nawet nie może
Zniszczyć nas: ni mnie, ni ciebie!
Nie może — bo dał nam z Siebie
To, co wszelką moc przemoże:
Duch swój! — we mnie skazitelnej,
Jak w Nim samym nieśmiertelny! —

Z tobą mogę bez bojaźni
Dzielić nawet wieczność kaźni,
Tak! boś ty się mógł ośmielić
Ze śmiertelną życie dzielić! —
I choćby mię żmije wkoło
Opasały: — choćbyś w żmiję
Ty się zmienił: — ja wesoło
Cierpiałabym, i na szyję
Twą upadłszy, sama w sobie
Śród mąk, czułabym rozkosze:
Że je za miłość ku tobie,
I razem z tobą ponoszę! —

Samiaso! wzywam ciebie,
Czekam cię! — Lecz jeśli mniemasz,
Więcej szczęścia doznać w niebie,

Niż tu sprawisz, i otrzymasz —
Zostań!

ANAH.

Siostro! patrz do góry!
Co za nagły blask!

AHOLIBAMAH.

To oni! —
Pół nieba w zorzach się płoni! —
Widzę ich, jak ponad chmury
Jasnemi szybują pióry!...

ANAH.

Cóż, gdy ojciec blask zobaczy?

AHOLIBAMAH.

Pomyśli, że wschód księżyca,
Co na klątwę zaklinaczy
Wszedł dziś wcześniej i przyświeca.

ANAH.

Patrz, patrz! już są blizko ziemi!

AHOLIBAMAH.

Śpieszmy! — obym skrzydła miała,
Na powietrzu jeszcze z niemi
Spotkać się! —

ANAH.

Co za wspaniała
Jasność! jak łuna szkarłatu
Nad zachodem gorejąca! —
Patrz! nad szczytem Araratu,
Tęcza, jakby z gwiazd tysiąca,
Lśni, iskrzy, mieni się, pali,

Rozszerza się — jak na fali
Wzruszona z dna morska piana,
Ślad drogi Lewijatana,
Gdy cały wzdłuż roztoczony
Igra sam po wód płaszczyznie,
I w przepaści niezgłębionej
Tonąc, gwiazdom w oczy bryźnie! —
Lecz patrz! patrz! już coraz w zmierzchu
Ślad ich ćmi się i zagasa —
Patrz! już stoją na skał wierzchu! —
Azaziel!

AHOLIBAMAH.

Samiasa! *(Wybiegają).*

SCENA II.

Wchodzą: IRAD I JAFET.

IRAD.

Nie płacz, bądź mężem! — po co między góry
Milczeniem swojem mnożysz ciszę nocy,
Lub tak ku gwiazdom wlepiasz wzrok ponury? —
Gwiazdy ci żadnej nie dadzą pomocy.

JAFET.

Tak! lecz mnie cieszą. — Któż wie czy i ona
Nie patrzy na nie teraz? — Mnie się zdaje,
Że każda piękna istota stworzona,
Patrząc na piękność, piękniejszą się staje,
Na wieczną piękność rzeczy nieśmiertelnych. —
O! moja Anah!

IRAD.

Wszak nie kocha ciebie.

JAFET.

Ach!

IRAD.

Znam ja gorycz uczuć niepodzielnych
Mnie też jej siostra odpycha od siebie.

JAFET.

Wiem i boleję nad tobą.

IRAD.

Nie bolej!
Jeśli mię ona poświęca swej dumie,
Moja też duma jej wzgardę znieść umie. —
Z czasem i na nią przyjść może taż kolej.

JAFET.

Czy się tem cieszysz?

IRAD.

Ni cieszę, ni smucę.
Kochałem szczerze — kochałbym był szczerzej,
Gdybym mógł mniemać, że wzajem ocucę
Miłość w jej sercu; — lecz widząc że mierzy
Wyżej — zostawiam ją jej przeznaczeniu,
W które snać wierząc, łudzi siebie sama.

JAFET.

W co wierząc?

IRAD.

Wnoszę, czytam w jej spojrzeniu
Że kocha.

JAFET.

Anah?

IRAD.

Nie! Aholibamah.

JAFET.

Kogo?

IRAD.

Ja nie wiem; znasz, czy ją kto zbada! —

JAFET.

Anah to chyba kocha Boga w niebie;
O to spokojny jestem.

IRAD.

Cóż ci nada,
Kogobądź kocha? dosyć że nie ciebie.

JAFET.

Prawda, lecz ja ją kocham.

IRAD.

Jam też kochał.

JAFET.

Jestżeś szczęśliwszym, żeś przestał, jak mniemasz?

IRAD.

Czyliż nim byłbym, gdybym jak ty szlochał?

JAFET.

Żałuję ciebie.

IRAD.

Mnie? — Czemu?

JAFET.

Że nie masz
W sobie już tego, co mnie w rozpacz wprawia.

IRAD.

Dziwnyś! — w tych słowach znać szał jej przemawia. —
Wierz mi, Jafecie! za żadne nagrody

Czuć, co ty czujesz, nie chciałbym na chwilę;
Nie, choćbyś wszystkie ojca mego trzody
Zważył, i za nie dał mi syklów tyle, *)
Owego kruszczu potomków Kaima,
O którym plemię ich tak wiele trzyma,
Że nas chce przezeń wciągnąć w handel z niemi: —
Jakby za podły piasek, wyrzut ziemi,
Za żółty proszek, co z wierzchu migoce,
Warto dać w zamian chleb, wełnę, owoce,
Lub inne rzeczy, któremi nas praca
Rąk naszych, albo natura zbogaca! —
Lecz pójdż, Jafecie! dość patrzeć na chmury,
I przeraźliwie wzdychać, jak wilk, który
Patrząc na księżyc całą noc wyć gotów. —
Ja idę spocząć.

JAFET.

Szczęśliwy, kto może! —
Bądź zdrów!

IRAD.

Nie wracasz ze mną do namiotów?

JAFET.

Nie! — pójdę jeszcze do jaskini w górze,
Przez którą, mówią, że duchy z pod ziemi
Wychodzić zwykły na świat.

IRAD.

Cóż ci do niej?

JAFET.

Miejsce to zgodne z myślami mojemi:
Żal dziki w dzikiej zmniejsza się ustroni.

*) Waga dawna hebrajska.

IRAD.

Ale czyż nie wiesz, jakie o tej dobie
Widma, jak mówią, wstępu do niej strzegą? —
Ja pójdę z tobą.

JAFET.

Zostań, dzięki tobie!
Nie mam złych myśli, nie boję się złego.

IRAD.

Ale złe duchy tem więcej ci mogą
Szkodzić, żeś nie jest z nimi. — Weź mię z sobą,
Lub zostań ze mną! — nie gardź mą przestrogą!

JAFET.

Nie! sam iść muszę.

IRAD.

A więc pokój z tobą! *(odchodzi).*

JAFET *(sam).*

Pokój! — szukałem go gdzie znaleźć mogłem,
W miłości — sercem, co jej warte było.
Cóż stąd? — daremnie siły duszy zmogłem,
Serce osłabło, w myślach się zaćmiło:
Dni nieprzebyte, nieuśpione noce,
Oto są całe mych starań owoce! —
Pokój! gdzież pokój? — w martwości zniszczenia?
Czy w ciszy lasu, co od dnia stworzenia
Stopą nietknięty, innego odgłosu
Niezna prócz burzy, gdy go ta druzgota?
Bo w nich jest wierny obraz mego losu,
Gdy mię żal tłoczy albo rozpacz miota. —
Świat zabrnął w zbrodnie; — głuchy na głos Boga,
Nie wie o gniewie Jego, ni o zmianach

Strasznych a bliskich; — daremna przestroga
Gróźb i złowieszczych wróżb! — O! moja Anah!
Gdy przyjdzie straszna godzina, że morze
Jak lew ryczący wyprze się z łożyska,
I wpadnie na świat: — jakbyś ty w tej porze
Ujść mogła zguby! i ponad zwaliska
Świata, objęciem mojem osłoniona,
Po świat niszczących bujać oceanach!
Świat mój byłby w twem sercu, a obrona
Twoja, w miłości mojej! — Moja Anah!
Gdybyś ty chciała być moją! — Daremnie!
Serc snać i losów nikt zmienić nie może.
I moje wiecznie krwawić musi we mnie,
Teraz i wtedy, gdy już ty... — O! Boże!
Nad nią przynajmniej zmiękcz srogość wyroków!
Bo ona czysta pomiędzy grzesznemi,
Czysta jak gwiazda, co choć w mgle obłoków,
Nie gaśnie jednak, ni spada ku ziemi! —
O! gdybyś była moją! lub przynamnie,
Gdybym cię wolną od twych ojców winy,
Jedną przynajmniej zbawić mógł! — nie dla mnie —
Nie! — byleś żyła: — gdy ocean będzie
Mogiłą ziemi, i ci, co dziś żywi
Pchną ją do zguby: — a jego jedyny
Pan i mieszkaniec, niewstrzymany w pędzie,
Nie spotykając ni skał, ni mielizny,
Sam Lewijatan z przestrachem się zdziwi
Nieskończonością swych państw i ojczyzny!

(Odchodzi).

SCENA III.

Wchodzą: Noe i Sem.

NOE.

Kędyż jest brat twój Jafet?

SEM.

Wyszedł w pole,
Zejść się, jak mówił z Iradem... Lecz pewnie
Błądzi, jak co noc, w swem zaklętem kole,
Wkoło namiotu Anah, kwiląc rzewnie,
Jak ptak nad pustem gniazdem; albo może —
Z czem, wiem, że nie rad powierzać się bratu —
Poszedł, jak nieraz, o północnej porze
Dumać w jaskini śród skał Araratu.

NOE.

Po co on do niej? Na całym złym świecie,
To miejsce jest najgorsze; bo w niem duchy
Gorsze od ludzi goszczą. — O! Jafecie!
Czemużeś wybrał, na głos ojca głuchy,
Niewiastę, której, choćbyś był kochany,
Pojąćbyś nie mógł? — Ach! serce człowieka!...
Gdy syn mój własny, wraz ze mną wybrany,
Znając złość świata i los co go czeka,
Mógł tak daleko zabrnąć i niepomnie! —
Pójdźmy go szukać.

SEM.

Ojcze! nie idź dalej!
Ja go sam znajdę.

NOE.

Nie lękaj się o mnie!

Kogo Pan wybrał, nad tym nie uczyni
Nic moc piekielna! — Będziem go szukali.
Pójdź!

SEM.

Do obozu sióstr?

NOE.

Nie! do jaskini. *(Odchodzą).*

SCENA IV.

Góry — jaskinia — skały Araratu.

JAFET *(sam).*

Dzikie pustynie! lochy, co się zdacie
Bez dna i granic! i wy dumne góry!
Tak niezachwiane w swych skał majestacie,
I tak wspaniałe w swej krasie ponurej:
W płaszczach z mgły białej, lub w zielonej szacie
Drzew, jak wy wiecznych, i jak wy nad chmury
Czołem wiejących! Któżby waszej sile
Nie ufał? w wieczne nie zawierzył trwanie? —
Przecież za kilka dni — może za chwilę,
Może w tej chwili — cóż z was pozostanie?
Gruz! — czcze igrzysko wód! co te otchłanie,
W piekieł aż zda się idące głębiny,
Po brzeg wypełnią, i gdzie swe posłanie
Miał lew, skaczące naniosą delfiny! —
A ludzie — ludzie! bliźni, bracia moi!
Któż z was zostanie, coby nad szerokim,
Jednym was wszystkich grobem — gdy was w swojej

Głębi pochłonie morze — z łzawem okiem
Wspomniał przynajmniej o was? — Przyjaciele!
Ziomkowie moi! jestżem ja tak wiele
Lepszy lub gorszy od was, że koniecznie
Przeżyć was muszę — wszystkich! — ach! i wiecznie
Tęsknić i płakać po was? — O! ty świecie!
Czyliż cię poznam, gdy po tylu zmianach
Wyjdziesz znów z grobu? — Gdzież wtedy będziecie
Miejsca rozkoszne! gdziem marzył o Anah,
Gdym się spodziewał serca jej: lub one,
Dzikie, lecz niemniej miłe mojej duszy,
Jaskinie, lasy, gdziem łzy niedzielone
Lał na jej srogość, lubując w katuszy? —

(Patrząc ku górze).

Być-że to może, aby ten szczyt skały,
Gdzie chmury niegdyś skrzydła swoje darły,
Co sam jak gwiazda lśni śród gwiazd — by wały
W głąb go zbić mogły, i w swych wirach starły:
Że jutro może zadziwione słońce
Próżno go jasnem szukać będzie okiem,
By jak dziś, naprzód na jego wysokiem
Czole, zwyciężać noc i jej mgły śpiące:
Lub przed zachodem, wieniec swych promieni
Zawieszać na nim: by nad światem wzbity,
Jak lampa świata świecił się w przestrzeni,
I zstępującym aniołom swe szczyty
Dzierżył za pierwszy stopień, gdy zesłani
Schodzą na ziemię lub w przepaść otchłani?—
Być-że to może, ażeby te słowa,

Straszne, okropne słowa: „już go niema!“
Tyczyć się miały tego skał olbrzyma,
I wszystkich rzeczy — prócz tych, co Jehowa
Rozkazał w arce zbawić ojcu memu? —
Możeż on zbawiać co chce? a jaż czemu
Nie mógłbym zbawić jednej — co bez zmazy,
Co najpiękniejsza z wszystkich córek ziemi?...
Nie miałbym zbawić jej — gdy sprośne płazy,
I zjadłe żmije z towarzyszmi swemi
Ujść mają zguby — by i przyszłą ziemię
Tchem swym zarażać, i na ludzkie plemię
Syczeć i kąsać, i w grząskich bagniskach
Czołgać się, które na świata zwaliskach
Długo stać będą i dymić — aż w końcu,
Z zgnilizny tego, znów jaki świat nowy
Wyjdzie, i wyschnie, i stwardnie na słońcu,
Razem mogiła i pomnik grobowy
Świata przeszłego: gdzie dziś jeszcze tyle
Miryad żyje — a jutro, za chwilę,
Tyle miryad umrze? — O! ty świecie!
Tak piękny i tak młody! w pełnym kwiecie
Życia i krasy! Jak ja kocham ciebie!
Jak mi żal ciebie! gdy co dnia, co nocy,
Liczę twe kwiaty, twe gwiazdy na niebie,
I krótkie chwile twoje! — Nie mam mocy
Ratować ciebie, jak i jej nie mogę,
Jej — co najbardziej wiąże mię do ciebie:
Lecz jak syn prochu twego, żal i trwogę
Czuć tylko muszę — jakich od stworzenia
Żaden nie doznał i doznać nie może,

Prócz mnie, co jeden z mojego plemienia
Wiem straszną przyszłość, i sam w lada porze,
Jeden, mam płakać na wszystkich pogrzebie! —
O! Boże! mógłżeś?... —

(Łoskot w jaskini i śmiechy. — Duch przelatuje).

JAFET.

W imię Jego!
Kto tu?

DUCH *(śmieje się).*

Cha, cha, cha!

JAFET.

W imię Wszechmocnego!
Mów, ktoś jest?

DUCH *(śmieje się).*

Cha, cha!

JAFET.

Przez potop i ziemię,
Co ma być pastwą morza! przez głąb, z której
Morze się wyprze! przez niebo, co brzemię
Chmur swoich zrzuci i zaleje góry!
Przez Tego, który
Stworzył i zniszczy świat ten poziomy!
Ty nieznajomy!
Ty niewidomy!
Duchu nieczysty! mnie nie ustracha
Śmiech twój szyderczy! — Czego się śmiejesz?

DUCH.

Czego łzy lejesz?

JAFET.

Nad ziemią, i nad jej dziećmi.

DUCH *(odlatując).*

Cha, cha, cha!

JAFET.

Jak duch nieczysty urąga z rozpaczy
I żalu mego! jak się cieszy z końca
Nieszczęsnej ziemi! — nad którą krąg słońca
Wejdzie, i nigdzie życia nie zobaczy! —
Jak cicho wkoło! — Ziemia śpi — i ludzi,
I wszystkie twory sen objął — jak cichy,
Jak snać spokojny! — i może ich łudzi
Długą przyszłością szczęścia, chwały, pychy!...
Cóż, gdy się zbudzą i ujrzą śmierć?...
(Łoskot w jaskini). Kto tu?
Kto? mów! co w nocy czając się zakryciu,
Szepcesz i migasz tylko jak śmierć w życiu? —
Mów! bo się twego nie boję łoskotu!

(Duchy wylatują z jaskini).

JAFET.

Co za szum!
Z dołu i z góry,
Co za tłum!
Lecą jak chmury!

CHÓR DUCHÓW.

Radość nam!
Ohydne plemię,
Z rajskich wygnane już bram,
Że dało zwieść się nam,
Że chciało zrównać nam,

Mądrością bez naszej mocy:
Traci nynie
I tę ziemię,
I tej nocy
Całe plemię
Zginie, zginie!
Radość nam!
Nie czas ich, nie nędza, nie mór, nie żelazo,
Nie troska po jednym wydusi;
Wszyscy za jedną razą,
Co żyje, zginąć musi! —
Świat i lud
W głębi wód!
Dziś ich ostatni wschód! —
Cha, cha! tak chce On sam!
Tryumf nam!
Ocean z swoich tam
Wyjdzie i zajmie glob,
Ich świat, ich tron, ich grób,
Jak oni, trup! —
Cha, cha! będziem słyszeli,
Ich jęk, i ryk topieli,
Lecącej z wszystkich stron:
Cha, cha! ujrzym ich zgon!
I dzień, gdy ich nie będzie! —
Śmierć wszędzie!
I nigdzie tchnienia, prócz wichrów zhukanych,
I nigdzie ruchu, prócz fal rozdąsanych,
I nigdzie nawet wierzchołka skał,
By ku nim anioł zstąpić gdzie miał,

By pomoc dał:
Cha, cha! niechajby chciał!
Lub niechby tam sami z rozpaczą się wdarli,
By widzieć, co wszędzie
Na ziemi:
By widząc jak drudzy, jak wszyscy wymarli,
Przeczuwać, co będzie
I z niemi!
Cha, cha! mieć będziem dość!
Potop — śmierć — czczość —
To świata gość!
Z południa na północ, z zachodu na wschód,
Nic prócz wód!
Od końca do końca, od dołu do szczytu,
Nic oprócz obłoków i fali błękitu!...
Świat barw, pstry w różny wzór,
Kwiat łąk, cedr gór,
Dąb, i skał zrąb,
Pochłonie głąb! —
Któż widząc zgadnie
Co znikło na dnie
W jej toni?
Komu da dociec,
Albo odsłoni,
Ten co sam władnie,
Co będzie po niej:
Świat? złom? —
Kto się ośmieli
Na jej topieli
Wznieść dom?

JAFET *(występując)*.

Mój ojciec!
On z swą rodziną! —
Nie ludzkie plemię,
Źli tylko zginą,
Co każą ziemię:
To Pański sąd! —
Słyszycie? precz więc stąd!
Sprośni szatani!
W przepaść otchłani
Precz w wieczną noc!
W Nim, nie w was moc
Karać za grzechy
Świat nasz i nas;
Czcze wasze śmiechy!
Waszej pociechy
Nie przyszedł czas! —
Precz więc, precz do swych jam!
Aż was i tam,
Potop dosięże,
I jako węże
Na wierzch wypławi:
Byście noszeni
Wiatrem w przestrzeni,
Czuli moc Pana,
Co starł szatana,
A nas choć skarał — wybawi!

DUCH.

Synu Noego!
Gdy ty z rodziną,

Jedni z całego
Rodu waszego
Ujdziecie żywi,
Gdy wszyscy zginą,
Będziecież lepsi albo szczęśliwi? —
Nie! — nowy świat i ludzie,
W grzechu i trudzie
Jak dziś żyć będą: lecz pośledniejsi,
Słabsi i mniejsi
Od tych olbrzymów, co dziś zuchwale,
Dumni w swej chwale,
Depcą tę ziemię:
Aniołów plemię
Z matek ziemianek; — wy ich dziedzice,
Prócz tej różnice,
Weźmiecie tylko po nich — trosk brzemię.
Czyż się nie będziesz rumienić,
Sam jeden na wszystkich grobie,
Jeść, pić, zalecać się, żenić,
I płodzić proch równy sobie?
Z sercem tak nizkiem, z tak bezwstydnem czołem,
Że na sam obraz takiego zniszczenia,
Nie masz dość męztwa ni żalu, by społem
Chcieć zginąć raczej niż szukać zbawienia!
Któżby chciał przeżyć wszystkich braci swych?
Kto? prócz głupich lub złych? —
My nienawidzim was,
Bo ród nasz różny od siebie:
Lecz patrzaj! każdy z nas
Wyrzekł się tronu w niebie,

Raczej, niż żeby obojętny świadek,
Patrząc na braci upadek,
Lękał się z nimi podzielać męczarnie! —
Idź, nędzny! żyj i giń marnie!
A gdy świat potop ogarnie,
Tak, że on nawet spojrzawszy na ziemię,
Wzdrygnąć się musi nad woli swej czynem:
Gardź ojcem swoim, że przeżył swe plemię,
I sobą, żeś jego synem!

CHÓR DUCHÓW *(wylatując z jaskini).*

Śpieszmy się, cieszmy!
Dziś nasz czas!
Śmiertelnik podły
Swojemi modły
Nie spłoszy nas!
Nie będzie czcił,
Proch, pył!
A my, co nigdy nie czcili
Tego, co tak chce czci,
Że zwłokę jednej chwili,
Wiecznością kary mści:
My, my obaczym wyparcie się toni,
Aż jeden żywioł czynić będzie dzieło
Wszystkich w chaosie. — A oni, a oni!
Czcze zlepki gliny, dumni z swej nicości,
Którym się niebo osiągnąć pragnęło,
Zginą! — a wiatrem rozwiane ich kości,
Bielić się będą po mrocznych przepaściach,
Po niedostępnych gór i skał urwiskach,

Gdzie głąb w swych coraz srożejąc napaściach,
Ścigać ich będzie w ostatnich łożyskach;
Gdzie nawet dzikie bestye w popłochu
Zbędą srogości, jak w pierwszych dniach świata,
I przy jagnięciu tygrys w tymże lochu
Kryjąc się legnie, jakby obok brata,
I zginą razem; — aż znów wszystkie rzeczy
Będą jak były: martwe, niestworzone,
Prócz niebios w górze! — którym niech złorzeczy
Ten, co zostanie: gdy z nim przymuszone
Zawrze sojusze śmierć; — śmierć, co ocali
Tę błahą resztkę dawnego stworzenia,
Na przyszły zasiew żniw swych; — i gdy słońce,
Z osiadłych mułów potopowej fali,
Wypiecze nowy świat: — z tego nasienia
Wzejdą dla czasu nowych lat tysiące,
Nowe istoty, i dawne cierpienia,
Zazdrość, nienawiść, praca i niewola.
Aż póki... —

JAFET *(przerywając).*

Przedwieczna Wola
Nie wytłómaczy ludziom snu tego,
Powikłanego dobrego i złego;
I pod wszechmocnej skrzydło opieki,
I wszystkie wieki,
I wszystkie rzeczy,
I ród człowieczy,
Wziąwszy, odkupi — i moc piekielną
Zwalczy na wieki!
I pokutnicy, ziemi skruszonej,

Jej pierworodny wdzięk przyrodzony,
Raj nieskończony,
Wróci, z litości nad skazitelną;
Gdzie człek, czcząc w sobie duszę nieśmiertelną,
Nie zdoła więcej jak niegdyś przewinić,
Gdzie zły duch nawet będzie dobre czynić!

DUCH.

Cha, cha! i kiedyż to cudo nastąpi?

JAFET.

Gdy Zbawca zstąpi!
Naprzód w ubóstwie,
A potem w chwale. —

DUCH.

Tymczasem w mnóstwie
Nędz swych, zuchwale
Klnąc tylko na nie, cierpcie nikczemnie,
Aż świat wasz w proch się rozwieje!
Walczcie z sobą, i z niebem, i z piekłem — daremnie,
Aż niebo poczerwienieje
Od krwi dymiącej z waszych bitew pola! —
Zmienią się czasy, rzeczy, kraje, ludy,
Lecz pozostaną bez nowej pociechy,
Też same grzechy,
Łzy, troski, trudy,
Zbrodnie — i matka ich: wasza zła wola! —
Też same burze
Serc, jak w naturze
Wichry i gromy,
Szaleć w was będą: i ten poziomy

Świat wasz i plemię
Pochłoną — jak potop ziemię! —

CHÓR DUCHÓW.

Cieszmy się, duchy!
Śmiertelny! bądź zdrów! —
Słyszym już, słyszym, jak wałów szum głuchy
Wzmaga się, rośnie, jak ryk głodnych lwów.
Wichry, jak orły, podnoszą swe pióra,
Każda swe źródła napełniła chmura,
W dole i w górze,
Niebo i morze
Otwarły swoje upusty; — a ludzie!
Ślepi jak byli
Od pierwszej chwili,
Trwają w ułudze!
Nie widzą znaków złowieszczych; nie słyszą
Co my słyszymy: ponad ziemską ciszą
Gromadzących się gromów; jak z obłoku
W obłok przechodzą, i hasła wyroku,
Na wpół zatlone, czekają, i drzemią.
Płacz, płacz! o! ziemio!
Grób twój jest bliższy, niż niedawna jeszcze
Kolebka twoja! — Drżyjcie! o! wy góry!
Chwila wybija — gdy morze i deszcze
Szczyt wasz zaleją; a morskie potwory,
Poziome płazy, i konchy ślimaków,
Czepiać się będą, gdzie dziś króle ptaków
Gniazda swe ścielą! — O! jakże zakraczą
Z żalem, z rozpaczą!

Spłoszone same, i próżno do góry
Zwąc swe pisklęta nieodziane pióry.
I słysząc tylko z ich krzykiem pospołu
Szum fal rosnących! — a człowiek od dołu
Patrząc na nie, zazdrościć im będzie
Skrzydeł szerokich — niezdatnych im na nic!
Bo gdzież je zwiną? kiedy tylko wszędzie
Śmierć i grób — woda — bez dna i bez granic?

Cieszmy się! tryumf nam!
Z przepaści jam
Do chmur,
Radośny wznieśmy chór,
Nad ruiną
Świata tego! —
Wszyscy zginą!
Prócz jednego,
Szczepu Seta pokolenia,
Zbawionego od zniszczenia,
Na cierpienia!
Lecz ród Kaima,
Olbrzym w olbrzym,
Lecz córki jego, chlubne urodą,
Zalegać będą martwe pod wodą,
Lub na wznak na niej — z rozpuszczonemi
Włosy długiemi,
Martwem obliczem będą się żalić
Na srogie nieba: co ich ocalić,
Co nie raczyły mieć w swej obronie,
Istot tak pięknych nawet po zgonie! —

Darmo! On, Przeznaczenie,
Co rzekł, nie przeinaczy;
I po ogólnym jęku rozpaczy,
Ogólne śmierci milczenie
Ogarnie ląd! —

Nam czas, czas lecieć stąd!
Świt się już bieli,
Mgły nocne bladną.
Lećmy weseli!
Nim słońce strzeli,
Ujrzym, jak zbladli
Iść będą na dno
Wściekłej topieli! —
Myśmy upadli,
Oni upadną!
Lećmy weseli!

(Duchy wznoszą się w górę i znikają).

JAFET *(sam).*

Bóg sam obwieścił przeznaczenie ziemi,
Enoch niem groził w księgach,*) których słowa,
Jak gromy w chmurze, grzmią ponad grzesznemi;
I rady ojca mego, i budowa
Arki Przymierza, i same złe duchy,
Czyniące z naszych klęsk urągowiska,
Głoszą je światu — a świat jak był, głuchy,
Wprost leci w przepaść; co choć już tak bliska,

*) Księgi Enocha, zachowane u Etyopczyków, miane są przez nich za przedpotopowe.

Tak nieuchronna: — zatwardziałej duszy
Ludzi nie wzrusza — jak jęk ich nie wzruszy
Sprawiedliwości Boga, i wylewu
Wód, spełniających dzieło jego gniewu! —
Jak cicho wkoło! na całej przestrzeni
Nie widać jeszcze żadnych groźnych znaków;
Brzask, jako zwykle, tli się, i rumieni
Chmury, strzegące swoich zwykłych szlaków.
I słońce wkrótce po nad dniem zniszczenia
Wejdzie — jak weszło w czwartym dniu stworzenia,
Gdy Stwórca rzekł mu; „świeć!“ i zaświeciło —
Nie ludziom jeszcze — ale obudziło
Słodszy od głosu ludzkiego, głos ptaków:
Co jak anioły, swobodnemi pióry
Wznoszą się w niebo, i jak oni sami,
Łącząc swe pieśni w napowietrzne chóry,
Dawcę dnia, codzień witają przed nami! —
I oto chwila — gdy śród chmur i lasu
Pieśń ich wnet zabrzmi; i jasny krąg słońca
Wejdzie, nieświadom tak bliskiego końca
Istot, które ożywia, ani czasu
Który im mierzy! — Ptaki z wdzięcznym głosem,
Nucąc, zapadną w głąb bez dna i brzegu;
Słońce, po jasnym krótkich dni obiegu
Ha! wejdzie! — ale nad czem? — nad chaosem,
Co był przed czasem, i dziś przed obliczem
Słońca odrodzon, czas znów czyni niczem. —
Bo czas bez życia, cóż jest? — nicość! sprzeczność!
Czas dla stworzenia jest tem, czem jest wieczność
Dla Stworzyciela — co sam nieskończony!

Wieczność bez Niego, stałaby się czczością;
Czas bez człowieka, dla niego stworzony,
Kona z człowiekiem; — i równie wiecznością
Pochłonion zginie — jako ludzkie plemię
W bezdennej głębi wód chłonących ziemię! —
Ktoś idzie? — ludzie, czy niebieskie duchy? —
Jak piękne! twarzy nie widzę — lecz ruchy,
Lecz ich postaci na tle czarnej góry! —
Idą w mgle, jakby płynęły! — Po sprośnych
Duchach, co wiążąc swe piekielne chóry,
Z łez mej boleści, szyderczymi śmiechy,
Tryumfowały w urąganiach głośnych:
Widząc ich, czuję jak promień pociechy! —
Któż wie czy nawet — o com razy tyle
Błagał za światem: — czy nie niosą może
Wyroku łaski, zwłoki — choć na chwilę —
Na chwilę skruchy i żalu? — O! Boże!
To Anah!

SCENA V.

Wchodzą: Samiasa,*) Azaziel, Anah i Aholibamah.

ANAH *(postrzegając Jafeta).*

Jafet!

SAMIASA.

Adamita!

AZAZIEL *(do Jafeta).*

Po co,
Skąd tu przyszedłeś? sam, tak późną nocą,
Gdy bracia twoi śpią wszyscy?

*) Czyt. *Samijasa.*

JAFET.

Aniele!
Cóż mi odpowiesz, gdy się wzajem ciebie
Twojemi słowy zapytać ośmielę:
Po coś jest tutaj, gdyś powinien w niebie?

AZAZIEL.

Cóż to? nie pomnisz? nie wiesz, że w podziele
Na nas przypadło, mieć w straży twe plemię
I świat?

JAFET.

Nie dzisiaj! — gdy występną ziemię,
Nietylko dobre duchy, co ją strzegły,
Ale złe nawet z przestrachem odbiegły,
Wiedząc o strasznych i bliskich jej zmianach.
Wy tylko jedni... — Anah moja! Anah!
Tak próżno, chociaż tak długo i stale
Kochana przez mię! po coś ty tu z niemi,
Gdy żaden dobry duch nie jest na ziemi? —

ANAH.

Jafecie! nie śmiem mówić — ale, ale...
Przebacz mi!

JAFET.

Obyć przebaczono w niebie,
Gdy już przebaczać nie będą nikomu! —
Bo w błąd cię wiodą.

AHOLIBAMAH.

Dość! precz stąd do domu,
Dumny proroku! nie chcemy znać ciebie.

JAFET.

Przyjdzie czas może, że mię poznasz lepiej,
A siostra twoja pozna, jakim byłem
Dla niej, i dla was: — bo głusi i ślepi
Posłyszą — ujrzą — pojmą, co mówiłem.

SAMIASA.

Słuchaj mię, synu Patryarchy! który
Czysty był zawsze przed Bogiem! Skąd w tobie
Gniew, jakby ku nam, i żal tak ponury?
Czemeśmy mogli, ja lub on, w tej dobie
Krzywdę ci zrobić?

JAFET.

Krzywdę! ach! i jaką! —
Ale nie! — Czuję, że choć równie ze mną
Stworzona, równie śmiertelna: wszelako
Nie wart jej byłem, i nigdy wzajemną
Miećbym jej nie mógł. — Anah! bywaj zdrowa!
Nieraz z ust moich słyszałaś te słowa,
Lecz dziś ostatni raz słyszysz. — Anieli!
Lub ktobądźkolwiek jesteście! o jedno
Pytam was tylko: czy będziecie chcieli,
Czy macie władzę, przed zgubą niezbędną,
Zbawić ją — zbawić obie?

AZAZIEL.

Jaką zgubą?

JAFET.

Cóż to? nie wiecie? Czyliżbyście mieli,
Dzieląc grzech z ludźmi, dzielić też ich grubą
Ślepotę i jej karę? lub przynamnie
Smutek mój? —

SAMIASA.

Smutek? — Mógłżem wróżyć sobie,
By proch miał mówić zagadkami dla mnie?

JAFET.

Jeśli ich Pan twój nie rozwiązał tobie,
Biada wam! i im z wami!

AHOLIBAMAH.

Niech tak będzie!
Jeśli kochają, tak, jak są kochani,
W nas znajdą niebo — byle z nami wszędzie,
Jak my je z nimi znajdziem — choć w otchłani!

ANAH.

Ach! siostro, siostro! nie mów tak!

AZAZIEL.

Dla czego? —
Boisz się przy mnie? —

ANAH.

Ach! o ciebie tylko!
Bo chętnie resztę szczęścia śmiertelnego,
I życia oddam, byle smutną chwilką
Nie zaćmić nigdy twej wieczności koła!

JAFET.

Toż więc dla niego? tak jest! dla anioła,
Zrzekłaś się, widzę, serca Adamity! —
Ale to mniejsza! — byleście, on i ty,
Wzajem dla siebie nie zrzekli się Boga!
Bo przed Nim związki duchów z śmiertelnemi
Nie znajdą łaski; bo cel nasz i droga
Różne są od ich: — nam praca na ziemi,

I śmierć; im niebios gwiazdziste pobyty,
Rozkosz i wieczność! — Biadaż! jeśli niemi,
Wzgardzą dla prochu! a proch w dumę wzbity,
Dla nich, zalśniony promieniem ich czoła,
Zapomni Boga! — Lecz jeśli cię może
Anioł ten zbawić: — zostań z nim w tej porze,
Gdy moc niebieska chyba zbawić zdoła.

ANAH.

Ach! on nam wróży śmierć!

SAMIASA.

Śmierć? — nam śmierć wróżyć,
Lub tym co z nami? — Gdyby nie łzy twoje,
Śmiertelny! śmiać się musiałbym, nie trwożyć.

JAFET.

Śmiej się! — O siebie ja też się nie boję,
Ani nad sobą płaczę! — jam bezpieczny:
Nie dla mych zasług — lecz dla cnót rodzica,
Co prosty w drogach życia, i stateczny
W wierze przed Panem, sprawił, że prawica
Jego dziś z nami. — Lecz oby wam dano
Moc zbawiać drugich!... lub gdybym zamianą
Życia mojego za Jej — która sama
Wiąże mię tylko do życia — mógł dla Niej,
Najniewinniejszej z wszystkich cór Adama,
Okupić miejsce w arce, gdy wybrani
Synowie Seta wejdą w nią!...

AHOLIBAMAH.

Zuchwały!
Toż więc śmiesz mniemać, że my, krew Kaima,

Pierworodnego w raju, że my córy
Takiego ojca: że mybyśmy chciały
Mięszać się z wami? ze krwią Seta? który
Ostatni owoc skrzepłej krwi rodziców,
Dziedzic ich tylko tułactwa i chory,
Tak z ojcem naszym nic wspólnego niema,
Jak raj z tym światem: jak wdzięk naszych liców
Z wdziękiem cór waszych: albo jak postaci
Młodzieńców naszych, z wzrostem twoich braci?
Nie! nigdy, nigdy! chociażby od tego
Zależeć miało ocalenie świata! —
Ród nasz był zawsze zdala od waszego:
Wszystko nas dzieli — strach pewno nie zbrata.

JAFET.

Aholibamah! przecz się wzruszasz gniewem?
Nie z tobą mówię. — Zbyt wiele z Kaima
Wzięłaś z krwią jego, coć tak w pychę wzdyma,
Jakby ją wsławił bratniej krwi rozlewem! —
Ale ty, moja Anah! — Zwę cię moją,
Choć nią nie jesteś! — ach! bo z tym wyrazem
Rozstać się wtedy — gdy z tobą zarazem
Rozstać się muszę — nie śmiem; — lecz na twoją
Litość się spuszczam, że mi to przebaczy. —
O! moja Anah! ty, którąby raczej
Zwać córką Abla; takeś niepodobna
Do cór Kaima; chyba, że nadobna
Licem jak one!

AHOLIBAMAH.

Dość niewczesnej mowy!
Chcesz jak wąż w raju, pochlebnemi słowy

Przelać w jej duszę jad, co płonie w twojej. —
Ja, gdybym miała podzielać twe zdanie,
Gdybym myślała, że w niej, siostrze mojej,
Jest coś z krwi Abla!... — Lecz precz stąd, szatanie!
Kusisz mię! — kłótni szuka twoja zawiść.

JAFET.

Córko Kaima! zazdrość i nienawiść
Kaim wszczął pierwszy.

AHOLIBAMAH.

Kaim nie był wrogiem
Ojca twojego; nie zabił mu synów.
Przecz chcesz być sędzią innych jego czynów,
Które są tylko między nim a Bogiem? —

JAFET.

Prawda! zbłądziłem. Pan go sądzić będzie. —
Anibym mówiąc wspomniał, że przewinił,
Gdybyś się sama, w gniewnych słów zapędzie,
Nie zdała chełpić z czynu, co uczynił;
A nawet... —

AHOLIBAMAH.

On jest ojcem ojca mego,
Syn pierworodny sił ludzkiej natury,
Przed jej upadkiem; miałażbym się jego
Wstydzić? lub zaprzeć rodu mego, który
Wszystko czem słynie, po nim odziedziczył? —
Patrz! któż śmie z nami stanąć w porównanie:
Z pięknością w twarzach? z wzniosłością w posta-
Z długością naszych dni? [ciach?

JAFET.

Pan je policzył!

AHOLIBAMAH.

Niech i tak będzie! lecz póki ich stanie,
Chlubić się będę w ojcu mym i braciach!

JAFET.

Ród Seta w Bogu tylko szuka chluby. —
A ty, o! Anah?

ANAH.

Co bądź Bóg przeznaczy,
Bóg jeden nad wszystkiemi — wiem, że trzeba
Znieść bez szemrania — oby bez rozpaczy! —
Lecz gdybym mogła w dniu powszechnej zguby,
Co ma przyjść, mówisz, prosić o co Nieba:
Jedyną prośbą byłoby, bym sama
Nie pozostała w życiu: gdy nikomu
Z mego plemienia, rodziny i domu,
Pan nie przepuści. — O! Aholibamah!
Cóżby był dla mnie świat, lub inne światy,
Lub sama wieczność? bez miłej przeszłości —
Bez ciebie, ojca; bez waszej miłości,
I bez tych wszystkich rzeczy, co jak kwiaty,
Rozkoszną ziemię stroiły przedemną;
Albo jak gwiazdy, świecące w noc ciemną,
Ciągnęły oczy by w niebo spozierać? —
Ach! jeśli dla nas niebo nie z kamienia,
Siostro! proś, módl się! błagaj przebaczenia! —
Śmierć tak jest straszna — gdy ty masz umierać!

AHOLIBAMAH.

Cóż to? czyż słowa płonnych marzycieli,
Co swoją arką siebie tylko straszą,
Zachwiały ciebie? — Patrz! czyż nie anieli
Czuwają przy nas? dzielą miłość naszą? —
A nawet bez nich — czyżby już innego
Nie było środka, jak u stóp Noego
Żebrzeć o życie? Wolałabym raczej!... —
Lecz po co wznawiać dzikie jego mary,
Twór niewzajemnych uczuć i rozpaczy,
Albo wyziewów tej mrocznej pieczary? —
Patrz! któżby z posad wzruszył te opoki,
Tę całą ziemię? albo te obłoki
W ocean zmienił? albo z ziemi morze
Podniósł ku niebu? — Patrz! zważ! kto to może?

JAFET.

Ten, co to wszystko jednem słowem stworzył.

AHOLIBAMAH.

Kto słyszał słowo to?

JAFET.

Świat co niem ożył. —
Śmiejesz się? — spytaj twojego obrońcy!
Jeśli jest anioł — stwierdzi prawdę Jego.

SAMIASA.

Aholibamah! to Bóg wszechmogący!

AHOLIBAMAH.

Jam zawsze czciła Boga — stwórcę mego:
Boga miłości, nie smutku.

JAFET.

Niestety!
Czyż miłość sama nie jest także smutkiem?
Nie tylko miłość męża i kobiety,
Trwająca krótko w życiu naszem krótkiem:
Lecz sam Przedwieczny, gdy w łonie miłości
Swojej świat począł: czyż nie miał przyczyny
Smucić się w krótce: gdy na jego syny
Wzniósł — bo wznieść musiał — miecz sprawiedliwości?

AHOLIBAMAH.

Tak powiadają.

JAFET.

Tak jest bez wątpienia.

SCENA VI.

Ciż, Noe i Sem *(wchodzą)*.

NOE.

Tużeś, Jafecie! i w jakiej potrzebie
Przebywasz społem z dziećmi zatracenia? —
Drżyj! by ich wyrok nie dosiągł i ciebie.

JAFET.

Ojcze! czyż grzechem byłyby me chęci,
By dźwigać z grzechu dzieci wspólnej ziemi? —
Patrz! nie chodziły między występnemi,
Kiedy je strzegą aniołowie święci.

NOE.

Święci? — czy raczej nie z tych, co swe chóry,
I jasny niebios rzuciwszy przybytek,

Zchodzą, zwabieni licem Kainitek,
Synowie niebios, pojąć ziemi córy?

SAMIASA.

Tyś rzekł.

NOE.

O! biada! biada! trzykroć biada,
Podobnym związkom! — Czyż Bóg nie zakreślił
Granic niebu i ziemi? nie obmyślił
Ludziom i duchom, gdzie którym posada? —

SAMIASA.

Tak! ale czyliż nie na obraz Siebie
Stworzył człowieka? Czyż go nie miłuje
Sam, i nie każe drugim? — Pytam ciebie:
Możeż być winnym, kto Go naśladuje?

NOE.

Jam tylko człowiek; Pan mię nie postawił
Sędzią nad ludźmi — cóż nad syny swemi? —
A wszakoż z tego, co mi Sam objawił,
Wiem, że te zejścia na padoły ziemi
Duchów niebieskich — i to jeszcze w chwili
Skarania świata — nie są dobrem wcale.

AZAZIEL.

Co? nawet wtedy, gdybyśmy zstąpili
Zbawiać?

NOE.

Archanioł w całej swojej chwale,
Nie zbawi, kogo Pan zgubić umyśli —
A zaś, gdybyście za Jego rozkazem
Jako snać mówisz, ludzi zbawiać przyszli:

Litośćby wszystkie objęła zarazem,
Nie te dwie tylko; co choć niezrównane
Licem — są równe grzeszne, i skazane
Na śmierć.

JAFET.

Ach! ojcze! nie mów tak!

NOE.

Jafecie!
Jeśli cię trwożą wina i zatrata:
Zapomnij o nich! — o nich, i o świecie,
Że był i zginął; — ty, przyszłego świata
Dziedzic wybrany!

JAFET.

Obym zginąć raczej
Mógł z *tym,* i z *temi!*

NOE.

Wartbyś za to słowo;
Lecz Pan obietnic swych nie przeinaczy.

SAMIASA.

Przeczżeby nad twą i nad jego głową
Bóg czuwał więcej, niż nad temi, które,
On, syn twój własny, przenosi nad siebie?

NOE.

Zapytaj Tego, który twą naturę
Uczynił wyższą od mojej, a ciebie
Wyższym odemnie: a zarówno obu
Poddał Swej woli, i nie dał sposobu
Zbadać jej przyczyn! — Lecz patrz!... goniec Jego! —
W proch, w proch przed Panem! słuchajmy co powie.

SCENA VII.

Ciż i Rafael Archanioł.

RAFAEL.

Pokój sprawiedliwemu! — Aniołowie!
Przeczżeście zeszli z oczu Przedwiecznego?
Aza nie wiecie, że ziemia bez stróża
Ma dziś być przed Nim? — Lecz jeszcze czas skruchy!
Wam tylko, duchy!
Wam tylko dany. — Wielka jest moc Boża!
Tam, u podnóża
Stolicy Jego, ukorzcie się społem
Z Siedmiu wielkimi! — Czołem Panu, czołem!

SAMIASA.

O! najpiękniejszy! największy z niewielu!
Cześć Panu w tobie! — Lecz odkądże wzbronił
Duchom zstępować na świat? — Rafaelu!
Tyś zstąpił po nas; — On Sam czyż nie skłonił
Nieraz oblicza i stóp swych ku ziemi?
A ile razy skrzydły pośpiesznemi
Nas wysłał ku niej: mów, cóżeśmy, jeśli
Nie miłość Jego i nie dary nieśli:
Wielbiąc Go w każdym jej tworze: bo każdy
Tchnął Jego mocą i miłością dla niej;
Ciesząc się blaskiem tej najmłodszej gwiazdy,
Mającej kiedyś zwalczyć noc otchłani;
Lub strzegąc, aby ród, co ją dziedziczy,
Nie ścmił jej światła łaski tajemniczej? —
Cóż dziś? że smutek nad nią w twem spojrzeniu?
Że w ustach twoich mowa o zniszczeniu? —

RAFAEL.

Biada wam, że nie wiecie! — O anieli!
Gdybyście oba z pobratnimi chóry,
Czystością śmieli,
Nieśli dziś Panu hołd czci i pokory:
Tambyście w ogniu żyjącym wyryte,
Nad Jego tronem, i na Jego czole,
Czytali sami sądy Jego skryte,
Pojęli wolę;
Nie jej szukali we słów moich echu. —
Lecz niewiadomość towarzyszka grzechu,
A dumą nawet ćmi się duchów wiedza:
Bo zaślepienie upadek poprzedza.
O! zaślepieni! przeczżeście się dali
Uwikłać w sidła żądzy skazitelnej?
Niepokalani! jakżeście skalali
U stóp śmiertelnych swój blask nieśmiertelny!
Lecz litość Jego bez granic! — Słyszycie?
Wróćcie i czcijcie!
Tam! — bo gniew Jego straszliwy! — Raz jeszcze
Wróćcie! — lub drżyjcie!
Bo gniewu Jego wyrok wam obwieszczę.

AZAZIEL.

Straszny gniew Pana! — Lecz ty, coś osądził
Nas, żeśmy winni: mów, czyżeś nie zbłądził
Sam, żeś tu z nami?

RAFAEL.

Pan mną rozporządził;
Zstąpiłem po was. — Słowem wszechmogącem,

I w imię Jego; sercem kochającem,
W imię miłości mojej: Samiaso!
Azazielu! wołam was ku Niemu!
Tak! przyszedł koniec rodzajowi złemu.
Występna ziemia, z całą swoją krasą,
I z ludźmi, zginie! — Lecz czyż przy ostatku,
Jak przy początku, ma, jakby koniecznie,
Niebieskie duchy ciągnąć do upadku,
Których jak istność, każń musi trwać wiecznie? —
O! bracia! wyście jeszcze nie upadli,
Lecz przypomnijcie szatana, jak w chwale
Stał po nad nami; a którzyż nie zbladli
Widząc, czem stał się: gdy wolał zuchwale
Wyzwać moc Pańską, niż uznać w pokorze?
A czyż mu człowiek — że go łatwo skusi,
Rozkoszą złego nagrodzić dziś może
Niebo, co stracił, i pamiętać musi? —
Jam go miłował; — bo i któż nad niego
Był, oprócz Pana, co w nim szukał chluby?
Archaniołowie przed obliczem jego
Gaśli jak gwiazdy przed słońcem; Cheruby
Cześć mu śpiewali; aż sam w swojej pysze,
Wstydząc się, zaparł, że jest tworem Boga. —
Stało się! upadł; — lecz wam, towarzysze!
Z upadku jego niech będzie przestroga! —
Od was zawisa wieczność z nim, lub z Panem! —
On was nie kusił; bo mu nie jest danem
Kusić niebieskie duchy; lecz niestety!
Człowiek usłuchał jego — wy kobiety:
Pięknej zaprawdę, lecz w której uśmiechu

Kryje się urok zdradniejszy od węża:
Bo wąż zwyciężył proch — ona zwycięża
Was, duchy Niebios, i wiedzie do grzechu.
O! uciekajcie, dopóki czas macie,
Wy nie możecie umrzeć: ale one
Jak cień przeminą; a żal po ich stracie
Truć będzie wasze lata nieskończone!
Zważcie! jak istność wasza ich plemieniu
Nie jest podobna w niczem — prócz w cierpieniu;
Przeczże je tylko chcecie dzielić z niemi? —
Poczęte w grzechu, w boleściach zrodzone,
Żyjące w troskach i łzach, przeznaczone
Na pastwę śmierci — królowej ich ziemi:
Chociażby nawet Pan, tchem Swego gniewu
Dni ich nie skrócił: przeszłyby za chwilę,
Jak nagły zakręt mglistego powiewu,
Proch i łzy tylko zostawując w tyle.

AHOLIBAMAH.

O! tak! uchodźcie! bo jak w jego mowie,
Słyszę w mej duszy głos, co nie omyla,
Że przyszła chwila,
Że musim umrzeć — nie tak, jak ojcowie:
Gdy jako nowy ocean, chmur brzemię
Spadnie na ziemię,
A wały morskie, jak obłoki z ziemi
Wzniosą się w górę, i spotkają z niemi. —
O! siostro moja! są, co ujdą zguby,
Jako się zdaje, lecz nie z krwi Kaima.
Nie! próżne nasze modlitwy i śluby!

Bóg nas Adama za dzieci swe nie ma!
Po cóż go trudzić daremnie? — O! raczej,
Zrzeczmy się same, co ma być wydarte —
Miłości naszej! — a bez niej, cóż znaczy
Życie śmiertelne lub śmierć? — Gińmy warte
Ojca i rodu swego; bez rozpaczy,
Gdy nie bez żalu; płacząc, nie nad sobą,
Lecz po nad tymi, co zostawszy sami,
Śmiertelni czy nieśmiertelni, obaczą
Ziemię-pustynię, okrytą żałobą,
I płakać będą nad miryadami,
Co mrąc płakały — lecz już nie zapłaczą! —
O! Samiaso! śpiesz, uchodź co prędzej,
Z padołu nędzy
W sfery niebieskie! gdzie już nie dosięga
Wicher, ni woda, ni śmierci potęga!
Nasz wyrok, umrzeć; wasz, jest żyć bez końca.
Lecz co lepszego? czy wieczność żyjąca
Czy martwa? — na to On chyba odpowie,
On, Pan życia i śmierci. — Aniołowie!
Bądźcie posłuszni! jak i my będziemy;
Nie że musimy,
Nie! lecz że nie chcę żyć dnia ni godziny
Wbrew woli Jego; tak, jakbym nie chciała,
Nawet za wolność od kary i winy,
Co ma być dana dla Seta rodziny,
By kara nasza i na was spaść miała.
Śpieszcie nim minie czas!
Lecz gdy nad chmury
Jasnemi pióry

Wzbici spojrzycie
Na świat i nas:
O! Samiaso! pomnij, że me życie
Duch mój przeżyje; i gdziekolwiek będzie
Żył swoją wieczność: miłość twoja wszędzie
Trzymać go będzie wyższym nad rozpacze.
Patrz! nawet teraz nie płaczę,
Bo płacz nie przystał wybranej anioła. —
Żegnam was! —
Teraz, przyjdź śmierci! dotrzymam ci czoła.

ANAH.

Ach! czyż koniecznie trzeba
Umrzeć? — Azazielu!
Niczże nie zmiękczy nieba? —
Umrzeć, i stracić ciebie!... —
Siostro! czyż Bóg nasz w niebie
Zgubi razem tak wielu?
O! serce, serce moje!
Nie próżne snać twe były
Trwogi i niepokoje;
Teraz wiem, co wróżyły.
Boże! dodaj mi siły
Znieść — co wiem, że nie minie! —

Lecz ty Serafinie!
Uchodź, śpiesz! jeśli bezkarnie
Zostać nie możesz! — Lecz czyli?... —
Nie, nie! śpiesz! — Moje męczarnie,
Choć straszne — skończą się w chwili;
Twoje — trwałyby bez końca:

Gdybyś mnie nędznej obrońca,
Gniew Pana ściągnął na siebie:
I z tronu chwały na Niebie,
Jak ów, co w nasze rodzice
Tchnął żądzę wiedzy, wyzuty
Z swej archanielskiej stolice,
Spadł w kraj nieznanej pokuty! —
Nie, nie! i tak już zbyt wiele
Ważyłeś dla mnie, aniele!
Czas, bym ofiarą wzajemną,
Zrzekła się ciebie — dla ciebie! —
Uciekaj! nie płacz nade mną! —
Ach! nawet chciałbyś daremno!
Łzy, udział dzieci Adama,
Nie ulżą duchów rozpaczy. —
Uchodź! zapomnij więc raczej
O tej, dla której śmierć sama,
Mniej straszna, niż to rozstanie! —
Lecz uchodź, uchodź! nie zwlekaj!
Nie bacz łez moich! — uciekaj!
Bez ciebie, śmierć mi się stanie
Ulgą, nie karą.

JAFET.

Nie mów tego, Anah! —
Ojcze mój! Archaniele!
Czyż ten łagodny pokój na twem czele
Nie wróży łaski? — Patrz! możesz — zmiękcz dla niej,
Dla niej i dla mnie — zmiękcz wyrok i Sędzię:
Niech w arce z nami, ujdzie wód otchłani,
Lub ja z nią razem niech zginę w bałwanach!

NOE.

Przestań, niebaczny! przecz w żalu zapędzie,
Jeśli nie sercem, usty bluźnisz Pana? —
Skąd ci moc dana
Sądzić sąd Jego? — Żyj, póki dozwoli,
Umrzyj, gdy każe: lecz wbrew Jego woli
Nie szemrz, jakobyś skarżył Pana w niebie! —
Niebaczny! chceszże, by się Bóg dla ciebie
Grzechu dopuścił? — bo grzechem byłoby,
Gdyby dla krótkiej, dla ziemskiej żałoby,
Zmieniał przedwieczne sądy swoje Boże. —
Bądź mężem, synu! i znoś, chociaż boli,
Co ród Adama znieść musi — i może! —

JAFET.

Ojcze! a kiedy zostaniem
Sami nad głębią siną:
Gdy i kraj miły, co był nam mieszkaniem,
I cała ziemia, z wszystkiem co ją krasi,
I milsi stokroć bliźni, bracia nasi,
Wszyscy w niej zginą:
Kto wstrzyma wtedy łzy swe i jęczenia,
Lub znajdzie pokój w ciszy spustoszenia? —
Boże! bądź Bogiem! zbaw! — któż ci zaprzeczy?
Zbaw, póki pora! — Czyż rodzaj człowieczy
Nie dość już poczuł sprawiedliwość Twoję
Wygnaniem z raju? — Lecz go tylko dwoje
Składało wtedy: dziś jest na przestworzu
Ziemi liczniejszy, niż fale na morzu,
Niż krople deszczu, co ma zalać ziemię:

Krople mniej gęste, niżby na niej były
Ludzkie mogiły,
Gdyby choć groby mieć mogło ich plemię! —

NOE.

Szalony! przestań! w każdem twojem słowie
Brzmi rozpacz dumy, co gniew Pana budzi.
O! Archaniele! przebacz!

RAFAEL.

Aniołowie!
Żal i namiętność mówi z ust tych ludzi.
Lecz wy! wy czyści, lub coście być niemi
Powinni, bracia! postrzeżcie się w błędzie,
Wracajcie ze mną!

SAMIASA.

Zostaniem na ziemi,
I znosić będziem, cośmy zasłużyli.

RAFAEL.

Azazielu?

AZAZIEL.

On rzekł; niech tak będzie!

RAFAEL.

Oba? — A więc od tej chwili,
Z mocy niebieskiej obrani,
Z miejsc, któremiście wzgardzili,
Z przed Boga, coście zdradzili,
Bądźcie wygnani!
Biada wam!

JAFET.

Gdzież się podzieją? —

Lecz przebóg! w przepaściach góry,
Co za ponury,
Co za straszliwy szum, łoskot, hałasy!
Skały i lasy
Wstrzęsły się, szumią — jakby czuły przyjście
Wichrów łamiących, choć jeszcze nie wieją;
A wszystkie liście
Drżą zda się, chwieją;
Kwiaty więdnieją,
I opadają; — wschód już się zaciemnia;
A cała ziemia,
Jak pod ciężarem, jęczy w swych wnętrznościach! —

NOE.

Słyszysz? Krzyk ptastwa morskiego! jak w chmury
Ucieka, i na szczyt góry
Kędy w najsroższych morza nawałnościach,
Uchodząc fali wzbijać się nie śmiało,
Ulata krzycząc — jakby przeczuwało
Nawałność sroższą od wszystkich, śród której,
Ten szczyt im tylko może być zachroną —
Aż i ten fale pochłoną! —
O! biada, biada ziemi! —

JAFET.

Słońce! słońce!
Wschodzi — lecz jakie! jak przerażające,
Jak krwawe! — Jak śród płomieni
Miedź — błyszczy, lecz bez promieni;
A ciemność, jak czarna tęcza,
W kształcie obręcza,

Wkrąg je otacza; — słońce i noc razem!
Jakby obrazem
Być chciały życia i śmierci, w tej chwili,
Ostatniej świata! — Biada tym, co byli
Warci, by jej dożyli,
By ją przeżyli! —

NOE.

Ha! błyskawica, grom! — hasło zniszczenia!
Stało się! Pan nie odmienia
Wyroków swoich: — wielka jest moc Boża! —
Słyszysz? szum deszczu, ryk morza!
O! biada, biada dzieciom zatracenia!
Przyszła godzina! — My śpieszmy na wzgórza,
Gdzie arka nasza; — z której jeszcze wczora
Szydzili dumni, a dziś k'niej ramiona
Wyciągać będą, widząc, że nas ona
Zbawia jedynie! — Śpieszmy, póki pora!

JAFET.

Ojcze! stój chwilę! zlituj się! przyjm do niej
Anah! — niech w zgubnej nie zaginie toni.

NOE.

Czyż w niej nie zginą wszyscy? — Pójdź!

JAFET.

Nie mogę.

NOE.

A więc giń z niemi! głuchy za przestrogę
Ojca i Boga! — Patrz na te złowieszcze
Niebo i znaki! będziesz-li śmiał jeszcze
Chcieć zbawiać kogo z rodzaju, na który,

Wszystkie potęgi stworzonej natury,
Ze słusznym gniewem Stwórcy, co go karze,
Powstały razem? —

JAFET.

Razem? — O! mój ojcze!
Możeż iść wściekłość ze słusznością w parze? —

NOE.

Bluźnisz! — w tej chwili!... — zuchwały mołojcze!
Drżyj!

RAFAEL.

Patryarcho! pohamuj się w gniewie!
Boleść i rozpacz usty jego władnie,
Lecz serce nie wie
O tem, co mówi; — i on nie upadnie,
Jak ci synowie niebios; i nie zginie,
Jako te córki ziemi; lecz gdy minie
Szał namiętności, będzie godnym ciebie.

AHOLIBAMAH.

O! co za burza! — Na ziemi i niebie,
Wszystko się łączy ku naszej zagładzie. —
Panie! nierówna walka między nami!
Chcesz, a zginiemy; bo któż w równi kładzie
Moc naszą z Twoją?

SAMIASA.

Moc nasza jest z wami!
Pod skrzydłem naszej opieki,
W świat jakiej gwiazdy dalekiej
Uniesiem was, aż ujdziecie
Świat wasz niszczącej topieli.

A tam bezpiecznie — jeżeli,
Przestając na naszych losach,
Przez miłość dla nas, będziecie
Mogły zapomnieć o świecie,
My zapomnim o niebiosach.

ANAH.

A mójże ojciec! a mój kraj rodzinny!
A mojeż pola, i góry, i lasy,
Gdzie mi tak słodko zszedł mój wiek dziecinny!
Zdołamże kiedy zapomnieć ich krasy,
I pieszczot ojca, i sióstr mych ziemianek,
Gdy je pochłonie głąb? — Któż w mojej duszy
Zatrze ich pamięć? kto me łzy osuszy?

AZAZIEL.

Ja, twój kochanek! —
Nie bój się! chociaż wygnaniec
Z nieba — w przestrzeni bez granic,
Są światy godne anioła,
Skąd mię nikt wygnać nie zdoła! —

RAFAEL.

Duchu występny! jakżeś stał się lichy,
Jak ciemny! jeślić samego już łudzi
Kłamstwo twej pychy.
Czyż miecz, co z raju wygnał pierwszych ludzi,
Czyż piorun, w przepaść co strącił szatana,
Przed tronem Pana
Dotąd nie błyszczy? —

AZAZIEL.

Piorun nie zniszczy,

Miecz nie zabije nas! — Proch strasz zniszczeniem,
Ciało orężem: nie nas nieśmiertelnych! —

RAFAEL.

Doznasz za chwilę sił twoich tak dzielnych,
Aza cię zbawią przed Jego ramieniem? —
Biada ci! grzech ściga kara,
Moc cię twoja omamiła:
Nie wiedziałeś, że nią była
Pokora twoja i wiara.

SCENA VIII.

CIŻ I CHÓR LUDZI,
(wbiegających zewsząd i szukających schronienia).

CHÓR LUDZI.

Niebo i ziemia, obłoki i morze,
Łączą się razem na zgubę nas biednych!
Cóżeśmy winni? — O! Boże nasz, Boże!
Słuchaj, wysłuchaj! nie nas tylko jednych.
Pola i lasy brzmią bestyi rykiem,
Wyciągających ku niebu swe szyje;
Ptastwo świst wichrów zagłusza swym krzykiem;
U stóp nam syczą wijące się żmije,
Jakby chcąc wsparcia, o które my sami
Żebrzem cię, Panie! płaczem i jęczeniem.
Zmiłuj się, zmiłuj! nietylko nad nami,
Lecz nad naturą i wszelkiem stworzeniem!

RAFAEL.

Żegnam cię, ziemio! — Wy, dzieci jej gliny!
Nie śmiem, nie mogę — choć chciałbym was wspierać.

Pan sprawiedliwy — musicie umierać;
Pan miłosierny — śmierć odkupi winy. *(Ulatuje).*

AZAZIEL.

Pójdź, Anah! rzućmy ten chaos żywiołów,
Ani się lękaj łoskotu ich waśni;
Pod tarczą skrzydeł aniołów,
Ulęż bezpieczna i zaśnij,
Jak orlę niegdyś w macierzyńskiem gniaździe! —
Na słońcu jakiem, lub gwiaździe,
Znajdziem świat lepszy od ziemskich padołów,
I życie wartsze anielskiej natury! —
Czarne te chmury
Nie są jedynem niebem! —
(Azaziel i Samiasa ulatują, unosząc z sobą Anah i Aholibamah).

JAFET *(patrząc za niemi).*

Ulecieli! —
Znikli w zamęcie skazanego świata! —
I czy z nim razem zaginą w bałwanach
Wściekłej topieli:
Czy żyć gdzie będą nieskończone lata —
Stało się! nigdy nie ujrzę już Anah! —

CHÓR LUDZI.

O! synu Noego! miej litość nad nami,
Nad ludźmi, nad braćmi twojemi!
Czyż dasz nam zaginąć w zapasach z falami,
Sam w arce bujając nad niemi?

MATKA *(podając dziecię).*

Zbaw, zbaw to dziecię!
W bolach mych wzięło życie,

Lecz ach! ileż pociechy,
Gdy się z swemi uśmiechy
Tak do mych piersi tuliło!
Na cóż się urodziło?
Czem przewiniło
Niemowlę moje, by ściągnąć gniew Boży?
Czy z piersi moich ssało takie grzechy,
Że za nie ziemia i niebo się sroży
Na moje dziecię?
Zbaw je! zbaw, o! Jafecie!
Lub bądź przeklęty — ty, i twa rodzina!
I On!...

JAFET.

Niebaczna! stój — toż jest godzina
Przekleństw nie modłów?

CHÓR LUDZI.

Modłów?! — Gdzież te modły
Zwrócim? — Do niebios? co się tak obwiodły
Chmurami od nas? — Czy do chmur? co same
Buchają morzem? — Czy do morza? które
Rwie swoją tamę
I wzdyma się w górę,
Że piaski pustyń mienią się w odmęty? —
Nie, nie! — Przeklęty
Pan twój i zbawca! — Wiemy, że daremnie
Kląć Go, jak błagać; — lecz mamyż nikczemnie
Hymny Mu śpiewać, lub podłem kolanem
Czołgać się przed niezbłaganym,
By nas odepchnął na dno zgubnej toni?... —

Jeśli On stworzył ziemię — niech się płoni,
Że świat stworzył na męki! — Ha! już ryczą,
Już lecą, widzim rozhukane wały!
Gonią za nami, jak lew za zdobyczą.
Głąb ich czarna jak otchłań — a ich biały
Szczyt zapieniony, jak śnieżyste góry
Piętrzy się w chmury,
I z chmur jak potok, jak wzdęta kaskada,
Rzuca się naprzód — zlewa!... —
Biada nam! biada! —
Lasy i drzewa,
Równienne z rajem — nim złudzona Ewa
Zerwała owoc wiedzy i niedoli,
I Adam wydał pierwszy jęk niewoli —
Tak niebotyczne, z tak jeszcze zieloną
Liści koroną,
Nikną — i wszędzie tylko siność fali! —
Głąb coraz wyżej
Rośnie, i dalej,
I coraz chyżej
Ku nam się wali!... —
Biada nam!... — Synu Noego!
Śpiesz, uchodź! i tam w swej łodzi,
Przy boku ojca twojego,
Szydź z naszych łez i powodzi!
A gdy obaczysz na tle oceanu,
Trupy twych braci i wszego stworzenia:
Wznieś twemu Panu
Hymn dziękczynienia!... —

JEDEN Z LUDZI.

Błogosławiony! kto w Nim ufność złożył,
I w Nim ufając żył!
Ginąc, nie będzie się trwożył,
Bo On mu doda sił
Cierpieć i znieść! —
Cześć Panu! cześć!
On dał mi życie — On bierze co dał.
Będęż się chwiał
Wrócić mu dar Jego ręki? —
Nie! — i nim wieczna noc wzrok mój zaciemni,
I nim śmierć wiecznie me usta oniemi,
Cześć jeszcze Panu, i dzięki!
Za to, co było,
Za to, co nynie!
Bo w Nim, jak żyło,
W Nim wszystko ginie,
Bo On początkiem i końcem wszystkiego.
Wszystko jest Jego!
Czas, przestrzeń, życie, świat — wszystko poczęte,
Pojęte i niepojęte —
Wieczność i nieskończoność — On uczynił,
On chce, i może zniweczyć! —
Ja proch — jaż będę go winił?
Ja grzesznik, śmiałbym złorzeczyć
Panu i Bogu mojemu? —
Nie! żyłem ufając Jemu,
Umrę ufając! — ani się zachwieję,
Widząc runący świat; ani się strwożę:

Bo wiem, kto w Nim ma nadzieję,
Na wieki zginąć nie może.

CHÓR LUDZI *(uciekających przed falą).*

I gdzież się obrócim, gdzie znajdziem schronienie?
Na skał-li tych wedrzem się strop?
Gdy wszędzie z nich lecą wezbrane strumienie,
By morze napotkać u stop?
Czy w dzikich, przed niemi, rozpadlin skrós ziemi
Ukryjem się w sklepy kamienne?
Taż powódź potopu, jak sięgnie do stropu,
Napełni otchłanie bezdenne!

MŁODA DZIEWCZYNA *(biegnąc za drugiemi).*

Nie opuszczajcie sieroty,
Mnie nieszczęśliwej, mnie młodej!
Ojciec, i ojca namioty,
Bracia, i braci mych trzody,
I pola, gdzie szły na paszę,
I sady, i wszystko nasze,
Wszystko zalano! —
Dziś jeszcze rano,
Ze wzgórza, idąc do zdroju,
Spojrzałam — wszystko tak było
Ciche! tak spało w pokoju! —
Serce me błogosławiło
Bogu, i miejscu lubemu. —
A teraz!... — Czemuż, ach! czemu
Było mnie nędznej rodzić się na świecie? —

JAFET.

By umrzeć! — umrzeć w lat kwiecie!... —

Szczęśliwszaś wszakże! niż gdybyś tak jedna
Skazaną była — gdy otchłań beze dna
Pochłonie wszystkich — płakać nad wszystkiemi!
I jak ja, na pustej ziemi,
Żyć, nie chcąc; cierpieć, nie śmiąc się użalać!... —
Panie! gdy wszystkich tracisz, po cóż mnie ocalać?

(Fale morza wpadają z łoskotem. Chór ludzi rozpierzcha się w różne strony po górach: wielu tonie zajętych falą. Jafet jeden zostaje na skale; w odległości ukazuje się arka, zmierzająca ku niemu).

CZCICIELE OGNIA

POWIEŚĆ WSCHODNIA

TOMASZA MOORA.

Wiadomość historyczna o Gwebrach.

Gweber, Giabir, i pochodzący stąd przez skrócenie wyraz Giaur, któremu dziś przez nienawiść na wzgardę, we wszystkich muzułmańskich językach nadano obelżywe znaczenie: „niewierny;“ niegdyś oznaczał tylko wyznawców religii Zoroastra, czcicieli ognia, jak ich nazywano; sami bowiem zwali się Behendi, to jest prawowierni. Religia ta, podług rachunku pisarzy wschodnich, przed czterema tysiącami lat wprowadzona do Persyi, trwała w niej bezprzestannie, pomimo wszystkich zmian i wstrząśnień politycznych tego najpotężniejszego niegdyś na Wschodzie państwa, aż do najścia i podbicia go przez sąsiednich Arabów, Mahometanów, którzy z całym zapałem fanatyzmu prześladując jako bałwochwalstwo religię Gwebrów, wytępili ją nakoniec, i w powszechną wzgardę podali.

Oto są główniejsze punkta nauki Zoroastra, zawarte w świętej księdze Zenda-Vesta, którą on, podług podania pierwszych swych uczniów, sam w niebie, razem z ogniem świętym, z rąk Oromaza otrzymał i przyniósł na ziemię. „Bóg, mówi Zoroaster, jest jeden, przedwieczny, nieskończony, stwórca wszystkiego co jest. Lecz w świecie przez niego stworzonym, działają z woli jego dwie przeciwne sobie potęgi: dobra i zła. Pierwszą zowie Oromazem (Hormuzd), co znaczy: dawca wszelkiego dobra; drugą Arymanem, co znaczy: Pan albo wódz złego. Obadwaj mieli władzę stwarzania, i używali jej wspólnie, chociaż w przeciwnym kierunku; i stąd to miała pochodzić owa mieszanina dobrego i złego, jaka się daje widzieć we wszystkich rzeczach stworzonych. Z tem wszystkiem sam tylko Oromaz był wiecznym, i miał kiedyś przeciwnika zwyciężyć. Światło było godłem Oromaza; ciemność godłem Arymana. Sam Bóg rzekł do Zoroastra: „Światło moje jest w tem wszystkiem, co świeci“.

Na tych to właśnie słowach opiera się wprowadzona przez niego cześć ognia, palącego się na ołtarzu w świątyniach; na wolnem zaś powietrzu cześć słońca, jako najszlachetniejszego ze wszystkich świateł niebieskich, przez które Bóg ożywia i utrzymuje całe swe dzieło stworzenia. Gwiazdy i planety uważane były za istoty żyjące, mające każda duszę nieśmiertelną. Oto są słowa Zenda-Vesty, które Anioł światła rzekł do Zoroastra, dając mu z woli Oromaza ogień święty: „Polecam opiece twojej wszystkie ognie na ziemi. Rozkaż kapłanom strzedz je i utrzymywać, i nie gasić ich nigdy ani wodą, ani ziemią. Rozkaż w każdem mieście wystawić świątynię Ognia, i na cześć jego przepisz uroczyste obrządki. Światło ognia pochodzi z Boga; a cóż jest piękniejszego jak ogień? Nie trzeba mu nic więcej, prócz drzewa i kadzideł. Niech je sypie stary i młody, a prośby ich wysłuchane będą. Wszyscy, co nie usłuchają słów moich, pójdą do wiecznych ciemności".

Lecz nie sam tylko ogień, wszystkie inne elementa składające świat: ziemia, powietrze, woda, a nawet zwierzęta i rośliny, polecone zostały szczególnej pieczy Zoroastra, przez swych opiekuńczych aniołów. Anioł ziemi rzekł: „Ty, co masz być błogosławieństwem rodzaju ludzkiego, zachowuj ziemię od rozlewu krwi, od nieczystości i trupów. Każ niech je grzebią tam, gdzie żadna woda nie płynie, i żaden człowiek nie chodzi etc." Stąd poszedł zwyczaj u Gwebrów, że ciała zmarłych, zamiast grzebać w ziemi, kładziono na wierzchołkach wież, zbudowanych na ten cel w miejscach odludnych, i gdzie żadna woda nie płynie; tam zostawiano je na pastwę ptakom; poczem dopiero pozostałe kości grzebano do ziemi.

Te były główne zasady religii Gwebrów. Przepisy życia zawarte także w Zenda-Vesta, tchnęły najczystszą moralnością; zgodne z naturą i prawdą, wiodły do cnoty i pracy. Z tem wszystkiem gdy te z koleją wieków władzę nad umysłami ludzi straciły, pierwotna myśl prawodawcy, cześć jednego prawdziwego Boga, ustąpiła przesądom; duch religii, formie zewnętrznej. Ogień, słońce, w których Zaroaster wi-

dział tylko widome godła bóstwa, i jako takim cześć oddawać kazał, następni wyznawcy jego wiary wzięli za same bóstwo, i poprzestając na zewnętrznych ofiarach, zasługiwali istotnie na imię bałwochwalców, które im Muzułmańscy nieprzyjaciele nadali.

Imię to stało się z czasem dla Persyi źródłem tysiącznych klęsk i nieszczęść: powodem, a przynajmniej pozorem do wojny z Arabami, zakończonej, jak wiadomo, zupełnem podbiciem Persyi i przejściem jej na wiarę zwycięzców. Skoro bowiem religia Mahometa ustaliła panowanie swoje w ojczyźnie jego w Arabii, fanatyczny zapał i duma pierwszych zaraz po nim Kalifów, zwróciły naprzód oczy na sąsiednią Persyą, bałwochwalczą, podług ich mniemania: a więc, którą powinni byli na prawdziwą wiarę nawrócić; żyzną i bogatą: a więc, którą podbić pragnęli; osłabioną wewnętrznemi niezgodami książąt swoich i możnych Satrapów, a więc do podbicia łatwą.

Pierwsza napaść Arabów na Persyą, nastąpiła za Kalifatu Omara. Wojska jego, pod wodzą Abu-Obeyda, przeszły Eufrat, lecz porażone przez Persów, straciwszy w bitwie większą połowę ludzi, wpław przez rzekę uciekać musiały. Omar wystawił nowe wojsko, lecz i to w pierwszem spotkaniu się z Persami, nie lepszego doznało losu. Wkrótce jednak wytrwała biegłość arabskiego wodza, nazwiskiem Saad-Ben-Wakass, fanatyczny zapał żołnierzy, a nadewszystko niedbałość samychże Persów, i zbytne zabezpieczenie się po zwycięstwie, odmieniły całkiem los wojny. Persowie z kolei ponosili klęski po klęskach: wódz ich Mehran, poległ zabity; całe wojsko poszło w rozsypkę. Naród zamiast połączyć się w jedno, by wspólnego nieprzyjaciela odeprzeć: przypisując poniesioną klęskę niedołężności swoich monarchów, obrócił się przeciwko nim, i rozpadł się na różne stronnictwa. Dynastya Sassanitów, od czterech wieków zasiadająca tron perski, właśnie była wygasła; możni panowie rozrządzali tronem. Wybierano z kolei jednego po drugim, coraz to nowych panujących, których prędzej jeszcze mordowano,

lub zrzucano z tronu. Nieład i zamieszanie stały się powszechne na całej ogromnej przestrzeni ówczesnego państwa perskiego. Tymczasem Arabowie posuwali się coraz dalej w głąb kraju, umacniając się w zdobytych prowincyach i miastach. Nakoniec w roku 632 naszej ery, a 11 Hegiry, wyniesiony został na tron perski Jeździdzird, ostatni, chociaż nie w prostej linii, potomek królewskiej rodziny Sassanitów; człowiek słaby, niezdolny do rządów, zwłaszcza w tak trudnem położeniu kraju: będący tylko narzędziem w ręku możnych Satrapów, którzy pokrywając swą dumę maską przywiązania do krwi panujących, na to go tylko królem nad sobą obrali, by sami tem łacniej pod nim całem państwem rządzili.

Pierwszym czynem Jeździdzirda po wstąpieniu na tron, było wysłanie posłów do arabskiego wodza, by go wezwać do traktowania o pokój. Sam Saad-Ben-Wakass, w towarzystwie dwóch innych wodzów wojska swojego, przybył do obozu Persów. Wprowadzeni do królewskiego namiotu, gdy wskazane miejsca zasiedli, Jeździdzird tak do nich przemówił:

„Wiecie, że wami gardziliśmy zawsze. Arabowie dotychczas tylko znani byli w Persyi, jako kupcy, lub jak żebracy. Pokarmem waszym są zielone jaszczurki, napojem woda słona, odzieżą skóry zwierząt lub gruba tkanina z ich sierci; dlatego gardziliśmy wami. Lecz od niejakiego czasu w większej coraz liczbie zaczęliście kraj nasz nawiedzać: zasmakowaliście w dobrem jadle, napiliście się wody słodkiej, nawykliście do wygód odzienia. Powróciwszy do swoich pustyń, opowiadaliście o tem braciom waszym, i oto przychodzicie tłumami, aby nam wydrzeć co nasze, i narzucić nam wiarę, której my znać nie chcemy. Podobni jesteście do lisa, w bajce naszego poety, który wkradłszy się w ogród, znalazł w nim obfitość gron winnych. Poczciwy ogrodnik pozwolił mu nasycić się niemi i myślał: „Plon winnicy mojej nie zmniejszy się przez to, że się jeden lis biedny pożywi“. Ale lis nie przestał na tem, że się sam do woli nasycił; naprowadził swych towarzyszy, tak, że się cała winnica napełniła lisami. Ogrodnik więc musiał drzwi zamknąć i lisów, co już weszli, zabijać, aby sam nie zubożał do szczętu. Ja jestem tym ogrodnikiem, mówił dalej Jeździdzird. Wszakże mając wzgląd na wasze potrzeby i ubóstwo, gotów jestem przebaczyć wam wszystko; obładuję wielbłądy wasze pszenicą i daktylami, bylebyście natychmiast ustąpili z mych granic. Lecz jeśli gardząc szczodrobliwością moją, chcecie dłużej w Persyi pozostać, postąpię z wami jak ów ogrodnik, i nie ujdziecie słusznej zemsty mojej“.

Saad-Ben-Wakass, wysłuchawszy spokojnie tej mowy, malującej zarazem całą dumę i słabość perskiego monarchy, odpowiedział na nią w te słowa:

„Wszystko co powiedziałeś o dawnym stanie Arabów jest prawda. Jedli oni zielone jaszczurki; grzebali żywo nowo-narodzone dzieci płci żeńskiej; zabijali własnych rodziców; niektórzy nawet żyli trupami i poili się krwią ludzką. Nie znali co jest złe, a co dobre; co godziwe, a co występne. Ale Bóg zlitował się nad nami, i zesłał nam swego proroka, który dał nam księgę prawdziwej wiary. Księga ta nakazuje nam wojować niewiernych, obłąkanych nawracać, i zamiast dotychczasowego poniżenia i nędzy, obiecuje nam panowanie nad światem. Wzywamy więc ciebie, królu perski! abyście, ty sam i twój naród, przyjęli świętą wiarę naszą. Jeśli się na to zgodzicie, żaden Arab bez woli twojej granicy państw twoich nie przejdzie; będziecie tylko, równo ze wszystkimi wiernymi, płacić zwykłą na ubogich jałmużnę, dziesiątą część wszelkiego dochodu. Jeśli nie chcecie przyjąć wiary naszej, możemy jeszcze przestać na opłacie haraczu, jaki się nam od niewiernych należy. Lecz jeśli odrzucicie oba te warunki, gotujcie się do wojny!“

Jeździdzird czuł się jeszcze nadto potężnym, aby przystać na tak zelżywe układy. Wszczęła się więc na nowo wojna, krwawsza i zawziętsza niż kiedy. Na płaszczyznach Kadessu (Kadeseah), stoczyła się pamiętna bitwa 638 r. 17 roku Hegiry, w której całe prawie stotysięczne wojsko Persów poległo, i tajemnicza chorągiew państwa wpadła w ręce

zwycięzców. Jeździdzird uszedł do prowincyi Korasan, i zebrawszy 150 tysięcy nowego wojska, wystąpił znowu do boju. W otwartem polu pod miastem Nohavund spotkały się oba wojska: arabskie pod naczelnictwem nowego już wodza, nazwiskiem Noman. Dwa miesiące stały spokojnie naprzeciwko siebie oba nieprzyjacielskie obozy; żadna strona nie śmiała boju rozpocząć. Nakoniec pierwsi Arabowie uderzyli na szańce perskie, wprzód za przykładem wodza, poprzysiągłszy zwyciężyć lub zginąć. Zginął Noman, lecz Arabowie przemogli. Sto dziesięć tysięcy głów miała wynosić strata wojska perskiego; reszta rozpierzchła się w góry. Zaszła ta bitwa w r. 641. Hegiry 21. Cała Persya od Eufratu do rzeki Oxus wpadła w ręce zwycięzców. Jeździdzird zginął zabity, gdy przebrany tułał się po kraju. Arabowie rozjątrzeni oporem Persów i gorliwi o rozkrzewienie swej wiary, prześladowali z niesłychanem okrucieństwem religią Zoroastra i resztę nieszczęśliwych Gwebrów, którzy schroniwszy się w góry Kermanu, nie przestawali jeszcze bronić swej niepodległości i wiary. Wsie, miasta i całe prowincye, wycinano w pień bez różnicy płci i wieku. Świątynie ich i ołtarze obrócono w gruzy i popiół. Ognie święte zalewano krwią ich kapłanów, na urągowisko z przepisu Zoroastra, zakazującego gasić je wodą lub ziemią. Większa część mieszkańców Persyi, uchodząc śmierci lub prześladowania, przyjęła religią zwycięzców; inni nie chcąc uledz przemocy, rozpierzchli się po różnych krajach, tułając się w górach Kaukazkich, na dzikich brzegach Kaspijskiego morza, w Indyach, albo się ukryli wśród niedostępnych gór swojej ojczyzny. Dziś jeszcze około zatoki Perskiej, w górach i stepach Kermanu, a mianowicie w prowincyi Jerd-Keram, znajdują się dawni Gwebrowie, Parsami zwani, wierni religii swych przodków, i z tej właśnie przyczyny zostający w powszechnej nienawiści i wzgardzie u swoich muzułmańskich współziomków.

(Z historyi perskiej przez Malkolma).

PIEŚŃ PIERWSZA.

Nad perskiem morzem księżyc w pełni świeci.
Śpią mgłą owiane fale lazurowe,
I wkoło we mgle, jak w srebrzystej sieci,
Skaliste brzegi i wyspy palmowe,
Kąpią się w blasku miesięcznej pogody.
Z brzegu odbity we zwierciadłach wody,
Gród Gombarunu marmurem się bieli.
W nim gmach Emira góruje nad skały. —
Przed chwilą trąby i wdzięczny dźwięk zeli,
Z wież jego słońce gasnące żegnały: —
Spokojne słońce! milej mu w dąbrowie
Zanuci pasterz, albo słowik w sadzie,
Gdy na szkarłatne zachodu wezgłowie
Ogniste skronie do spoczynku kładzie! —
Lecz teraz głucho na Emira dworze.
Jak ziemia milczy nieruchome morze,
Cisza w powietrzu, na polu i w grodzie.
Wiatr choć gdzie westchnie, wnet uśnie w powiewie,
Żadna się fala nie zmarszczy na wodzie,
Żaden się listek nie wzruszy na drzewie.

Sam Emir nawet, śród nocnego chłodu,
Tyran Iranu,*) zasypia spokojnie.
Choć nad nim cięży przekleństwo narodu,
Choć wkoło zemsta porywa się zbrojnie
Mścić krzywd i zniewag, które jego plemię
Zlewa od wieków na Iranu ziemię:
Twardej w nim duszy ni miękczą, ni trwożą,
Ni łzy co płyną, ni miecze co grożą.
On, czci Proroka zapaleniec dziki,
Z rozkoszą patrzy na rzeź i płomienie,
Mieczem swej wiary tępiąc przeciwniki,
Mniema tem własne okupić zbawienie.
Gotówby w pośród najzaciętszej bitwy,
Uklęknąć we krwi przez siebie rozlanej,
By wczas codzienne odmawiać modlitwy,
Lub na skrwawionym mieczu wypisany
Rozważać myślą jaki tekst proroka;
Gotówby śledzić, bez zmrużenia oka,
Po jakie słowo lub wiersz którą razą
W piersiach swych ofiar utopił żelazo!

Wielki Allahu! o! jakiejże kary
Nie wart przed tobą okrutnik zażarty,
Co z ksiąg twych świętych ludzkości i wiary,
Skrwawioną dłonią przewracając karty,
Rozgłasza tylko bluźnierczemi usty
Naukę mordów, zemsty i rozpusty?
Jak owa zgubna Trebizondy pszczoła,

*) Iran, imię ogólne Persyi.

Co oblatując kwieciste płaszczyzny,
Z najsłodszych kwiatów, z najzdrowszego zioła,
W szał wprawiające wysysa trucizny!*)

Nigdy sroższego potęgą i złością
Satrapy Arab nie wsadził na państwo;
Nigdy tak Iran pod jarzma ciężkością
W mahometańskie nie giął się poddaństwo. —
Wielkim był Iran — uczy dziejów księga —
Bał się go mocny, błogosławił słaby.
Cóż jest narodów wielkość i potęga?
Czas, własne swary, i bliskie Araby,
Przyniosły zmianę jego świetnej doli:
Tron jego w gruzach, lud jęczy w niewoli.
Świątynie nawet — o! wstydzie bez miary!
Gdzie płonął Mitry ogień nieskażony,
Poszły skalane na łup cudzej wiary:
A w nich niewolnik, mieczem nawrócony,
Cześć bałwochwalczą składając na progu,
Złorzeczyć musi ojców swoich Bogu! —

Ale są dusze, co czują zniewagę,
Co pomną przeszłość, i mają odwagę.
Są serca tchnące zemstą i nadzieją:
Serca podobne do drogich kamieni,
Co raz przesiąkłe od słońca promieni,

*) W okolicach Trebizondy znajduje się gatunek rododendronów, których kwiat chciwie jest poszukiwany przez pszczoły, a miód z nich wyssany ma własność, że ludzi wprawia w szaleństwo.

Śród nocy jeszcze blaskiem dnia jaśnieją.
Są i ramiona, co i chcą, i mogą,
Serc tych natchnienia wypełniać statecznie. —
Dozna ich wkrótce, i przypłaci drogo,
Ten, co w tej chwili zasypia bezpiecznie,
Jak gdyby mniemał, że nad jego łożem
Niebo anioła postawiło stróżem! —

Śpij, śpij, tyranie! nie dla twoich oczu
Świecą te gwiazdy na niebios przeźroczu,
Błyszczy zwierciadłem lazurowe morze:
Śpij, śpij, tyranie! jakbyś nic nie winien!
W tak pięknej nocy, w tak rozkosznej porze,
Nikt prócz kochanków czuwać nie powinien! —

I oto, patrzaj! — na tej nagiej skale,
Co się tak stromo wznosi ponad fale,
I wkoło po nich ściele cień ponury:
Widzisz tę wieżę z krużgankiem u góry?
Widzisz to okno? skąd wzdłuż białej ściany,
Dziewiczych włosów warkocz rozwiązany,
Spływa potokiem wdzięcznego nieładu:
Czarny i lśniący, jako czaple pióra,
Co zdobią turban monarchy Bagdadu!*) —
W tem oknie czuwa Emirowa córa —
Anioł dobroci, wdzięków, niewinności,
Co choć z takiego i ojca i rodu,

*) Królowie wschodni noszą czaple pióra po prawej stronie turbanu, jako oznakę swojej godności.

Jest jak promienna Fontanna Młodości,
Co z gór najdzikszych wypływa z pod lodu*). —

O! jak urocza, święta, tajemnicza,
Jak młoda piękność, przed światem ukryta,
Co tylko blaskiem skromnego oblicza
Samotnie w domu rodzicielskiem świta,
Zdala od wzroku natrętnego ludzi!
Kwiat na dnie morza kwitnący głębokiem,
Którego nawet blask słońca nie zbrudzi,
Nie tak jest czysty przed Allaha okiem —
Tak dotąd Hildy i serce i lice,
Jak na ołtarzach święte tajemnice,
Były w zamknięciu haremu strzeżone.
Stokroć szczęśliwi! komu los przeznaczy,
Że z nich dziewiczą uchyli zasłonę,
Że je najpierwszy pozna i obaczy!
Jak ów, co znagła na bezdrożnej toni,
Zaczarowany raj ziemski odkryje,
I sam tchnie całem upojeniem woni,
Którą wprzód usta nie tchnęły niczyje! —

Piękne są, piękne, arabskie dziewice,
Gdy w lekkim tańcu depcą smug zielony!
Jak gwiazdy błyszczą ich pełne źrenice,
Gdy patrzą z okien przez cienkie zasłony. —
Piękne są, piękne, małżonki Arabów,

*) Źródło, albo Fontanna Młodości, podług tradycyi Mahometanów, płynie gdzieś między najdzikszemi górami na Wschodzie.

Białe jak jaśmin, co we włosach noszą;
Pierś ich miłości oddycha rozkoszą,
A rozkosz nowych dodaje powabów:
Gdy w swych altanach, gdzie w letnim upale
Cień liści czyni słońce łagodniejsze,
Przed zwierciadłami pędzą czas niedbale,
I z każdą chwilą stają się piękniejsze! —
Lecz próżno szukać w Arabii całej,
Od Beduinki do żony sułtana,
Coby się mogły, coby nawet śmiały,
Równać w piękności z córką Al-Hassana! —

Piękna jak anioł, gdy we snach dziecinnych
Roztoczy w górze cień skrzydeł strażniczych:
Promienna blaskiem swych uczuć niewinnych,
Kwitnąca w pełni powabów dziewiczych.
Samo spojrzenie — gdyby z tem spojrzeniem
Spotkał się zbrodniarz, płakałby z rozpaczy,
Alboby musiał uciekać ze drżeniem
Jak wąż, gdy połysk szmaragdu obaczy: *)
Tak jest spokojne, tak czyste — a razem
Tak gore ogniem i czucia wyrazem,
Że rzekłbyś tęcza zmięszanej jasności
Niebieskiej chwały i ziemskiej miłości:
Promień jej duszy, wpół boskiej istoty,
Gdzie tylko ziemska czułość i tęsknoty
Są jakby cienie — śród których tem milej,

*) Utrzymują na Wschodzie, że gdy wąż wpatrzy się w blask szmaragdu, natychmiast ślepnie.

Jaśnieje światłość złagodzona wiary:
Jak promień słońca, gdy w pogodnej chwili
Przez drzew cieniste wciska się konary,
I takie światło rozkoszne rozlewa,
I tak łagodnie swym blaskiem ogrzewa,
Że wątpić trzeba, czy tych liści cienie
Nie milsze dla nas, niż same promienie! —

Taką jest Hilda — co na swym krużganku,
Bezzsenne we łzach opuściwszy łoże,
Duma samotnie czekając poranku,
I patrzy smutnie na błękitne morze. —
Ach! nie tak kiedyś — ach! nie tak ze łzami,
Nie tak z westchnieniem — w swych progach rodzinnych,
Patrząc na niebo zasiane gwiazdami,
Z jasnemi w duszy jak one myślami,
Marzyć lubiła za lat swych dziecinnych! —
Jakież dziś smutku przyczyny być mogą?
Czy co straciła? czy bojąc się żąda?
Czemu w noc czuwa? czemu z taką trwogą
Ku przepaścistym skałom tym spogląda,
Co najeżone u góry podnóża,
Ponurym cieniem plamią jasność morza?
To niepodobna! ażeby tą drogą
Mogła, lub śmiała spodziewać się kogo! —

Tak myślał Emir, gdy jej na tej skale
Kazał zbudować ów ganek na wieży,
Gdzieby po skwarnym letnich dni upale
Mogła oddychać nocy powiew świeży;

Tak myślał Emir, gdy to jej mieszkanie
Z tej strony całkiem zostawił bez straży. —
Śpij więc bezpiecznie, i nie patrz, tyranie!
Na co się miłość młodzieńcza odważy!
Miłość, co rosnąc śród niebezpieczeństwa,
W walce z niem szuka rozkoszy i chluby,
Której najmilszy ten wieniec zwycięstwa,
Co go zerwała nad przepaścią zguby!
Śmielsza od łowca pereł lub korali,
Co nie wprzód w morskiej pogrąża się fali,
Aż się o cichej zapewni pogodzie.
Miłość, choć piorun, choć ocean ryczy,
Tę tylko perłę za skarb sobie liczy,
Którą ułowi w najburzliwszej wodzie! —

O! i w tej chwili — choć stroma opoka,
Choć skały śliskie, i przepaść głęboka:
Jest przecież taki, córko Al-Hassana!
Co byle ujrzeć blask twojego oka,
Co byle dotknąć twoich ust szkarłatu:
Wdarłby się nawet tam — gdzie niedeptana
Ścieżka prowadzi na szczyt Araratu!*)

Słyszysz? szum wiosła! — Patrz! łódka bez żagli,
Pędzi jak strzała w niezachwianym biegu,
Tak szybko wioślarz do pędu ją nagli.
Przed nią i za nią, w księżyca promieniu,
Wre biała piana podobna do śniegu: —

*) Góra ta uważana była powszechnie za niedostępną.

Łódź coraz bliżej — już znikła w skał cieniu —
Piasek zaskrzypiał — stanęła u brzegu.

„To on!“ — bledniejąc Hilda zawołała,
I na poręczach ganku pochylona,
Na dół otwarte wyciąga ramiona,
Jakby mu w pomoc rękę podać chciała.
Tak owa w pieśniach poetów sławiona,
Białowłosego Zala narzeczona,*)
Gdy na jej ganek wdzierając się w nocy,
Raz nad przepaścią zachwiał się jej luby:
Rzuciła własny warkocz ku pomocy,
By się go ujął, i uniknął zguby.

Ale zręczniejszy jest ów młodzian śmiały,
Co przy mdłych tylko księżyca połyskach,
Pnąc się w tej chwili po śliskich urwiskach,
Jak dzika sarna arabskiej pustyni,
Szybkimi kroki skacze z skał na skały —
Już ujrzał Hildę — już blisko — już przy niej! —

Ona go kocha — lecz nie zna, i nie wie,
Kto on? z jakiego plemienia i kraju? —
Jak ów, co błądząc w indyańskim gaju,
Cudnego ptaka obaczy na drzewie,
Co wczoraj z wiatrem wiejącym od morza,

*) Zal, sławny bohater perski, w pierwszych wiekach tego państwa, ojciec sławniejszego jeszcze od siebie Rustama, urodził się z białymi włosami. Zdarzenie wspomniane w tekście, sławne jest w poezyach perskich.

Przyleciał z wysep nieznanych nikomu,
I nim jutrzejsza może błyśnie zorza,
Znów z tymże wiatrem odleci do domu: —
Na cóż mu ptaka nazwisko posłuży,
Kiedy się blaskiem jego piór zachwyca? —
Wielki Allahu! spraw tylko, by dłużej
Kochanka swego widziała dziewica! —

Było to w nocy, o tej samej porze —
Noc była cicha i spokojne morze,
I księżyc świecił na niebios przezroczu:
Gdy po raz pierwszy, z okien swego gmachu,
Nucąc przy arfie święty hymn poranku,
Ujrzała nagle — o! srogi przestrachu! —
Ujrzała dwoje płomienistych oczu,
Patrzących na nią przez kratę jej ganku —
I była pewną, że to oczy ducha,
Co przez powietrzne przelatując drogi,
Tu się zatrzymał, i pieśni jej słucha! —
Ta myśl tak umysł przenikła lękliwy,
Że choć wnet z pierwszej ochłonąwszy trwogi,
Sama się własnem przekonała okiem,
Że to był młodzian śmiertelny i żywy,
Co uniesiony jej wdzięków widokiem,
Wskoczył na ganek, u kolan jej klęczał,
Całował usta, i miłość zaręczał: —
Myśl ta w niej nieraz budzi się nanowo,
Skoro z ust jego — jak się często zdarza —
Usłyszy dzikie, niepojęte słowo:
Gdy oko jego gniewem się rozżarza,

I tak dokoła żywym ogniem ciska,
Że go znieść wtedy niepodobna zbliska.
Wtenczas drży znowu, zali jej kochanek
Nie duch zwodniczy, lub jeden z aniołów,
Co uwiedzeni wdziękami ziemianek,
Jasne swe niegdyś rzuciwszy pobyty,
Zrzekli się nieba za miłość kobiety,
I dotąd błądzą śród ziemskich padołów! —

Nie drżyj, dziewico! nie drżyj! — twój kochany,
Ni duch zwodniczy, ni anioł wygnany;
Ach! jest on tylko z owych synów ziemi,
Co tak namiętni w miłości i gniewie,
Jak gdyby tchnęli płomieńmi samemi,
Lub czując w sercu piekielne zarzewie,
Zgasić je tylko mogli w krwi rozlewie! —

Lecz dziś w nim życie jakby mgła owiała;
Twarzy tak bladej, oczu tak ponurych,
Nigdy w nim dotąd, nigdy nie widziała!
Lecz takim bywał we snach jej, po których,
Jedną jej ulgą w złowrogiej obawie,
Było się budzić, i płakać na jawie.
Bo sny to były, których cień i we dnie
Zaczernia duszę — jak duch, co się jawi
Niosąc śmiertelnym nieszczęść przepowiednię,
Wszędzie gdzie stąpi, czarny ślad zostawi! —

„Jak pięknie“ — rzekła dziewica nieśmiało,
Jakby ją brzmienie własnych słów lękało:

Tak długo milcząc obok siebie stali,
Patrząc na połysk wygładzonej fali. —
„Jak pięknie dzisiaj to światło księżyca
„Ową cienistą wysepkę oświeca!
„W moich marzeniach, jam nieraz żądała,
„Żeby ta wyspa ptaka skrzydła miała,
„I nas, siedzących pod cieniem swych gajów,
„Przeniosła razem gdzieś do pustych krajów,
„Lub gdzie na jakie nieżeglowne wody:
„Gdziebyśmy sami mogli żyć dla siebie,
„Żyć i umierać — bez ludzkiej przeszkody! —
„Gdzieby się tylko przez gwiazdy na niebie
„Oczy aniołów na nasz raj patrzyły! —
„Tego się tylko obawiam, mój miły!
„Czyby świat taki wystarczył dla ciebie?“ —

Rzekłszy, ku niemu spojrzała wesoło,
Pewna, że uśmiech wzajemny obaczy. —
On stał, ku ziemi opuściwszy czoło,
I tylko ku niej podniósł wzrok rozpaczy,
Co jak miecz w duszy kochającej tonie.
Zbladła dziewica, i klasnąwszy w dłonie:
„Nie patrz tak, nie patrz! już wiem, co to znaczy!“ —
Krzyknęła, dłońmi zakrywając skronie.
„Ach! te sny moje! te widma złowieszcze!... —
„Wiem, co mi wróżą! — Nic, nic nie pomoże!
„Ty chcesz, ty musisz rzucić mię — dziś jeszcze! —
„Ach! ja wiedziałam, że to trwać nie może!
„Jam od dzieciństwa przywykła do tego,
„Utracać wszystko, com tylko kochała!

„Nie było krzewu, ni kwiatu jednego,
„By wnet nie usechł, gdym ja go wybrała.
„Nie było ptaka, ni młodej gazeli,
„Gdy już mię znała i jadła z mej dłoni,
„Gdy igrać ze mną zaczęła już śmielej,
„Bym zaraz potem nie płakała po niej! —
„I ty, mój luby! ty, coś moją duszę
„Nauczył uczuć tak nowych, tak tkliwych:
„Wiem, że i ciebie równie stracić muszę! —
„Idź! nie dziel moich losów nieszczęśliwych!
„Idź, i nie wracaj! — choć twoje przybycie
„Niebem jest dla mnie; — lecz te strome skały!
„To zdradne morze! — ach! a tyś tak śmiały!
„Ty mógłbyś dla mnie narazić swe życie!... —
„Idź, i nie wracaj! — lecz przyjmij na drogę
„Łzy mej miłości i błogosławieństwo! —
„O mnie się nie bój! — ja czuję, że mogę
„Znieść łatwiej żałość po tobie, niż trwogę
„Że cię narażam na niebezpieczeństwo!“ —

—„Niebezpieczeństwo! — chcesz, żebym się chlubił?“ —
Krzyknął młodzieniec; — „cóż mi ono znaczy?
„Co znaczy temu? kto raz wszystko zgubił,
„Co wzrósł śród nieszczęść, przywykł do rozpaczy;
„W którego uchu trąb wojennych dźwięki
„Brzmią co minuta; — co we dnie i w nocy,
„Śpiąc nawet, miecza nie śmie puścić z ręki,
„By się nie ocknął w nieprzyjaciół mocy? —
„Niebezpieczeństwo!“... —

— „Więc ty nie znasz trwogi?
„Powrócisz do mnie? mój luby! mój drogi!“ —

— „O nie! tak nie patrz! — bo te oczy twoje!...
„Ja się na świecie nic prócz nich nie boję! —
„Jeśli są gwiazdy, co wpływem swym mogą
„Popchnąć mię różną od obranej drogą:
„Jeśli jest jaki talizman uroczy,
„Coby mi przeszłość z pamięci wymazał,
„Coby na przyszłość zapomnieć mi kazał:
„Tym talizmanem — byłyby twe oczy! —
„Lecz nie! — to próżno! — niema nam sposobu!
„Wyrok mój jasny — dopełnić go muszę —
„Musim się rozstać! — i z tej strony grobu
„Już się nie ujrzym! — bo choć nasze dusze
„Sam Bóg powiązał — świat wiecznie rozdziela. —
„Słuchaj mię, słuchaj! arabska dziewico!
„Wprzód gwiazdy razem ze słońcem zaświecą,
„Niż ja się złączę z krwią nieprzyjaciela! —
„Twój ojciec“... —
— „Nie kończ! — niech go Allah strzeże!
„Wzrok twój mu zda się nieszczęściem zagraża.
„Lecz ty go nie znasz — nie wiesz, jak on szczerze
„Szanuje męstwo, i mężnych poważa! —
„Dość niech cię pozna! — nikt pewno goręcej
„Czcić cię nie będzie, ani kochać więcej. —

„Pomnę, w dzieciństwie, gdy w jego komnatach
„Lubiłam czasem bawić się orężem,
„On mi rokował, że w późniejszych latach

„Bohater jakiś być musi mym mężem.
„I teraz nawet, gdy mu na wieczerzę
„Przynoszę sorbet i owoce świeże,
„A on nie smutny — jak się często zdarza —
„Lub go nie trudnią rządowe zajęcia,
„Pieszcząc się ze mną, z uśmiechem powtarza,
„Że wojownika chce tylko za zięcia:
„Bo mężne serce i chwała z oręża,
„Są najdroższemi bogactwami męża“. —

„Ty się odwracasz? — ach! ty mój jedyny!
„Ty zyskasz łatwo chwałę i wawrzyny!
„Wstąp w jego szyki! — Wiesz, że się zuchwali
„Gwebrowie znowu do buntu porwali... —
„O! ja nieszczęsna! spojrzałeś tak srogo! —
„Czyliż te rady obrażać cię mogą? —
„Ach, nie! — w twym wzroku, co tak ogniem pała,
„Błyszczy już przyszłe zwycięstwo i chwała.
„Wstąp w jego szyki! — lecz śpiesząc na boje,
„Hamuj w nich, proszę, zapał twego męstwa;
„Pomnij, że miłość, i że serce moje
„Czekać cię będą z nagrodą zwycięstwa! —
„Wtenczas się o nie śmiało upominaj,
„Gdy ci, którymi mój ojciec się brzydzi,
„Bezbożne Gwebry“... —
— „Milcz, milcz! nie wspominaj
„Tego imienia! — twe słowa są gromy!“ —
Krzyknął z rozpaczą młodzian nieznajomy,
I płaszcz swój rozkrył: — „Czy twe oko widzi

„Ten pas? znak Gwebra?*) — Płacz więc, lub prze-
„Jak nas twój ojciec klnie i nienawidzi! [klinaj!

„Tak! — jam jest z tego *bezbożnego* rodu,
„Co choć nas ściga wasza zemsta sroga,
„Wiernie w godzinach wschodu i zachodu
„Wielbimy w słońcu tron żywego Boga!**)
„Tak! — jam jest jeden z tych nędznych tułaczy,
„Wiernych ojczyźnie, zemście i rozpaczy,
„Co klnąc Arabów, co nas w jarzmo wprzęgli,
„Na krew poległych braci zaprzysięgli,
„Dopóty walczyć ogniem i żelazem,
„Aż lub kraj zbawim, lub zginiem z nim razem! —
„Dziki twój ojciec... — Lecz nie drżyj o niego!
„Kimbądź on dla nas — dawca życia twego
„Świętym jest dla mnie, jak Mitry ołtarze,
„Gdy na nich ogień ofiarny rozżarzę. —
„Lecz wiedz, żem jego szukał w owej nocy,
„Gdy widząc światło na bezbronnej wieży,
„Nadzieja zemsty dodała mi mocy:
„Wdarłem się tutaj od morskich wybrzeży —
„Wdarłem się z mieczem — z sercem krwi spra- [gnionem... —
„Lecz ach! któż zbada tajnie przeznaczenia? —

*) Dla odróżnienia się od bałwochwalców Indyjskich, Gwebrowie opasują się pasem skórzanym, i tak wielką do tego stroju przywiązują wagę, że bez niego chwili być nie mogą.

**) Gwebrowie utrzymują, że tron Najwyższego jest w słońcu, i dlatego tylko cześć słońcu oddają.

„Chciałem zejść sępa w gniaździe zakrwawionem,
„Znalazłem tkliwą gołąbkę zbawienia!... —
„Tyś zwyciężyła! — Cel, co mię tu znęcił,
„Wypadł z mej duszy; — twój grzech, jeślim winien,
„Żem jedną chwilę miłości poświęcił,
„Gdym tylko zemście wszystkie był powinien! —

„Obym ja nigdy, nigdy nie znał ciebie!
„Lub mógł zapomnieć: jak byłem szczęśliwy,
„Jakbyśmy byli szczęśliwi — jak w niebie!... —
„Gdyby — o! Hildo! — nie ów los straszliwy,
„Co wśród nas stanął — i nielitościwy
„Tak nas daleko rozepchnął od siebie! —

„O! gdyby kraj mój był i twoim krajem!
„Gdybyśmy w jednej wsi, o! moja droga!
„Wzrastali razem, i jednego Boga
„O szczęście swoje błagali nawzajem;
„I połączeni węzłami świętemi
„Wspomnień dzieciństwa i rodzinnej ziemi,
„Radzi z ubogiej po ojcach spuścizny,
„Kochali siebie miłością ojczyzny!
„Gdybym z ust twoich, w pełnym westchnień głosie,
„Usłyszał piosnkę o jej dawnym losie,
„Kiedy nasz Iran wielkim był Iranem!
„Gdybym w twych oczach, coby ogniem tlały,
„Ujrzał blask święty jego dawnej chwały,
„Lub w łzach twych litość nad dzisiejszym stanem!...
„Wtenczas-to, wtenczas, mójby miecz zabłysnął —
„I biada temu, co te łzy wycisnął!
„Zmyćby je musiał morzem krwi wylanem!

„Lecz cóż nam dzisiaj, że nas miłość sprzęga,
„Dziś — gdy nas wszystko na wiek wieków dzieli:
„Wiara, ojczyzna, powinność, przysięga? —
„Gdybyśmy sobie wiernemi być chcieli,
„Musimy zdradzić krew naszą i Boga! —
„Ojciec twój nami jak piekłem się brzydzi:
„Ty sama może... — Przebacz, moja droga!
„Nie! — tak nie spojrzy ten, co nienawidzi! —
„Nie! — moja Hilda! — o! ja znam jej duszę!
„Ona się losem Iranu rozczuli:
„Wyzwoli jeńców, odwróci katusze,
„Pocieszy wdowy, sieroty przytuli!
„A gdy w obronie nieszczęśliwej ziemi,
„Ostatni nasi polegną rycerze:
„Pomnij, że jeden z nich kochał cię szczerze —
„Przez miłość dla mnie, zapłacz nad wszystkiemi! —
„Lecz patrz!“ —
Tu umilkł i blednąc na twarzy,
Ukazał tylko na odległe wały,
Gdzie jak ogniki nad grobem żeglarzy,
Błękitne światła przeze mgłę migały,
I podwojone morskiemi zwierciadły,
Sypiąc iskrami, wzlatały ku górze:
Że rzekłbyś gwiazdy, co do morza spadły,
Lecą znów osiąść na niebios lazurze.

„Bądź zdrowa, Hildo! — to są hasła moje —
„Puszczaj mię, puszczaj! — bo hasła złowieszcze. —
„Chwila spóźniona — a zginiem oboje! —
„Najmilsza moja! raz jeszcze! raz jeszcze!

„Żegnaj! — Ojczyzno! teraz jam twój znowu!“ —
Rzekł, i wprost z ganku skoczył w głąb parowu,
Jakby śmierć tylko pociechą rozstania. —
A ona blada, bez tchu, bez pamięci...
Wszystkie jej myśli, uczucia i chęci,
Zlały się w jeden zamęt obłąkania! —
Wtem w głębi woda zaplusnęła głucho.
Szmer ten jak gromem uderzył jej ucho —
Szmer ten jej zda się hasłem jego zguby! —
Podniosła ręce — na kraj ganku bieży,
Jak gdyby za nim w dół rzucić się z wieży:
„Idę za tobą! idę, o! mój luby!
„Niech nas przynajmniej w tej samej topieli
„Jedna śmierć razem oboje pogrzebie!
„Milej mi z tobą umierać, niżeli
„Żyć wieki wieków, daleko od ciebie!“ —

Lecz nie wybiła jeszcze ich godzina —
Bo łódź w tej chwili z cienia skał wybiegła,
I z szumem drogę pienistą przerzyna,
Tam, gdzie znów ognie błękitne postrzegła.
I uskrzydlona żaglem w pomoc wiosła,
Lekko, swobodnie ulata po falach:
Jakby wesołość tylko w sobie niosła,
I nikt na brzegu nie pozostał w żalach! —

PIEŚŃ DRUGA.

Nad perskiem morzem ranek świta blady.
Coraz to jaśniej widać okolice:
Widać palmowe Bareinu sady,
I ambrozyjskie Kiszmai winnice,*)
I różnobarwne wysp kwiaty i krzewy.
Tchnie brzeg arabski wonnymi balsamy:
A z wód indyjskich łagodne powiewy,
Wkoło świętego nadbrzeża Selamy,**)
Igrają z falą i z kwiatów wieńcami,
Które z ziem różnych pobożni żeglarze,
Z ziół swych ojczystych uwiwszy je sami,
Płynąc tu, morzu poświęcili w darze,
Na cześć wielkiego geniusza wody,
Za wiatr przychylny i wierne pogody. —

*) Barein i Kiszma, wyspy w Zatoce Perskiej.

**) Selama, albo Sełemek, jest to właściwie nazwisko przylądku, zwanego pospolicie Musseldom. Indyanie płynąc około niego, rzucają w morze owoce i kwiaty, dla otrzymania szczęśliwej żeglugi.

Słowik się rozstał z różanemi krzewy,
Skąd nucił w nocy niesłuchane śpiewy,
I przed spojrzeniem jutrzenki się chroni,
Pod cieniem liści granatnych jabłoni,
Co od jej blasku, na tle swej zieleni,
Błyszczą jak tęczą ognistych kamieni,
Oblane rosy tak czystej perłami,
Że najlepszego oręża nie splami,*)
Że miecz nią zlany, wartby jeszcze z rana
Uzbrajać ramię młodego sułtana,
Gdy po raz pierwszy zasiądzie na tronie!

Lecz oto słońce ze wschodniej purpury
Wzniosło promieńmi uwieńczone skronie —
I już świat cały ogniem życia płonie! —
Słońce! — aniele światłości! ty, który,
W dniu narodzenia świata i natury,
Sam pierwszy, wiodąc jasne gwiazd gromady,
Wszedłeś w ogniste Stworzyciela ślady!
Gdzie są dni owe — świadku ich odwieczny!
Gdy cały Iran, jako kwiat słoneczny,
Z czcią i miłością, o każdej dnia dobie,
Okiem i sercem zwracał się ku tobie?
Gdzie są ołtarze, co wzdłuż jego krajów,
Jak dzieciom kazał przykład ojców stary,
Płonęły ogniem twojej czci i wiary:

*) Franklin, mówiąc o klimacie Szyrazu, powiada: „Rosa tak jest czysta, że najlepsza stal, przez całą noc zostawiona na dworze, nie zardzewieje od niej“.

Od orzechowych Samarkandy gajów,
Do Bendemiru skalistych wybrzeży? —
Gdzie są? — Zapytaj cieniów tych rycerzy,
Co po jednemu walcząc z tysiącami,
Śród krwią oblanej Kadesu płaszczyzny,
Wrogów ją swoich zasławszy trupami,
Szczęśliwi! z chwałą polegli i sami —
Nie czują więzów, ni krzywd swej ojczyzny! —
Spytaj wygnańca, co w nędzy wygnania,
Bez pocieszenia, bez politowania,
W pustyniach życie prowadzi tułacze:
Albo z wierzchołka gór wiecznie zimowych,
Patrzy ku stronie Iranu, i płacze
Po kraju słońca i cieniów palmowych!...

Lecz czyż Iranu chwała i ołtarze
Na zawsze w Mitry zagasły pieczarze? —
O nie! są jeszcze synowie w Iranie,
Co nie napróżno Muzułmanom grożą:
Co za swą wiarę, za krew swoich braci,
Dopóty miecza i zemsty nie złożą,
Póki ich słońce światłości nie straci,
Póki im ziemi choć na grób zostanie!
Młodzieńcze serca, w których siła ducha,
Na lada krzywdę płomieniem wybucha;
I dusze męzkie, w których mrocznej głębi,
Gniew, jako ogień w przepaściach wulkanu,
Tleje ukryty, lecz się nie wyziębi,
Aż przy nim zemsty dojrzeją nasienia,

Aż jako palma olbrzymia Ceylanu,*)
Hukiem rozkwitu świat zbudzą z uśpienia!...

Lecz któż jest, który na Iranu brzegach
Rozwija sztandar wolności i chwały;
Przed czyim mieczem, w złamanych szeregach,
Arabskie hordy po polu pierzchały,
A on spokojnie postępował dalej,
Śród muru włóczni Kermańskich górali? —
Są to ostatni wiary swej obrońce,
Lecz umrzeć za nią każdy żądzą pała:
Jakby w ich sercach, jak w ich górach słońce,
Cześć jego światła najdłużej jaśniała!

Hafed ich wodzem; — imię to straszliwe,
Jak złośliwego rym czarnoksiężnika;
Dość je wymówić — drżą tłumy lękliwe,
I najmężniejszych zimny dreszcz przenika. —
Hafed — o którym Arabowie w nocy
Tak dziwne wieści prawią przy ogniskach,
O jego wzroście i nadludzkiej mocy,
O jego oczu rażących połyskach:
Że nieraz straże słuchając z uboczy,
Z trwogą swój kaptur nasuną na oczy,**)

*) *Talpot* albo *Talipot*. Piękny ten gatunek palmy, rosnącej w głębi największych lasów, może się policzyć do najwyższych drzew, a gdy rozkwita, wydaje łoskot podobny do wystrzału z działa.

**) Arabowie noszą odzież z kapturem, podobnym do kapturów mniszych.

By się im Hafed nie zjawił śród cienia,
By ognistego nie spotkać spojrzenia! —
Bo Hafed, mówią, nie z ludzkiego rodu:
Szczep tajemniczej rodziny Tamura,*)
Co mu, gdy wojnę prowadził za młodu,
Gryf Symurg z piersi dał zaklęte pióra,
Które gdy szyszak jego okrywały,
Miecz go nie ranił, nie dosięgły strzały.
Te pióra dzisiaj zdobią hełm Hafeda,
A sam Duch Ognia wspiera go przez czary:
Bo przezeń wierze swojej upaść nie da,
A chciałby zguby muzułmańskiej wiary.

Taka wieść o nim, którą Arab szerzy,
I chcąc lżyć wroga, sam swój postrach wzmaga. —
Lecz on, wódz młody Irańskich rycerzy —
Talizman jego, jest miecz i odwaga;
A te tak straszne Muzułmanom czary:
Miłość ojczyzny, wolności i wiary!

Krew, co w nim płynie z bohaterów dawnych,
Miła jest ziomkom i czczona w Iranie,
Nie z długich wieków, lecz z dzieł synów sławnych;
Jako ta rzeka na górze Libanie,

*) Imię jednego z najdawniejszych królów perskich, którego dziwne przygody i bohaterskie dzieła słyną w poezyach wschodnich. Gryf Symurg, który go sam na pustyni wykarmił, dał mu na ozdobę kilka piór swoich, które go niezwyciężonym czyniły, i przeszły spadkiem do jego następców.

Co stąd jest tylko i świętą i głośną,
Że święte cedry na jej brzegach rosną*).

Nie z jego duszą, nikczemnem kolanem
Bić przed swym wrogiem, i przed Muzułmanem!
Nie jemu miejsce w niewolników gronie,
Co na sam widok turbanu na głowie,
Blednąc na twarzach pochylają skronie,
Jak nagłym wichrem pognane sitowie! —
O! nie! — on uciekł w pustynie — tam woli
Spotkać tygrysa, niż braci mordercę,
Gdzieby mu każda łza ich nędznej doli
Jak kropla ognia spadała na serce!
Tam — jak kochanek, któremu zaświtał
Pierwszy wzrok długo czekanej miłości:
Tak on tam pierwszy blask miecza powitał,
Gdy w ręku zemsty błysnął dla wolności! —

Lecz próżne męstwo! — próżno kwiat Kermanu,
Gardząc mnogością Al-Hassana dziczy,
Jak z chmur zesłany obrońca Iranu,
Zstąpił z gór zerwać łańcuch niewolniczy!
Próżno ognisty, jak sam Bóg ich, słońce,
Zapał w ich sercach dzień zwycięstwa wróżył!
Przeciw ich jednej, wróg miał strzał tysiące,
Przeciw jednemu, co tysiąc położył
Miryadami płynął tłum pohańczy:

*) Rzeka ta, mówi Dandini, stąd tylko zowie się świętą, że płynie pomiędzy cedrami które są miane za święte.

Aż po daremnym morza krwi rozlewie,
Zastęp ich zrzedniał — jak liście na drzewie,
Gdy po niem chmura przeleci szarańczy. —

Jest niedaleko G o m b a r u n u miasta,
Wysoka, stroma, przepaścista góra,
Wierzch jej skalisty nad morze wyrasta,
I cięży nad niem, jakby wieczna chmura,
Jakby wiszące ogniwo, co kończy
Gór owych łańcuch, co bodąc obłoki,
Od bram Kaspijskich do Perskiej zatoki,
Dwa światy dzieli, i dwa morza łączy.
Skały sterczące w krąg u jej podnóża,
Zdają się nagie olbrzymy śród morza,
Postrach i wrogi żeglarzów ciaśniny;
A z jej ostrego, najwyższego szczytu,
Na tle pogodnym jasnego błękitu,
Czernią się dawnej świątyni ruiny.
Nieraz albatros w powietrzu drzemiąca, *)
Gdy o ich mury sennem skrzydłem trąca,
Z krzykiem przestrachu zdumiona się budzi,
Że i w obłokach są mieszkania ludzi.
Pod stopą góry, jej wnętrza kamienne,
Czas pobił w groty i lochy bezdenne,
Gdzie fale morza z wściekłą wpadłszy mocą,
Pienią się, ryczą, i wrzeniem bełkocą —
A taki łoskot wkoło się rozlega,

*) Ptaki te, podług dawnego mniemania, śpią na powietrzu, i są bardzo pospolite na Przylądku Dobrej Nadziei.

A taka straszna wieść po kraju biega
O duchach, które tam się dręczą na dnie:
Że żaden Arab, chociaż w boju śmiały,
Za skarby świata, skoro mrok zapadnie,
Nie zbliży łodzi do tej Gwebrów skały. —

Od strony lądu, te na szczycie wieże,
Co je czas, zda się, jak swój pomnik strzeże;
Od reszty świata, od ludzkiej napaści,
Dzieli szeroki rów strasznej przepaści,
Tak niezgłębionej, tak dzikiej, tak ciemnej,
Że zda się bramą, skąd piekielne duchy
Wychodzą na świat z otchłani podziemnej.
Jako echo gromów, huk się tylko głuchy
Wznosi z jej głębi: — lecz nie dojrzeć okiem,
Czy to jest woda, co w łożu głębokiem
Szumi wezbrana; czy gdzie w łonie ziemi
Ogień tak huczy z wichry podziemnemi:
Bo znać, że kiedyś w czasie zapomnianym,
Cała się góra paliła wulkanem *).
Lecz choć wiek dawny, gdy z jej wzniosłych szczy-
Z owych jej świątyń — których same szczęty [tów,
Cześć budzą jeszcze: — śród niebios błękitów,
Wieczny jak słońce, pałał ogień święty;
Choć go kapłani i wierni czciciele,
Krwią swą i łzami zaleli w popiele:
Znowu — o! cudo niepojętej mocy! —

*) Świątynie Gwebrów były pospolicie budowane w miejscach, gdzie się znajdują ognie podziemne.

Z gruzów tych Iran codzień widzi zdala,
Jak w dzień słup dymu, a słup ognia w nocy,
Wzbija się w niebo: — bo któż go zapala?

Tam Hafed resztę odważnych w Iranie,
Przed Muzułmanów zemstą uprowadził.
„Witam was — wołał — wy dzikie otchłanie!
„Choćby w was Eblis tron piekieł osadził,
„Wy rajem temu, kto w waszym pomroku,
„Ujdzie niewoli i wroga widoku!“ —
Rzekł, i po ciasnej, po jedynej drodze,
Którą znał tylko on i jego wodze,
Po wątłym moście nad głębią jaskini,
Przeszedł ją z braćmi, i wszedł do świątyni.

„To miejsce, bracia! jedno nam zostało,
„Gdzie możem umrzeć, i zapłakać śmiało.
„Łez naszych widzieć wzrok nie będzie wroga,
„Ani z nich jego urągać pochlebce!
„Tu możem umrzeć: — tu zuchwała noga
„Muzułmanina naszych ciał nie zdepce!
„A choć konając obaczym, jak sępy
„O skały na nas ostrzą dziób swój tępy;
„Chociaż czuć będziem, jak z nas ząb tygrysa,
„Albo hyena ciepłą krew wysysa:
„Cieszyć się będziem śród samej rozpaczy,
„Że jej w nas tutaj Arab nie zobaczy“. —

Tak mówił Hafed — a wtem ogień święty,
Co na ołtarzu sam przed chwilą wzniecił,

Jakby tajemnym tchem duchów rozdęty,
Wzmógł się w tej chwili, i twarz mu oświecił.

„Stało się!“ — kończył — co dłoń ludzka może,
„Myśmy zrobili w obronie Iranu.
„Lecz gdy sam Iran, w spodlonej pokorze,
„Chce nieść hołd obcym i bogom, i panu;
„Jeśli ci nawet — ci, których krew sama
„Zwaćby powinna w ślady wielkich ojców,
„Synowie plemion Zala i Rustama,*)
„Cześć widzą w pętach bisurmańskich zbójców;
„Albo — o! hańbo! — gdy Mitry ołtarze
„Zalały świeżo krwi kapłańskiej rzeki,
„Oni, bezwstydni, padają na twarze
„Przed ołtarzami oszukańca z Mekki!...
„Niech więc przed wrogiem Iran gnie kolano,
„Do całowania stóp jego niech drze się,
„Aż więzy jego tak sprośne się staną,
„Że najpodlejszy ich dłużej nie zniesie.
„Aż wstyd, na który tak długo nie dbali,
„Do rdzeni wewnątrz ich dusze przepali;
„Aż łzy, gdy nawet i płakać zakażą,
„Połknięte, pierś ich trucizną zarażą...
„Wtedy — ha! wtedy znajdą się obrońce —
„Z burzy i z nocy odradza się słońce! —
„Lecz dziś, o! bracia! zostaliśmy sami,
„Których dusz podłość, ni zdrada nie plami.

*) Rustam, syn Zala, najsławniejszy bohater perski. Pomiędzy Gwebrami są jeszcze ich potomkowie.

„Miejsc tych Araba tchnienie nie skalało;
„Tu więc zostańmy! — a choć nas tak mało,
„Choć nam z ran jeszcze płynie krew gorąca —
„Dość nam krwi jeszcze na zemstę zostanie!
„Pójdziem, jak dziki lampart na Libanie,*)
„Czyhać na zbójców po zachodzie słońca,
„I na kark z góry wskoczym niespodzianie!
„A gdy się miecz nasz na ich czaszkach złamie,
„Gdy już od rzezi omdleje nam ramię,
„I dalszej pomsty nie znajdziem sposobu:
„Wtedy, zmuszeni Bogu ją zostawić,
„Wrócim tu sami do wolnego grobu,
„Umrzeć za Iran — nie mogąc go zbawić!“ —

Rzekł — wszystkim wodzom łzy z oczu wytrysły,
Wszystkie ich miecze w powietrzu zabłysły,
Wszystkie skłonili ku gruzom ołtarza —
Choć wkoło tylko pustka i zniszczenie,
Choć sam gruz nawet upadkiem zagraża,
A ze ścian między rozpadłe kamienie
Bluszcz tylko zwisa, lub chwast szumi suchy:
Tu, gdzie najświeższe owoce i kwiaty
Lud niósł w ofierze, gdy niemi przed laty
Mag żywił przodków wędrujące duchy; —**)

*) Lampart czatuje siedząc i czając się na drzewie, i z góry skacze na zdobycz. *(Russel.)*

**) Pomiędzy innymi obrządkami, magowie na wierzchołkach swych świątyń kładli rozliczne owoce i kwiaty, którymi, jak mniemano, karmiły się Perie i dusze zmarłych bohaterów.

Choć teraz pusto — gdzie kapłanów rzędy,
Świąteczne niegdyś sprawując obrzędy,
Siały dym wonny z kadzielnicy brzękiem; —
Choć teraz głucho — gdzie hymnów tysiące
Witało codzień odrodzone słońce,
I obraz jego grał cudownym dźwiękiem; —*)
Lecz Bóg ich dawnej nie stracił potęgi,
Jak słuchał ojców, i synów usłyszy —
Gdy miecz podniósłszy, w imię towarzyszy,
Wódz wyrzekł słowo najświętszej przysięgi:
Że się pomściwszy czci i krzywdy bratniej,
Tu wrócą umrzeć, i pożegnać słońce. —
Oni! ostatni ojczyzny obrońce,
Umrzeć na gruzach świątyni ostatniej!...

O! wielkie dusze! godne łez anioła,
Łez uwielbienia i żalu, któremi —
Oni nie wiedzą — że śród wrogów koła
Anioł-dziewica płakała nad niemi!
O! piękna duszo! w której miłość budzi
Tak tkliwą litość na cierpienia ludzi!

Życie jej dotąd, bez trosk i bez grzechu,
Nakształt spokojnej jasnych wód przeźroczy,

*) „Każdego poranku Gwebrowie idą tłumem do świątyń składać cześć wschodzącemu słońcu; na każdym ołtarzu znajdują się poświęcone sfery, zrobione za pomocą czarów, wyobrażające okrąg i twarz słońca. Sfery te, gdy słońce wschodzić zaczyna, rozjaśniają się same przez się, i obracają się wkoło z wielkim łoskotem. Obecni mają wszyscy kadzielnice w ręku, i ofiarują kadzidła“. *Robbi Benjamin.*

Drzemało w niebios błękitnym uśmiechu:
Aż w nie swój miłość talizman uroczy
Rzuciła z góry, i wkrąg coraz dalej
Rozwiodła drżenie poruszonej fali.

Niegdyś, Emirze, twa córka spokojna,
Choć wkoło wrzały pożoga i wojna,
Jedna w tym kraju z wesołem obliczem,
Żyła nie myśląc, nie wiedząc o niczem;
Jako na polu bitw perska lilia,
Gdy krew wkoło niej płynie strumieniami,
Kwiat jej tem bielej ku niebu się wzbija,
Aż i jej samej kropla krwi nie splami. —
Niegdyś szczęśliwa, że cię los ocalił,
Nie czując innej trwogi ni boleści,
Gdyś się po bitwach z krwi rozlanej chwalił,
Nie słysząc, dzikich słuchała powieści.
Sam nieraz myślą dręczony bolesną,
Lub chodząc szybko w zapalczywym gniewie,
Sam nieraz kląłeś wesołość niewczesną,
Co się w jej słodkim ozywała śpiewie:
Jak arfa w jasnej cherubina ręce,
Której głos w piekle słyszą potępieńce. —
Dzisiaj! — o! gorzki słodkich uczuć skutek!
Straszne nieszczęsnej miłości męczeństwo! —
Jej dusza — płomień; jej spojrzenie — smutek,
Ach! a myśl o nim — rozpacz i szaleństwo! —
Słuch jej brzmi dotąd słowami strasznemi:
„Przez miłość dla mnie, zapłacz nad wszystkiemi!“ —
I gdy nieszczęsna każdego poranku,

Oległych w bitwie wczorajszej usłyszy,
Nie śmiąc, nie mogąc spytać o kochanku,
Płacze go w każdym z jego towarzyszy.
Nie ujrzy miecza, ni włóczni błyszczącej,
By się nie zdało, że krew jego na niej:
Nie ujrzy strzały w powietrzu lecącej,
By nie zadrżała, że pierś jego zrani.
Żadna ją siła na świecie nie skłoni,
Gdy się jej ojciec uzbraja do bitwy,
By mu jak dawniej, z cichemi modlitwy,
Miecz ciężki z własnej podawała dłoni.
I gdyby nie ta czarnych dusz ślepota,
Co jak mgła z bagnisk powstaje nad niemi,
By się szlachetne uczucia i cnota
Mogły bezpieczniej ukazać na ziemi:
Gdyby ta jego nie zaćmiła wzroku,
Wracając z boju, obaczyłby snadnie,
Że się w tem dzikiem, obłąkanem oku,
Że się w tej twarzy, co tak drga i bladnie,
Jakby się śmierci lękała widoku:
Że się w tych słowach plączących bezładnie,
Straszliwa zmiana jej duszy objawia; —
I zgadłby może — bo i któż nie zgadnie,
Że taką zmianę miłość tylko sprawia? —

Nie owa miłość, pogodna, młodzieńcza,
Co tchnie rozkoszą i weselem bawi;
Co gdy się wzajem na ziemi zaręcza,
Ludzie ją chwalą, a Bóg błogosławi.
Nie owa miłość, co od lat dziecinnych

Wzrosła i kwitnie pod rodziców okiem,
I wszystkich uczuć najsłodszych — rodzinnych,
Urok, z swym własnym złączyła urokiem; —
Nie takie, Hildo! są twoje płomienie!
Żywioł ich, rozpacz i wieczne milczenie. —
Bo twe nadzieje, straszne ci jak grzechy;
Bo łzy twe, łzami zgryzot, nie pociechy.
Namiętność twoja, jak skarb źle zebrany,
Co pod zaklęciem w ziemi zakopany,
Grobowym ogniem błyszczy tylko w nocy;
Jak to bożyszcze czarnoksięzkiej mocy,
Któremu czciciel nim cześć złoży własną,
Czeka, aż wszyscy prawowierni zasną!

Siedem już nocy okrywało morze,
Jak łódź jej Gwebra w mgle dalekiej znikła:
Lecz ona co noc o tej samej porze,
Idzie na ganek, gdzie z nim bawić zwykła,
I we łzach czuwa do świtu, i czeka,
Czy go jak dawniej nie ujrzy zdaleka. —
Lecz próżno czeka, próżno się spodziewa,
I bystrem okiem po przestrzeni wodzi,
Próżno się modli, i łzami zalewa —
Niema i niema pożądanej łodzi!
Gdzie niegdzie tylko między dzikie skały
Nietoperz mignie, lub krwią ociężały
Sęp załopoce; — gdzie niegdzie śród ciszy,
Z głębi puszczyka zabrzmi śpiew grobowy,
W cieniach przepaści błysną oczy sowy, —
Oto jest wszystko, co widzi i słyszy.

Osmy dzień błysnął; — Al-Hassana czoło
I oczy radość niezwykła rozżarza;
Usta mu nawet śmieją się wesoło. —
Komuż to jakie nieszczęście zagraża? —
Bo fal H e r k e n d u iskrzenie się w burzy, *)
Kiedy je wicher przewraca aż do dna,
Nie pewniej zgubę i rozbicia wróży,
Jak jego uśmiech, albo twarz pogodna!

„Zbudź się, wstań, córko! — Kerna już zabrzmiała, **)
„Głos by jej zmarłych obudził z pod ziemi,
„A ty śpisz jeszcze! — Wstań! byś powitała
„Dzień, co mię laury okryje nowemi,
„Dzień, co mię wsławi i zbawi na wieki!
„Bo nim na niebie świt zabłyśnie nowy,
„Morze zrumienią krwi pogańskiej rzeki,
„A na pal wzbite ręce, serca, głowy...
„Ha! sam tej może pociechy dostąpię,
„Że miecz, dłoń moja, w krwi się jego skąpie!“ —
— „W krwi jego!“ — nagłym powtórzyła krzykiem —
Bo dla niej tylko On jeden na świecie;
Bo myśleć więcej nie umie o nikim! —
— „Tak, tak jest, Hildo! — ciesz się, lube dziecię!
„Mimo skał swoich i jaskiń, tej nocy
„Bezbożnik H a f e d będzie w mojej mocy! —

*) Morze to podczas burzy iskrzy się jak ogień.

**) Kerna, gatunek trąby. Takich trąb używano w wojsku Tamerlana, których dźwięk, podług opisów, miał być dziwnie przerażający, i tak głośny, że się na kilka mil (angielskich) wkoło rozlegał.

„Dzięki niech będą Prorokowi świętych!
„W moc go nam daje złota kiesa błaha;
„Inaczej twierdze i złość tych przeklętych
„Mogłyby długo urągać z Allaha!..
„On to — poganin! co moją tu drogę
„Usłał stosami ciał mych wojowników;
„On to — syn piekła! co nawet był trwogę
„Rzucił przez czary wpośród moich szyków!...
„Ha! dzisiaj dozna, jak głęboko mogę
„Wpędzić żelazo w serca buntowników,
„Kiedy mi dobra zdarzy się pogoda,
„Gdy zemsta natchnie, a Bóg siły doda! —
„Wielki Proroku! na hełm Al-Mawasza, *)
„Co w bitwach zdobił twoją skroń zwycięzką,
„Klnę się przed tobą: — gdy dziś zemsta nasza,
„Twych i mych wrogów nasyci się klęską:
„Za każdą kroplę krwi, co po mej ręce,
„Co po mym mieczu z ich piersi popłynie,
„Z min perskich kamień najdroższy poświęcę,
„Na twych ołtarzach w Mecce i Medynie!... —
„Nieba! ty mdlejesz! — córko! dziecię moje!...
„Jak blade usta! jak szkliste spojrzenie! —
„Nie! nie dla ciebie, widzę, krew i boje!
„Żyć ci, jak żyłaś, w spokojnym Jemenie! —**)
„Anibym słabej płci twej nie wystawił,
„Żebyś się miała trwożyć krwi widokiem,

*) Mahomet miał dwa hełmy, jeden z nich zwał się Al-Mawaszach, co znaczy wieniec albo korona, i zdobił czoło Proroka w sławnej bitwie pod Ohod.

**) Arabia szczęśliwa.

„Gdybym nie myślał, że za każdym krokiem
„Tryumf mój tylko będzie wzrok twój bawił. —
„Ja byłem pewny — i na to cię wziąłem —
„Że Pers pokornem uderzy mi czołem,
„Że się przed tobą, jak bóstwem pokłoni,
„Że cię te hołdy ucieszą — a oni! —
„Bezbożne plemię! — wzięli się do broni! —
„Lecz się uspokój! — wiatr, co teraz wionie,
„Chłodząc twe usta spalone i skronie,
„Wnet żagle twego powrotu rozwinie;
„I nim krew wrogów, co w nocy popłynie,
„Skrzepnie na skałach, albo wsiąknie w ziemię,
„Spoczniesz bezpieczna w rodzinnym haremie!“ —

Groźby Emira nie daremne były. —
Na świętej górze, gdy oczy Hafeda
Z dumą ostatnich braci swych liczyły,
Mógłże on myśleć, że go z nich kto przeda? —
Lecz ach! był Gweber, co swą duszę zmazał,
Odstępca braci, ojczyzny, i wiary;
Gweber, co drogę Arabom pokazał,
Ów most tajemny nad głębią pieczary,
Ostatnią twierdzę, i ufność ostatnich
Obrońców wiary, mścicieli krzywd bratnich!

Śród nich raz walcząc z Arabami śmiało,
Przemożon liczbą i okryty blizny,
Został na polu — lecz nie umarł z chwałą;
Słońce, co jego grób oświecać miało,
Widzi go jeńcem — i zdrajcą ojczyzny! —

I gdy się bracia, co zdołali wrócić,
Nad stratą jego nie przestają smucić;
Albo o jego rozmawiając chwale,
Nadzieją zemsty wspólne koją żale:
On żył — i rękę po złoto wyciągał,
Przedał krew braci, i słońcu urągał.

O! gdzież są słowa na przeklęcie zdrady!
Co jak zaraza z piekieł wyzioniona,
Padnie na mężnych odwagę i rady,
Pomięsza serca, i zemdli ramiona?
Gdzie godna kara nędznika — zbrodniarza,
Co kupcząc przyszłem zbawieniem i cnotą,
Bluźni na stopniach cudzego ołtarza,
Krew braci swoich przedawszy za złoto? —

O! niech dlań zdrada będzie karą zdrady!
Niech jej gorzkimi zaprawiony jady,
Zdrój życia łzami do ust mu się leje!
Niech sen jak zdrajca odbiegnie od łoża!
Niech jego radość, pociechy, nadzieje,
Jako owoce U m a r ł e g o M o r z a, *)
Łudząc wzrok chciwy i piersi spragnione,

*) Jezioro Asfalt, znane pod tem imieniem, zawiera w sobie taką ilość soli, i tak szkodliwe wydaje wyziewy, że ani ryby w jego wodzie, ani zwierzęta na brzegach żyć nie mogą; przelatujące nawet nad wodą jego ptaki padają bez życia. Na brzegach jego znajduje się gatunek jabłoni, których owoce świeże i piękne na pozór, wewnątrz są pełne popiołu, jak purchawki. *Tewenot.*

W ustach się w popiół rozsypią jak one!
Niechaj się w zbrodni uporem zatwardzi,
Niech się nim dzieci i rodzice brzydzą,
Niech go przyjaciel — nie! — sam wróg niech wzgardzi,
A z nędzy jego najpodlejsi szydzą!
Niech po pustyniach błądzi bez ochłody,
Niech przed nim słońce łudzącymi blaski
Mami go wiecznie morzem świeżej wody,
A on niech coraz brnie w gorętsze piaski! *)
A gdy w rozpaczy końca mąk zażąda,
I sam się musi dobić ręką wściekłą:
Spraw, o! Proroku! niech na raj spogląda,
A sam niech wiecznie — wiecznie cierpi piekło! —

*) Znane są złudzenia oka na piaszczystych pustyniach, pochodzące ze drżenia przepalonego skwarem powietrza. Najmniejszy wzgórek, drzewo, lub jaki inny przedmiot, przybiera nieraz w oczach podróżnych kształt obszernego miasta, lasu, albo jeziora. Zjawisko to, zdarzające się niekiedy i na morzu, zowie się u naturalistów F a t a M o r g a n a.

PIEŚŃ TRZECIA.

Dzień bliski końca: — czarny i ponury
Blask morskiej wody, choć leży uśpiona,
Wyżej i niżej nad nią mgły i chmury
Wiszą jak niebios podarta zasłona:
A każda tylko lub nawalność wróży,
Lub zda się szczątkiem przeminionej burzy. —
Te z nich rozwiane po niebieskich sklepach,
Jak końskie grzywy od wichru na stepach;
Te w czarnych kłębach tocząc się nad ziemią,
Zdają się pysznić, że w nich gromy drzemią;
I wszędzie tylko widać na przestworzu,
Tu obłok wstaje, a tam tonie w morzu.
Rzekłbyś, że burza straszna, niedaleka,
Chmur już matczyne rozszarpawszy łono,
Z piorunnem jeszcze narodzeniem czeka,
Aż się zuchwałość jakiego człowieka
Odważy puścić na wodę uśpioną.

Na brzegu jeszcze wszystko w martwej ciszy,
Strasznej — straszniejszej niż huk nawałnicy.

Najstarszy majtek zwołał towarzyszy,
By mocniej łodzie przywiązać do brzegu;
Krzyk dziki ptastwa słychać w okolicy,
Gdy z morza w stadach, lub długim szeregu,
Leci, po skałach szukając zachrony.
W porcie już nieraz sternik doświadczony
Wstrzymał przybory; i wątpliwem okiem
Tocząc po niebie w dumaniu głębokiem,
Na nowy rozkaz zdał się czekać jeszcze.

Tak wszystko było groźne i złowieszcze,
Jak dola twoja, Arabska dziewico!
Gdy się z bezpieczną rozstawszy kotwicą,
Łódź twoja z portu szybkim poszła biegiem. —
Nikt cię nie żegnał: — ni muzyki dźwięki, *)
Ni przyjaciele stojący nad brzegiem,
Coby ci głosem, lub skinieniem ręki,
Choć już nie widzisz, ni słyszysz w oddali,
Jeszcze ostatnie pożegnanie słali! —
Nikt cię nie żegnał — nie było nikogo.
Łódź twa samotna poszła dziką drogą,
Cicho, jak barka korsarzy w złym celu,
Przez straszną Bramę-Łez B a b e l-M a n d e l u **).

*) Mieszkańcy Wschodu puszczają się zwykle w podróż przy odgłosie muzyki.

**) Nazwisko Bramy-Łez, nadane zostało cieśninie Babel-Mandel, z powodu niebezpiecznej żeglugi, i częstego w niej rozbicia okrętów w tem miejscu. Płynący przez nią uważani byli za zgubionych, tak dalece, że równo z ich odjazdem, kładziono po nich żałobę.

Gdzież był Al-Hassan, ów straszy bicz boży?
Czyż ni na chwilę innych prac nie złoży,
By dziecię swoje w drogę błogosławił? —
Nie! — on samotny, zamknięty w haremie,
To zwąc Proroka, to klnąc Gwebrów plemię,
Bliskiej ich rzezi obrazem się bawił:
Z rozkoszą sępa, gdy w stepach bez końca,
Przez dzień za błędną goniąc karawaną,
Zwietrzy, że zaraz po zachodzie słońca
Świeże z niej trupy na żer mu zostaną *).
Podczas gdy jego córka nieszczęśliwa,
Płacząc od brzegów Iranu odpływa,
Jako gołąbka śnieżna Babilonu, **)
Co lecąc z wieścią nowych zwycięstw plonu,
Choć ją z rąk krwawych zwycięzcy puszczali,
Żadna krwi skaza białych piór nie kali.

Lecz czyż nadzieja rodzinnego kraju
Żadną jej serca pociechą nie darzy? —
Tam wśród wonnego akacyi gaju,
Co tyle razy we snach jej się marzy,
Błądzić znów będzie; — tam, gdy się zatrzyma
Na łąkach pełnych i róż i lilii,

*) O tym dziwnym instykcie sępów, przeczuwających bliską śmierć ludzi i zwierząt, świadczy wielu podróżnych na Wschodzie. „Ledwo zwierz lub człowiek padnie trupem na polu, natychmiast zjawia się jeden lub kilka sępów, których przedtem nigdzie nie było widać". *Pennat.*

**) Gołębie babilońskie lub bagdadzkie, sławne są z przenoszenia listów, które się im przywiązują pod skrzydło.

Przyjdą się głaskać z jasnemi oczyma
Młode gazelki, z dzwonkami na szyi! —
Tam różnopióre, w napowietrznych klatkach,
Ptaki ją przyjmą dawnemi piosenki;
Tam całe w złotych oplecione siatkach
Rybki na dzwonek przybiegną do ręki! *)
Tam znów, gdy zgaśnie dnia światło gorące,
Będzie samotna w chłodniku z jaśminów,
Liczyć te gwiazdy coraz się mroczące,
To swój różaniec z pereł i rubinów! —
Ach! czyż te niegdyś tak miłe uciechy,
Żadnej dziś sercu nie sprawią pociechy? —
Nie! — ona smutna, od sług swych zdaleka,
Siedzi i duma — jak gdyby już w sobie
Czuła chłód straszny losu, co ją czeka,
Siedzi i duma — piękna w swej żałobie,
Jak smutny anioł na świętego grobie.

I niepamiętna na chmury i wały —
Na Gwebrów tylko ponadbrzeżną górę,
Której cień właśnie jej żagle mijały,
Oczy i myśli zwróciła ponure. —
Dzisiaj tam jeszcze — o! straszny obrazie!
Z gór strumieniami popłynie krew wrząca,
I dymić będzie na wrogów żelazie,
Jako ostatnie kadzidło dla słońca!

*) Żona cesarza Jehan-Guir, bawiła się zwykle karmieniem małych rybek w sadzawkach swego ogrodu. Niektóre z nich, aby nie rosły, kazała oplatać całkiem delikatną siatką ze złota. *Harris.*

I on tam może!... — „O! strzeż go od zguby,
„Strzeż go, Allahu!“ — zawoła w rozpaczy. —
„Mój nieznajomy! mój drogi! mój luby!
„Tyś wróg nasz, Gweber! — lecz co mi to znaczy?
„Co mi twe imię? — gdy między wszystkiemi,
„Tyś mi najwyższy, najmilszy na ziemi! —
„Wielki Allahu! gdy to gniew twój wzrusza,
„Każ, niech mię zaraz to morze pogrzebie,
„Wprzód niżli moja obłąkana dusza
„Zapomni ojca, i wiary, i ciebie! —
„Ratuj mię, ratuj! — wszak znasz serce moje,
„Wiesz, jak go kocha; widzisz, jak się boję,
„Aby dla niego nieba się nie zrzekło:
„Bo raj bez niego, straszny mi jak piekło!“ —

Tak się modliła padłszy na kolana —
Wzniesione oczy, i dłoń załamana.
I choć jej usta, w dzikiem uniesieniu,
Grzeszą rozpaczą; choć z niebem się swarzy: —
Niebieski promień jaśnieje w spojrzeniu,
Niebieska świętość oddycha z jej twarzy!
Bo taka dusza — choć zbłądzi w pomroku,
Jak anioł we mgle, nie zmieni postaci;
Jak promień słońca, złamany w potoku,
Choć zboczy z nurtem — jasności nie traci. —

Lecz tak się w myślach głębokich ponurza,
Że choć się niebo zaćmiło jak nocą,
Ona nie widzi; — choć gwałtowna burza,
I przeraźliwy wicher z wściekłą mocą

Ciska okrętem: — nic to jej nie wzrusza.
Nawet ów hałas tak nagły, tak dziki,
Co nad jej głową huk gromów zagłusza:
Te szczęki mieczów stąpania, i krzyki...
Ona nie słyszy. — A wtem jednym razem,
Okręt zaskrzypiał, zatrzeszczał tak nagle,
Jak gdyby pokład, i maszty, i żagle,
Jęknęły ciężkim przywalone głazem,
Śród wrzasku majtków, i jęków rozpaczy! —
Straszliwy łoskot! — Nieba! cóż on znaczy? —
Nie głos to burzy — choć niebo i morze
Grzmią jak grom jeden! — „O! przebacz mi, Boże!
„Przebacz mi!“ — Hilda krzyknęła — i zbladła,
Jakby szła stanąć przed sędziego tronem,
Wpół martwych dziewic otoczona gronem,
Podnosząc ręce, na kolana padła:
„Allah! twa litość nad nami niech świeci!“ —
A wtem znów z góry, raz drugi i trzeci
Skrzyp się powtórzył — zapadły się deski,
Jakby je piorun roztrzaskał niebieski,
I pokład runął. — O! straszny widoku!
Krew, woda, trupy, i ludzie w natłoku,
Spadają, walczą — ci zemdloną dłonią,
Jeszcze znać życia i łodzi swej bronią;
Tamci z okrzykiem: „Za Iran i Boga!“
Znać już zwycięzcy, zabijają wroga. —

Jakiż stróż-anioł strzegł wtedy jej życia?
Czyja dłoń nad nią czuwając statecznie,
Z pośrodka szaleństw rzezi i rozbicia,

Zemdloną, martwą, uniosła bezpiecznie?
Ona niepomni; — nagle zimno dreszczu
Pierś jej ścisnęło — i blada leżała,
Śród krwi i ruin, jak lilia biała,
Zwiędła w wulkanów płomienistym deszczu. —
Lecz ach! straszliwe obrazy i krzyki,
Co tkwią w pamięci jak sen jaki dziki!
Walący pokład — na deskach zachwianych
Walczące tłumy! — i wyżej u góry,
Podarte szmaty żaglów krwią zbryzganych
Miotane wiatrem! — i ciemność i chmury!
I błyski gromów, i miganie stali,
I szczęk oręża, i ryk morskiej fali!...
Rzekłbyś, że cała natura się wściekła,
A rozdąsanych żywiołów szaleństwo
Z człowiekiem w gniewie walczy o pierwszeństwo —
Tak wrzało morze — tak krew ludzka ciekła!

Raz tylko — Allah! — sen-że to niebieski,
Czy prawda była? — raz jednak się zdało,
Nim przed oczyma wszystko pociemniało,
Że nad przepaścią łamiącej się deski,
Ujrzała postać duszy swej anioła;
Że wtenczas nawet — miłości złudzenia! —
We mgłach, śród burzy, nad sceną zniszczenia,
Świecił pogodnym blaskiem swego czoła,
Jak w pośród niebios burzliwych obwodu
Gwiazda Egiptu: co pała tak jasno,
Nieznana ludziom Białych Wysp Zachodu, *)

*) Jasny *Kanopus*, niewidzialny w Europie.

Że przy niej drugie jak przy słońcu gasną!
Byłoż to tylko przywidzenie, mara? —
Krzyk skonał w ustach — w oczach jakaś szara
Noc się rozwlekła: mdłość członki owładła —
Nie pomni więcej — bez życia upadła. —

O! jak uroczy jest uśmiech pogody,
Jak luba cisza, gdy szturm już przewionie,
I głośne wichrów umilkną niezgody:
A rozjaśnione niebiosa i wody
Znów miłe słońce piastują na łonie!
Cała natura, tak piękna, tak świeża,
Zda się w tej chwili na nowo rozwija,
A niebo tęczą łaski i przymierza
Do snu zwaśnione żywioły spowija.
Kwiaty wróconą lubując się ciszą,
Lekko się z wiatrem łagodnym kołyszą,
I świeżej woni balsam tchną w niebiosa.
Na liściach deszczu burzliwego rosa,
Jako ów kamień spadły w nawałnicy,
Tli zda się ogniem gromów błyskawicy *).
Tysiąc wietrzyków z murawą się pieści,
Tysiąc wietrzyków po liściach szeleści,
A każdy zda się innego stróż zioła,
Jego woń tylko roznosi dokoła.

*) Drogi kamień indyjski, zwany u starożytnych: *Ceranium*, gdyż jak mniemano, znajdowano go tylko w tych miejscach, gdzie piorun uderzył. Tertulian mówi, że się tak połyskuje z wierzchu, jak gdyby wewnątrz był ogień. Najpodobniej do prawdy że to jest opal.

A całe niebo blaskiem się uśmiecha,
A cała ziemia wonnością oddycha,
A całe morze usypia, ucicha —
Fale się tylko gdzie niegdzie podnoszą,
Jak upojone miłości roskoszą
Piersi kochanki — gdy za lubym wzdycha!

Taka nad światem godzina wesoła
Świeciła wtenczas — świat w takiej był ciszy:
Gdy Hilda z mdłości ockniona — dokoła
Nic, oprócz wody pluskania nie słyszy,
Co o brzeg łodzi bijąc zamiast wiosła,
Zlekka ją dalej po głębinie niosła. —

Lecz gdzież jest ona? — patrzy obłąkana —
Jestże to barka, co ją dzisiaj z rana
We łzach uniosłszy od perskiego brzegu,
Szybkie delfiny wyścigała w biegu? —
Wszystko jej tutaj nowe i nieznane. —
Gdzież jest jej łoże jedwabiem usłane,
I nad niem namiot z kaszmirskiej purpury?
Gdzie są dziewice, co strusiemi pióry
Powinny we śnie ochładzać jej czoło? —
Gdzie są? — z przestrachem spojrzała wokoło.
Łódź z twardej sosny ciosana po prostu;
Łożem jej zbite dwie deski pomostu,
Grubo wojenną nasłane odzieżą.
Nad głową na krzyż trzy włócznie się jeżą,
Na nich skórzane pasy rozwieszone,
Cieniem od słońca służą za zasłonę. —
Przy sterze tylko, widać, ludzie zbrojni

Odpoczywają leżąc na pokładzie;
Krwawe ich ręce, ich szaty w nieładzie;
Smutni na twarzach — lecz wszyscy spokojni,
Znać że na dzisiaj pracy dokonali. —
Jedni po cichu prowadząc rozmowy,
Coraz to ku niej rzucą wzrok surowy;
Ów marząc patrzy po dalekiej fali;
Ów niedzielący wczasów towarzyszy,
Klnąc nawpół głośno napowietrznej ciszy,
Z gniewem na wiosła nieczynne spogląda,
Jak gdyby użyć ich nie śmiał — choć żąda. —

Nieszczęsna Hildo! niech cię Allah broni! —
W całym orszaku tych majtków-żołnierzy,
Nie znać arabskiej broni, ni odzieży,
Zawojów nawet nie widać na skroni! —
Cała ich odzież, są żółte kaftany —*)
Barwa to Gwebrów! — jak pożarów łuna
Straszna Arabom; — każdy w nią ubrany,
Każdy wpół ciała nosi pas skórzany,
I czarny kołpak z tatarskiego runa. —
Tak! — drżyj nieszczęsna! — nikt ci wsparcia nie da —
A to są Gwebry — tyś w mocy Hafeda! —

Ach! na to imię nadzieja jej znikła. —
On, wróg jej wiary, jej ojca, jej rodu!

*) Oprócz skórzanego pasu, będącego charakterystyczną cechą Gwebrów, można ich jeszcze rozpoznać po ciemno-żółtym kolorze ich szat, naśladującym ogień. Czapki Persów są ze skór owiec tatarskich.

Postrach jej ziomków! — on, co go od młodu
Tak nienawidzić i bać się nawykła
Jak syna piekieł: co przez nie nadany
Wzrostem tak strasznym, spojrzeniem tak srogiem,
By wszędzie wierne niszcząc Muzułmany,
Rzucał cień między człowiekiem i Bogiem!...
Dziś w mocy jego!... — wkoło dzika tłuszcza,
Co krwi żadnego z brańców nie przepuszcza,
Cóż krwi jej ojca — krwi ciemiężyciela? —

Biada ci Hildo! — Lecz cóż ją ośmiela?
Jakaż myśl nagła, lotem błyskawicy,
Pierś jej przenikła i błyszczy w źrenicy —
Gdy śmiało, bystro tłum dziki przegląda?
Tak, że najśmielsi nawet wojownicy,
Spuścili oczy przed wzrokiem dziewicy,
Jak gdyby zgadli — kogo ujrzeć żąda. —
Próżne żądanie! — niema go! — przepadło
To tak krzepiące jej duszę widziadło,
Co błysło tylko, jak ów sen uroczy,
Co przez dzień łzami zmordowane oczy
Na chwilę drogą postacią omami:
Obraz tęczowy, pół w świetle, pół w cieniu,
Co na tle duszy, w smutku lub uśpieniu,
Promień miłości maluje przed nami! —
Próżne żądanie! — lecz skoro ujrzano,
Że ze snu oczy i głowę podniosła,
Wnet, jakby tylko na znak jej czekano,
Cała się rzesza rzuciła do wiosła;
Morze wkrąg białą okryło się pianą,

I wre pod łodzią — lecz gdzież łódź ich niosła? —
Spojrzała Hilda — o! straszne zjawisko!
To skała Gwebrów! — już blisko, już blisko! —
Oni wprost pędzą, gdzie zamiast przystani,
Czerni się paszcza podziemnej otchłani. —
Wzrok się jej zaćmił — zamknęła powieki. —
Niegdyś bezpieczna z okien swego gmachu
W tę stronę spojrzeć nie mogła bez strachu,
Gdzie wieczne wrogi Jemenu i Mekki,
Leżą ukryci po skałach i grotach,
Jak skorpiony w zatrutych swych splotach, —
Cóż teraz? - czyjej zawezwie opieki? —

Z brzegów, słoneczną świecących pogodą,
Pod jasnem niebem, po nad jasną wodą,
Ta jedna tylko przepaścista góra,
Mroczy się ciemna, groźna i ponura:
Nad czołem tylko jeden kłąb obłoku.
Jak krew od słońca czerwono jaśnieje,
Rzekłbyś, rozwita chorągiew wyroku
Wskazuje miejsce, gdzie się krew poleje. —

Gdyby Jej myśli nie zmięszała trwoga,
Gdyby spojrzała — w tejby nawet porze
Dziwić się mogła, jak się ludzka noga
Na wierzch tej skały tędy dostać może?
Bo dotąd Arab wie tylko że na nią
Jedna jest droga — przez most nad otchłanią. —
Lecz ach! jej myśli! — gdy nagły pęd wiru
Porwał łódź, skręcił, i niesie bez steru,

Wprost, gdzie z łoskotem piorunów tysiąca,
Co chwila głośniej wre fala huczęca.
„Pospuszczać maszty! pozapalać głownie!
„Prędko!“ — głos groźny zawołał z pośpiechem. —
Runęły maszty z przeraźliwem echem,
Błysnęły światła — a fala gwałtownie
Zatrząsłszy łodzią i wzniósłszy do góry,
Pchnęła ją w paszczę otchłani ponurej,
Czarnej jak brama, przez którą z ohydą,
Po strasznym sądzie, potępieńcy idą.

Choć z łodzi świecą głownią i pochodnią,
Blask ich czerwony nie dosięga dalej,
Jak pierwsze kręgi na tle czarnej fali,
Co wre dokoła i pieni się pod nią.
Płynęli cicho — każdy bez oddechu,
Jakby oniemiał śród tego chaosu,
Śród tego mroku — gdzie nawet dźwięk głosu
Zdaje się mrocznym — i w dzikiem skał echu
Brzmi powtórzony wzdłuż sklepionych ciemnic,
Jak straszny poszept grobowych tajemnic.
Nagle łódź w biegu wstrzymała się sama —
Wstecz ją cofnęły fale zapienione:
Znać niewidoma odparła je tama,
Że nurt swój w inną obracają stronę:
I trzeba było naprzeć wszystkie wiosła,
By wód gwałtowność łodzi nie uniosła. —

Lecz co za echo? — Ktoś widać zuchwały
Z łodzi przez wodę skoczył między skały:

Dźwięki żelaza o głaz zabrzęczały,
I już do brzegu przykuta łańcuchem,
Drga łódź bezpieczna konwulsyjnym ruchem.
I w tejże chwili, jako słup promienny,
Smugiem od góry błysnął promień dzienny.
Lecz nim dziewica dojrzała lub zgadła,
Skąd i którędy ta jasność się wkradła,
Dłoń czyjąś cudzą uczuła na skroni:
I wprzód nim krzyknie, wprzód nim się uchroni,
Oczy jej gęsta zakryła zasłona. —
O! straszna chwilo! — przeczucia ponure!
Gdy ją wraz z łożem wzniósłszy na ramiona,
Ktoś wydał hasło — i poszli pod górę. —

O! blasku dzienny! jasności słoneczna!
Ileż pociechy, szczęścia w twym promieniu!
Oglądać codzień, i czuć je we tchnieniu,
Jest rozkosz życia tak miła, stateczna,
Że choćby wszystkie nadzieje zmyliły,
Siedzieć na słońcu, i patrzeć po niebie,
Człowieku! dość już byłoby dla ciebie,
Abyś się ciemnej obawiał mogiły!
Tak Hilda, chociaż nie widzi i nie wie
Gdzie ją prowadzi niebezpieczna droga:
Ledwie dzień w ciepłym uczuła powiewie,
Wnet w niej nadzieją rozświtała trwoga,
Wnet przypomniała kochanka — i Boga!

Krótka pociecha! bo droga ich znowu
Spada w głąb zimną mrocznego parowu. —

Tchnie wkoło wilgoć podziemnego zmierzchu,
Trzeszczą gałęzie, szeleści liść suchy,
A tu i owdzie, z gór kamiennych wierzchu
Głaz spadający szerzy łoskot głuchy.
Echem tem zbudzon lampart wygłodniały,
Myśli że przemknął kozieł, albo łani,
I długo słychać, jak ze skał na skały
Skacząc, za głazem goni w głąb otchłani.
I znowu cicho — nim znowu gdzie zdala
Zabrzmi płaczliwe szczekanie szakala,
Albo hyena zawyje ponuro. —
Szum tylko wody wciąż słychać w głębinie,
Co gdzieś w przepaściach niedojrzana płynie,
Jak owa Czarna rzeka, po nad którą
Stoi Most Śmierci, otoczony chmurą.
Wszystko tu dzikie, okropne — a przecie,
Choć miejsc straszniejszych nie znaleźć na świecie,
Ujrzeć je, dla niej byłoby pociechą:
Zgrozaby sama ulżyła bojaźni.
Bo cóż wyrówna strachom wyobraźni,
Rzuconej w ciemność — gdzie takie brzmi echo? —

Zadrżała nagle — czy ją sen znów myli?
Czy strach obłąkał? — Nie! — słyszy w tej chwili
Głos cichy, miły, jak arfa cheruba:
„Twój Gweber z tobą! nie bój się, o! luba!“ —
Nie! ona nie śpi — czuje całą sobą
Ten głos, te słowa: „twój Gweber jest z tobą!“ —
To był głos jego! — dotąd pierś i uszy
Brzmią jego echem: — nie! sen jej nie łudził! —

Czyjżby głos inny tak trafił do duszy,
Takie w jej sercu wzruszenie obudził? —
Ach! prędzej róża najmłodsza śród krzewu
Weźmie szmer wiatru za pieśni słowicze,
Lub na głos ptaka gminniejszego śpiewu
Rumiane z pączka wychyli oblicze,
Niżli się miłość, w uniesienia chwili,
Cudzem westchnieniem lub głosem omyli!

Lecz choć się dusza marzeniem uśmiecha:
Że on jest przy niej, że on patrzy na nią,
Że jego tchnieniem i ona oddycha,
Że ją dłoń jego wstrzyma nad otchłanią:
Znowu na straszne wspomnienie niewoli
Nowa jej myśli ogarnęła trwoga. —
Bo ach! czyż Hafed okrutny pozwoli,
By który z Gwebrów śmiał bronić krwi wroga,
Krwi Al-Hassana? — w czyich dotąd rękach
Żaden z ich braci jeńcem nie ocalał;
Co się w ich dzikich rozkoszując mękach,
Krwią ich kapłanów święte ognie zalał? —
Cóż gdy dziś jeszcze, jak nocny zabójca,
Przyjdzie ich wyprzeć z ostatniej ustroni!... —
Któż ją przed zemstą Hafeda zasłoni?
Kto jej kochanka przed zemstą jej ojca? —

„Strzeż go, Allahu! — wszak wszystko w twej mo-
Modli się w myślach: — o! strzeż go tej nocy! [cy!“ —
„A jeśli kiedy przed twym tronem, miła
„Serc grzesznych skrucha i ofiara była —

„Strzeż go tej nocy! — Na grób święty Mekki,
„Na wszystko święte na ziemi i w niebie,
„Klnę się, przysięgam, że odtąd na wieki
„Cała się tylko poświęcę dla ciebie!
„Miłość, myśl o nim, nadzieje, wspomnienia,
„Wyrwę z mej duszy, jako kwiat zatruty,
„I żadnej myśli, żadnego westchnienia,
„Żadnej łzy po nim — oprócz łez pokuty —
„Żadnej pociechy nie chcę, nie zachowam.
„A gdy tej jeszcze nie dosyć ofiary —
„Zeszlij mi, Allah! nędze, smutki, kary,
„Lecz ocal jego! — ja znieść je gotowam.
„Młodość przepędzę w żalu i pokucie,
„Na starość pójdę na życie pielgrzymie,
„Aż grzeszne w sercu wygaśnie uczucie,
„Aż prócz w modlitwie, nigdy jego imię
„Z ust mych nie wyjdzie! — bo modlić się muszę,
„Za tę tak wielką — tę tak jasną duszę!
„Modlić się będę — aż ją sam z ciemnoty
„Głos twój ku światłu twej wiary powoła:
„Aż znów tę gwiazdę obłąkaną cnoty
„Osadzisz w jasnym wieńcu twego czoła! —
„Zbaw go dziś tylko — nie dla mnie — dla siebie!
„A będziem razem sławić imię twoje.
„Bo ja bez niego nie chcę być w twem niebie —
„I gdy on zginie — zginiemy oboje!“ —

PIEŚŃ CZWARTA.

Czyj wzrok nie we łzach, czyja myśl bez chmury,
Komu żal świata piękności nie mroczy,
Dziśby go, dzisiaj, ze szczytów tej góry
U stóp jej obraz zachwycał uroczy!
Te z niebem w dali zlane wód lazury,
Zielone brzegi — i na wód przezroczy
Rozsiane wyspy — wszystko się uśmiecha,
Wszystko rozkwita, i wonią oddycha!
Bo to jest jeden z tych cudnych wieczorów,
Co po dniach burzy kraszą nieba wschodnie,
Gdy słońce, dziennych dokonawszy torów,
W promiennym wieńcu tęczowych kolorów,
Złote zachodu podwoje odmyka:
I nim w nie wstąpi, spokojnie, łagodnie,
Lśni łzawym blaskiem — jak wzrok pokutnika,
Gdy wszystkie życia burzliwego winy
Obmywszy żalem ostatniej godziny,
Żegna świat okiem przez łzy rozrzewnienia,
A w niem już świta pierwszy blask zbawienia.

Cisza wokoło; — wiatr, co w takiej sile
Szumiąc po gajach Kermańskich się dąsał,
I najdojrzalsze, najsłodsze daktyle
Na ucztę biednym pielgrzymom otrząsał, *)
Umilkł — i ledwo ciche muśnie fale,
Co się tak mienią w różanej pogodzie,
Jakby się wszystkie perły i korale,
Co leżą na dnie, rozpłynęły w wodzie.
A wkoło wyspy, palmami zielone,
Na tle przejrzystej fali wyglądają,
Jak na powietrzu czarem zawieszone
Rajskie te sady, gdzie Peri mieszkają. —

Lecz próżno wszystkie te cuda obrazu
Przed okiem Hildy błysnęły od razu,
Skoro zasłonę odjęto z jej czoła: —
Wzrok jej olśniony nic widzieć nie zdoła.
I przerażona — jak ci, co na chwilę
Nagle w swej ciemnej zbudzeni mogile,
Ujrzą nad sobą iskrzący wzrok obu
Strasznych aniołów, Zwiedzicieli grobu — *)
Z dziką rozpaczą spojrzała dokoła
Na tłum swych wrogów — by z lic ich i wzroku,

*) W okolicach Kermanu właściciele nie zbierają daktyli, które wiatr z drzewa otrząśnie, lecz zostawiają je dla podróżnych.

**) *Monkir* i *Nadir,* dwaj straszliwi czarni aniołowie, zwani Zwiedzicielami Grobów. Obowiązkiem ich było przestrzegać dopełniania wszelkich przepisów wiary Mahometa, i karać nieposłusznych.

Wyczytać choćby treść swego wyroku —
I po nad nimi i sobą u góry
Ujrzała ruin czerniące się mury,
Mroczne — jak gdyby cieniem swego zmierzchu
Jasnemu światu urągały z wierzchu. —

Ale napróżno w nadziei i trwodze
Wygląda za tym, co ją w strasznej drodze
Pokrzepiał głosem łagodnej słodyczy;
Próżno! — na nowo zniknął sen zwodniczy,
Co jak zły anioł żal jej tylko drażni. —
Dziś jej, dziś jego potrzeba przyjaźni!...

Lecz ach! nieszczęsna! — jakiż hałas dziki
Zabrzmiał, i echem o niebiosa bije? —
Zdala radosne wzniosły się okrzyki:
„Nasz wódz! nasz Hafed! niech żyje! niech żyje!“—
„Niech żyje!“ — bliższe głosy zawołały. —
Idzie — krok jego powtarzają skały. —
Idzie — już blisko... — Nieszczęsna dziewica!
Tchu brak jej w piersiach, ciemno przed oczyma —
Wnet ją uderzy oczu błyskawica,
Której najśmielszy Arab nie wytrzyma;
Wnet nad nią zagrzmi głos dumny i srogi,
Co gdy się ozwie w szykach Muzułmana,
Całe się hufce rozpierzchają z trwogi,
Jak na pustyni kupców karawana,
Gdy wkoło źródła leżąc w nocnej ciszy,
Ryk spragnionego tygrysa posłyszy! —

Bez tchu, bez ruchu, wpół martwa z bojaźni,
Z oczyma na dół, jako posąg stała:
Drżąc przed tym wzrokiem — co w jej wyobraźni
W tej chwili nad nią jak meteor pała;
Czekając głosu — jak ten, co już słucha
Rychło nań zagrzmi trąba archanioła,
I pomnąc grzechy, wie że próżna skrucha,
Gdy hasło sądu strasznego zawoła!...

Ale on milczy; — wkoło tylko zcicha
Brzmią coraz dalej odchodzących kroki. —
Poszli — on został; — słychać, jak oddycha.
Lecz ach! okropność tej ciszy, tej zwłoki!.. —
A wtem! — o! zgrozo! — przybliżył się do niej,
Ujął jej rękę — i ścisnął w swej dłoni,
I głos znajomy łagodnie zawołał:
„Hildo!“ — nic więcej wymówić nie zdołał.
Lecz ach! to dosyć, dosyć! — z ust dziewicy
Krzyk nagły wydał resztę tajemnicy.
I drżąca z trwogi, z podziwu, z radości,
Raz tylko wzniosła zapłonione skronie,
Rzuciła tylko jeden wzrok miłości,
By wnet łzy ukryć na kochanka łonie! —

Onże to, Hafed? — ów postrach rycerzy,
On, co jak tygrys krew arabską pije;
On, co gdy krzyknie, gdy wzrokiem uderzy,
Głosem osłabi, spojrzeniem zabije:
On, jej kochanek? — piękny i łagodny,
Jakim był w chwili pierwszego widzenia,
Gdy na jej myśli i senne marzenia

Rzucił z swych oczu promień tak pogodny,
Że mniema, anioł przed nią się objawił,
I jasność niebios po sobie zostawił?
Są chwile w życiu — i ta jest z nich właśnie —
Jak zabłysk słońca w zaćmie huraganu,
Gdy dzień dokoła w chmurach piasku zgaśnie;
Jak krzak murawy nad głębią wulkanu,
Co się sam jeden na brzegu zniszczenia,
Na zgorzeliskach życiem rozzielenia!
O! takie chwile! — im głębszą ciemnicą
Przeszłość! i przyszłość, i los je otoczy:
One tem jaśniej, same w sobie świecą,
Blask ich tem milej rozwesela oczy! —

On nawet, Hafed! — choć wszystkie z kolei
Zgasły mu gwiazdy chwały i nadziei,
Do zemsty nawet brak sił i sposobów:
Kochany jego Iran obrócony
W kraj pogorzelisk, lub pustynię grobów:
On sam — niezgięty, lecz życiem znużony,
Z orężem w ręku pory tylko czeka,
By umrzeć śmiercią wielkiego człowieka: —
W tej chwili jednak — bez trosk, bez zgryzoty,
Niepomny losu, co się przed nim mroczy,
Dzieląc kochanki niewinne pieszczoty,
Patrząc w kochanki promieniste oczy:
W których jej miłość, tak szczera, tak tkliwa,
Co sama ziemię z niebem porównywa,
Tęczą pociechy we łzach się maluje: —
Ach! on w tej chwili uczuł i pojmuje,

Jak jest gorącą iskra uniesienia,
Co w burzy nieszczęść jak meteor pryśnie;
Jak jest uroczą kropla upojenia,
Co w łez puharze jak perła zabłyśnie! —
Cóż, że z tej iskry może grom wypadnie?
Cóż, że w puharze jest trucizna na dnie? —
I ona wzajem patrząc w jego oczy,
Co jak dwie perły w jasnych wód przezroczy,
Zwolna w jej duszy coraz głębiej toną:
Patrząc w twarz, wielkiem uczuciem natchnioną:
Nie pomni trwogi, smutku, i niewoli,
Lub czuje tylko, jak nędzarz w uśpieniu,
Gdy się w rozkosznem radując marzeniu,
Śmieje się przez sen — łkając mimo woli! —

Mroczna ruina, w pośród której stali,
Wielkim wyłomem patrzy w stronę fali,
Co jak zwierciadło, jak niebo bez chmury,
Jasna, błękitna, błyszczy u stóp góry. —
Tłum drobnych łodzi, co dziś przez dzień cały
W bezpiecznych portach lub na brzegu stały,
Buja w zatoce — i choć wiatr nie sprzyja,
Zmoczone żagle na masztach rozwija.
Tak orły, dżdżysta gdy już przejdzie chmura,
Susząc przed słońcem rozciągają pióra. —

Tłumne obłoki — choć już oko dzienne
Zdawna zasnęło za Larskiemi góry,
One tak jeszcze ogniste, promienne —
Że rzekłbyś, dzisiaj sam anioł światłości,

By wynagrodzić światu dzień ponury,
Odchodząc do snu, z niezwykłej szczodrości —
Jak młody sułtan najmilszego z gości —
Przyodział zachód szatą swej purpury!
Terazto spojrzeć kochanków spojrzeniem!
Pod niemi morze gra cichem westchnieniem,
Nad niemi niebo goreje płomieniem! —
Ach! a ich dusza, w zachwyceniu cała,
Gra jak to morze, jak to niebo pała!...

Szczęśliwa chwilo! — ubiegła zbyt chyża. —
Zadrżała Hilda — noc coraz się zbliża:
Coraz to węższa łuna na zachodzie,
Coraz to szerszy krąg cienia na wodzie,
Coraz obłoki, lśniące barwą jasną,
Jedne po drugich sinieją i gasną. —
Bystro po niebie spojrzała wokoło,
I nagle dłońmi zakrywając czoło:
„To noc już! przebóg! — mój drogi! mój luby!
„Uchodź stąd, uchodź! — pół chwili nie zwlekaj! —
„On przyjdzie w nocy — on pragnie twej zguby —
„On nie przebaczy! — Zguby swej nie czekaj!
„Uchodź! — O! nieba! słyszysz? — to szczęk broni,
„To echo kroków! — oni to już, oni! —
„Uchodź, mój luby! uchodź, póki pora! —
„Mówił, że w nocy... — choć noc nie nastała —
„Lecz ja znam jego! — wiem, jak zemstą pała —
„Nie będzie nawet czekał do wieczora!“... —
I przerażona, bezprzytomna, zbladła,
Łkając na piersi młodzieńca upadła.

— „Biedna dziewico! — o! któż mi przebaczy
„Te łzy, tę boleść, ten szał jej rozpaczy? —
„Jam to odepchnął jej anioła stróża,
„Jam ją zaplątał w mojem przeznaczeniu! —
„Srogo mię ściga jakaś pomsta Boża!
„Każde wnet szczęście gaśnie w mojem cieniu.
„Los mój, jak powiew z Umarłego-Morza,
„Kto nim raz westchnął, śmierć połknął we tchnie-
„O! ja niebaczny! mógłżem się ośmielić, [niu!... —
„Cień na nią rzucić, los mój z nią podzielić? —
„Lecz czemuż, czemu na burzliwej wodzie
„Zbłąkane nasze spotkały się łodzie? —
„Czemu, przysiągłszy — gdym śród krwi i tłoku
„Obaczył z góry twe omdlone wdzięki,
„I niewidomy stanąwszy przy boku,
„Odwracał od nich ciosy zbójczej ręki —
„Czemu, przysiągłszy strzedz się twego wzroku,
„By próżno wspólnej nie powiększać męki:
„Słaby nikczemnik! złamałem te śluby,
„By cię pożegnać nad przepaścią zguby?... —
„Ale się nie bój! nie drżyj, moja droga!
„Łoskot co słyszysz, jest to szum strumieni.
„Tu nas nie sięgnie moc żadnego wroga;
„Tu, na tych skałach, nad światem wzniesieni,
„Stoim bezpieczni — spokojni, jak w grobie!
„A choćby ziemia i piekło złączone
„Przyszły ostatnią wydrzeć nam zachronę:
„Ty zaśnij śmiało! — ja czuwam przy tobie;
„Gwiazd tych anioły strzedz cię będą we śnie.
„A skoro błysną porankowe zorze,

„Powrócisz jutro“... —
— „Nie! — to być nie może!“ —
Krzyknie dziewica. — „Jutro już niewcześnie!
„Ach! ty nie ujrzysz jutra, mój jedyny!
„Lub uchodź zaraz! uchodź tej godziny! —
„Jesteś zdradzony! — Nikczemny niecnota,
„Który w te miejsca znał drogę tajemną —
„Co? ty nie wierzysz? — przez gwiazdy nademną!
„Prawdę ci mówię — zdradził cię dla złota!
„Krew twoję przedał zemście Al-Hassana! —
„Wierzaj mi, wierzaj! — On sam dzisiaj z rana,
„Sam mi to mówił — i patrzał tak srogo,
„Śmiał się tak dziko, żem drżała z przestrachu:
„I tak gwałtownie wkrąg stąpał po gmachu,
„Jakby twe piersi nadeptywał nogą! —
„Ja nie wiedziałam, że on tobie groził,
„Że straszny Hafed — jesteś ty, mój luby! —
„Lecz strach o ciebie krew mi w sercu zmroził. —
„Sam to Bóg może, nie chcąc twojej zguby —
„Tak! — Bóg mię zesłał dla twojej przestrogi.
„Nie gardź nią! — uchodź! — korzystaj z tej chwili!—
„Zniszcz jeśli można — lub każ strzedz tej drogi! —
„Lecz śpiesz się! śpiesz się! by jej nie przebyli! —

Zimniej niż wicher, co tchem jednym ścina
Źródła przed chwilą słońcem gorejące,
Stokroć ach! zdrady braterskiej nowina
Zimniej przeraża serca ufające!
On tego doznał. — Jak rażony gromem,
Z blademi usty, z okiem nieruchomem,

Stał, bez oddechu, nie podnosząc głowy; —
Rzekłbyś, zaklęty posąg marmurowy,
Co w skamieniałym Iszmonii grodzie,
Skamieniał myśląc o strasznej przygodzie*).
Lecz rychło wnętrzna minęła katusza —
Wzniósł nagle czoło, i spojrzał — ze łzami.
A w tem spojrzeniu wielka jego dusza
Wszystkimi swymi błysła promieniami! —
I nigdy nawet w dniach zwycięstw i chwały,
Lot myśli jego nie szedł tak wysoko,
Jak gdy w tej chwili, spokojny i śmiały,
Z dumą ku gwiazdom wzniósł iskrzące oko,
Jakby w nich hasła bliskich bojów witał,
Lub pożądane przepowiednie czytał!

Przyszła więc, przyszła godzina męczeństwa!
Ramienia jego Bóg już nie chce dłużej.
Dni jego dotąd śród niebezpieczeństwa
Przeszły i znikły — błyskawicą w burzy;
Lecz śmierć za wiarę, na laurach zwycięstwa,
Śmierć, jaką sobie serce jego wróży:
Ta imię jego w przyszłych lat kolei,
Rozpali w gwiazdę chwały i nadziei!...
Góra ta, jego pomnik i grobowiec,
Stać będzie świętą przed ziomków oczyma;
I z ziem dalekich nieznany wędrowiec,

*) W podróżach wschodnich, Perrego, znajduje się opis Iszmonii, miasta skamieniałego w wyższym Egipcie, gdzie jeszcze dają się widzieć skamieniałe postaci mężczyzn i kobiet.

Poeta, rycerz, pod szatą pielgrzyma,
Przyjdą, na gruzach tych zwalisk usiędą,
Przywiodą dzieci, i uczyć je będą:
Jakim był Iran — jak cierpiał, jak słynął!
Jakim był Hafed — jak walczył, jak zginął!
I na tej skale, krwią jego oblanej,
Ukląkłszy razem nagiemi kolany,
Każą im w obec ojczyzny i Boga.
Zaprzysiądz zemstę pokoleniu wroga,
Zaprzysiądz wzgardę wierze Muzułmanów:
Póki w ich piersiach żywe serce bije,
Dopóki piętno arabskich kajdanów
W morzu arabskiej krwi się nie obmyje!... —

Temi myślami wrzał w duszy młodzieniec,
Tych myśli dumą tchnęły go rysy.
I nie radośniej na męczeński wieniec
Spoglądał niegdyś wielki prorok Issy:*)
Jak on w tej chwili, spojrzawszy ku niebu,
Patrzy z uśmiechem: gdzie od morskiej strony,
Blaskiem z ołtarza na wpół oświecony,
Lśni stos wysoki — stos jego pogrzebu!
Z suchych gałęzi i drzew tchnących wonią,
Sam on go z braćmi własną złożył dłonią,
Aby gdy chwila przeznaczeń uderzy,
Gdy już ich zemstę zmoże przemoc wroga,
Tu z resztą wiernych wierze swej rycerzy,
Umrzeć na łonie swego Ognia-Boga.

*) Po persku Jezus.

I każdy przysiągł, gdy nadzieja minie,
Sam się we wspólnej zagrzebać ruinie;
I dla każdego stos, co go wyzwoli
Z rąk nieprzyjaciół i z jarzma niewoli,
Tak jest powabny, święty, — jak to łoże,
Na którem Prorok ich w latach dziecinnych
Usnął na stosie — gdy Bóg, stróż niewinnych,
Płomienie pod nim w kraśne zmienił róże! *)

Długo nań z trwogą patrzała dziewica:
Skąd mu ta w oczach gniewu błyskawica?
Skąd ten płomienny rumieniec na twarzy? —
Cóż on układa? co myśli? co marzy?
Ach! czyliż jeszcze waha się i czeka,
Gdy czas tak krótki, śmierć tak niedaleka?... —
„O mój Hafedzie!“ — i łzami zalana,
Mówiąc to, przed nim padła na kolana —
„O! mój Hafedzie! mój drogi, mój luby!
„Jeśli mię kochasz, jak przysiągłeś nieraz —
„Błagam jak Boga — teraz tylko, teraz,
„Chciej mię wysłuchać — nie pragnij swej zguby!
„Uchodź, uchodźmy! — ratunek w twej mocy.
„Łódź co nas tutaj przyniosła, wnet może —
„Daj tylko rozkaz! — pod zasłoną nocy,
„Unieść nas znowu na szerokie morze.
„Na wschód, na zachód — byle stąd daleko —

*) Gwebrowie utrzymują, że gdy Abraham, wielki ich Prorok, rzucony został w ogień z rozkazu Nemroda: płomienie zamieniły się w róże, na których on usnął spokojnie.
Tavernier.

„Gdzie chcesz, gdzie każesz, pójdę z tobą wszędzie.
„W burzach, w pustyniach, pod twoją opieką
„Nic mię nie strwoży, nic smucić nie będzie!
„Twój wzrok, twój uśmiech — ach! dosyć mi na tem;
„Cały świat dla mnie będzie rajskim światem!
„Pójdziem, osiądziem gdzie w kraju nieznanym,
„Gdzie nie grzech kochać, ani być kochanym;
„Lub gdy jest grzechem — gdziebyśmy przynamnie
„Płakać go mogli, klęcząc obok siebie:
„Ty do Allaha modliłbyś się za mnie,
„Ja — do jakiego chcesz Boga, za ciebie!“ —

Słowa te z dzikiem rzekłszy obłąkaniem,
Zwiesiła głowę, i z wstydu płakała.
Łkając gwałtownie, jakby z każdem łkaniem
Struna się życia w jej piersiach zrywała.
Gdy on! — on młody, on kochany tyle! —
Któż go obwini? — jeśli mu na chwilę
Zemsta, przysięga, zamiary i chęci,
Sam Iran — wszystko wypadło z pamięci:
Gdy najpiękniejszą, najmilszą, w rozpaczy
U nóg swych widzi; — któż mu nie przebaczy?
Jeśli blask nagły nadziei młodzieńczej
Duszę mu zalśnił, i jak łukiem tęczy,
Jasnych dni pasmem w przyszłość jego strzelił —
Dni najszczęśliwszych, gdyby je podzielił
Z tą, co tak kocha! — gdyby się ośmielił!...
Nie! — łzy gorące, co po licu zbiegły,
Gdy się ku lubej, chcą ją podnieść, skłonił:
Łzy tak mu nowe — one go ostrzegły,

Jak mglisty obłok duszę mu przesłonił.
Zadrżał — i dumnie spojrzawszy dokoła,
Łzy te niemęzkie otarł z swego czoła.
Jak ów, co rano wychodząc na boje,
Ociera z rosy swój oręż i zbroję,
Co je przyćmiła, lecz splamić nie zdoła.

Lecz choć już słabość minęła niegodna,
W stłumionym głosie i łzawej źrenicy
Tchnie jeszcze czułość tak miękka, łagodna:
Że w sercu tkliwej, strwożonej dziewicy,
Na nowo słodka zakwitła otucha,
Że go jej prośba, jej rada nakłoni;
I cała w oku, patrzy nań i słucha,
Gdy dłoń jej wziąwszy, z cicha mówił do niej:
„Tak, moja luba! tak, otrzyj łzy twoje!
„Wiem ja kraj jeden — nieznany, daleki,
„Gdzie szczera miłość znajdzie swą nagrodę,
„Gdzie wolno kochać! — tam ja cię powiodę —
„Nie płacz! — tam będziem szczęśliwi oboje,
„Będziem się wzajem kochali na wieki!“ —

Jeszcze nie zgadła, czy ta słodycz głosu,
Czy jej te słowa źle czy dobrze wróżą;
Gdy młodzian szybko zbliżył się do stosu,
Gdzie zawieszoną widać konchę dużą *).

*) Koncha zwana *Siiankos,* pospolita w Indyach, w Afryce, i na brzegach Śródziemnego morza. Używano jej zamiast trąby do dawania hasła, gdyż głos jej jest niezmiernie mocny i donośny.

Zdjął ją, i zadął — a dźwięk jej odgłosu
Zabrzmiał po skałach, jak piorun przed burzą:
Jak piorun zabrzmiał w towarzyszów uchu. —
Sam nawet Hafed, blady i bez ruchu,
Drżał zda się z echem niknącem powoli.
Straszne to hasło! każdy wie co znaczy —
Znak umówiony trwogi i rozpaczy;
Znak, że się zbliżył kres ich nędznej doli,
Że musi umrzeć — kto chce ujść niewoli! —
Konchę tę sami, w lepszej niegdyś chwili,
Na swym pogrzebnym stosie zawiesili,
By gdy czas przyjdzie, słyszał Iran cały
Ostatnie hasło męczeństwa i chwały;
By dźwięk jej straszny — jeśliby zasnęli —
Nowych w Iranie obudził mścicieli. —

Przyszli na hasło, z oczyma ku ziemi,
Przyszli rycerze, kroki powolnemi.
Jakże ich mało, gdy w okrąg stanęli! —
Cała to reszta tych synów Iranu,
Tych sług ojczyzny, tych słońca czcicieli,
Co tak niedawno na błoniach Kermanu,
Gdy przy trąb, bębnów, i cymbałów dźwięku,
Czas na wojennem spędzali igrzysku:
Goniąc do celu z długą spisą w ręku,
Czuli nadzieję w jej każdym połysku;
Lub gdy się z wiatrem puścili w przegony —
Długie, za końmi wiejące ogony,*)

*) Największą ozdobą konia w Persyi, jest sześć długich, białych, powiewnych ogonów bawolich (od białych in-

Sami na siodłach schyleni ku ziemi,
Szaty ich wiatrem rozdęte nad niemi —
Rzekłbyś, gdy rzędem lecieli po błoniach,
Że geniusze na skrzydlatych koniach!

Jakże dziś różni! — ich smutek przeraża.
Jak każdy blady! gdy promień z ołtarza
Twarz przechodzących z kolei oświecał.
Jaka posępność w każdego spojrzeniu!
Gdy święty ogień mijając w milczeniu,
Każdy w nim swoją pochodnię rozniecał.
A wszyscy milczą; — wódz jeden układa
Co czynić mają: — a lepiej niż słowy,
Każdy mu wzrokiem tylko odpowiada,
Że cierpieć, walczyć i umrzeć gotowy! —

I była chwila uroczystej ciszy,
Śród której Hilda, z twarzą zadziwioną,
Nic oprócz serca uderzeń nie słyszy,
I patrzy z trwogą na milczące grono. —
Hafed rzekł słowo; — starsi z towarzyszy
Wyszli, i łoże okryte zasłoną,
Liśćmi usłane, na znak jego dłoni,
Niosąc w milczeniu, złożyli koło niej.
Zbliżył się Hafed z smutnemi oczyma,
Sam ją umieścił na miękkiem posłaniu;
Spojrzał — i patrzy; wziął jej dłoń — i trzyma...
Ach! to ściśnienie ręki przy rozstaniu!

dyjskich bawołów), złączonych z sobą u góry i przymocowanych z tyłu do siodła.

Ach! ten ostatni wzrok przy pożegnaniu!
Gdy ten, co żegna, wie, co ono znaczy! —
Wie — gdy wzrok zmruży, gdy dłoń puści z ręki,
Znikną wnet przed nim ukochane wdzięki,
I już ich nigdy, nigdy nie zobaczy! —

Lecz ona nawet z tych pieszczot boleści
Czerpie nadzieję, dobrą przyszłość wróży.
Ten długi uścisk, co jej rękę pieści,
Zda się jej wróżbą wspólnej z nim podróży;
W milczeniu widzi zbytek rozrzewnienia,
W spojrzeniu miłość, czułość, zapewnienia —
Ach! wszystko, wszystko — oprócz rozłączenia! —

„Śpieszmy się! — rzekła — śpieszmy! czas uchodzi!
„Byśmy przed nocą zdążyli do łodzi.
„A jutro — jutro, mój luby! o świcie,
„Z tobą, jak w niebie, na tych wód błękicie,
„Będziemy słońce witali promienne,
„I znów się jutra nadzieją cieszyli!
„A jeśli wspomnim o dzisiejszej chwili,
„Wspomnim ją chyba jak marzenie senne,
„Co strasznem widmem, dobro zapowiada.
„A ty!“... — Lecz cóż to? — nikt nie odpowiada? —
Spojrzała wkoło. — Niema go! — O! biedna!
On ją opuścił! — ach! czyż sama jedna
Musi iść dalej w drogę swego losu?... —

W tej chwili właśnie niosący ją, znowu
Schodzą w głąb ciemną mglistego parowu,

Gdzie tak niedawno dźwiękiem jego głosu,
Mimo ech strasznych, co dokoła brzmiały,
Wszystkie jej myśli, wszystkie czucia grały:
Jak na dźwięk arfy Izrafila w raju,*)
Brzmią wszystkie liście Edeńskiego gaju. —
Lecz teraz, teraz!... — cóż jej łzy pomogą?
Przed nią noc, zgroza — a przy niej — nikogo!
„O! mój Hafedzie! usłysz prośby moje!
„Jeśli żyć nie chcesz, jeśli umrzeć wolisz,
„Czyż mi i tego nawet nie pozwolisz,
„Abyśmy razem umarli oboje?
„Ach! pozwól, pozwól! niech z ostatniem tchnieniem
„Raz jeszcze jeden błogosławię tobie;
„Niech cię ostatniem pożegnam spojrzeniem,
„Niech nas w tym samym pochowają grobie! —
„Ty może myślisz, że się śmierci boję? —
„Ach! ja — by tylko słyszeć twe wyrazy,
„By choć raz jeszcze spojrzeć w oczy twoje —
„Gotowam umrzeć sto tysięcy razy! —
„Wy też — wy bracia mojego Hafeda!
„Błagam was, stańcie! — On mię kochał tyle!
„On mię usłyszy! on mi cierpieć nie da! —
„Ach! stańcie, stańcie! — Musiał zostać wtyle,
„Lecz wnet dogoni! — Stańcie choć na chwilę! —
„O! mój Hafedzie“... — I tak drogę całą,
Żebrząc litości, woła nieszczęśliwa.
Imię Hafeda echo powtarzało,

*) Anioł Izrafil, ze wszystkich stworzeń Boskich mający najwdzięczniejszy i najwięcej harmonijny głos.

Lecz próżno, próżno! Hafed nie przybywa. —
Biedna dziewico! — nie pójdzie on z tobą!
Umrzeć wam było, gdyście się żegnali! —
Teraz tam chyba Bóg was złączy z sobą,
Boście się tutaj na zawsze rozstali! —

Biedny młodzieńcze! — On te jęki słyszy.
Rzucił na chwilę grono towarzyszy,
I sam, ciemności osłoniony mrokiem,
Długo szedł za nią, niewidziany od niej;
I nad wąwozem, z rozognionem okiem,
Stanął, i patrzy na blaski pochodni,
Przy których bracia, w milczeniu głębokiem,
W dół, jak do grobu, kroki pośpiesznemi,
Unoszą wszystko, co kocha na ziemi! —
Patrzy — tak smutny, tak blady na licu,
Jak młody majtek, w nocy, przy księżycu,
Gdy zwłoki brata, w tej mu właśnie chwili
Ze łzami drudzy do morza rzucili:
A on, stojący na moście okrętu,
Pogląda jeszcze załamawszy dłonie,
By jeszcze dojrzeć choćby fal zakrętu,
Gdzie luba postać coraz głębiej tonie —
A okręt płynie po spokojnej fali. —
Tak Hafed patrzał — oni poszli dalej. —

Wtem zadrżał nagle, jak ze snu ocknięty. —
Trąby i kotły, i wściekłe okrzyki,
W poprzek przepaści, od lądowej strony,
Zabrzmiały razem!... — Co za hałas dziki!

Rzekłbyś ryk piekieł, szyderczy i mściwy,
Albo że wszystkie i Gole i Diwy,*)
Co tam w ciemnościach od wieków się kryły,
Na hasło wojny z wściekłością zawyły —
Tak był ten okrzyk głośny i straszliwy.

„Przyszedł więc, przyszedł Muzułman zuchwały!“
Zawołał Hafed — a gniewem wrzał cały,
A oczy jego jak ogniem pałały. —
„Teraz to, teraz, wy duchy walecznych,
„Duchy swobodne w mieszkaniach słonecznych!
„Patrzcie! jak dusze bratniego płomienia,
„Do zemsty za was, waszym pójdą torem,
„Albo w męczeńskim wieńcu przeznaczenia,
„Polecą z waszym połączyć się chórem!“ —
Rzekł — i jak tygrys do zgłodniałych dzieci,
Biegł, gdzie czekają bracia zgromadzeni.
Przybiegł — w ich oczach żywy ogień świeci,
A miecze nakształt słonecznych promieni
Błysły w powietrzu — stoją niewzruszeni.
Wtem znowu — słyszysz! — okrzyk zabrzmiał znowu;
Głośniej już, bliżej — z tej strony parowu. —
Stało się! przeszli drogę niestrzeżoną!... —

O! piękny widok! ktoby mógł w tej chwili
Widzieć to szczupłe wojowników grono:
Jak z mieczem w górze, z twarzą rozognioną,
Wkrąg wodza, bystro na niego patrzyli,

*) Gole, Diwy, nazwiska perskie złych duchów.

Jakby pytając: co myśleć powinni,
Że wróg tak blisko — a oni nieczynni?
Wódz zgadł ich myśli, i sam je podziela. —
„Cóż to? o! bracia! gdy się wróg ośmiela
„Nachodzić twierdze, co nas przed nim kryją:
„My z mieczem w ręku, wobec tych płomieni,
„Czekać go będziem z nachyloną szyją,
„I umrzem sami — umrzem niepomszczeni!
„Jakby nam brakło piersi Muzułmana,
„Aby w nich nasza szabla zmordowana,
„Spoczęła wiecznie, jak w pochwie schowana?... —
„Nie! — wy obrońcy ojczyzny i wiary!
„Bóg nasz spodlonej nie przyjmie ofiary!
„Pójdźmy! uderzmy! — niech krwią zlane skały
„Imieniem Gwebrów zabrzmią na świat cały,
„Aż tron Kalifów drżeć będzie przed echem,
„Gdy je Behendi powtórzy z uśmiechem!*) —
„Za mną, waleczni! — Kto wróci ostatni,
„Stos go ten święty zbawi od kajdanów.
„Lecz ten wart chwały, wart zawiści bratniej,
„Kto śród pobitych legnie Muzułmanów!
„Za mną, waleczni! —
Wszyscy w jednej chwili,
W dół z wierzchu góry za nim się rzucili:
Każdy nadludzką ożywiony siłą,
Każdego oko jak ogniem się tliło,
Każdego serce jak w płomieniach biło!...
Pędzą bez drogi — gdzie z wściekłymi krzyki,

*) Behendi, prawowierny.

W cieniach arabskie gromadzą się szyki,
I przy pochodni świetle wpół zamglonem,
Długim się hufcem wiją po dolinie —
Jak wąż Golkondy, gdy się wzdłuż rozwinie,
I z gniewu błyska iskrzącym ogonem*). —
Gwebry bez światła pędzą przez urwiska —
Znana im droga, i oni tu znani!
Poznał ich tygrys, wyjrzawszy z łożyska —
Wstał, i znów przyległ — choć wzrok żądzą błyska,
Wie, że nie trwożni — i niepokonani. —

Przed górą jeszcze jest parów w nizinie,
Straszny, głęboki — wróg go nie ominie;
Miejsce przydatne obrońcom, gdzie snadnie
Przed jednym tysiąc napastników padnie. —
Zdroje z gór dzienną wzdęte niepogodą,
Po pas dno jego napełniły wodą;
Po obu stronach, strome i ponure
Wznoszą się skały i głazy, przez które
Ta jedna droga prowadzi na górę. —
Wszerz jej, ostatni z Irańskich mścicieli,
Na czas przed wrogiem nad głębią stanęli,
I za głazami czają się bez ruchu,
Słuchając kroków, co już brzmią w ich uchu,
Tak, że nie słyszą, jak skrzydły ciężkiemi
Złowrogie sępy łopocą nad niemi. —

Przyszli — plusk wody wydał rzezi hasło.
Okrzykiem Gwebrów tysiąc ech zawrzasło.

*) Wąż ten sławny w powieściach „Tysiąca nocy“ gdy się ruszy, wydaje z siebie elektryczną jasność.

Teraz to, Gwebry! — oto wróg morderca! —
Czy miecz wasz ostry, czy odważne serca,
Teraz, niech teraz wasza dłoń dowiedzie! —
Biada hufcowi, co brodził na przedzie! —
Sto mieczów razem błysnęło z nad brzegu,
Sto głów od razu upadło w szeregu;
Na dno skrwawione nie poszły tułowy,
Gdy już stu innych powitał cios nowy.
Jedni po drugich, zgrają niezliczoną,
Tłoczą się, brodzą, padają, i toną. —
Trwa rzeź — aż w końcu, choć krwi jeszcze łaknie,
Gronu Hafeda sił już coraz braknie;
Aż z dłońmi, z których krew strumieniem ciecze,
Zwisły ku ziemi zmordowane miecze. —

Drżysz, Al-Hassanie! — Nigdy klęski sroższej
Nie doznał Arab, głębszej nie czuł blizny;
Nigdy miecz zemsty, libacyi droższej
Nie rozlał u stóp skrzywdzonej ojczyzny! —
Patrz wzdłuż parowu! — przy świetle gasnących
Smolnych pochodni i głowni iskrzących,
Co z rąk wypadłe, nad zgęszczoną falą
Pływają wkoło i we krwi się palą; —
Patrz wzdłuż parowu — jak strasznym obrazem
Śmierć, mord, pożoga, łączą się tu razem!
Bezgłówne ciała, zdeptane w przechodzie,
Stosami do dna w krwawej leżą wodzie.
Tu płynie głowa w płonącym zawoju;
Ówdzie sam przez się, miecz zgubiony w boju,
Gdy ciżba trupów rękojeść mu ściska,

Ostrzem się w górę podnosi i błyska.
A wkoło ranni — ów z szatą w płomieniu
Od bliskich główni — sam brodząc w strumieniu,
Niezdolny w ciżbie zaczerpnąć ochłody,
Kona w męczarniach płomienia i wody;
Ów bliski brzegu, sam dotąd bez rany,
Rozpaczną ręką tonących porwany,
Napróżno siły dobywszy ostatniej,
Żywy, wraz z trupem, w krwi topi się bratniej!... —

Ale napróżno sta, tysiące legły —
Nowe sta, nowe tysiące nadbiegły.
Jak na pochodnię, gdy w nocy zaświeci,
Ćma nocna chmurą coraz gęstszą leci,
Aż samą ginąc, blask światła zamroczy:
Dzicz napędzona przez parów się tłoczy.
Aż ich trupami zawalon po brzegi,
Jak mostem nowe podźwiga szeregi;
Aż po ich głowach, przez krwi własnej strugi
Po konających, przeszli na brzeg drugi.
Biada wam, Gwebry! — nic ich już nie wstrzyma! —
Już są wpół góry — już przed ich oczyma
Święty wasz ołtarz niedaleko pała. —
Wściekli, doznawszy jak dłoń wasza śmiała,
Wstydzą się, widząc, jak was garstka mała!
Biada wam, Gwebry! — Ci rzezią znużeni
Legli, gdzie stali; ci w krwi swej zbroczeni,
Bladzi na licu, chwiejący się w kroku,
Walczą, i giną przy Hafeda boku. —
On, choć już ręka wznieść miecz ledwo zdolna,

Z twarzą ku wrogom, ustępuje zwolna.
I jak lew, nagłym Jordanu wylewem
We śnie bezpiecznym z łożyska porwany,
Ryczy, i w oku wściekłym iskrząc gniewem,
Z unoszącymi łamie się bałwany; *)
Tak on na braci silnym woła głosem.
Tak gniewny walczy z przemocą i losem!

Lecz dokąd teraz? — Znikł przed okiem dziczy! —
Czyż już tak bliskiej nie ujmą zdobyczy? —
Pod mieczem Gwebrów legł zdrajca przewodni,
Wiatr zgasił resztę niesionych pochodni;
Noc, głazy, rowy, i łoża potoków,
Tamują postęp ścigających kroków.
Lecz nie śmie stanąć motłoch niewolniczy.
„Naprzód! i naprzód!“ — sam Al-Hassan krzyczy.
„Gdzie są brytany? — pospuszczać ze sfory!
„Niech nam szczekaniem wskażą Gwebrów tory!“ —
Spełniono rozkaz — zgraja idzie skorzej. —
Śmierć im niestraszna, bo żyć dla nich gorzej. —
Złudzeni światłem, co z Gwebrów ogniska,
Od skał odbite, w inną stronę błyska,
Zboczyli z drogi — i w cieniach zbłąkani,
Nie widzą bliskiej, bezdennej otchłani —
Widzą — już późno! — już wrócić nie mogą!
Brzeg się piaszczysty załamał pod nogą.

*) W lasach nad Jordanem znajdują się rozmaite gatunki dzikich zwierząt, które nagle wezbrana rzeka często porywa i unosi. To podało Jeremiaszowi myśl tego porównania; „Przyjdzie na was wróg wasz, jako lew niesiony falą Jordanu“.

Próżno się drudzy wstrzymują nad brzegiem:
Jak szli, spadają — szereg za szeregiem.
Kto został w tyle, gdy jęki usłyszy,
Śpiesząc na pomoc, wepchnął towarzyszy;
Ledwie głąb ujrzał, już ciżba rosnąca
Pcha go samego, i w przepaść potrąca. —
Darmo z przestrachem, z wściekłością, z rozpaczą,
Ci klną, ci jęczą, błagają i płaczą:
Modły ni klątwy nikogo nie wzruszą:
Wepchnęli braci, i sami wpaść muszą! —
Jedni wprost na dno lecąc bez przeszkody,
Topią się w nurtach szumiącej tam wody;
Ci na wpół żywi, na głazach sterczących
Zawiśli — pastwa dla sępów krążących!
A jękiem wszystkich brzmi przepaści echo. —

Słyszy je Hafed, i słucha z pociechą —
Głos to ostatni sercu jego miły!
Gdy sam, w ciemnościach, bez tchu i bez siły,
Na twardej skale leżał krwią okryty.
Obok towarzysz — miecz krwawy, dobyty.
Rzekłbyś, spoczywa po trudach zabawy:
Pokój, pogoda, jaśnieją mu z czoła.
Wie, że dość zrobił dla zemsty i sławy,
Sam Iran więcej wymagać nie zdoła!
Jedna myśl tylko, jako promień z góry,
Lśni w jego duszy przeze mgłę i chmury
Bliskiego zgonu: — ona to jest, ona!
Promienna gwiazda w życia jego burzy,
Jedna, ostatnia, niczem nie przyćmiona,
Co go tu żegna, i blask niebios wróży!...

I nigdy dotąd, nigdy w jego oku
Obraz jej w takim nie stawał uroku!
Zda się, że myśli, co miłość ich ćmiły,
Zda się, że trwogi, co serce ziębiły,
Zniknęły wszystkie — i żadnej mgły ziemi,
I żadnej chmury niema między niemi! —
Widzi ją, widzi! — taki blask w spojrzeniu,
Tak nowa piękność jaśnieje z jej lica,
Jakby ją w niebios oglądał promieniu,
Co już mu duszę przed zgonem oświeca! —

Wtem głos się ozwał. — Ha! któż się ośmiela?... —
Głos to jest Gwebra, brata, przyjaciela,
Co sam z Hafedem ocalał tej nocy. —
„Zbierz siły, wodzu! — czyż w Arabów mocy
„Umrzeć tu mamy? tu, gdy już tak blisko
„Stos nasz gotowy i święte ognisko?“ —
Ten głos ostatek życia w nim rozżarzył.
„Co? wrógby jeszcze aż tu się odważył
Zdeptać nas martwych, lub więzy narzucić?“ —
Myśl go ta z martwych zdolnaby ocucić.
„Pójdźmy!“ — Wstał z ziemi, i drżącem ramieniem —
Wspierając brata, choć sam słaby niemniej,
Poszli pod górę. Za każdem stąpieniem,
Twarz coraz bledsza, w oczach coraz ciemniej —
Boże Iranu! zbaw ich mocą twoją.
Zbaw przed zniewagą! — śmierci się nie boją.

Śladem za nimi zdrój sączy się krwawy,
Krwią ich jak rosą oblały się trawy.

Miecz twój, Hafedzie! — ha! i on ci skłamał —
Pod wspartą dłonią na skale się złamał! —
Idą — wrzask z dołu powiększył ich trwogę —
Wrzask to tryumfu — wróg trafił na drogę!
Coraz to głośniej brzmią wodzów rozkazy,
Coraz to bliżej stal szczęka o głazy,
I psów przeciągłe rozległo się wycie. —
Śpieszcie się, Gwebry! lub ujść nie zdążycie!
Śpieszcie! krok jeszcze!... — Już są, dzięki niebu!
Już są na górze! — widzą stos pogrzebu,
Widzą świątynię, i blask swego Boga. —
Lecz nim go doszli — towarzysz Hafeda
Upadł zemdlony, i skonał u proga. —
„Czyż razem nawet los nam umrzeć nie da? —
Zawołał Hafed — „Maż tu pierś twą drogą
„Wróg z urąganiem hardą zdeptać nogą,
„Lub ją nikczemnik obrażać żelazem? —
„Nie! mężny bracie! — Bóg nas przyjmie razem! —
„Klnę się na ogień, co przedemną błyska!“ —
Tak rzekł — i z mocą, co nie z tego świata
Być się już zdała, podniósł zwłoki brata,
I na swych rękach niósł je do ogniska.
Złożył na stosie — zdjął z ołtarza głownię,
I stos podpalił — a płomień gwałtownie
Buchnął wkrąg łuną po morzu i niebie. —
„Boże światłości! powracam do Ciebie!“
Zawołał Hafed — i z dumnym uśmiechem,
Sam na wierzch stosu rzucił się z pośpiechem;
I wysilony, gdy celu dokonał,
Wprzód nim go ognie ogarnęły — skonał!

A w tejże chwili — co za krzyk od morza
Rozdarł powietrze? — Ach! krzyk ten pochodzi
Z tej — snać rzuconej bez wiosła i stróża,
Na tle fal czarnych bielącej się łodzi,
Gdy na nią z góry padła jasność stosu. —
I znowu cicho — lecz dźwięk tego głosu!...

Łódź to jest — czemuż tak w drodze spóźniona,
Tak bliska dotąd? — łódź biednej dziewicy,
Zwierzona straży wybranego grona
Sędziwych Gwebrów. — Dzielni wojownicy
W latach za młodu; lecz wiek sił ich zbawił.
Wiedział to Hafed, i w drogę wyprawił
Nie powierzywszy strasznej tajemnicy.
Myślał, że emir, gdy córkę zobaczy,
Gdy się w nim serce ojcowskie rozrzewni,
Nieprzyjaciołom w jej stróżach przebaczy,
I szczodrze starość spokojną zapewni. —

Tak nieświadomi arabskiej napaści,
Chlubni z opieki, co im wódz ich zwierzył,
Ledwie na morze łódź wyszła z przepaści,
Gdy wrzask wojenny ich uszy uderzył.
Zlękli, zdumiali, z podjętemi wiosły,
Wstrzymując oddech, ku górze słuchali;
Niepomni łodzi, jak ją nurty niosły,
Z lekka wzdłuż brzegu kołysząc na fali.
Każdy sam w sobie, blady i ponury,
Nie trwożąc braci, w złych domysłach tonął;
A wszyscy patrzą, gdzie na wierzchu góry
Spokojnie jeszcze święty ogień płonął. —

Lecz ty, o! Hildo! — próżno się wysili
Najokropniejszy pędzel wyobraźni,
By wydać w tobie uczucia tej chwili,
Śmiertelne męki żalu i bojaźni!...
Kto sam ich doznał, tenby ból ich wiedział,
Lecz nikt nie przeżył, by drugim powiedział!

Nie jest to tylko ów stan smutnej duszy,
Gdy ją los złamie, a cierpienie skruszy;
Gdy, choć nic więcej do straty już nie ma,
Trwoga o wszystko jak w pętach ją trzyma;
Gdy, choć nadzieja umarła w jej łonie,
Cień jej, jak widmo, jeszcze w myślach wionie: —
Nie! — Można tracąc szczęście i nadzieję
Nie umrzeć jeszcze, i przeżyć swe żale:
Jak ów płaz w zimnej zasklepiony skale,
Żyje, choć wszystko wkoło skamienieje.
Lecz się w tem życiu pokój, cisza mieści,
Straszna, grobowa — lecz szczęściemby była,
W tej ostrej, gorzkiej, płomiennej boleści,
Co się w jej skroniach, w jej piersiach paliła,
W tych, jakby mękach tortur i konania,
W tych dzikich, strasznych widmach obłąkania,
Na których ulgę nie znaleźć sposobu,
Nie znaleźć miejsca — prócz śmierci i grobu!

Morze spokojne — pod łodzią dokoła
Błyskają gwiazdy — noc cicha, wesoła!
Był czas, dziewico! gdy innej pociechy,
Innej zabawy nie było ci trzeba,

Jak w takich nocach liczyć gwiazd uśmiechy,
Gdy się po morzu rozsypały z nieba.
Jak w takich nocach, w samotnej ustroni,
Gubić się myślą w nadziei błękicie,
I tchnąc balsamem świeżej, nocnej woni,
Jak kwiat w swych piersiach czuć kwitnące życie,
Czuć własne serce lśniące gwiazdy blaskiem! —
Lecz dziś!... —

Wtem znowu przeraźliwym wrzaskiem
Zabrzmiało echo. — Gwebry się porwali,
Aż łódź w spienionej zaryła się fali —
Błysnęli mieczem... — Ach! próżne nadzieje! —
Nie czas już, nie czas napowrót wam płynąć!
Włóżcie miecz w pochwę, niech wiecznie rdzewieje!—
Ten, co tam bez was śmierć i postrach sieje,
Wódz wasz, przyjaciel — bez was musi ginąć!
Próżno ze wzrokiem wzniesionym ku górze,
Chcecie odgadnąć, skąd ten wrzask? co znaczy
To hasło wojny? — w tem miejscu? — w tej porze? —
Ona wie tylko — ona, co w rozpaczy,
Jak posąg z głazu, załamawszy dłonie,
O maszt zroszony blade wsparła skronie,
I w obłąkaniu patrzy ku ruinie —
Ona wie tylko — ale, umrze raczej,
Niż wyrzec zdoła — przez kogo on ginie! —

Patrz! światło błysło w ruinach na wierzchu!
Wznosi się w górę — postępuje w zmierzchu —
Patrzają wszyscy — lecz ach! wzrok dziewicy!
Całe się życie pali w tej źrenicy!...

Niedługa chwila — stos stanął w płomieniu,
I wkrąg po morzu i niebios sklepieniu,
Krwawa, posępna jasność łuny padła.
I coraz dalej szerzy się i błyska —
Gdy do wietrznego podobien widziadła,
Hafed, stojący przed blaskiem ogniska,
Ciemny, wysoki, wydawał się z dołu
Jak duch płomieni śród swego żywiołu.
„To on!“ — dziewica z rozpaczą wykrzykła —
Lecz nim głos zabrzmiał — już pierzchło widzenie.
Wyżej ku niebu wybuchły płomienie,
Jej i Iranu — nadzieja już znikła!
Jeden krzyk tylko wyrwał się z jej łona,
I w stos wlepiwszy nieruchme oko,
Skoczyła w morze — i wznosząc ramiona,
Patrząc nań, tonie — głęboko, głęboko! —
Gdzie już jej ludzkie oko nie zobaczy,
Gdzie już nie dozna żalu ni rozpaczy! —

„Spoczywaj, spoczywaj, arabska dziewico!“
(Tak Peri pod morzem nuciła): *)
„Najczystsze się perły w swych konchach nie świecą,
„Jak dusza twa w tobie świeciła!

„Kwitnęło twe serce jak lilia biała,
„Nim miłość je ogniem przenikła;

*) Peri, duchy dobre; stopniem niższe od aniołów, ale równej piękności. Mieszkają na powietrzu i w wodzie, gdzie im się podoba; w zaczarowanych ogrodach lub kryształowych pałacach: żyją wonią kwiatów i rosą.

„Jak Samun po lutni, w twych piersiach powiała,*)
„I życia muzyka zanikła! —

„Lecz nieraz w arabskich dolinach i górach,
„Kochankom przypomną poeci,
„O tej, co śród pereł śpi w morskich lazurach,
„Gdzie nic prócz gwiazd morskich nie świeci**).

„Gdy w zbiory daktyli, szczęśliwi, weseli,***)
„Zgromadzą się młodzi i starzy:
„Usłyszą twe dzieje — i co się śmiać mieli,
„Rozejdą się z łzami na twarzy.

„Pasterka-dziewica, na tańce, w dzień święta,
„W kwiat strojąc warkocze trefione,
„Przypomni o tobie — i żalem przejęta,
„Kwiat płacząc odrzuci na stronę.

„I Iran cię w swojej uwieczni boleści,
„I obraz twój piękny, uroczy,
„Przy boku swojego rycerza pomieści,
„I blaskiem swej chwały otoczy.

**) Samun, wiatr południowy, tak rozstraja struny narzędzi muzycznych, że dopóki wieje, żadnego dźwięku wydać nie są zdolne.

***) Największą osobliwością zatoki perskiej, jest ryba zwana Gwiazdą Morską. Kształt jej jest okrągły; a w nocy tak jest błyszczącą, że się wydaje jak księżyc w pełni, otoczony promieniami.

***) Zbiór daktyli w Persyi, odbywa się z równą wesołością i uroczystościami, jak w niektórych krajach Europy winobranie.

„Spoczywaj! my Peri stać będziem wkrąg łoża,
„Morskimi je kwiaty okryjem;
„Z najdroższych kamieni, co błyszczą w dnie morza,
„Gwiaździsty ci wieniec uwijem.

„Z konch, w których my same, w błękitach głębiny,
„Przy świetle księżyca nocujem,
„W najtkliwsze łzy ptaków, w najczystsze bursztyny*)
„Ozdobną ci grotę zbudujem.

„Przyniesiem najżywsze gałęzie korali,
„I gajem zasadzim nad tobą;
„Żwir Złotej-Zatoki, co w iskrach się pali,
„Jak gwiazdy rozsypiem nad tobą.

„Spoczywaj! niech łzami niebieskiej litości,
„Mogiłę tych zroszą anieli,
„Co jak ty kochając, umarli z miłości,
„Co jako on walcząc, zginęli! —

*) Niektórzy naturaliści byli niegdyś tego zdania, że bursztyn jest skamieniałością łez ptaków.

PERI I RAJ

POWIEŚĆ WSCHODNIA

TOMASZA MOORA.

I.

U progu niebios gwiazdzistych podwoi,
Wygnanka Peri, zasmucona stoi*).
I kiedy słyszy, jak zdroje żywota
Rajskimi dźwięki harmonijnie brzęczą:
I kiedy widzi, jak ich jasność złota
Z bram na jej skrzydłach promieni się tęczą:
Płacze dumając, że jej ród zuchwały
Stracił dziedzictwo wiekuistej chwały.

„Szczęśliwi duchowie! co w wiecznych swobodach,
„Po gwiazdach niebieskich, po rajskich ogrodach,
„Bujają skrzydłami jasnemi!
„I ja mam ogrody na ziemi i w morzu,
„Mam sady wiszące w powietrza przestworzu —
„Lecz możnaż je równać z rajskiemi?

„Przeczysta jest woda jeziora Kaszmiru,
„I rzeki mu niosą dań złota, nie żwiru,
„I piękny cień wysp Sing-su-haju**).
„Tam żyję ich wonią; tam w skwarność upału,
„Oddycham w ich głębiach, w pałacach z kryształu —
„Lecz cóż to jest wszystko przy raju?

*) Peri, w mitologii wschodniej patrz str. 340.
**) W Tybecie.

„Leć z gwiazdy do gwiazdy, od słońca do słońca,
„W otchłani beze dna, w przestrzeni bez końca,
„Gdzie krążą na wiecznych zawiesiech:
„Zbierz wszystkie ich wszystkich rozkosze, radości,
„I pomnóż przez wieki, przez lata wieczności —
„Cóż one przy chwilce w niebiesiech?“ —

Tak gdy nuciła, płacząc tem boleśniej,
Anioł, stróż Raju, dosłyszał jej pieśni;
I łza litości, w promienistem oku
Błysła, jak kropla rajskiego potoku
W kielichu kwiatów, co barwą błękitną,
Mówią bramini — w raju tylko kwitną*).
„Duchu, cierpiący nie za swoje grzechy!
Rzekł — „nie rozpaczaj, przyjm promień pociechy!
„Jest jeszcze jedna nadzieja dla ciebie.
„W księdze wyroków napisano stoi:
„*Peri, co złoży u niebios podwoi*
„*Dar godny nieba — może zostać w niebie*“. —
„Leć więc i szukaj! — Nam, synom zbawienia,
„Miło otwierać bramę przebaczenia“. —

Jak kometa ogniem tchnąca,
W płomienisty uścisk słońca:
Jak gwiazdziste owe groty,
Co gdy sprośny duch ciemnoty
Chce ku niebu wkraść się zbliska,

*) Błękitny kwiat *Champaka*, tak zwany w języku braminów, podług ich podań kwitnie tylko w raju.

Archanielska dłoń nań ciska:*)
Peri na dół spada z góry.
I promienna zórz szkarłatem,
Co wschód barwią tłem purpury:
Błyszczącemi jak śnieg pióry,
Ulatuje ponad światem.

Lecz gdzież się zwróci, by iść szukać daru
Godnego niebios? — „O wiem ja — zawoła —
„Wiem skarby w lochach ruin Czilminaru,**)
„Których znieść blasku źrenica nie zdoła.
„Wiem, gdzie w bezdennych głębokościach fali
„Są góry pereł i lasy korali;
„Gdzie w straży gnomów, pod ziemią ukryty,
„Króla Dżamszyda puhar gwiazdolity,
„Co zdrojem życia nad brzegi się pieni;***) —
„Ale dla niebios ofiara to błaha!
„Cóż jest blask złota i drogich kamieni,
„Przy gwiazdach u stóp stolicy Allaha?
„A krople życia! — o! nicość nicości,
„Przy oceanie niebieskiej wieczności!“ —

*) Muzułmanie mniemają, iż spadające gwiazdy, są to ogniste pociski, którymi aniołowie odpędzają złe duchy, gdy się z nich który z przepaści ku niebu przybliżyć ośmieli.

**) Tak Persowie nazywają miasto Persepolis. Podług ich podań, był tam pałac zbudowany przez geniuszów, dla ukrycia w podziemnych jego lochach nadzwyczajnych skarbów, które tam się dotąd znajdują.

***) Cudowny ten puhar, napełniony „żywiącą i gojącą wodą“, ma się także znajdować w ruinach Persepolis.

I gdy tak duma, a skrzydła jej płyną,
Ponad indyjską ulata krainą.
Gdzie cała ziemia, jest kwiat i zieloność,
Całe powietrze, jest jasność i wonność;
Gdzie morze razem, w przeźroczach swej fali,
Odbija błękit i dno swe z korali;
Gdzie nakształt dziewic ubranych na gody,
Rzeki lśnią złotem przez rąbek swej wody;
Gdzie w górach, ogniem słonecznem dojęty,
Głaz się w gwiazdziste topi dyamenty;
A wonne lasy, wiecznym tchnące majem,
Sameby mogły być Perii rajem;
Tam ona w myślach posępnych ulata.
Żądza ku niebu, i niedola świata,
Tęskność i litość budzą w niej zarazem.
Bo kraj ten dzisiaj nie raju obrazem!
Wojna go niszczy: — krwi ludzkiej rozcieki
Zafarbowały strumienie i rzeki,
Dym pogorzelisk zaćmił blask pogody.
O! kraju słońca! jakiż wróg zawzięty,
Kruszy twe bóstwa, obala pagody,*)
Pomiata twymi ludy i książęty?
To on, wódz z Gazny!**) — nie syt krwi rozlewu,
Gdzie szedł, w jej morzu pływa kraj zniszczony;

*) Świątynie indyjskie.

**) Mahmud, sułtan Gazny, albo Ghisni, który spustoszył i podbił Indye na początku XI wieku. Psiarnia jego, którą prowadził za sobą, składała się z 400 ogarów, które, na urągowisko, kazał ubierać w klejnoty zdarte z bożyszcz indyjskich. Każdy z tych psów miał obrożę złotą, sadzoną dyamentami, i kapę do okrycia, naszywaną perłami.

Gdzie cisnął okiem, w ogniach jego gniewu
Stopniały złote mocarzów korony.
Tyran, a niebios prorokiem się mieni,
I jako szatan urąga z niedoli!
Psiarnie swe stroi w blask drogich kamieni,
Zerwanych z piersi cór książąt i króli.
Morduje dzieci, dziewice znieważa,
Kapłany rzeże u stopni ołtarza,
I gruzem świątyń, runących w pożodze,
Zdroje wód świętych zatrzymuje w drodze. —

Peri spogląda — i tuż niedaleko
Od pola bitwy, po nad świętą rzeką,
Widzi młodzieńca: — sam, nieustraszony,
Stoi w ćmie wrogów; — w ręku miecz skruszony,
I tylko strzała ostatnia w kołczanie.
„Żyj! — woła Mahmud — „żyj, dzielny młodzianie!
„Żyj! — i przyjm moją przyjaźń i opiekę!“
Milcząc młodzieniec podniósł nań powiekę,
Milcząc ukazał na skrwawioną rzekę,
I za odpowiedź, ostatnią z kołczana
Strzałę z cięciwy puścił na tyrana.
Niestety! próżno! — grot cel swój ominął —
Łupieżca żyje — a bohater zginął!

Peri dostrzegła, gdzie upadł w drzew cieniu;
I gdy wróg dalej poniósł broń niszczącą,
Zbiegła na rannym jutrzenki promieniu,
I od jej blasku jak rubin błyszczącą,
Ostatnią kroplę krwi zebrała z rany,
Krwi za ojczyznę i wiarę przelanej! —

„O! gdzież mi — zawoła — gdzie inszej ofiary;
„Czyż świętszej gdzie szukać potrzeba?
„Krew mężna, przelana dla kraju i wiary,
„Lub będzie najmilszą dla nieba,
„Lub niema mej męce ni granic, ni końca!“ —
To rzekła, i cała radością świecąca,
Wbiegła na niebo — po promieniach słońca.

„Droga“ — rzekł anioł, w dłoń swą promienistą
Biorąc dar Peri: — „droga krew męczeńska,
„Krew poświęcona za ziemię ojczystą!
„Ale, niestety! patrz! brama Edeńska
„Trwa nieruchoma. — Droższych darów trzeba,
„Niż ta krew nawet, by ci wejść do nieba!

II.

Tak, gdy ją pierwsza nadzieja zawiodła,
Peri znów na dół pospiesznemi pióry
Spada, i między K s i ę ż y c o w e G ó r y,*)
W ziemi afryckiej, buja ponad źródła
Rzeki Nilowej: — której ród tajemny
Kryje się w puszczy i przepaści ciemnej,
Gdzie tylko możne geniusze wody
Weselne swoje wiążąc korowody,
Cieszą się, patrząc modremi oczyma,
Na wzrost rzek ziemskich króla i olbrzyma.

*) *Montes Lunae*, w starożytności. U stóp ich mają być źródła Nilu, zwanego u Abissyńczyków *Abby* albo *Alawy*, co znaczy olbrzym.

Stąd ponad bujne Egiptu oazy,
Bezdenne groty i podniebne głazy,*)
Peri wzdłuż Nilu po powietrzu płynie.
I to w rozkosznej R o z e t t y dolinie,**)
Słucha turkawek gruchających chórem;
To ponad modrem M e r i s u jeziorem,***)
Zwieszona, z góry przygląda się rada,
Jak białoskrzydłych pelikanów stada,
W miesięcznem świetle i mgle przeźroczystej,
Lśnią się jak gwiazdy na fali gwiazdzistej.
Czarowny widok! — cudniejszej krainy,
Śmiertelna nigdzie nie ujrzy źrenica! —
Lecz któżby, widząc te żyzne równiny,
Których plon dziwi, a piękność zachwyca:
Te hoże palmy, rok cały wiosenne,
Co gnąc z owocem swe kształty powabne,
Chwieją się z lekka, jak dziewice senne,
Gdy idą spocząć na łoża jedwabne;****)
Te róże, z barwą i krasą jutrzenki,
Co jak sułtanki w tajnikach haremu,
Stroją się nocą w coraz nowe wdzięki,

*) O niezliczonych pomnikach i grotach, w górach Wyższego Egiptu, pokrytych całkiem hieroglificznymi napisami, mówi obszernie między innymi podróżnikami, p. Perry, w dziele swojem *View of the Levant*.

**) Gaje w dolinach R o z e t t y, napełnione są turkawkami. — *Sonnini*.

***) Savary wspomina o pelikanach na jeziorze Moeris.

****) Wspaniała palma, „której szczyt schyla się z lekka, jak czoło pięknej dziewicy, kiedy ją sen morzyć zaczyna“. — *Dafard el Hadad*.

Na podziw słońcu, kochankowi swemu;
Te gruzy świątyń, albo miast warownych,
Co się być zdają szczątkiem snów czarownych:
Śród których głuchej, uroczystej ciszy!
Przelot puszczyka chyba słuch dosłyszy:
I w których mroku zbłąkana źrenica,
Gdzie niegdzie chyba, przy świetle księżyca,
Ujrzy, na szczycie skruszonej kolumny,
Ptaka-Sułtankę — jak w postawie dumnej,
Siedzi bez ruchu, i chociaż w pomroce,
Barw swoich tęczą wspaniale migoce;*) —
Któżby mógł, widząc te rajskie obrazy,
Myśleć, że nawet tu, szatan zarazy
Rozwiał swem skrzydłem taki powiew moru,
Że życie ludzi i wszelkiego tworu,
Nikło w nim nagle, jak pod strzałem gromu,
Jak kwiat i zioła pod tchnieniem Samomu **).

Słońce dziś zaszło przed tysiącem oczu,
Co wtedy jasne, jak zachód na falach,
Taraz już w mękach i śmierci omroczu —
Nim gwiazdy błysły na niebios przezroczu —
Gasną na wieki w morowych szpitalach!
Ach! a też w polach zwalone na kupy,

*) Piękny ten ptak, z najpiękniejszym błękitem na skrzydłach, z purpurowemi nogami i dzióbem, był ulubioną ozdobą greckich i rzymskich pałaców i świątyń, a z powodu wspaniałej podstawy i świetności kolorów, na wschodzie imię Sułtanki otrzymał.

**) Samun albo Samom, wiatr gorący, wiejący od strony pustyń.

Te po ulicach i po drogach trupy!
Od których nawet, ujrzawszy z daleka,
Sęp wygłodniały ze wstrętem ucieka;
I tylko hyen żarłocznych gromada,
Przybiegła z pustyń, do miast się zakrada,
I na żer sprośny, przez puste ulice,
Śmiałymi kroki dybie nocną dobą —
I biada mrącym! gdy w mroku nad sobą,
Ujrzą ich duże, błyszczące źrenice! —

„O! biedny ludzki świecie i rodzaju!
„Ciężko spadł na was grzech pierwszego męża.
„Cóż, że wam kwitnie kilka kwiatów raju,
„Kiedy na każdym jest trucizna węża?“ —
Tak rzekła Peri, i łzami rzewnemi
Płakała mówiąc; — i łzy jej, jak rosy,
Zdrowiącą świeżość rozniosły po ziemi.
Bo jest cudowna moc we łzach, któremi
Duch taki płacze nad ludzkimi losy! —

W tej chwili właśnie, pod zielonem drzewem
Złotych pomarańcz gdzie owoc i kwiecie,
Pochwiane jednym, przelotnym powiewem,
Igrały razem, jak ze starcem dziecię:
Po nad jeziorem, którego głębinie
Tchnęły oddechem świeżości wilgotnej:
Słyszy jęk cichy; — ktoś widać w pustynię
Skrył się przed ludźmi, by umrzeć samotny. —

Młodzian — za którym, w każdym niegdyś kroku —
Szły czułe serca i tęskne westchnienia,

Kona — i niema, ktoby mu przy boku
Stanął na wsparcie, na ulgę cierpienia!
Coby dla spiekłych ust jego ochłody,
Podał mu choćby jedną kroplę wody,
Co o krok przed nim chęć w nim tylko drażni;
Coby choć jednym wyrazem przyjaźni,
Współdzieląc boleść i łagodząc trwogę,
Pokrzepił ducha na wieczności drogę!
Nikogo niema! — i jedna pociecha,
Co mu się jeszcze w tej chwili uśmiecha,
Jest — że ta, którą jedynie, statecznie,
Kochał kochany, od lat swych dziecięcych —
Że ta w tej chwili spoczywa bezpiecznie,
Spoczywa w ojca pałacach książęcych:
Gdzie wód przeczystych bijące fontanny,
I z drzew indyjskich ogień nieustanny,
Tchną wkoło taką świeżością i wonią,
Że rzekłbyś, skrzydła aniołów nad skronią
Wiejąc, jej życie od zarazy chronią.

Ale patrz! któż to z pośpiechem i trwogą
Dąży od miasta? Anioł czy ziemianka?
Przebóg! to ona! — nieomylną drogą
Serce ją wiedzie za śladem kochanka.
I już go widzi — jak w świetle księżyca
Leży, półciałem wsparty o cień drzewa;
I już jest przy nim — i lice do lica
Tuli, i łzami twarz jego oblewa;
I rozpuszczone pasma swych warkoczy
Macza w jeziorze — i dzierżąc na łonie,

Płonące niemi obwiązuje skronie,
Całując usta, patrząc w jego oczy! —
A on! — niestety! mógłże on to wróżyć,
Że przyjdzie chwila, kiedy te uściski,
Świętsze mu stokroć od pieszczot huryski,
Będą go tylko przerażać i trwożyć:
Jakby splot węża wkoło jego szyi,
Jakby w tych ustach były jady żmii?
W ustach, co teraz rozpaczą zuchwałe,
Same się jego upajają tchnieniem:
A niegdyś wstydem spłonęłyby całe,
Gdyby się cichem zdradziły westchnieniem!

„Luby mój, drogi! przestań mię odpychać!
„Patrz! czyż nie jestem narzeczoną twoją?
„Pozwól mi, pozwól twem życiem oddychać,
„Spełnić przysięgę i powinność moją:
„Żyć razem z tobą, lub umrzeć dla ciebie!
„Ach! tyś mię nie znał, jeśli mogłeś wierzyć,
„Że cię w ostatniej opuszczę potrzebie.
„Lub że cię zechcę — albo zdołam przeżyć! —
„Nie, nie! mój luby! — Kiedy drzewo ginie,
„Żyjąca z niego zielona jemioła
„Ginąć też musi. — Nie odwracaj czoła!
„Przyjm uścisk pierwszy, w ostatniej godzinie!
„Złącz usta z memi! — i dzielmy oboje,
„Ty moje życie, ja skonanie twoje!“ —

Rzekła, i blednąc — jako lampa właśnie,
Gdy w głębi lochów od wyziewów gaśnie —
Chwieje się, padła; — blask oczu i krasa

W powiewie moru mroczy się, zagasa;
I duch obojga, w jedno zlany tchnienie,
Uleciał razem nad świat i cierpienie. —

„O! śpijcie! — Peri rzekła z łzą w źrenicy,
Łowiąc ostatnie westchnienie dziewicy,
Co z ust w ostatnim wzleciało oddechu.
„Śpijcie w niebieskiej harmonii echu,
„W rajskich marzeniach i tchu rajskiej woni:
„Milszej niż owa, co na ziemskiej błoni
„Tchnie tylko wtedy, gdy ów ptak, syn słońca,
„Syty samotnem życiem lat tysiąca,
„W słonecznych ogniach zaklętego stosu,
„Niknie w potokach wonności i głosu!*) —

Rzekła, i tchnieniem ambrozyjskiej woni
Z ust napełniła całą okolicę;
I wstrząsłszy wieniec gwiaździsty na skroni,
Taką rozlała jasność — że ich lice
Było jak świętych, co po trudach ziemi
Śpią snem wiecznego pokoju — a ona,
Na jasnych skrzydłach w równi zawieszona,
Jak ich stróż-anioł czuwała nad niemi.

Ale już pierwsze jutrzenki promienie
Rumienią chmury — i Peri w radości

*) Podług podań na Wschodzie, ptak Fenix, po przeżyciu tysiąca lat, układa sam sobie stos z najwonniejszych gatunków drzewa, i pali się na nim ogniem słonecznym, wpośród najrozkoszniejszej woni i harmonii głosu, którą sam przed skonaniem wydaje.

Wraca ku niebu, unosząc westchnienie
Czystej i samoofiarnej miłości.
Serce w niej drgnęło rozkoszy oddechem,
Myśl w morzu szczęścia i nadziei tonie,
Widząc jak anioł, stróż raju, z uśmiechem,
Dar przyniesiony przyjmował w swe dłonie.
I już przez bramę, natężonem uchem,
Słyszy dźwięk liści kryształnego drzewa,
Wstrząsanych wiecznie, jakby żywym duchem,
Tchem, co od tronu Allaha powiewa;
I już nad brzegiem zdrojów zwierciadlanych,
Widzi błyszczące gwiaździste puhary,
Skąd naprzód dusze szczęśliwych wybranych,
Nieśmiertelności czerpają nektary!...

Ale, niestety! nadzieja zwodnicza!
Znów się, jak przedtem, brama tajemnicza
Zamknęła sama; i z smutkiem w źrenicy,
Anioł rzekł: „Święta jest miłość dziewicy!
„Dzieje jej uczuć, ofiary i zgonu,
„W gwiazdzistych słowach, u Allaha tronu,
„Będą uczyły same duchy nieba,
„Jak się poświęcać i miłować trzeba.
„Ale patrz! Niebios zamknięte podwoje! —
„Idź! droższym darem okup wnijście twoje!
„Droższym, niż ziemskiej miłości westchnienie,
„Lub dla miłości śmierć i poświęcenie“. —

III.

Z różanych sadów, na zielone pola,
Wieczorny wietrzyk tchnie woń Suristanu,*)
I słońce, jako wielka aureola,
Wieńczy, zachodząc, świętą skroń Libanu:
Co z wierzchu śnieżną obleczony szatą,
Sędziwem czołem między gwiazdy świeci,
A u stóp wiosna i zielone lato,
Wiecznie ku niemu śmieją się jak dzieci.

O! ktoby kraj ten mógł oglądać z góry,
Ten blask, to życie, tę piękność natury,
Jakżeby cudnym uderzon obrazem,
Dziwił się, wielbił i zachwycał razem!
Te gaje cedrów, te równie bez końca,
Te rzeki ogniem iskrzące od słońca!
Te łąk nadbrzeżnych kobierce bogate,
I te nad niemi, jak kwiaty skrzydlate,
Roje motyli, i tłumy jaszczurek:**)
Co każda lśniąca jak brylantów sznurek,

*) Suristan, *kraj róż*. Tak się nazywa Syrya, od niezmiernej ilości tego rodzaju kwiatów, zwanych w języku krajowców: *Suri*.

**) „Widzisz tam (w Syryi) nieprzeliczone mnóstwo osobliwszego gatunku motyli, których piękność kształtu i barwy, zjednała im nazwisko *panien*“. — *Sonnini*.

„Liczba błyszczących jaszczurek, którą widziałem na ruinach świątyni słońca w Balbeku, dochodziła do wielu tysięcy; ziemia, gruzy, i stojące jeszcze ściany ruin, były niemi prawie okryte. — *Bruce*.

Jedna za drugą, po dawnych zwaliskach,
Wciąż w zygzakowych migają się błyskach!
Te, na tle jasnych błękitów u góry,
Stada gołębi, z migotnemi pióry,
W jaskrawym blasku zachodniego słońca,
Rażące oczy tęczą barw tysiąca,
Lub z drzew zieleni, swych skrzydeł trzepotem,
Przełyskujące purpurą i złotem!*)
A tenże ptasząt gwar, szczebiot wesoły,
Złączony z brzękiem palestyńskiej pszczoły,
Co lśniąc jak gwiazda, ssie kwiatów nektary!
I wdzięczne echo pastuszej fujary,**)
I dzwonki trzody rozpierzchłej po łanie,
I godne raju, twe brzegi, Jordanie!
I szmer ku tobie bieżących strumyków;
I twoje gaje, tak pełne słowików!..***)

Peri spogląda — ale jak łza oczy,
Tak mgła jej smutku wszystko przed nią mroczy,
Ach! sam blask słońca — co koroną jasną
Lśni nad świątynią — niegdyś swoją własną,****)
Której skruszone olbrzymie filary,

*) Gołębie syryjskie, latające ogromnemi stadami, odznaczają się osobliwszym blaskiem różnokolorowych piór swoich. — *Bruce*.

**) Syrinx, albo piszczałka bożka Pana, jest dotąd pasterskim instrumentem w Syryi. — *Russel*.

***) Brzegi Jordanu po obu stronach okryte są małymi, pięknymi gaikami, w których kryje się tysiące słowików. — *Thedenot*.

****) Świątynia słońca w Balbeku.

Jeszcze po polach ścielą cień daleki,
Rzekłbyś kompasy, co czarodziej stary,
Czas, wbił, by po nich liczyć jego wieki.

Ale któż zgadnie, czy w tych lochach ciemnych,
Skąd brzmiała niegdyś wyrocznia natchniona,
Nie znajdzie jakich zabytków tajemnych,
Ksiąg, talizmanów z krain ponadziemnych,
Z wielkiem imieniem króla Salomona:
By z nich wziąć światła promień pożądany,
Gdzie i jakiego daru szukać trzeba,
Ażeby przezeń, duch grzechem skalany,
Mógł się oczyścić i dostąpić nieba? —

W tych myślach Peri zmierza ku ruinie,
Nim słońce jeszcze skryło się za wzgórze;
I na rozkosznej Balbeku dolinie,
Pomiędzy polne i rumiane róże,
Widzi rumiane i dzikie, jak one,
Małe pacholę: — zabawą znużone
Leży na kwiatach, i patrząc wokoło,
Śmiejąc się nóci piosenkę wesołą.
I w tejże chwili, na otwartem błoniu,
Postrzega jezdźca — na zziajanym koniu,
Pędzi ku brzegom bliskiego strumienia.
Przypadł — i szybko zeskoczył z strzemienia,
I padł na ziemię, i pił; — aż zdumiony,
Ujrzawszy dziecię, ogniste źrenice
Zwrócił ku niemu. — Chłopiec niestrwożony
Patrzał nań wzajem: — choć to groźne lice,

Te dzikie oczy nasępione srogo,
Najodważniejszych przejęłyby trwogą!
Z głębi ich dusza patrzała ponura,
Z mroku i ognia, jak piorunna chmura,
W której wzrok Peri mógł czytać dowodnie,
Jakby wyryte najczarniejsze zbrodnie:
Mord, zemstę, pychę, i Kaina zawiść,
I wzgardę nieba, i ludzi nienawiść,
I urąganie z prawdy i uczucia,
I dzikość siły, i otchłań zepsucia.
Wszystko wyraźne i czarne, jak one
Głoski, któremi archanielskie pióro,
Wszystkie na ziemi grzechy popełnione
Wpisuje w księgę potępienia, którą,
Na strasznym sądzie grzesznikom ukaże,
Nim je łza skruchy, albo litość zmaże.

Ale w tej chwili ów człowiek rozboju —
Jakby ten obraz ciszy i pokoju,
Co świecił przed nim w jasności zachodniej,
Wszedł w duszę jego — w tej chwili łagodniej,
Weselej, nawet z czułości wyrazem,
Patrzał na dziecię; i za każdym razem
Spotkał wzrok jego, patrzący nań śmiało.
Tak blask pochodni, płonącej noc całą
Przy jakim sprośnym obrzędzie, nad ranem
Styka się z światłem jutrzenki różanem.

Lecz patrz! już słońce z za gór jeszcze grzbietów
Błysnąwszy, zgasło — modlitwy godzina!

I w tejże chwili, z okolnych meczetów,
Rozległ się w dali okrzyk muezzina.
Porwał się chłopiec, i w kornej postawie
Padł na kolana na wonnej murawie,
I wznosząc w górę i oczy i ręce,
Odmawiał ciche modlitwy dziecięce.
Rzekłbyś, że małe anielskie pacholę,
Upadło z nieba, i na tym padole
Tęskniąc bez skrzydeł, w proszącej postaci
Wyciąga ręce do starszych swych braci.
O! był to widok! — ta pora! to dziécię!
Ten blask zachodu na niebios błękicie!
Widząc go Eblis — samby w sercu swojem
Czuł żal za rajem i serca pokojem!
I on go uczuł! — On, człowiek dzikości,
I krwi, i pychy — wobec niewinności
Zadrżał sam w sobie; i myślą odmienną
Sięgnął w swą przeszłość, jak w otchłań bezdenną:
Gdzie żadna gwiazda, żaden promień z góry,
Nie świecił przed nią; gdzie żadnej podpory
Nie znalazł dla niej; aż sam z przerażeniem
Cofnął się przed nią — i z ciężkiem westchnieniem:
„Był czas — rzekł w sobie — był czas, lube dziecię!
„Gdym i ja także, jak ty, na tym świecie
„Igrał, i kochał, i wierzył — i nieraz,
„Jak ty w tej chwili, modlił się; — a teraz!“...
Opuścił głowę — obraz lat dziecinnych,
Uczuć, nadziei i zabaw niewinnych,
I dawna czystość, i obecny zakał,
Stanęły w myśli — i on płakał, płakał!

Błogosławione łzy żalu za grzechy!
Błogosławieni, którzy płaczą niemi!
W nich jest jedyne uczucie pociechy,
Jaką występek czuć może na ziemi.
„Jest — rzekła Peri — tajemnicza rosa,
„Co raz w rok tylko, litośne niebiosa
„Spuszczają w skwary na Egiptu kraje,
„A co gdy spadnie, zaraza ustaje*).
„Ach! czyliż nie tem dla duszy człowieczéj,
„Są łzy szczerego żalu i pokuty?
„Niech ją owionie duch złego zatruty,
„Niech ją rozranią sumienia wyrzuty,
„Jedna łza taka — a wszystko uleczy!“

I patrz! już zbójca przy boku dziecięcia,
Padł na kolana; rozpostarł objęcia.
Wzniósł je ku niebu — co równie łagodnie
Oświeca obok niewinność i zbrodnię —
I hymn radości brzmi między niebiany,
Witając powrót duszy obłąkanéj!

Mrok już zaciągał od wschodu — a oni,
Modląc się jeszcze, klęczeli na błoni;
Kiedy wtem nagle, jak struga szeroka,
Jasność niezwykła zabłysła z wysoka,
I padła prosto na zbójcy oblicze,
Zgięte ku ziemi; i na tajemnicze

*) Nucta, albo „Cudowna kropla“, padająca w Egipcie w sam dzień św. Jana, w czerwcu, ma mieć jakoby własność powstrzymania morowej zarazy.

Łzy, co spadając kroplami bujnemi,
U kolan jego błyszczały na ziemi.

Jasność tę zdala śmiertelnikby może
Wziął za meteor lub polarne zorze;
Lecz Peri łatwo odgadła wesoła,
Że to był uśmiech, spojrzenie anioła,
Znak wskazujący na łzy pokutnika,
Że w nich jest siła, co niebo odmyka!

„O! szczęście bez miary! o! radość bez końca!
Skończone me życie tułacze!
Żegnajcie mi blaski księżyca i słońca,
Ja światłość Allaha zobaczę!

„Żegnajcie mi ziemskie ogrody i kwiaty,
Nietrwałe jak ziemskie radości!
Żegnajcie bez żalu! — ja lecę w te światy,
Gdzie radość jest tchnieniem wieczności.

„Żegnajcie mi, ludzie! obyście wy chcieli
Raz szczerze zatęsknić do nieba!
O! jakby was chętnie życzliwi anieli
Uczyli, jak szukać go trzeba!

„Żegnajcie, żegnajcie! pokutą i łzami
Łagodźcie serc waszych rozpacze;
Ja lecę, gdzie chyba z litości nad wami,
Przed tronem Allaha zapłaczę“.

DZIEWICA ORLEAŃSKA

TRAGEDYA ROMANTYCZNA

SZYLLERA

W PIĘCIU AKTACH, Z PROLOGIEM.

WIADOMOŚĆ HISTORYCZNA
O JOANNIE D'ARC.

Zjawienie się Joanny d'Arc na scenie dziejów, jest może najwyraźniejszem, z tysiąca innych świadectw, świadectwem, o bezpośrednim wpływie woli i Opatrzności Boskiej na los narodów i pojedynczych ludzi; o czem i bez tego żaden prawdziwy chrześcijanin nie wątpi. Wszystkie jej czyny i dzieje od kolebki prawie do grobu, opisane po wielokrotnie przez naocznych świadków, roztrząsane pod rozmaitymi względami przez współczesnych i przez następnych, i nakoniec przez najsławniejszych teraz żyjących historyków francuskich, powtórzone z najdrobniejszymi szczegółami, podług nowo odkrytych autentycznych źródeł, nie zostawiają najmniejszej wątpliwości o jej cudownem powołaniu i posłannictwie, o czynach wyższą wolą i siłą natchnionych, i nakoniec o niepokalanej czystości i świątobliwości jej życia, które uczyniło ją godną stać się narzędziem łaski dla swojego ludu, i można rzec, wybraną ofiarą odkupienia swego narodu.

Mając zamiar, jeżeli Bóg dozwoli, w osobnych kiedyś i obszerniejszych ramach, przedstawić ten wielki historyczny obraz, równie dla chrześcijanina jak i dla psychologa ważny: bo wyjaśniający nam niejako najświętsze i najtajniejsze stosunki pomiędzy niebem a ziemią, pomiędzy stworzeniem a Bogiem: tym razem poprzestanę tylko na skreśleniu kilku

głównejszych rysów, potrzebnych dla lepszego pojęcia i ocenienia sztuki Szyllera, której tu nowy przekład pod sąd czytelników przynoszę *).

Na początku XV. wieku, Francya uwikłana w nieszczęśliwą wojnę z Anglią; szarpana wewnątrz krwawemi niezgodami dwóch potężnych stronnictw: Burgundzkiego i Orleańskiego, z których pierwsze, pod wodzą Filipa, księcia Burgundyi, połączyło się nakoniec z Anglią; w największem rozprzężeniu i nieładzie pod rządem obłąkanego na umyśle Karola VI, a raczej żony jego, Izabeli Bawarskiej, niewiasty sprośnych obyczajów i uczuć; Francya, mówię, ujrzała się nad brzegiem ostatniej i nieuchronnej zguby. Stanowcza klęska pod Azincourt (1415) i inne, przywiodły w końcu pamiętny a upokarzający traktat w Troyes (1520), mocą którego syn Karola VI, delfin Karol, ostatni szczep królewskiego domu Walezych, pomówiony przez własną matkę o nieprawność rodu, został przez własnego ojca wyzuty z prawa następstwa, i prawo to przeniesiono na osobę Henryka V, króla angielskiego, który poślubił tamże królewnę francuską Katarzynę, i tymczasowo, do śmierci teścia, tytuł rejenta Francyi otrzymał. We dwa lata później (1422), obaj królowie: Karol VI. i Henryk V, pomarli; ostatni zostawiwszy w kolebce syna (Henryka VI.), który stosownie do traktatu w Troyes, zaraz po pogrzebie Karola V, w Saint-Denis, królem Francyi obwołany został. Delfin także ze swojej strony, pod imieniem Karola VII, ogłosił się królem w Poitiers, nie mogąc dostać się do Rheims, gdzie według uświęconego wiekami zwyczaju, odbywało się zwykle namaszczenie królów francuskich, nadające jedynie sankcyę w obliczu religii, prawa i narodu. Pomimo to, w oczach wszystkich dobrych Francuzów, Karol VII. był prawym

*) Pierwszy przekład, wykonany przez Andrzeja Brodzińskiego, brata Kazimierza, drukowany był w Warszawie w r. 1821, nakładem Zawadzkiego i Węckiego, i po wielekroć wystawiany na scenie.

monarchą i wsparty ich gorliwą pomocą, z orężem w ręku bronił praw swoich i kraju przeciw złączonym angielskim i burgundzkim siłom, będącym w posiadaniu Paryża i większej części królestwa. Przez lat siedm toczyła się wojna z różnem szczęściem i ze wszystkiemi okropnościami wojny domowej; aż nakoniec w r. 1429, rzeczy stanęły na tym stopniu, że podług wszelkich rachub polityki i rozumu, sprawa Karola VII. ostatecznie chyliła się do upadku. Zawiści i intrygi własnych jego stronników, wzbudziły nań nowego wroga, w osobie najwierniejszego mu dotąd Konnetabla; inni opuścili go jawnie lub traktowali skrycie z Anglikami; nowe wojsko angielskie, pod wodzą hr. Salisbury, zdobyło wszystkie twierdze i miasta na północnym brzegu Loary, i nakoniec obległo miasto Orleans, od którego zdobycia lub utrzymania cały dalszy los wojny zależał. Obie strony czuły to dobrze: i dlatego też obie zarówno wytężyły wszystkie swe siły, aby stanowczą tę walkę na swoją korzyść rozstrzygnąć. Kwiat francuskiego rycerstwa i najprzedniejsi wodzowie zamknęli się w tem mieście; wszystkie sąsiednie prowincye i miasta wyczerpywały ostatnie zasoby, aby je zaopatrzyć w pieniądze i żywność; wszyscy mieszkańcy wzięli się do oręża, kobiety nawet i dzieci dopomagały walczącym, już to podając kamienie, już roztapiając ołów albo smołę, którą z góry na szturmujących zlewano. Anglicy odparci od szturmu, otoczyli miasto szańcami i blokhauzami, aby je głodem do poddania się przymusić. Salisbury zginął ugodzony kamieniem z dział miejskich, ale następca jego, Suffolk, z niemniejszem natężeniem oblężenie popierał. Wysłany na odsiecz miastu ośmiotysięczny korpus, pod wodzą hr. Clermont, cofnął się przed garstką Anglików, porażony haniebnie pod Rouvrai. Głód straszliwy panował już w mieście. Przywiedzeni do rozpaczy mieszkańcy, chcieli już byli poddać je burgundzkiemu księciu Filipowi, ale gdy tę ofiarę odrzucili Anglicy, ostatniem jeszcze wysileniem rozpaczy z dnia na dzień przewlekali swą zgubę. Widocznem wszakże było każdemu,

iż prędzej czy później nie pozostanie nic innego Orleanowi, jak zdać się na łaskę Anglików; Karolowi, jak ujść za Loarę, do południowych prowincyi, a stamtąd na tułactwo do Hiszpanii lub Szkocyi; Francyi nakoniec, jak wyrzec się swej niepodległości i stać się prowincyą angielską. Wszystkie ludzkie sposoby i siły okazały się bezskuteczne, aby tę ostateczność odwrócić; wszystkie, nie już usiłowania, lecz same nawet nadzieje polepszenia losu, zdawały się być tylko szaleństwem w oczach ludzkiego rozumu. A przecież Bóg chciał inaczej — i wszystko się jak sen przemieniło.

Na zbiegowisku trzech granic: Szampanii, Burgundyi i Lotaryngii, w małej wioseczce Dom-Remy, żyła prosta, uboga pasterka, córka poczciwych i bogobojnych rodziców, którzy wcześnie w tkliwe jej serce gorącą miłość Boga i głęboką swą wiarę przelali. Joanna d'Arc — to było jej imię — od samego dzieciństwa odznaczała się między rówiennicami szczególną pobożnością i najbardziej chrześcijańskiemi cnotami: pokorą, łagodnością, prostotą i najtkliwszą miłością bliźnich. Wewnętrzne życie duchowe pochłaniało ją całkiem, a wpływ jego, w oczach niepojmujących go nawet, otaczał ją tajemniczym urokiem; tak dalece, że nietylko poczciwe serca ludzi, a mianowicie dzieci, czuły ku niej niepojęty pociąg, ale same nawet ptaki powietrzne, podług słów współczesnego historyka, przytoczonych przez Micheleta: „przylatywały do niej, jak niegdyś do Świętych w pustyni, i brały pokarm z jej ręki, w zaufaniu Bożego pokoju". Piękność jej porywała oczy, ale też razem przejmowała taką czcią i uszanowaniem, że wobec jej, najzuchwalsi nawet, przystojności ubliżyć nie śmieli. Chroniąc się od głośnych zabaw i tańców, szukała chętnie towarzystwa uczciwych niewiast dojrzałego wieku, a mianowicie dziatek i ubogich, którym z pokorą i miłością służyła. Pomimo przesądnych mniemań owego wieku, strzegąc ściśle nauki Kościoła, nietylko nie dopuszczała się sama żadnych zabobonnych praktyk, jak jej nieprzyjaciele potem zarzucali, lecz nadto miała je w obrzydzeniu i unikała

starannie wszelkich miejsc podejrzanych w tym względzie, z jakich dwa właśnie były w bliskości jej wioski: źródło, któremu przyznawano czarodziejską moc leczenia chorób i starożytny dąb, zwany „Drzewem wróżek", gdzie co rok dla odpędzenia tych istot, pleban miejscowy mszę i nabożeństwo odprawiał. Kościół był dla niej najmilszym przybytkiem, modlitwa największą rozkoszą; i gdy jej zarzucano, że się nazbyt modli: rumieniła się tylko i milczała. — Taką była dziewica, którą Bóg za narzędzie cudu swego upatrzył. Nieszczęścia kraju i króla, o których od dzieciństwa słyszała; klęski i okrucieństwa wojny, których nieraz wraz z rodzicami była ofiarą i świadkiem, napełniły wcześnie jej serce namiętną miłością ojczyzny i litością nad losem współziomków, tak, że dwa te uczucia stały się treścią jej życia, przedmiotem ciągłych jej modłów, które, zalewając się łzami, w samotności ku niebu wznosiła. I gdy krew tysiąca rycerzy, w ziemskim tylko ufających orężu; gdy łzy miliona rodzin, nad sobą tylko płaczących, nadaremnie płynęły, Bóg wejrzał na łzy jednej ubogiej pasterki, na łzy głębokiej wiary i miłości bliźnich, i ją samą do otarcia łez ziomków — ale też i do przelania za nich niewinnej krwi swojej powołał. Oto są własne jej słowa, któremi później, przed krwawym trybunałem swych wrogów, opowiadała sama to cudowne powołanie swoje *).

„Dnia jednego latem, w samo południe — a mogłam mieć wtedy lat około 13-tu **) — będąc sama w ogrodzie ojca, usłyszałam po prawicy mojej, od strony kościoła, głos — i stanęła przede mną postać, wielką otoczona jasnością. Postać ta miała rysy bardzo dobrego i cnotliwego człowieka; na barkach jej były skrzydła; ze wszystkich

*) Słowa te, oznaczone cudzosłowem, wyjęte z procesu Joanny d'Arc, są przekładu p. Kazimierza Bujnickiego, przytoczone przezeń w artykule o Joannie d'Arc, umieszczonym w „Atheneum", oddziale III, zeszycie IV, z roku 1843.

**) Joanna urodziła się w r. 1411.

stron okrążało ją światło; orszak niebieskich aniołów był przy niej, — aniołowie albowiem często nawiedzają chrześcijan, a ci ich nie postrzegają; jak to sama nieraz potem pośród nich widziałam. Postać ta, był to Archanioł Michał. Głos zdawał mi się bardzo poważny; alem podówczas młodą była dzieciną; zatrwożyłam się więc bardzo przed postacią i wątpiłam, ażeby to był anioł. Za trzeciem dopiero ozwaniem się postaci, poznałam, że to był głos Jego. Nauczył mię i ukazał tyle rzeczy, żem mocno uwierzyła, iż to był On. Widziałam Jego i aniołów własnemi oczyma, tak wyraźnie, jak was tu, sędziowie, widzę; i wierzę w to tak mocno, jak wierzę w mękę i śmierć Pana naszego Zbawiciela Jezusa Chrystusa. Co mię zaś do takowej wiary pobudza, są to zbawienne rady, wsparcia i nauki, jakie zawsze odbieram od Niego.

„Anioł nauczał mię, abym przedewszystkiem była dobrą dziewczyną, prowadziła siebie uczciwie i chodziła pilnie do kościoła. Opowiedział mi potem o wielkiem zmiłowaniu Boga nad Francyą i że powinnam iść w pomoc królowi mojemu. Powiedział mi takoż, iż święte: Katarzyna i Małgorzata nawiedzą mię, a co mi rozkażą, to czynić mam; albowiem posłane są od Boga, aby mię wodziły i radą mię swoją wspierały, w tem co mam do sprawienia.

„Święte Katarzyna i Małgorzata ukazały się mnie, jak to był przepowiedział anioł, w wielkiej jasności i w promiennych wieńcach na głowie, i rozkazały mi pójść do Roberta Baudricourt, rotmistrza królewskiego w Vaucouleurs, skąd będę odesłaną do króla i Orleans od oblężenia wybawię. Na to odpowiedziałam im, że jestem biedna dziewczyna, nieumiejąca dosiąść konia ani władać orężem. One zasię mi powiedziały, abym śmiało nosiła mój sztandar, albowiem Bóg mi dopomoże, a król mój odzyska napowrót całe swoje państwo i otrzyma przeze mnie królewskie swe namaszczenie w Reims. Święte rozkazały mi nie powiadać nikomu o tem zjawieniu; zostawiły mi wszakże do woli, zwierzyć się rodzicom moim lub nie; alebym tego za skarby świata

uczynić nigdy nie śmiała. Nadewszystko bałam się ojca, aby mi nie przeszkodził dopełnić rozkazu świętych. We wszystkiem zresztą ojcu i matce byłam zawsze posłuszną, a że w tym razie bez ich zezwolenia odeszłam, nie poczuwam się do grzechu; uczyniłam to bowiem z rozkazu Boga, a skoro Bóg przykazywał, byłabym poszła, chociażbym miała sto ojców i sto matek, choćbym była króla jakiego córką“.

Zjawienia tego rodzaju, od pierwszego jej nawiedzenia, ponawiały się często w dalszym ciągu jej życia, już to krzepiąc ją swemi radami, już pocieszając w więzieniu i ośmielając przed śmiercią. Oto jest, jak sama dalej naturę ich opisuje:

„Rzadko widuję me święte inaczej, jak otoczone jasnością i w promiennych wieńcach na głowie. Widzę ich twarze, ale czy mają odzież, włosy, ramiona i w ogólności widzialne członki, o tem nic z pewnością powiedzieć nie mogę. Często też, nie widząc świętych, słyszę tylko same ich głosy, które mówią do mnie i odpowiadają na pytania moje. Mowę ich doskonale rozumiem. Głos ich jest nadzwyczaj miły, łagodny i aż do łez rozrzewniający; mówią czysto i g o d n i e w języku francuskim*). Przed oswobodzeniem Orleanu i potem, zwały mię nieraz J o a n n ą d z i e w i c ą i c ó r k ą B o ż ą, zalecając mi przytem częste odbywanie spowiedzi. Święte przychodzą często niewezwane, a gdy ich długo nie widzę, proszę Pana, aby raczył przysłać je do mnie. Nigdy mię nie opuściły w potrzebie. Za każdem ich przyjściem doznaję niewymownej radości i oddaję im wszelką cześć, na jaką zdobyć się mogę: chociaż czuję, że nie potrafiłabym nigdy uczcić ich dostatecznie,

*) „Przez to rozumieć trzeba, że Joanna w tym języku, jako jej oczystym, słowa świętych rozumiała, nie zaś aby one koniecznie po francusku mówiły. Dziewica w zachwyceniu ducha, widziała, słyszała i pojmowała duchownie, co jej duchowe objawiały istoty. Zmysły nic tam zapewne do czynienia nie miały“. *(Bujnicki).*

bo wiem, że oni to są, którzy mieszkają w Królestwie niebieskiem. Gdy odejdą, całuję ziemię gdzie stali i nieraz płakałam z żałości, że mię z sobą nie wzięli. O nic nie prosiłam ich nigdy, jedno względem mojej wyprawy i aby Bóg dopomógł Francuzom; dla siebie nie żądałam nigdy innej nagrody, oprócz zbawienia mej duszy. Od pierwszego razu, jakem usłyszała głos świętych, ślubowałam Bogu dobrowolnie pozostać czystą dziewicą, na duszy i na ciele, jeśli w tem będzie święta Jego wola; zaczem mi święte przyrzekły, że mię wprowadzą do raju, jak tego od nich żądałam".

Dziewica w swoich zeznaniach nie mówi nic o walkach wewnętrznych, między wielkiem jej powołaniem a słabością dziecinnego serca; musiały jednak być trudne i długie, kiedy aż w pięć lat dopiero po pierwszem usłyszeniu anielskiego głosu, rozkaz jego odważyła się wypełnić; w dniach zaś największej swej chwały, słyszano ją nieraz powtarzającą ze łzami: „iż wolałaby stokroć prząść kądziel przy biednej swej matce, niż czynić, co czynić musi, ponieważ Bóg jej przykazał".

W r. 1429, za przewodnictwem rodzonego stryja, który pierwszy w jej posłannictwo uwierzył, Joanna d'Arc opuściła nakoniec dom rodzicielski i udała się do Vaucouleurs, do Roberta Baudricourt, oświadczając mu, iż przychodzi od Boga, aby oswobodzić Orlean i króla do Reims na namaszczenie wprowadzić; przyczem żądała, aby ją zaraz do obozu królewskiego odesłał. Baudricourt wziął ją za obłąkaną i zamiast do obozu, chciał ją odesłać do ojca. Nieustraszona tem Joanna, oświadczyła stanowczo, iż musi być przed Środopościem u króla, „chociażby miała nogi schodzić po kolana" *). Jakoż przykładna jej świątobliwość, w czasie krótkiego w Vaucouleurs pobytu, i zapewne tajemniczy wpływ ożywiającego ją ducha, wzbudziły ku niej wiarę w okolicznych mieszkańcach, i jeden z nich,

*) *„Dussé je user mes jambes jusqu'aux genoux".*

niejaki szlachcic Novelompont, obiecał ją zaprowadzić do króla. Co nadto jeszcze pomagało jej w umysłach ludu, to znajoma powszechnie od wieków stara przepowiednia Merlina, iż Francya wtrącona w przepaść przez kobietę, przez kobietę też wybawioną zostanie. Pierwsza część tego proroctwa spełniła się już była przez królowę Izabellę, lud więc widział wszędzie i witał w Joannie obiecaną spełnicielkę drugiej. Ona sama nie wątpiła o tem bynajmniej, tem bardziej, iż pytając o to swych świętych, otrzymała od nich odpowiedź, iż ona jest ową wybraną. Gotując się w podróż do króla, przywdziała po raz pierwszy strój męski, który odtąd aż do śmierci nosiła, i przybywszy szczęśliwie do obozu pod Chinon, po trzech dniach namysłu i wahania się króla, otrzymała nakoniec pozwolenie stawienia się przed nim. Król przyjął ją otoczony całym swym dworem, w gronie przeszło trzystu rycerzy, i sam, by ją doświadczyć, wstał z miejsca i ukrył się w tłumie. Dziewica weszła z pokorą, jako uboga wieśniaczka; nie zmięszała się jednak bynajmniej i za pierwszym rzutem oka wokoło, poznała króla, chociaż go nigdy nie widziała przedtem, i ugiąwszy przed nim kolano, rzekła: „Najszlachetniejszy mój panie, Delfinie! Król niebios ogłasza ci przeze mnie, iż będziesz namaszczony i ukoronowany w Reims, i będziesz namiestnikiem Jego w królestwie francuskiem, które jest Jego, nie twoje, ale które ci On jako zakład poruczy". Poczem wziąwszy króla na stronę, wymieniła mu treść tajemnej jego modlitwy, której nikt, prócz Boga, nie słyszał. Inna jeszcze okoliczność podniosła wiarę obecnych w cudowne jej posłannictwo. Gdy szła do króla, jakiś pijany rycerz urągał jej bezbożnemi słowy. „Ach! mój Boże! — rzekła Dziewica — ty bluźnisz, a nie wiesz, że śmierć twoja jest tak blisko ciebie". Za chwilę potem, tenże rycerz wpadł przypadkiem do wody i utonął. Pomimo to, zdania dworzan były podzielone; lękano się nadewszystko, aby natchnienie jej nie było dziełem szatana. Dla lepszego więc wybadania prawdy, odesłano ją do Poitiers, gdzie był uni-

wersytet, parlament i wielu uczonych doktorów kościoła. Król sam udał się za nią ze swym dworem. Arcybiskup z Reims, kanclerz Francyi, zwołał wszystkich profesorów teologii i przedniejszych, jacy byli, kapłanów, i zlecił im wybadanie Dziewicy. Doktorowie badali ją ściśle, chociaż łagodnie. Jeden z nich rzucił uwagę, że jeśli Bóg chce zbawić Francyę, nie potrzebuje żołnierzy. „Ach! mój Boże! — odpowiedziała z żywością — żołnierze będą wojować, a Bóg da im zwycięstwo“. Inną razą, gdy jej chciano dowodzić cytacyami z różnych autorów, iż niepodobna było wierzyć jej opowiadaniu; „Słuchajcie! — rzekła spokojnie — więcej jest rzeczy w księgach Pana mego, niż w waszych. Nie umiem ani A, ani B, ale to wam powiadam, że jestem posłana od Boga, aby oswobodzić Orlean i króla zaprowadzić do Reims“. Te i tym podobne odpowiedzi, zmusiły do milczenia rozumujących doktorów; czujący uwierzyli wraz z ludem. Wszyscy oświadczyli zgodnie, że można śmiało przyjąć pomoc Dziewicy.

Tu zaczyna się wojenny zawód Joanny. W lekkiej zbroi, na czarnym koniu, z tajemniczym mieczem przy boku — który sama za radą swych głosów, kazała przynieść sobie ze składu dawnej broni w kaplicy św. Katarzyny z Fierbois — i z białym sztandarem w ręku, stanęła na czele wojska; prosta pasterka na czele najdumniejszych rycerzy; ośmnastoletnia dziewica, na czele rozpasanego w ciągłych wojnach żołnierstwa. A przecież jedni i drudzy ulegli przed nieziemską jej mocą! — Pierwszem jej usiłowaniem było wytępić rozwiązłość i ożywić pobożność w swem wojsku, z którem na odsiecz Orleanu iść miała. Przykład jej działał silniej niż słowa. Przed wzniesionym na polu ołtarzem, kapelan jej odprawiał codzień mszę świętą; wodzowie i całe wojsko odbyło razem z nią spowiedź i przyjęło Przenajświętszy Sakrament. Na czele hufców szli księża ze świętą chorągwią, śpiewając *Veni Creator* i inne psalmy kościelne. Dnia 29 kwietnia 1429 r. weszła do Orleanu, wprowadzając wojsko i żywność, i nie doznawszy, jak była

przepowiedziała, żadnego oporu Anglików, a to z powodu nadzwyczajnej mgły, która im to wejście zakryła. Nazajutrz rano chciała zaraz szturmować ich szańce, a gdy jej to odradzano, i w ogólności, w dalszym ciągu działań wojennych, gdy nie ufając całkiem jej natchnieniom, wahano się w wypełnieniu jej woli, lub chciano ją podstępnie uchylić: „Rada Pana mojego, odpowiadała z żywością, lepsza jest od wszystkich rad waszych; ona tylko jest mądra i pewna, i ona się jedna utrzyma. Wierzcie mi, że chcąc mnie oszukać, w rzeczy tylko oszukacie siebie“. Raz nawet oburzona tym fałszem, pogroziła hrabiemu Dunois, że go natychmiast ściąć każe, jeśli prawdę przed nią zatai. Jakoż w każdem zdarzeniu skutek, jakkolwiek z nieprzewidzianych często okoliczności wynikły, przekonywał nakoniec, że jej rada była najlepsza, i że się wszystko tak stało, jak była przewidziała w natchnieniu. Przykład jej odpowiadał słowom. Najpierwsza wszędzie, gdzie niebezpieczeństwo groziło, chociaż sama nie zabiła nikogo i sam widok krwi ją przerażał, przecież w natłoku bitwy, ze sztandarem tylko swym w dłoni, torowała drogę najśmielszym, narażając się na tysiące śmierci. Głos jej jak dźwięk trąby wojennej dolatywał do ostatnich szeregów i zapalał żołnierza odwagą. Przy tem wszystkiem litościwa i ludzką, płakała widząc tylu chrześcijan bez spowiedzi poległych; sama opatrywała rannych i z narażeniem się własnem ocalała jeńców angielskich od zapamiętałości żołnierstwa. Przewidzenie, że musi być ranną, nie osłabiło jej męstwa. Pierwsza wdarła się na szańce angielskie. Wszakże odniósłszy już ranę, płakała; aż ją święte przyszły pocieszyć. Naówczas wyrwała sama strzałę, tkwiącą na wylot w jej ramieniu, i nie chcąc być, jak mówiła, uleczoną przeciw woli Boskiej, oddaliła ze wstrętem żołnierzy, którzy chcieli zamawiać jej ranę; poczem kazawszy ją tylko obwiązać, odbyła spowiedź, i powróciła do boju. W trzech krwawych wycieczkach i bitwach, najgłówniejsze szańce angielskie wpadły w ręce Francuzów. Po ostatniej, poprzedzonej uroczystą spowiedzią Joanny i całego woj-

ska, Talbot i Suffolk, wodzowie angielscy, zwołali w nocy radę wojenną, i dnia 8 maja o świcie, odstąpili od oblężenia. Dziewica zakazała ich ścigać; ale gdy jeszcze byli na widoku, rozkazała wznieść ołtarz na tem miejscu gdzie stali, przed którym całe wojsko, wraz z ludem, Bogu hołd dziękczynień składało.

Od tej to cudownej odsieczy, współcześni nadali Joannie imię Dziewicy Orleańskiej, które odtąd zachowała w dziejach. Odgłos niespodziewanego zwysięstwa rozniósł jej sławę w całem chrześcijaństwie. Strach paniczny przejął Anglików, Francuzi uwierzyli w pomyślność. Joanna za powrotem do króla, nastawała koniecznie, aby natychmiast przedsięwziąć wyprawę do Reims dla dopełnienia obrzędu namaszczenia. Przedsięwzięcie to zdawało się niepodobnem do wykonania. Na przestrzeni blisko 80 mil drogi, wszystkie miasta, twierdze i przeprawy były w ręku nieprzyjaciela. Rozumowa roztropność radców, z politowaniem słuchała Dziewicy. Ale Dziewica była nieugiętą. „Nie długie moje trwanie — mówiła — rok, albo mało co dłużej; trzeba umieć ze mnie korzystać". — Jakoż usłuchano nakoniec. Wojsko w początkach czerwca wyruszyło z obozu, i dnia 11 zdobyło warowne miasto Jargeau, gdzie się Suffolk zamknął ze swym ludem, i w niewolę pojmany został. Dziewica pierwsza wdarła się po drabinie na mury, gdzie ugodzona kamieniem, spadła w fosę i miano ją za umarłą. Ale w tejże chwili powstała, i ukazawszy się swoim, przechyliła szalę zwycięstwa. Lordowie Talbot i Fastolf, nie mogąc już pośpieszyć ku odsieczy miastu, zaszli Francuzom drogę pod Patay (29 czerwca). Oba wojska nie wiedząc wzajem o sobie, zeszły się na zarosłej małym lasem równinie. Jeleń spłoszony przypadkiem, wpadłszy oślep na wojsko angielskie, odkrył pierwszy Francuzom zbliżanie się wroga, i przednie jego czaty pomięszał. Dziewica zapowiedziała zwycięstwo. Anglicy porażeni, pierzchnęli. Fastolf uciekł; lordowie: Talbot, Scales i Hungerford stali się jeńcami Dziewicy. Zostawało jeszcze do zdobycia po drodze warowne miasto Troyes. Joanna wbrew zdaniu

całej Rady wojennej, rozkazała iść prosto do szturmu, idąc sama, jak zawsze, na czele. Postrach ogarnął załogę; miasto poddało się na łaskę. Król dnia 15 lipca wszedł z wojskiem zwycięzkiem do Reims, i tamże dnia 17 w niedzielę, uroczyste namaszczenie otrzymał. Dziewica ze sztandarem swym w ręku, stała przed ołtarzem przy królu, i w chwili dokonania obrzędu, ze łzami do nóg jego upadłszy, dziękowała gorąco niebu za szczęśliwie spełnione dzieło. „Wszyscy co ją wtenczas widzieli — powiada kronika współczesna — „uwierzyli więcej niż kiedy, iż była posłaną od Boga, a nie od złego ducha, jak głosili Anglicy".

Ale tu był kres posłannictwa Joanny. Co było niepodobnem dla ludzi, Bóg cudownie przez nią wypełnił; resztę ludzie mogli dokonać. Ona sama czuła to dobrze, i wśród powszechnej radości i uwielbienia, dręczona wewnątrz przeczuciem bliskich swoich cierpień i śmierci, prosiła usilnie króla, ażeby jej dozwolił wrócić do rodziców. „Oni tak będą radzi mię widzieć! — mówiła. Będę znowu pasła ich trzody i czyniła co mi rozkażą. Wola Pana mojego spełniona". — Ale król nie dał się zmiękczyć. Jak gdyby na okazanie, jak rozum ludzki działa w odwrotnym stosunku z natchnieniem ducha Boskiego, wahano się powierzyć jej wojsko, gdy tego z woli Boga żądała; a wbrew jej woli zatrzymano wtenczas, gdy jej to głos wewnętrzny odradzał. Jakoż od tej chwili Joanna przestaje być przewodniczką natchnioną, i jest tylko wybraną ofiarą, którą na śmierć męczeńską prowadzą. Nie uczy już co czynić potrzeba, ale wypełnia z pokorą co jej pan ziemski rozkaże. W życiu swem równie bogobojna i skromna, w bitwach równie poświęcająca się i mężna; ale już ich losem nie rządzi. Sam tajemniczy ów miecz świętej Katarzyny, godło rycerskiego jej posłannictwa, skruszył się w jej ręku przypadkiem, i pomimo usiłowań płatnerzy, nie dał się już więcej naprawić. Sztandar swój wraz z całym rynsztunkiem zawiesiła w kościele świętego Dyonizego, na grobie tego świętego patrona Francyi, na podziękowanie Bogu, Najświętszej Pannie i świętym Męczennikom, za oka-

zane jej łaski. Ostatniem jej dziełem wojennem było zdobycie miasta Pierre-le-Moutiers, gdzie sama jedna, opuszczona od wojska, pod murami twierdzy zostawszy, głosem swym przywołała uciekających, i pierwsza przebywszy fosę, bramy miasta zdobyła. Ale zbliżał się kres jej przeznaczenia. W maju 1430 roku, (w rok po oswobodzeniu Orleanu), weszła z wojskiem do miasta Compiègne, oblężonego przez wojsko burgundzkie, i zaraz nazajutrz rano przedsięwzięła wycieczkę. Szczęście z razu sprzyjało Francuzom, ale w końcu liczba przemogła. Joanna ostatnia w odwrocie, nie pierwej wejść chciała do miasta, aż ostatniego ze swoich w bezpieczeństwie obaczy. Tymczasem poznana po stroju i oskoczona od wrogów, przy samem już wejściu do bramy, którą przed nią nagle zamknięto, w niewolę pojmaną została. Głos publiczny oskarżał dowódzcę twierdzy, Wilhelma Flavy, człowieka głośnego w całej Francyi z okrucieństw swych i bezbożności, iż z góry już oblegającym krew Joanny zaprzedał i umyślnie ją w niebezpieczeństwie opuścił. Ona sama zdała się o tem wiedzieć z natchnienia. Tegoż albowiem dnia, przed wycieczką, spowiadając się i komunikując w kościele św. Jakóba, rzekła do licznie zebranych tamże mieszkańców i dzieci: „Dobrzy moi przyjaciele, i wy kochane dziatki! powiadam wam niewątpliwie, że jest człowiek, który mię przedał; jestem zdradzona i jeszcze przed świętym Janem będę wydana na śmierć. Módlcież się za mną do Boga, proszę was, bo wkrótce nie będę już mogła służyć memu królowi, i szlachetnemu królestwu Francyi“. Odtąd wszakże po swojem pojmaniu, nie obwiniała nigdy nikogo, i we wszystkiem co się zdarzyło, Boską tylko wolę widziała.

Pojmanie Joanny było prawdziwym tryumfem dla Anglików; we wszystkich zajętych przez nich miastach, odśpiewano z rozkazu Regenta, uroczyste *Te Deum*. Żeby zaś dać wyobrażenie, jak dalece byli na nią zawzięci, dość jest powiedzieć, iż spalili na stosie uczciwą obywatelkę Paryża, za to tylko, że śmiała utrzymywać publicznie prawdę Boskiego posłannictwa Dziewicy. To też żeby ją dostać w swe ręce,

(była bowiem jeńcem księcia Burgundyi), po wyczerpaniu wszystkich środków prozby i groźby, nie wahali się nakoniec zapłacić mu za nią 10.000 liwrów; sumę, jaką naówczas za wykup tylko króla albo panującego księcia płacono, a za którą najbogatszy naówczas w chrześcijaństwie książę, gorliwy opiekun dawnej instytucyi rycerstwa, ustanowiciel orderu Złotego Runa, nie wzdrygał się przedać krew dziewicy, krew jeńca. Takie były obyczaje wieku. — Ale nie sama tylko chęć zemsty zapalała Anglików tą nienawiścią Dziewicy; najwyższy wzgląd ich polityki wymagał zarówno jej zguby. Jeśli bowiem była od Boga, prawo ich króla do korony francuskiej musiało być niesprawiedliwe i płonne; przeciwnie, tenże sam zarzut spadłby na stronę Karola VII, gdyby można było przekonać, że wszystko mocą tylko czarów, a więc z natchnienia złego ducha działała. To miało być głównym celem procesu, którego przewodnictwo przyjął na siebie biskup francuski z Beauvais, nazwiskiem Cauchon, w nadziei otrzymania w nagrodę za to arcybiskupstwa w Rouen.

Do tego to właśnie miasta, gdzie się znajdował małoletni Henryk VI, wraz z opiekunem swoim, kardynałem Winchester, przywieziono nakoniec Joannę. Osadzona w wieży zamkowej, zamknięta w żelaznej klatce, okuta ciężkimi łańcuchy, wystawiona na urąganie i obelgi żołdactwa, miała stanąć przed trybunałem duchownym, którego członków sam Cauchon wybierał. Ale Bóg jej i tu nie opuścił. Święte nawiedzały ją codzień. Miejsce archanioła bitew, Michała, zajął, podług jej zeznań, Gabryel, anioł łaski i miłości Boskiej. Duchy cieszyły ją i ośmielały; uczyły być cierpliwą i śmiałą, wesoło znosić męczeństwo; obiecywały tryumf i królestwo niebieskie. I tych to swych Boskich przyjaciół i pocieszycieli, zmuszano ją zaprzeć się przed sądem! I te to cudowne widzenia, chciano, aby sama wyznała, że od złego ducha pochodzą! Ale wszystkie podstępy i groźby, wszystkie męczeństwa i przygotowania tortury, nie zachwiały ani na chwilę dziewiętnastoletniej dziewicy. „Przyszłam posłana od

Boga; spełniłam co Bóg mi rozkazał; nie mam tu do czynienia nic więcej; odeszlijcie mię do Boga skąd przyszłam. Wolałabym umrzeć sto razy, niżeli odwołać to, com z rozkazu Bożego spełniła. Wiem dobrze, że Anglicy chcą mię skazać na śmierć, myśląc, że potem łatwiej zdobędą królestwo francuskie. Ale choćby ich było sto tysięcy razy więcej jak teraz, nie odmienią co Bóg przeznaczył". Te i tym podobne odpowiedzi, przytoczone przez Baranta, nie dopuszczały zarzutu czarnoksięstwa; trzeba więc było szukać innego — i znaleziono zarzut herezyi. Powodem były jej tajemnicze widzenia. Dziewica wierzyła w nie, równie jak w Boga. Kazano jej, aby swą wiarę pod rozwagę Kościoła poddała. „Kocham Kościół, i chciałabym go wspierać z całej siły; ale z dobrych dzieł, które spełniłam, winnam tylko zdać rachunek Bogu, który mię posłał. Bóg a Kościół to jedno". Natenczas powiedziano jej, że trzeba rozróżnić: że jest Kościół tryumfujący w niebie, to jest Bóg, święci i dusze zbawione i Kościół wojujący na ziemi, to jest papież, duchowieństwo i dobrzy chrześcijanie, i że temu to ostatniemu poddać się powinna. „Wierzę, odpowiedziała, że święty nasz Ojciec, biskupi, i inni mężowie Kościoła, postawieni są od Boga stróżami wiary chrześcijańskiej, i że powinni karać tych, co przeciw niej grzeszą. Ale ja nie zachwiałam się nigdy w tej wierze. Przyszłam do króla Francyi od Boga, od Najświętszej Maryi Panny, od świętych Pańskich, od Kościoła tryumfującego, i temu Kościołowi poddaję siebie i wszystko, co uczyniłam, albo jeszcze uczynię". — „A Kościołowi wojującemu?" — „Nic na to nie odpowiem więcej, nad to, co już powiedziałam". — I to to wzbranianie się Dziewicy, poczytano jej za największą zbrodnię, za dostateczny dowód herezyi; a przecież był to tylko skutek najczarniejszego podstępu jej wrogów, skutek jej najniewinniejszej prostoty. Jeden z sędziów, zausznik Cauchona, ksiądz Mikołaj l'Oiseleur, pod maską duchownego jej ojca, przychodząc niby skrycie do więzienia, potrafił wkraść się w jej ufność, i wmówił w nią, że poddać się

Kościołowi, jest to uznać nad sobą prawo sądu, który ją sądził. Tenże l'Oiseleur stał się po tem jej spowiednikiem, i w całym ciągu procesu, same jej tylko zgubne odpowiedzi doradzał. Podczas zaś gdy z nią rozmawiał, ukryci po za drzwiami biskup z Beauvais i hr. Warwick, jeden z pierwszych lordów angielskich, chcieli spisywać wszystkie jej słowa, tylko, że przywiedzeni razem notaryusze, okazali się szlachetniejszymi od nich i odmówili upadlającej posługi. Ale przecież i w gronie sędziów znaleźli się nakoniec ludzie, których litość i sumienie ruszyło. Trzej z nich udali się do jej więzienia, i starali się jej wytłómaczyć prawdziwe znaczenie wojującego Kościoła; że go składają właściwie papież i święte sobory, i że im śmiało poddać się i zaufać może. Jeden z nich nawet, brat Isambert, nie lękał się radzić jej publicznie przed sądem, aby się odwołała do powszechnego koncylium w Bazylei. „Co to jest koncylium?" spytała. — „Jest to ogólne zebranie Kościoła, — odpowiedział Isambert — gdzie będzie tyluż kapłanów z twojej strony, co i ze strony Anglików". — „O! kiedy tak, to się chętnie poddaję". — „Milcz do stu tysięcy dyabłów!" wrzasnął na Isamberta rozgniewany Cauchon, i odpowiedzi Dziewicy do protokołu wpisać zabronił. — „Niestety! rzekła łagodnie, wpisujecie przeciw mnie wszystko, a odrzucacie wszystko, co może być za mną. Wszakże niech będzie wola Boska nie moja". Zacny Isambert i towarzysze jego, zagrożeni przez Anglików, że ich do Sekwany wrzucić rozkażą, usunęli się z grona sędziów; inni też, korzystając z pozoru, zaczęli uciekać tłumnie od tego dzieła nieprawości, tak, że ze stu zasiadających z początku, trzydziestu ledwie w końcu zostało. Ale i tym nie dowierzał Cauchon. Sam, z kilku tylko zaufanymi, ułożył akt oskarżenia, którego drugim głównym artykułem, było noszenie przez nią męskiego ubioru. Pytana o przyczynę, odpowiedziała, że czyni to za radą swych głosów; widocznem jednak było, że miała i inne powody, których jej wstyd dziewiczy nie dozwalał wymienić, a sędziowie zgadnąć nie chcieli. Wystawiona na samotność rozbe-

stwionego żołnierstwa, z których trzech stało ciągle w jej izbie; strój ten był dla niej jedyną rękojmią bezpieczeństwa. Jeden nawet z młodych lordów angielskich, zapewne z dozwolenia starszych, usiłował ją gwałtem znieważyć, i nie mogąc, uderzył w policzek. Skromność nie dozwoliła jej nawet uskarżać się na tę zbrodnię przed sądem, i tylko ją przed śmiercią na spowiedzi odkryła. Cauchon omylony w nadziei uczestnictwa ogółu sędziów, szukał upoważnienia swych kroków w zdaniu prawników świeckich, których rady niby zasięgał. Najznakomitszy z nich, Jan Lohier, nie wahał się oświadczyć, że cały proces, tak w zasadzie jak w formach jest całkiem zły i nieprawny, i że należy naprzód dodać obwinionej obrońcę. Dawca tej rady musiał ujść aż do Rzymu przed zawziętością Anglików. Cauchon zwrócił się więc do uniwersytetu w Paryżu i do kilku biskupów utrzymujących stronę angielską, i przesłał im fałszywy swój akt oskarżenia. Tym razem otrzymał co żądał. Wszyscy uznali Dziewicę winną herezyi i odszczepieństwa. Zguba jej była już pewną; gdy zaś w tym czasie zapadła niebezpiecznie na zdrowiu, użyto wszelkich środków, aby ją uleczyć*). „Za skarby świata, mówił hr. Warwick, król nie chciałby, aby umarła śmiercią naturalną; nie na to zapłacił za nią tak drogo“. Ozdrowiała, i wyrok zapadł; wyrok wyłączający ją z grona wiernych i z pod opieki Kościoła, i przekazujący ją władzy świeckiej, dla wymierzenia zasłużonej kary. Ale trzeba było jeszcze Anglikom, ażeby wprzód sama niejako sprawiedliwość tego sądu uznała. Udano się więc znowu do podstępu, i przygotowano straszliwą scenę, aby zatrwożyć obwinioną, a przynajmniej publiczność omamić. Dnia 24 maja 1431 roku, na placu przed kościołem św. Owena, wzniesiono dwa rusztowania: na jednem zasiadł kardynał Winchester,

*) Podczas tej choroby, czując się bliską zgonu, prosiła aby ją po śmierci ubrano w suknie niewieście; a kiedy ją pytano o przyczynę tej prośby, dodała za całą odpowiedź: „Błagam tylko, aby ta suknia była bardzo długa“.

Cauchon, i pozostali sędziowie, na drugie wprowadzono Joannę. U stóp jego stał wózek kata, mający ją niby odwieść na spalenie na stosie. Jeden z doktorów w długiem kazaniu nakłaniał ją do uległości. Dziewica słuchała cierpliwie. Ale gdy wspomniał króla Karola VII i nazwał go heretykiem: „Nieprawda! przerwała z żywością. Mów o mnie, a nie o królu. Mogę przysiądz pod karą śmierci, że król jest najlepszym chrześcijaninem, kochającym najbardziej wiarę i Kościół, a nie takim, jak go nazywasz!“ — „Każ milczeć tej dyablicy!“ krzyknął zapamiętały Cauchon. Po kazaniu mowca oświadczył jej, że musi podpisać abjuracyą. „Co to jest abjuracya?“ spytała. Wytłómaczono jej, iż jest to akt poddania się Kościołowi. „Jeżeli tak, to podpiszę“, rzekła. Ale nie o to chodziło. To, czego od niej żądano, było uznanie sprawiedliwości wyroku. Lecz w tem Dziewica była nieugiętą. Anglicy zebrani na placu, sądząc, że ją chcą zbawić, zaczęli krzyczeć i ciskać kamieniami; Cauchon groził jej torturami i ogniem; l'Oiseleur, jako spowiednik, namawiał; inni szczerze poruszeni jej losem, błagali prawie ze łzami, ażeby się zgodziła podpisać, obiecując, że będzie uwolniona z więzienia Anglików i przejdzie pod dozór duchowny. Przeczytano jej krótką formułę w kilku wierszach, w której to tylko było wyrażono, że widzenia swoje i czyny poddaje pod zdanie Kościoła, a siebie pod pokutę kościelną, i że wyrzeka się męskiej odzieży. Nieszczęśliwa uległa nakoniec. Natychmiast podano jej inny papier, zawierający długie wyznanie, że wszystko co mówiła, było kłamliwem, oraz prośbę o przebaczenie jej zbrodni. Jeden z sekretarzy królewskich ujął jej rękę i podpisał znak krzyża u spodu. Naówczas Cauchon odczytał przygotowany już wyrok, skazujący ją „na chleb boleści i na wodę pokuty“, i wbrew poprzedniej obietnicy, do dawnego więzienia odesłał. Anglicy, i sam hr. Warwick, obwiniali Cauchona o zdradę. „Nie bójcie się, rzekł im z uśmiechem, wkrótce złapiemy ją znowu“.

Jakoż zajęto się niezwłocznie wynalezieniem powodu, aby wznowić poprzedni wyrok. Zostawiono umyślnie ubiór

męski w więzieniu, ażali go przywdziać nie zechce. W tymże czasie podwojono srogość i brutalstwo, zakuto w cięższe łańcuchy, i nie zaniedbano niczego, aby ją przywieść do rozpaczy. Widząc wreszcie, że się nie daje pojmać w zastawione sidła, zabrano jej podczas snu suknie niewieście i zostawiono tylko strój męski. „Panowie! rzekła budząc się do żołnierzy, ja tego odzienia nie włożę; wiecie, że mnie to zabroniono“. Sprzeczka trwała aż do południa; nakoniec, po daremnych błaganiach, musiała wstać i odziać się czem mogła. Anglicy na to tylko czekali. „Złapana!“ wołał uradowany Warwick. Cauchon pośpieszył do więzienia i wyrzucając jej popadnięcie w herezyą, zapytał z urąganiem, żali nie słyszała znowu swych głosów. „Tak jest, zawołała z zapałem i Bóg oznajmił mi przez nie, że to był żal, dla ocalenia życia podpisywać waszą abjuracyą. Uczyniłam to przez bojaźń ognia; ale wolę sto razy umrzeć, niźli kiedykolwiek odwołać, że głosy me były od Boga“. W tych słowach był wyrok jej śmierci.

Dnia 30 maja, w tydzień po owem podpisaniu abjuracyi, wstąpiła na stos męczeński. Kapłan, który ją wyspowiadał w więzieniu, i zacny ów brat Isambert, szli obok przy wózku katowskim, na którym ją w szatach niewieścich na plac egzekucyi wieziono. Ośmiuset Anglików w pełnej zbroi, otaczało ją wkoło. W drodze modliła się tak rzewnie, i żaliła się tak łagodnie, że wszyscy Francuzi płakali. Sam nawet l'Oiseleur, ów fałszywy spowiednik, przedarł się przez tłum do wózka, wyznał swój grzech i błagał o przebaczenie. Anglicy chcieli zabić go za to.

Na wielkim rynku przed ratuszem, wzniesiono znowu dwie galerye: na jednej był kardynał i biskupi, sędziowie świeccy i duchowni na drugiej. Joannę stawiono przed nimi. W głębi placu wznosił się stos, przerażający swą wysokością, a to w tym celu, aby dłużej cierpiała. Po wysłuchaniu wyroku śmierci, Dziewica upadła na kolana, i w rzewnych słowach polecała swą duszę Bogu, Najświętszej Pannie i Świętym, przebaczając wszystkim i prosząc o przebaczenie; nadewszystko zaś błagając księży, aby odprawili mszę za jej duszę. Głos jej tak był przenikający, że nikt od łez wstrzymać się nie mógł. Tymczasem zgromadzeni Anglicy niecierpliwili się tą zwłoką; wściekłe okrzyki wzniosły się na placu. Słudzy sądowi sprowadzili ją na dół. Natychmiast rozjuszone żołnierstwo porwało ją i wlokło do stosu. Widok ten był tak przerażający, że biskup z Noyon i wielu sędziów, porwali się z miejsc swoich, i łkając głośno, zbiegli z rusztowania i schronili się do domów. Ona wszakże, krzyż przyciskając do piersi, i nie przestając się modlić, szła na śmierć spokojnie i cicho; żaden wyraz rozpaczy ni skargi nie wyrwał się z jej serca. Wstąpiwszy na wierzch stosu, i przywiązana do pala, nad którym był napis w języku francuskim: *„heretique, relapse, apostate, idolatre“*, poglądając na miasto zawołała: „Ach! Rouen, Rouen! boję się, abyś za śmierć moją nie ucierpiało!“ Ujrzawszy w tej chwili Cauchona, który się śmiał zbliżyć do stosu, rzekła doń głosem łagodnym: „Biskupie! umieram przez ciebie! Gdybyś mnie zamknął w więzieniu duchownem, nie byłoby to nastąpiło. Apeluję od ciebie do Boga, do wielkiego sędziego krzywd i niesprawiedliwości, które nademną spełniono“. W tej chwili kat podłożył ogień. „Jezus!“ krzyknęła z przestrachem i prosiła o wodę święconą. Spowiednik jej jeszcze był przy niej. Bojąc się oń, zmusiła go, aby zstąpił natychmiast. „Ale stój blisko na dole, rzekła, i podnieś krucyfiks wysoko, abym go mogła widzieć do końca“. Gdy już płomienie gorzały, zawołała donośnym głosem: „Tak jest, głosy moje były od Boga; wszystko uczyniłam przez Boga!“ I gdy już ją ogień ogarnął, słyszano jeszcze głos jej modlitwy, i ostatnie jej słowa były: „Jezus, Jezus, Jezus!“

Jęki i łkania rozległy się na placu; niektórzy tylko Anglicy przymuszali się do uśmiechu. Jeden z nich w zapamiętaniu, przysiągł był, że własną swą ręką głownię do jej stosu dorzuci. Jakoż spełnił swą obietnicę; lecz w tejże chwili padł twarzą na ziemię i zemdlał. Było to właśnie, gdy Dziewica konała. Przywrócony do zmysłów, przysiągł

publicznie, i tegoż dnia na spowiedzi wyznał przed bratem Isambertem, iż widział z ostatniem tchnieniem wylatującą z ust jej białą gołębicę. Inni widzieli imię Jezus, napisane ogniem nad stosem. Kat także, z wielkim przestrachem, spowiadał się tegoż wieczora, rozpaczając o przebaczeniu Bożem. Jeden z sekretarzy angielskiego króla, nie lękał się zawołać głośno: „Wszystko stracone! spaliliśmy świętą!“ — „Tak jest, woła w uniesieniu historyk francuski Michelet, w obliczu religii, w obliczu ojczyzny, Joanna d'Arc była świętą!“ Papież Pius II, zowie ją w pismach swoich natchnioną duchem Bożym, *(afflata spiritu divino)*. W kilka lat później, oprócz miasta Calais, noga angielska nie pozostała na ziemi francuskiej*).

Taką była Joanna d'Arc w historyi; rzecz naturalna, że nie mogła pozostać obojętną dla sztuki: będąc najwyższą poezyą ludzkości, uosobieniem najwyższych światowych i religijnych ideałów średniego wieku: Dziewica, Rycerka, Natchniona i Męczennica. Stos jej też, można powiedzieć, był zarazem pogrzebnym stosem i ostatnim odbłyskiem poetyckich idei wieków średnich; od ostygłych jego popiołów, zaczynają się wieki nowożytne. Blask jego w historyi, będzie zawsze sygnałem, wołającym na drogę wiary dusze błądzące w mroku wątpliwości lub w labiryntach ziemskiego rozumu. Czuł to zapewne Wolter, i bojąc się potęgi tego niezaprzeczonego świadectwa wyższych objawień, wobec własnego narodu, który chciał omamić: obrócił przeciw niemu broń bluźnierczego szyderstwa i śmieszności. Inni poeci francuzcy, Chapelain, Astezano i t. p., nie dorównali talentem wysokości przedmiotu. Szekspir, w stronniczej dzikości, w tragedyi swej „Henryk VI“ wystawia Joannę jak czarownicę. Dopiero Robert Southey, usiłował

*) Wszystkie powyższe szczegóły i słowa Joanny, wzięte są z „Historyi Książąt Burgundzkich“ przez Baranta, i z „Historyi Francuskiej“ przez Micheleta, którzy je czerpali z akt jej procesu i dwukrotnej jego rewizyi w latach następnych.

naprawić krzywdę poprzednika, i poświęcił na cześć jej całe poema bohaterskie. Nikt wszakże nie oddał jej piękniejszego hołdu jak Szyller. Odstąpił on wprawdzie od szczegółów historycznych, zewnętrznych, ale nigdzie od prawdy duchowej faktu. Joanna w sztuce jego jest taką, jaką była w istocie. Celem poety była nie sama tylko osobista historya Joanny, ale też razem historya natchnionego ducha w człowieku, we wszystkich swych najważniejszych epokach. Epoki te w sztuce jego są: Powołanie: światło łaski zstępujące z wysoka; siła ducha gromadząca się wewnątrz; wyrzeczenie się ziemi dla nieba. Działanie: moc cudowna nad wypadkami i ludźmi; pokorna bierność woli i natury ludzkiej. Doświadczenie: pokusa (Czarny Rycerz), ułomność serca bez uczestnictwa woli; żal i pokuta. Zlitowanie: powrót łaski i mocy, jak rzeczywiście w Joannie przed męką; i nakoniec Ofiara, potwierdzająca prawdę; i nagroda wszystkiego — po krótkiej boleści na ziemi, wiekuista radość w niebiesiech.

OSOBY:

Karol VII, król francuski.
Królowa Izabela, jego matka.
Agnieszka Sorel.
Filip, zwany Dobrym, książę Burgundyi.
Hrabia Dunois, poboczny syn księcia Orleanu.
La Hire.
Du Chatel.
Arcybiskup z Reims.
Chatillon, rycerz burgundzki.
Raoul, rycerz z Lotaryngii.
Talbot, wódz naczelny Anglików.
Lionel, Fastolf, } wodzowie angielscy.
Montgomery, rycerz z Walii.
Radzcy miejscy z Orleanu.
Herold angielski.
Teobald d'Arc, zamożny wieśniak z Dom-Remy.
Anna, Aniela, Joanna, } jego córki.
Stefan, Klaudyan, Rajmund, } młodzi pasterze z Dom-Remy.
Bertrand, wieśniak.
Rycerz Czarny.
Węglarz i jego Żona.

Żołnierze. — Lud. — Służba królewska. — Księża. — Marszałkowie. — Członkowie magistratu. — Dworzanie i orszak koronacyjny.

(Rzecz dzieje się w latach 1429—1431).

PROLOG.

Teatr wystawia wiejską okolicę, w bliskości wsi Dom-Remy. Na prawo widać obraz Najświętszej Panny, w małej murowanej kaplicy, na lewo stary i wysoki dąb.

SCENA I.

Teobald d'Arc, Anna, Aniela, Joanna *(ostatnia zbiera kwiaty i wiąże je w wieniec)*, Stefan, Klaudyan, Rajmund.

TEOBALD.

Tak jest, sąsiedzi! dziś jeszcze się zwiemy
Synami wolnej, francuskiej ojczyzny;
Dziś jeszcze swoim nazywać możemy
Kraj ten, krwią ojców i znojem ich żyzny.
Ale któż zgadnie, jakich jutro panów
Znosić nam przyjdzie? — Zewsząd od Loary,
Tratując końmi plony naszych łanów,
Anglik zwycięzkie potrząsa sztandary.
Niewierny Paryż czci go śród swych progów,
I Dagoberta, dotąd nieskażoną,
Świętą, odwieczną, rycerską koroną
Wieńczy niemowlę z pokolenia wrogów.
A król nasz prawy — o! hańbo i wstydzie!

Wnuk królów naszych, Pański pomazaniec,
Lud swój o wsparcie próżno błagać idzie,
W państwach swych własnych błądzi jak wygnaniec.
A przeciw niemu, wpośród krwi i gruzów,
Najbliższy z krewnych, najpierwszy z Francuzów,
Ha! własna matka — potwór pełen zgrozy!
Nieprzyjacielskie prowadzi obozy.
Wioski i miasta jedną wielką łuną
Świecą ich drodze; a dym i popioły,
Kłębiąc się nakształt czarnej chmury suną,
Ćmiąc kirem niebo i kraj nasz wesoły. —
A więc, sąsiedzi! zgodnie z wolą nieba,
Dziś zabezpieczyć chcę i przedsięwziąłem
Los córek moich; bo dziś to im trzeba
Męża obrońcy; a dzielona społem
Miłość, pomaga znieść wspólną niedolę.
(Do pierwszego z pasterzy)
Zbliż się, Stefanie! — wiem, że kochasz Annę.
Z pastwiskiem mojem graniczy twe pole;
Wzrośliście razem: — przywiązanie ranne
Szczęśliwe wróży stadło.
(Do drugiego) Klaudyanie! —
Cóż to? drżysz cały — i mojej Anieli
Twarz, widzę, zbladła. — Skąd to nieufanie?
Zaliż myślicie, że ojciec rozdzieli,
Co Bóg połączył: dla tego, że łanu,
Że skarbu nie masz równego jej wianu? —
Któż dziś ma skarby? — Dom, stodoła, trzody,
Są pastwą ognia, lub pierwszego wroga;
Ale dłoń męża, śmiała na przygody,

Ale pierś męża, co nie zna co trwoga,
To skarb, co żadnej nie boi się szkody,
To puklerz lepszy niż zamki i grody!

ANIELA.

Ojcze!

KLAUDYAN.

Anielo!

ANIELA *(ściskając Joannę)*.

Siostro moja droga!

TEOBALD.

Każdej z nich daję tyle, com zostawił
Pola sam sobie, i trzodę w wyprawie;
Dom i zagrodę. — Bóg mnie błogosławił,
Z Bogiem, jak ojciec, ja was błogosławię.

ANNA *(do Joanny)*.

Czyż i ty ojca nie zechcesz pocieszyć?
Młodsza, z sióstr starszych niechby przykład brała.

TEOBALD.

Idźcie! — ślub jutro — potrzeba się śpieszyć.
Gościem na godach będzie wioska cała.
(Obie pary biorą się za ręce i odchodzą).

SCENA II.

TEOBALD, RAJMUND, JOANNA.

TEOBALD.

Joanno! czemu nie idziesz ich torem?
Widok ich szczęścia cieszy starość moję;
Ty, ty mię tylko trapisz swym uporem.

RAJMUND.

Dość, ojcze! przestań martwić dziecię swoje.

TEOBALD *(wskazując na Rajmunda).*

Oto jest młodzian, ozdoba wsi całej,
Pilny, poczciwy! — już to trzecie żniwo,
Jak tając boleść, pokorny a stały,
W sercu ku tobie żywi miłość tkliwą.
A ty, ty zimna, zasklepiona w sobie,
Ulżyć mu nawet nie umiesz cierpienia;
Ani widziałem, by kto inny w tobie
Obudził tkliwsze czucia lub wzruszenia.
A jednak widzę, że piękność dziewicza
Zewsząd ku tobie ciągnie serca ludzi;
Anielska słodycz twojego oblicza,
Blask twego oka podziwienie budzi.
Bóg cię obsypał, jako drzewo kwiatem.
Dary swoimi; lecz czyliż dożyję,
Że miłość kiedyś, jako słońce latem,
Szczęścia twojego owoc z nich wywije?
Bo serce zimne, nieczułe za młodu,
Lub znaczy ciężką pomyłkę natury,
Lub wbrew jej woli popełnia grzech, który
Zwarzy je samo tchem własnego chłodu.

RAJMUND.

Krzywdzisz ją, ojcze! — Miłość twej Joanny,
Nie jest to owoc powszedniego drzewa.
Szybko, jak rozkwitł, przemija kwiat ranny,
Co ma trwać wiecznie — powoli dojrzewa.
Myśl jej dziś jeszcze, jak ptak na swobodzie,

Buja po świecie, po wysokiem niebie,
Bojąc się zniżyć ku wiejskiej zagrodzie,
Gdzie mieszka troska, myśląca o chlebie.
Widzę ją nieraz, gdy na wzniosłych górach
Idzie za trzodą; lub na skał urwisku
Nawpół ukryta w mgły porannej chmurach,
Duma, podobna wietrznemu zjawisku.
Jest coś w jej twarzy, w postaci, w jej ruchach,
Co mimowolną cześć i trwogę budzi,
I mimowolna myśl o wyższych duchach
Łączy ją z nimi, i wznosi nad ludzi.

TEOBALD.

I to jest właśnie, co mię trwoży o nię.
Obca śród swoich; smutna, gdzie się śmieją:
Posępne lasy, odludne ustronie,
To jej zabawa. Nim kury zapieją,
Zrywa się z łoża, i w strasznej godzinie,
Gdy każdy człowiek rad szuka człowieka,
Cóż ją tak ciągnie w najdziksze pustynie,
Że jak ptak nocny od ludzi ucieka?
I wiem, że nieraz na rozstajnych drogach
Rozmawia z echem, czy z wiatru powiewem;
I niepamięta o ojca przestrogach,
Godziny trawi pod tem zgubnem drzewem,
(wskazując na dąb)
Gdzie przed wiekami swe krwawe ofiary
Święcił Druida: a dziś nikt z sąsiadów,
Za skarby świata nie siadłby w mrok szary.
Bo któż nie słyszał od ojców i dziadów
Strasznych powieści i podań? — kto nie wie,

Jakie tu szatan widziadła i mary
Wywodził nieraz; lub jakie na drzewie
Słyszano głosy? — Mógłbym nie dać wiary:
Lecz sam — pamiętam — gdym był jeszcze młody,
Wracając tędy — ja, ja sam widziałem,
Widmo-niewiastę — olbrzymiej urody,
Cała okryta jakby płótnem białem,
Stała pod drzewem, i skinieniem dłoni
Zwała mię k'sobie; — lecz ufałem w Bogu,
Szybko, nie patrząc, przebiegłem koło niej,
I napół martwy padłem na mym progu.

RAJMUND *(wskazując na kaplicę).*

Lecz skąd wiesz, ojcze! że ów obraz święty,
Źródło niebieskiej łaski i otuchy,
Nie ma dla córki twej większej ponęty,
Niż to złowrogie drzewo z swemi duchy?

TEOBALD.

Nie, nie! niestety! — długo tak mniemałem,
Lecz sen mi odkrył prawdę tajemnicy. —
Trzykroć się zdało, że ją w Reims widziałem
Zasiadającą na królów stolicy.
Siedm gwiazd jej skronie otaczało kołem.
A z berła w ręku, trzy lilije białe,
Jak z pnia żywego wykwitały społem.
Biskupi, wodze, wojsko zda się całe,
Ja — sam król nawet, bili przed nią czołem,
A okrzyk ludu ogłaszał jej chwałę.
Skądże to? — czyliż spodziewać się mogę,
By w mej lepiance taki blask się zjawił? —

Nie! — Bóg to we śnie zesłał mi przestrogę,
W widzeniu pychę myśli jej objawił.
Wstyd jej nizkiego stanu poniewierki,
I że zbyt wiele wzięła z ręki Pana,
Że się zna wyższą nad inne pasterki,
Nie chce znać granic duma rozigrana.
A grzech to przecież, co aniołów chóry
Potrącił w przepaść, i najpierwszych ludzi
Wygnał z bram raju: i aż do tej pory,
Przezeń to szatan najłatwiej nas łudzi.

RAJMUND.

Mylisz się, ojcze! — bo w czemże jej pycha?
Kto tu jej równy? — a przecież, znajdź drugą,
Coby tak skromna, pokorna i cicha,
Zdała się wszystkich najuboższych sługą!
Kto z nas ją widział, by w pracy leniwa,
Od powinności zraziła się trudem?
Czyż pod jej ręką twe trzody i żniwa,
Jakby widocznym nie mnożą się cudem? —
W każdym jej czynie znać wpływ łaski Bożej,
Co na nią zlewa szczęście niepojęte.

TEOBALD.

Tak, niepojęte! — i toć to mię trwoży.
Nie wszystko bowiem nadludzkie, jest święte. —
Lecz dosyć o tem! — Chciałżebym oskarżać,
Ojciec swe dziecię? — lecz milczeć nie mogę.
Nie! — jedno zawsze będę ci powtarzać:
Pomnij na Boga, na ojca przestrogę!
Nie chodź tu sama ni we dnie, ni w nocy,

Nie błądź po polach przy księżyca blasku;
Nie zbieraj nocnych ziół, nie śledź ich mocy.
Ani kreśl znaków na wietrze, ni piasku! —
Bo wiedz, o! córko! że ducha jaskini,
Każda występna myśl nasza ośmiela.
Nie stroń od ludzi! — pomnij, że w pustyni
Szatan śmiał nawet zwodzić Zbawiciela.

SCENA III.

CIŻ I BERTRAND *(wchodzi, trzymając hełm w ręku).*

RAJMUND.

Patrz! Bertrand wraca! — Cóż to? z hełmem w dłoni?

BERTRAND.

Dziwno wam, widzę, że wracam tak zbrojny.

TEOBALD.

Skąd masz ten szyszak? — W spokojnej ustroni,
Znakiem złej wróżby zda się godło wojny.

(Joanna, która dotąd milcząc z obojętnością stała na stronie zbliża się i nagle słucha z uwagą).

BERTRAND.

Słuchajcie! jest w tem jakby trochę cudu.
Byłem w Vaucouleurs. — W mieście, na ulicy,
Na rynku, wszędzie tłum i ciżba ludu: —
Orlean bowiem napadli Anglicy,
I kto mógł stamtąd ucieka w te strony.
Patrząc więc na nich, idę zamyślony;
Aż na zakręcie, zjawia się przede mną
Jakaś cyganka; urody olbrzyma,

Czarna, okryta jakąś płachtą ciemną,
Idzie wprost do mnie, a hełm w ręku trzyma,
I wzrok swój we mnie wlepiwszy, powiada:
„Wiem, szukasz hełmu; — masz! tanio go przedam.“ —
— „A mnież to na co? — rzekłem — co mi nada?
„Jam, Bogu dzięki, nie żołnierz; — nic nie dam.“ —
A ona znowu: „Bracie! czas wojenny;
„Hełm dziś pewniejszą ochroną dla głowy,
„Niż dach miedziany, albo mur kamienny!“ —
I krok w krok za mną, z podobnemi słowy,
Idzie przez miasto, i hełm swój podaje
Zniecierpliwiła mię w końcu: — więc staję,
Biorę go w ręce: myśląc, że jak zganię,
Da mi już pokój; — lecz patrzę, robota
Cudna, i kruszec, i droga pozłota —
Rycerz go mógłby użyć za ubranie,
Gdy go więc ważę i probuję dźwięku,
Coś mi się nagle migło przed oczyma —
Spojrzę — cyganki przede mną już niema;
Szukam — napróżno! — hełm został w mym ręku.

JOANNA *(przystępując szybko).*

Daj mi go!

BERTRAND.

Na co? — Blask wojennej stali
Dziko odbija na dziewiczem czole.

JOANNA *(wyrywając hełm).*

Daj mi go! mówię. - Dla mnie go przysłali!

TEOBALD.

Co tej dziewczynie?

RAJMUND.

Zostaw jej swą wolę!
Strój ten rycerski przystoi dziewicy,
W której też piersiach tchnie serce rycerza. —
Któż nie pamięta w naszej okolicy,
Jak dzieckiem prawie pokonała zwierza,
Wilka-hyenę, który tak bezkarnie
Pustoszył nasze trzody i owczarnie?
Z rąk młodzi naszej wypadała dzida
Na widok jego; pierzchali — a ona,
Jakby w nią z góry wstąpił duch Dawida:
Dziewica, sama, lecz nieustraszona,
Z pasterską tylko laską w słabej ręce,
Puszcza się w pogoń za mordercą trzody,
I młode jagnię, co już niósł w paszczęce,
Beczącej matce powraca bez szkody! —
O! czyjekolwiek hełm ten zdobił skronie,
Godniejszych nie mógł!

TEOBALD *(do Bertranda)*.

Cóż opowiadali
Ci z Orleanu? Gdzie król? w jakiej stronie
Jest wojsko nasze?

BERTRAND.

Bóg się niech użali
Ziemi francuskiej! bo dłoń Jego kary
Cięży nad nami. — Znowuśmy przegrali
Dwie krwawe bitwy. — Anglik wzdłuż Loary
Stanął obozem — rabuje i pali,
I obległ zewsząd mury Orleanu.

TEOBALD.

Boże! strzeż króla!

BERTRAND.

Mówią, co widzieli,
Że jak szarańcza, gdy padnie śród łanu,
Jak pszczoły w ulu — rój nieprzyjacieli,
Nieprzeliczony — jak oko zasięga,
Zaczernił wkoło równiny i wzgórza.
Cała Burgunda zebrana potęga,
Od gór szwajcarskich do zimnego morza;
Ludzie różnego narodu i stanu,
Różnych języków, zgromadzeni razem,
Przysięgli, mówią, zgubę Orleanu,
I chcą go zniszczyć ogniem i żelazem.

TEOBALD.

O! straszne czasy! gdy się brat krew brata,
Ziomek krew ziomka przelewać ośmiela! —
Mściwy Burgundzie!

BERTRAND.

Gorszy wzór dla świata!
Matka królewska, dumna Izabella,
Jest też z Filipem. — Konno, w pełnej zbroi,
Przejeżdża szyki; błaga i zaklina
Wszystkich o pomstę — niby krzywdy swojej —
Matka! o pomstę przeciw swego syna!...

TEOBALD.

Oby skończyła jak owa, do której
Tak jest podobną z pychy i imienia!
Sprośna Jezabel!

BERTRAND.

Straszny Salisbury
Stoi na czele wojsk i oblężenia.
Przy nim Lionel, i tygrys niesyty
Krwi naszej — Talbot. Trzy wysokie wieże
Wznieśli przed miastem: — na jednej rozbity
Namiot ich wodza, z którego on strzeże
Poruszeń miasta; z dwóch drugich, dzień cały
Ogniste kule miota nakształt gromów.
Połowę miasta gruzy zasypały,
Mieszkańcy giną pod zwaliskiem domów.
Sam katedralny ów kościół wspaniały
Najświętszej Panny, od gęstych wyłomów
Grozi upadkiem; — a prochowe miny,
Ten wymysł piekieł — podkopane wszędzie.
I nikt tam nie wie dnia ani godziny,
Gdy na sąd straszny powołany będzie.

(Joanna słucha z natężoną uwagą i zwolna wkłada hełm na głowę).

TEOBALD.

Lecz gdzież są nasi waleczni obrońcy,
La Hire i Santrailles, i niezwyciężony
Dunois? — Gdzie są? że tryumfujący
Wróg tak się wdziera w nasz kraj opuszczony?
Gdzie król? — Czyż zawsze jako zimny świadek,
Patrzy na państwa, na miast swych upadek?

BERTRAND.

Król z dworem bawi w Chinon: — lecz snać nie ma
Dość wojska z sobą, by wyjść przeciw wroga.
Lecz choćby wyszedł — czyż garstka dotrzyma

Pola tysiącom: gdy strach, jak od Boga,
Jako zaraza powiał w serca ludzi,
I w najmężniejszych krew i zapał mrozi? —
Próżno głos wodzów nadzieję w nich budzi,
Ojczyzna błaga, i monarcha grozi.
Jak trzoda owiec, gdy ją zwierz napadnie,
Francuz niepomny swej sławy od wieka,
Kupi się tylko i pierzcha bezładnie,
Lub zgiąwszy szyję, na miecz wroga czeka! —
Jeden się tylko znalazł, jak słyszałem,
Co zebrał kilka chorągwi konnicy,
I w pomoc króla, z tym małym oddziałem
Ciągnąc, po naszej błądzi okolicy.

JOANNA *(prędko).*

Jak imię jego?

BERTRAND.

Baudricourt. — Lecz czyli
Zdoła się przerznąć, i pogoń omyli?...
Wątpię — bo zewsząd ściskają go wrogi.

JOANNA.

Wiesz gdzie on teraz?

BERTRAND.

O dzień ledwo drogi
Od Vaucouleur'u.

TEOBALD *(do Joanny).*

Skąd ci to pytanie,
W rzeczach, co wcale nie tyczą się ciebie?

BERTRAND.

Że wróg tak mocny, a król nasz nie w stanie

Dać nam odsieczy, ni wsparcia w potrzebie:
W Vaucouleurs przeto dziś mają uchwalić,
Że Burgundowi poddać się należy.
Bo tak i miasto może się ocalić
Od angielskiego jarzma i łupieży,
I nam, z pod władzy pokrewnego księcia,
Łatwiej powrócić do prawego pana,
Gdy sytych wreszcie wspólnego zawzięcia,
Złączy znów kiedyś zgoda pożądana.

JOANNA *(występując z zapałem).*

Żadnych układów! żadnego przymierza!
Bo przyszła chwila, że wstanie obrońca.
Pod Orleanem wróg kresu domierza,
Dzień chwały jego chyli się do końca!
Dojrzał na zgubę, jako plenna niwa.
I już żniwiarka, z krwawym sierpem w ręce,
Zbliża się, — przyjdzie — i z wzgardą pozrywa
Z gwiazd, dumy jego rozwieszone wieńce! —
Nabierzcież serca, ludzie małej wiary!
Bo nim ten księżyc dojdzie pełni swojej,
Żaden angielski koń z nurtów Loary,
Żaden krwią naszą wróg się nie napoi! —

BERTRAND.

Minął czas cudów!

JOANNA.

Nie! — przyszedł czas cudu!
Biała gołąbka wzleci orła lotem,
Spadnie na sępów, chciwych krwi jej ludu,
Skruszy Burgunda zdrajcę — i z Talbotem,

Bluźniercą nieba — i z owym ponurym
Łupieżcą świątyń, dzikim Salisburym —
I z tym Fastolfem — i z tymi wszystkiemi
Najezdnikami naszej pięknej ziemi,
Łamać się będzie — i wszystkich wyżenie,
Jako lew trzody, lub tygrys jelenie.
Bo Pan z nią będzie: — bo jak wiatr palący,
Duch Jego przed nią: — bo On jej prawicy
Da siłę śmierci — i w słabej dziewicy,
Okaże światu, że On wszechmogący!

TEOBALD.

Co za duch, przebóg! opętał dziewicę?

RAJMUND.

Hełm to w niej budzi ten zapał wojenny. —
Ale patrz, ojcze! patrz na jej źrenice,
Co w nich za jasność! co za blask promienny!

JOANNA *(z wzrastającym zapałem).*

Krajby nasz upadł? — kraj zwycięstw i chwały,
Raj krajów świata, wybrany od Boga?
Dzieciby jego wiecznie dźwigać miały
Hańbiące więzy zamorskiego wroga? —
Nie! — tu runęła moc poganów dzika,
Krew męczenników oblała tę ziemię;
Tu leżą prochy świętego Ludwika,
Skąd odzyskano grób w Jeruzalemie!...

BERTRAND *(z podziwieniem).*

Któżby nie wierzył, że mówi natchniona? —
Bóg ci, sąsiedzie! dał cudowne dziecię.

JOANNA.

Naszych-że królów odwieczna korona
Pójdzie w pogardę, lub zniknie na świecie? —
Gdzie są królowie, by jej byli godni,
Prócz królów naszych? — Rolnika obrońcy,
Opiekunowie wszystkiego — prócz zbrodni;
Dawce i stróże swobód; — panujący
Z Bogiem po ludzku; — sędziowie łagodni,
Straszni rycerze — lecz nienastający
Na właść sąsiada, ni ludu szczęśliwość! —
W cieniu ich tronu, trzy lilije białe
Rozkwitły: — Wiara, Miłość, Sprawiedliwość,
A woń ich święta tchnie na państwo całe!... —
Czyliż król, obcej wychowaniec ziemi,
Którego przodków nie tu prochy leżą,
Co dzieckiem z dziećmi nie igrał naszemi,
Młodzieńcem z naszą nie kochał młodzieżą;
Któremu słowa naszej pięknej mowy
Czczym tylko dźwiękiem; pamięć wielkich czynów
Przeszłości naszej, chwały narodowej,
Nie zabrzmi w duszy jak pieśń cherubinów: —
Będzież on ojcem swej ojczyznie nowej?
Lub czyż w niej dla się znajdzie miłość synów? —

TEOBALD.

Boże! zachowaj Francyą i króla!
Lecz nie nam dumać o losach mocarzy! —
Wieśniak pilnuje swej chaty i pola,
I czeka, komu Bóg zwycięstwo zdarzy.
Bo losem bitew Boska rządzi wola,
Bo los narodów Bóg w swej ręce waży.

Dla nas ten będzie pomazaniec Boży,
Kto w Reims koronę królów naszych włoży. —
Lecz czas do pracy! — W naszym niskim stanie,
Dość myśleć tylko o jutrze. — Królowie
I radcy królów, niech myślą o zmianie
Przyszłości świata; — bo na ich to głowie
Leży świat cały. — Mniejsza nasza troska.
Co bądź się dzieje, my możem spokojnie
Patrzeć na przyszłość. — Bo ta ziemia Boska,
Co nam uprawiać kazał: — choć ją zbrojnie
Najdzie i zdepce wróg; choć dom i wioska
Ulecą z dymem: — ona znów nam hojnie
Nagrodzi stratę; — bo gdzie szczera praca,
Gdzie ufność w Bogu — szczęście prędko wraca.

(Odchodzą wszyscy prócz Joanny).

SCENA IV.

JOANNA *(sama).*

Góry wy moje, wy pola rodzinne!
Joanna wiecznie, wiecznie żegna was.
Przeszły jej lata, jej mary dziecinne,
Swobody serca przeszedł dla niej czas.
Z wami me były zabawy niewinne:
Tu mi z wiatrami mroczny śpiewał las;
Tu zdrój kryształy przetaczając płynne,
Dźwiękiem harmonii słodki zwabił wczas.
Tu łąk tych wonnym owiana oddechem,
Pieśnią z tych dolin rozmawiałam echem.

Kwitnijcie w ciszy i miłej pogodzie!
Mnie tam w kraj burzy i piorunów zwą.
Trzody wy moje! igrajcie w swobodzie!
Pasterka wasza traci wolę swą.
Innej ja teraz przewodniczyć trzodzie
Pójdę na pola — ludzką zlane krwią!
Pchnie mię i ciągnie moc wyższego ducha,
Nie żądza sławy, nie szczęścia otucha.

Bo Ten, co niegdyś ogniem na Horebie,
W duszę Mojżesza swoją wolę tchnął,
I Izajasza pacholę, do siebie
Wzniósł, i z przyszłości chmurę przed nim zdjął:
On, Wszechmogący na ziemi i niebie,
On mnie pasterkę za swą sługę wziął;
I z drzewa tego tchem wiatru rzekł do mnie:
„Idź, i na ziemi daj świadectwo o mnie!

„Uzbrój twe serce, jak twą pierś dziewiczą,
„Piersi i serce w twardą odziej stal!
„A wzgardź miłością i ziemską słodyczą,
„Zamrzyj na ziemskie wesele i żal!
„Ani się chwałą daj unieść zwodniczą,
„Ale mnie tylko każdem dziełem chwal!
„Bo ja to będę, co sławy wojennej
„Na skronie twoje dam wieniec promienny.

„I gdy wróg hardy moc Francyi zetrze,
„Gdy zadrżą przed nim rycerze i król;
„Ty mą chorągiew roztoczysz na wietrze,
„Ty, jak żniwiarka plony bujnych pól,

„Zmieciesz ich wojska — a strach jak powietrze
„Wejdzie w ich piersi; — pomścisz wstyd i ból
„Ojczyzny twojej, i przez cię zbawioną,
„W Reims króla swego uwieńczysz koroną!“ —

Bóg znak swej woli miał mi zesłać w porę;
Hełm ten jest znakiem — On go zesłał mnie!
Nie ziemski ogień we krwi mojej gore,
Nie ziemskie męstwo w piersiach moich tchnie.
Ty mi daj, Panie! stałość i pokorę,
Bym mogła godnie spełnić dzieło Twe! —
Głos trąb wojennych już słyszę w mem uchu —
Stało się! wiedź mię, tajemniczy Duchu! *(odchodzi).*

AKT PIERWSZY.

Obóz króla Karola pod Chinon.

SCENA I.

DUNOIS I DUCHATEL.

DUNOIS.

Nie! zostać dłużej nie chcę i nie mogę,
Opuszczam króla, co się sam opuszcza.
Cóżbym tu czynił? — radę i przestrogę
Obrazą tronu zwie dworaków tłuszcza.
A we mnie serce zalewa się łzami,
Widząc jak wrogi dzielą naszą ziemię;
Jak ku nim miasta wychodzą z kluczami,
Jak lud nasz cierpi — i jak tu król drzemie!
Słyszę, że bliska zguba Orleanu —
Rzucam się na koń; z brzegów oceanu
Pędzę, przybywam — drżąc, zali już może
Król nie zwiódł bitwy; pewny, że już stoi
Na czele wojska; — a on tu, na dworze,
Z trubadurami swoją arfę stroi!
Śpiewa ballady — lub u stóp Agnieszki,
Wzdycha, i świetne wyprawia biesiady,

Jakby na świecie nie było zamieszki!... —
To nadto! — idę w Konetabla ślady.
Opuszczam wojsko i kraj; — ale biada,
Biada nam wszystkim!

DU CHATEL.

Cicho! król na progu.

SCENA II.

CIŻ I KRÓL KAROL.

KRÓL.

Konetabl miecz swój odesłał, i składa
Urząd swój w ręce nasze. — Dzięki Bogu!
Mniej będzie jednym, co z całego świata
Nieradzi, wszystkim mistrzowaćby chcieli.

DUNOIS.

Nie tak mnie małą zda się jego strata,
Mąż taki dzisiaj wart tysiąc minstreli.

KRÓL.

Dunois! mówisz przez ducha przekory.
Póki był z nami, waśniłeś z nim nieraz.

DUNOIS.

Prawda, że lubił i rad wszczynał spory,
Nie wiedząc nigdy co wybrać; — lecz teraz,
Wybrał najlepsze — i w czas się oddala
Z miejsc, w których pobyt bez sławy i celu.

KRÓL *(urażony, z przekąsem).*

Dunois zawsze szlachetny! — wychwala
Tylko za oczy. — Słuchaj, Du Chatelu!

Od króla René*) przybyli posłowie,
Króla wesołych pieśni i pasterzy;
Trzeba ich przyjąć: — wszyscy trzej bardowie,
Każdemu złoty łańcuch dać należy.
(Do Dunois) Czego się śmiejesz?

DUNOIS.

Że łatwo królowi
Ze słów królewskich wić złote łańcuchy.

KRÓL *(do Du Chatela)*.

Cóż to?

DU CHATEL.

Niestety! gorzką prawdę mówi.
Skarb twój, o królu! od dawna już suchy.

KRÓL.

To się postaraj skąd niebądź! — Śpiewacy
Nie mogą od nas odejść nie uczczeni.
Oni nam słodzą trud królewskiej pracy,
Ich sprawą berło laurem się zieleni.
Duch ich, sam twórca swych wietrznych pałacy,
Rządzi z nich sławą w czasie i przestrzeni.

*) René, zwany dobrym, hrabia Prowancyi, z domu andegaweńskiego (Anjou). Ojciec jego i brat byli królami neapolitańskimi, i on sam, po śmierci brata, rościł prawo do tegoż tronu, ale nie mógł dopiąć zamiaru. Wielki miłośnik starej prowanckiej poezyi i czasów rycerskich, usiłował w państwach swoich przywrócić jedno i drugie. Ustanowił, a raczej przywrócił tak zwany Trybunał Miłości *(Cour d'Amour)*, na czele którego stał najwyższy sędzia, z tytułem Księcia Miłości *(Prince d'Amour)*, rozstrzygający ostatecznie w rzeczach miłości i rycerskiej grzeczności dla dam. W tymże duchu romantyczności, oboje z żoną przebrali się za pasterzy i wiedli życie pasterskie.

Stąd się wieszcz z królem równać może śmiele —
Obadwaj stoją na ludzkości czele.

DU CHATEL.

Królu i panie! oszczędzałem ciebie,
Póki sam mogłem dać pomoc i radę;
Lecz dziś wzgląd musi ustąpić potrzebie,
Nie stać cię, panie! ach! nie na biesiadę,
Nie na podarki — lecz na chleb powszedni!
Niepłatne wojsko burzy się; — niejedni
Broń już rzucili; — ledwie wiem co ranku,
Jak dzień opatrzyć, twój i dworzan twoich.

KRÓL.

Obmyśl więc sposób; — zastaw w jakim banku
Dochody celne, lub które z dóbr moich

DU CHATEL.

Cło na trzy lata zastawione z góry.

KRÓL.

Ziem przecież pięknych mamy jeszcze wszędzie.

DUNOIS *(z przekąsem)*.

Tak! póki zechce Bóg i Salisbury.
I niechno jeszcze Orlean zdobędzie —
Wtenczas ci chyba z królem René w parze,
Wziąć kijek w rękę — i grać na fujarze.

KRÓL.

Zawsze swój dowcip ostrzysz na tym królu,
On przecież jeden pomni nas w złym czasie.

DUNOIS.

Mała pociecha! gdy zamiast wojsk w polu,
Nasz sprzymierzeniec sam swe owce pasie.

KRÓL.

Jest to żart tylko, zabawa niewinna!
Nęci go urok pasterskiej prostoty,
Ich szczera radość, ich miłość niewinna.
Chce sobie w życiu przypomnieć wiek złoty. —
Lecz co prawdziwie wielkiego zamierza,
To jest zwrot owych bohaterskich czasów,
Gdy miłość była natchnieniem rycerza,
A piękność celem i sędzią zapasów.
W tych czasach starca żyje duch młodzieńczy,
I jak je dawne pieśni przekazały,
Chciałby je wskrzesić, wznieść jak gmach wspaniały,
Z mgły przezroczystej i kolorów tęczy.
Dwór swój uczynił tych wieków obrazem:
Gdzie rycerz musi hołdować piękności,
Gdzie piękność tkliwa i skromna a zarazem,
A sąd osobny przestrzega wierności.
Sąd ten dziś właśnie, za króla rozkazem,
Śle mi dyploma na K s i ę c i a M i ł o ś c i.

DUNOIS.

Któż jej potęgę czuć może nademnie,
Com jest jej razem dowodem i czynem?
Przez nią krew książąt płynie tylko we mnie,
I Orleańskim nazywam się synem.
Lecz w ojcu moim mam wzór, jak należy
Skarbić jej łaski: — w ojcu moim, który,
Jak serca niewiast — na czele rycerzy
Umiał zdobywać nieprzyjaciół mury.
Jeśliż więc, królu, chcesz piastować godnie
Nowy twój urząd: — ucz się jego czynów.

Wdziej hełm na skronie, a dłoń z sercem zgodnie
Niech nam przypomną sławę paladynów!
Bo jak czytałem — nie owiec pasterze —
Jak ów król René — za o k r ą g ł y m s t o ł e m,
Lecz w twardych zbrojach i laurach rycerze,
Z królem A r t u r e m biesiadali społem. —
Bo kto niewiasty obronić nie zdoła,
Nie wart jej serca! — Teraz czas, o! królu!
Potrzeba nagli, i powinność woła:
Wystąp jak rycerz, i na bitew polu,
Walcz o tron przodków, o cześć twej ojczyzny!
A gdy ją zbawim i wroga pobijem:
My sami wtedy twe znoje i blizny
Otrzem laurami, i mirtem okryjem. *(Wchodzi paź).*

KRÓL.

Cóż?

PAŹ.

Z Orleanu przybyli posłowie.
Proszą o wejście.

KRÓL.

Wprowadź! — *(Paź odchodzi).*
Chcą pomocy.
Jakąż im damy? —

SCENA III.

Ciż i trzej Radcy z Orleanu.

KRÓL.

Witam was, panowie!
Cóż nam niesiecie? Czy wrogów przemocy

Miasto się jeszcze opiera? czy zdoła
Oprzeć się długo?

RADZCA.

Królu nasz i panie!
Miasto do ciebie o ratunek woła,
W tobie ostatnie złożyło ufanie! —
Zewnętrzne szańce runęły; załoga
Przez pół zginęła na murach, lub w mieście
Wymiera z głodu; a cała moc wroga
Bije do szturmu dzień i noc: — że wreście
Musim się poddać lub zginąć. — Wódz zatem,
Rochepierre hrabia, łącznie z Magistratem,
Weszli w umowę z wrogiem: której mocą,
Jeśli w przeciągu całych dni dwunastu,
Wojska nam, królu, nie przyszlesz z pomocą,
Lub skąd żywności nie opatrzysz miastu,
Miasto się podda. *(Dunois wzdryga się z gniewem).*

KRÓL.

Czas krótki.

RADZCA.

O! panie!
Szlą nas ku tobie bracia i ziomkowie,
By do twych uszu doszło ich wołanie,
Byś w czas nieszczęsnej zabieżał umowie.

DUNOIS.

Jakże mógł Santrailles przystać na haniebną?

RADZCA.

Póki żył Santrailles, ufano w orężu.

DUNOIS *(z przerażeniem).*

Santrailles nie żyje?

RADCA.

Legł śmiercią chwalebną
Za kraj i króla.

KRÓL.

Ach! w tym jednym mężu
Straciłem wojsko.

(Rycerz wchodzi i rozmawia cicho z Dunois, który porywa się z gniewem).

DUNOIS.

Zdrajcy!

KRÓL.

Co się stało?

DUNOIS.

Wojsko się szkockie buntować zaczyna
O żołd zaległy, i zapowiedziało,
Że rzuci oręż. — Lord Duglas zaklina
O prędką radę.

KRÓL *(do du Chatela).*

A więc jaka rada?

DU CHATEL.

Niestety! żadnej! —

KRÓL.

Nie zechcąż poczekać?
Przedam, zastawię wszystko.

DU CHATEL.

Nic nie nada!
Nie będą wierzyć: — bo cóż im przyrzekać?

KRÓL.

To są najlepsze ze wszystkich wojsk moich.
Cóż poczniem bez nich?

RADCA *(na kolanach).*

Pomnij o nas, królu!
W nas jest ostatnie przedmurze państw twoich;
Jeśli upadniem — nie oprzesz się w polu.

KRÓL *(z rozpaczą).*

Co mam uczynić? Widzicie, słyszycie!
Czyliż mi zboże wyrośnie na dłoni,
Lub wojsko z ziemi? — Mam, i oddam życie,
Lecz skąd wziąć złota, żołnierzy i broni?
(Postrzega wchodzącą Agnieszkę Sorel i z otwartemi rękoma rzuca się na jej spotkanie).

SCENA IV.

CIŻ I AGNIESZKA SOREL *(ze szkatułą w ręku).*

KRÓL.

O! pójdź najmilsza! mój stróżu aniele!
Pójdź! niech twe słowa mą rozpacz ukoją!
Z tobą mi wszędzie pokój i wesele —
Nic nie stracone, pókiś ty jest moją!

AGNIESZKA *(rzucając wkoło pytającem okiem).*

Prawdaż to? mówcie! — prawdaż, co słyszałam?
Wojsko się burzy?

DU CHATEL.

Niestety!

AGNIESZKA *(do Króla z godnością i żalem).*

Karolu!

Ja tobie serce, ja siebie oddałam,
A tyś nie zwierzył twych potrzeb i bolu!
(do du Chatela, podając mu szkatułę)
Masz! tu jest złoto, tu drogie kamienie —
Przedaj, stop wszystko — a zapłać żołnierzy!
Mam jeszcze zamki, mam bogate mienie,
Bierz, przedaj — śpiesz się, nim pora ubieży!

KRÓL.

I cóż wy na to, przyjaciele moi?
Jestżem ubogi, gdy takiego serca
Miłość posiadam? Czyż jej nie przystoi
Cześć, co mam dla niej? — Niejeden oszczerca,
Wiem, szukał dumy w jej miłości ku mnie.
Lecz godna rodem, wyższa sama sobą,
Dość niechby tronu pożądała dumnie,
Najpotężniejszych byłaby ozdobą.
Lecz ona gardzi tronem; ziemskie dary
Nogą pomiata: — i w tem jest jej pycha,
Że wszystkie dla mnie podniósłszy ofiary,
Wszystkie wzajemne, prócz serca, odpycha.
I teraz — patrzcie! — na obronę moję
Oddała resztę. *(do Dunois)* Czujesz wielkość w czynie?

DUNOIS.

Czuję to, żeście szaleni oboje.
Ciebie nie zbawi — sama tylko zginie.
W dom gorejący rzuca skarby swoje,
Leje w bezdenne Danaid naczynie!...

AGNIESZKA *(do króla).*

O! nie wierz jemu! — sto razy dla ciebie

Krew swą poświęcał: a na mnie się gniewa,
Że ci strój błahy oddaję w potrzebie!
Chce, bym bez ciebie być mogła szczęśliwa! —
Nie, nie! Karolu! — Precz od nas blask zwodny,
Precz miękkość zbytku, w niebezpieczeństw chwili!
Daj wzór poświęceń, jeśli chcesz być godny
By się za ciebie drudzy poświęcili.
Dwór swój zmień w obóz! pierś odziej żelazem!
Znoś głód i trudy! płać życiem i zdrowiem!
Niech żołnierz widzi, że i król ich razem
Wiatr ma przykryciem, a ziemię wezgłowiem.
Wtenczas w ich piersiach znajdziesz tarcz niezłomną:
Dokażą cudów — bo siebie zapomną.

KRÓL *(z uniesieniem)*.

Teraz pojmuję tajemnicze słowa,
Com z ust natchnionej niegdyś prorokini
Słyszał w Klermoncie: że mię białogłowa
Zbawi — zwycięzcą i królem uczyni.
Wierzyłem wróżbie — lecz do jej spełnienia
Czekałem matki, aż swój gniew rozbroi. —
Lecz tyś jest anioł mego przeznaczenia,
Bóg mi zbawczynię dał w najmilszej mojej.

AGNIESZKA.

Miecz twych przyjaciół przepowiednię ziści.

KRÓL.

W niezgodzie wrogów mam także nadzieję.
Wiem, że oddawna żar skrytej zawiści
W sercu Burgunda i Anglików tleje.
La Hira przetoż wysłałem do księcia,

Azali, pomny na krwi naszej związki,
Nie złoży z serca mściwego zawzięcia,
I w dawne ku nam wróci obowiązki? —
Co chwila nazad oczekuję gońca.

DU CHATEL *(u okna)*.

Widzę go właśnie, jak pędzi do bramy.

KRÓL.

Tem lepiej! prędzej dowiemy się końca,
Czego się lękać lub spodziewać mamy.

SCENA V.

CIŻ I LA HIRE.

KRÓL *(idąc naprzeciw niemu)*.

Witaj nam! jakież przynosisz nowiny?
Jestże nadzieja?

LA HIRE.

Tak! w Bogu i w broni.

KRÓL.

Co? Burgund nie chce naprawić swej winy?
Odrzuca zgodę? — Cóż powiedział o niej?

LA HIRE.

Przed wszystkiem innem, nim dalszej umowie
Nakłoni ucha — chce, byś Du Chatela,
Co go zabójcą ojca swego zowie,
Wydał mu w ręce.

KRÓL.

Ja dać przyjaciela
Na zemstę wrogom! — Cóż, jeśli odmówię?

LA HIRE.

Układ zerwany.

KRÓL.

Nazbyt się ośmiela!
Czyżeś go wyzwał, by jako mąż z mężem,
Mimo krwi związków i stanu różnicę,
Sam spór swój ze mną rozstrzygnął orężem?

LA HIRE.

Złożyłem przed nim twoją rękawicę,
Mówiąc, że zstąpisz z wysokości tronu,
By kraj swój przed nim swą piersią zasłonić,
I choć niewinny ojca jego zgonu,
Czci swej chcesz mieczem od zarzutów bronić.
Lecz odpowiedział, że niema potrzeby
Wieść bojów o to, czego jest już panem.
Gdy zaś koniecznie chcesz tego, ażeby
Walczyć z nim: znajdziesz go pod Orleanem.
To mówiąc, usta przygryzał zawzięcie,
I z tem do innych oddalił się gości.

KRÓL.

Żadenże za mną w moim parlamencie
Nie wzniósł się czystej głos sprawiedliwości?

LA HIRE.

Głuszy go wściekłość stronnicza. Parlament
Ród twój i ciebie pozbawił korony.

DUNOIS.

O! biedny kraju! gdzie ufny w praw zamęt,
Gmin chce obalać i stanowić trony!

KRÓL.

Cóż matka moja? Byłżeś u niej?

LA HIRE *(po chwili namysłu)*.

Panie!
Byłem w Saint-Denis, gdy przywłaszczyciela
Święcono królem. — Strojni Paryżanie,
Jak w dzień godowy, z okrzykiem wesela,
Stali po drodze; a gminna hałastra,
Śród muru włóczni i puklerzy stalnych,
Ciągnęła powóz Henryka Lankastra,
Pod cieniem łuków i bram tryumfalnych.
Król-dziecko omal nie płakał z przestrachu,
Gdy lud z szalonym witał go zapałem.
Angielskie wojska, przy kościelnym gmachu,
Stały pod bronią. — Wszedłem, i widziałem,
Jak siadł na świętej Ludwika stolicy.
Po bokach stali dumni jego stryje,
Bedford i Gloster; a u stóp lennicy
Na klęczkach, kornie nachylając szyje,
Hołd mu składali; — Burgund na ich czele!

KRÓL.

O! zdrajca!

LA HIRE.

Dziecię patrzyło nieśmiele,
I wchodząc na tron, potknęło się w kroku.
„Zły znak, zła wróżba!“ — szeptano dokoła;
Śmiech nawet powstał; gdy wtem nagle z boku
Matka twa, panie! weszła do kościoła —
I...

KRÓL.

Mów!

LA HIRE.

I w pomoc podawszy mu dłonie,
Sama go na twym posadziła tronie.

KRÓL.

O! matko! matko!

LA HIRE.

Widziałem — lud cały
Wzdrygnął się na to; — i nawet Anglicy
Spuścili oczy. Sam Burgund zuchwały
Oblał się wstydem; a w każdej źrenicy
Znać było zgrozę. — Zapewne dostrzegła.
Wzrok jej zaiskrzył, i skinieniem ręki
Dając znak, groźnem lud okiem przebiegła:
„Francuzi! — rzekła — mnie składajcie dzięki,
„Że w pień spróchniały waszych królów domu,
„Zaszczepiam gałęź laurowego wieńca,
„I tron wasz świetny ochraniam od sromu,
„By na nim wami rządził syn szaleńca!“

(KRÓL *zakrywa twarz i odwraca się z boleścią.* AGNIESZKA *bieży ku niemu i stara się go pocieszyć. — Wszyscy obecni okazują wzgardę i przerażenie. Chwila milczenia).*

DUNOIS.

Tygrzyca! potwór! — A! furya z piekła!

KRÓL *(po pauzie do radców).*

Widzicie sami w jakim rzeczy stanie.
Śpieszcie, by próżno krew ludzka nie ciekła,
Powiedzieć waszym braciom w Orleanie,
Że ich uwalniam od wierności ku mnie,

I na Burgunda, radzę, by się zdali.
Zawzięty na mnie, postępuje dumnie,
Lecz zwą go Dobrym — on miasto ocali.

DUNOIS.

Jakto? czyż innych nie znajdziesz już środków?

RADCA.

Nie! słów tych, królu! nie odniesiem ziomkom.
Sławę z wierności wzięliśmy od przodków,
I nieskażoną zostawim potomkom.
Ty nam swej tylko nie cofnij opieki,
A zginiem raczej!

DUNOIS.

Nie wstyd-że ci, królu!
Że wolisz hańbą okryć się na wieki,
Niż oko w oko wrogom zajrzeć w polu?
Że poniewierasz miast Francyi perłą,
Co, jako ona, przodków twoich berło
Zdobiło z wieków?...

KRÓL.

Dość już krwi płynęło!
Bóg snać swą rękę ociężył nade mną.
We wszystkich bitwach wojsko me pierzchnęło,
Najwaleczniejsi zginęli daremno;
Parlament wyzuł mię z tronu; stolica
Z bezwstydną pompą święci tryumf wroga;
Najbliższy krewny — ha! własna rodzica,
Zguby mej pragną; lud przejęła trwoga.
Mamliż krew jeszcze, jak próżną ofiarę,
Lać dla mej dumy? — Nie! ustąpmy raczej.

Opór daremny! — Przejdźmy za Loarę,
Czekać i znosić, co nam Bóg przeznaczy.

AGNIESZKA.

Nie dopuść Boże! byś spełnił twe słowa,
Byś tak sam sobie i ojczyznie skłamał!
Nie! nie z twej duszy pochodzi ta mowa,
Sprośny czyn matki twoją stałość złamał!
Lecz wiem, że męska wnet wróci otucha,
I znów, jak puklerz, moc twojego ducha
Zostawisz losom.

KRÓL *(ponuro)*.

Nie! dłoń przeznaczenia
Widna w tem wszystkiem. — Bóg od mego domu
Twarz swą odwrócił; — matki złorzeczenia
Wzięły swój skutek! — Pasmo klęsk i sromu
Snuje się zdawna. — Ojciec mój w szaleństwie
Wiek skończył; bracia pomarli w lat kwiecie;
A ja! — Ach! próżno, próżno ufać w męstwie!
Plemię Walezych upadło na świecie.

AGNIESZKA.

W tobie, Karolu! zakwitnie nanowo,
Wierz tylko w siebie! — O! nie bez zamiaru
Bóg cię ocalił, gdy i nad twą głową
Wisiał cień śmierci; i z Jego to daru
Dzierżysz to berło, co trzech pierworodnych
Posiąść wprzód miało. — Bo On w duszy twojej,
W uczuciach twoich słodkich i łagodnych,
Opatrzył balsam — co kiedyś zagoi
Rany ojczyzny i w sercach niezgodnych

Uśmierzy gniewy i zemstę rozbroi!
Tyś jest wybrany, by w cieniu oliwy,
Dźwignąć i wsławić swój naród szczęśliwy!

KRÓL.

Ja? — nie, niestety! W tej burzliwej toni,
Z której ojczyźnie nie wyniść bez cudu,
Ster jej silniejszej potrzebuje dłoni.
Ach! i ja może byłbym ojcem ludu,
Coby mię poznał — coby chciał mię wspierać,
I miłość płacił miłością wzajemną!
Ale nie umiem serc mieczem otwierać,
Które nienawiść zamyka przede mną.

AGNIESZKA.

Lud dał się uwieść — namiętność go łudzi!
Ale dzień bliski, że z mlekiem wyssana,
W sercach się Franków nanowo obudzi
Dziedziczna miłość dla prawego pana.
Obudzi dawna dwóch ludów nienawiść,
Co je na wieki, jak morze rozdziela,
A dumnych wodzów niezgoda i zawiść
Musi osłabić moc nieprzyjaciela.
Wytrwaj więc tylko, i nie cofaj kroku!
Każdy ślad wrogów niech krew ich naznaczy!
A nadewszystko, jak źrenicy w oku,
Strzeż Orleanu! — Popalić każ raczej
Mosty i łodzie; poniszczyć przeprawy;
Niżbyś swą hańbę i żywot tułaczy
Niósł za Loarę — ten Styx twojej sławy!

KRÓL.

Com mógł, zrobiłem; — pojedynczym bojem,
Rycerz z rycerzem chciałem spór mój skończyć,
Pokój okupić chciałem życiem mojem.
Lecz mamże darmo krew mych ludów sączyć?
Mamże, jak owa nieprawdziwa matka,
Dozwolić raczej, by wróg krwawym mieczem
Płatał me kraje, niszczył do ostatka?
Nie! — by je zbawić — sami się ich zrzeczem.

DUNOIS

Toż mowa króla? to zapał młodzieńca?
To zamiar, który mężowi przystoi? —
Najlichszy z gminu krew, życie poświęca,
Zdaniu, miłości, nienawiści swojej.
Strona jest wszystkiem — gdy domowej wojny
Sztandar powionął. Starzec i niewiasta
Chwyta za oręż; rzemieślnik spokojny
Kruszy swój warsztat; kupiec pali miasta;
Rolnik swe własne zasiewy wyniszcza,
By ci zaszkodzić, lub pomódz w potrzebie;
Nikt nie oszczędza drugich, ani siebie,
Walcząc za swoje bogi lub bożyszcza.
A ty! król! miałbyś z litości niemęskiéj
Praw się swych zrzekać? odrzucać nadzieje,
By skrócić wojny nieuchronne klęski? —
Nie! — niech się wojna sama wyszaleje!
Nie tyś ją zaczął; a że lud za króla
Krew swą lać musi, w tem jest niebios wola,
W tem prawo świata! — I biada narodom,

Coby swym królom, swej czci i swobodom,
Krwi swej lub mienia szczędziły w ofierze!

KRÓL *(do radców).*

Próżno czekacie! Bóg was niechaj strzeże!
Ja nic nie mogę.

DUNOIS *(z gniewem).*

Niechże Bóg zwycięstwa
Tak się na wieki odwróci od ciebie,
Jak ty od kraju w dniach niebezpieczeństwa!
Ale pamiętaj, że zgubisz sam siebie.
Że cię nie Burgund, nie moc Albionu,
Lecz własna małość strąca z ojców tronu!
Francyi trzeba króla-bohatera.
A ty! — Żegnam cię!

(Do radców).

Król się was wypiera —
Lecz ja, w tej ojca mojego dziedzinie,
Idę się z wami zagrzebać w ruinie.

(Chce odchodzić, Agnieszka go zatrzymuje).

AGNIESZKA *(do króla).*

O! nie dopuszczaj, aby odszedł w gniewie! —
Zbyt ostry w słowach — prawda! lecz któż nie wie,
Jakim jest w sercu? jak w każdej potrzebie
Ostatnią kroplę krwi odda za ciebie? —
Pójdź, pójdź, Dunois! wyznaj, że w zapale
Nadtoś powiedział! — a ty mu wspaniale
Przebacz z prędkości niemyślane słowo! —
O! pójdźcie, pójdźcie! niech złączę nanowo

Dłonie i serca wasze! — nim zawzięty
Gniew je zajątrzy, i drobną dziś szparę
Zamieni w przepaść!

(Dunois pogląda na króla, zdając się oczekiwać na odpowiedź jego).

KRÓL *(do du Chatela).*

Każ mój dwór i sprzęty
Przenieść na łodzie! — Idziem za Loarę.

DUNOIS *(do Agnieszki).*

Żegnaj!

(Odwraca się i odchodzi śpiesznie; za nim radcy).

AGNIESZKA *(załamuje ręce).*

O! teraz, tośmy pozostali
Jedni prawdziwie! — On był nam podporą.
Idź, śpiesz, La Hirze! błagaj go, azali
Nie da się zmiękczyć? — i wróć go nam skoro.

(La Hire odchodzi).

SCENA VI.

KAROL, AGNIESZKA, DU CHATEL.

KRÓL.

Także to wielkiem dobrem jest korona,
Iż by ją tylko utrzymać na czole,
Znieść miałbym raczej, by nieukrócona
Duma mi czyjaś krępowała wolę?
Zdać się na łaskę zuchwałych wassali,
By żyć, czuć, myśleć, gwoli ich skinieniu?
O! to jest boleść, co rdzeń duszy pali,
To ciężej, niźli uledz przeznaczeniu!

(do du Chatela).

Czyń, com rozkazał!

DU CHATEL *(padając na kolana).*

Panie!

KRÓL.

Przedsięwzięcia
Mego nie zmienię; ogłoś to na dworze.

DU CHATEL.

Królu! przejednaj burgundzkiego księcia!
To jeszcze jedno, co cię zbawić może.

KRÓL.

Ty mi to radzisz? a on twojej głowy
Żąda za pieczęć do naszej umowy.

DU CHATEL.

Masz ją, o! królu! — Krew mą nie dopiero
Jam ci poświęcił; i zarówno z chlubą,
Pod mieczem wroga, czy kata siekierą,
Umrę za ciebie — byleś moją zgubą
Ukoił księcia; bylebym w spuściźnie
Zostawił pokój — tobie i ojczyźnie.

KRÓL *(z goryczą).*

Do tegoż przyszło, że ci, co mą duszę
Znają najbliżej — że ci hańby drogę
Śmią mi wskazywać? i mówią, że muszę
Iść nią — i myślą, że zechcę i mogę?
O! teraz czuję, że wszystko stracone,
Gdy i mój honor ufność ludzi stracił!

DU CHATEL.

Rozważ!

KRÓL.

Dość o tem! — za świata koronę
Krwiąbym przyjaciół moich nie zapłacił!
Idź, spełń com kazał! — Niech się niemieszkanie
Gotują w podróż!

DU CHATEL.

Wola twoja, Panie!

(Powstaje i odchodzi. Agnieszka płacze rzewnie).

SCENA VII.

KAROL I AGNIESZKA.

KRÓL.

Nie płacz, o! luba! wszak i tam za rzeką
Francya jeszcze! — i milsze daleko
Niebo i ziemia! — Tam na łonie twojem
Odetchnę znowu szczęściem i pokojem.

AGNIESZKA.

O! dniu nieszczęsny! dniu żalu i sromu!
Król z państwa swego ucieka przed wrogiem;
Syn nie śmie bronić ojców swoich domu,
Lub pod rodzinnym zagrzebać się progiem!...
Stało się! — idźmy na życie tułacze! —
Francyo moja! — już cię nie zobaczę!

SCENA VIII.

CIŻ I LA HIRE.

AGNIESZKA.

Wracasz sam jeden? — nie dał się więc użyć?

(Wpatrując się w niego)

Lecz cóż to? — przebóg! La Hirze! co znaczy
Ten wzrok twój dziwny? — Mów, co z niego wróżyć?
Nowe nieszczęście?...

LA HIRE *(z zapałem).*

Koniec nieszczęść raczej!
Minęła burza — słońce zajaśniało!

AGNIESZKA.

Co? jak? mów! błagam.

LA HIRE *(do króla).*

Każ, by się wrócili
Posłowie orleańscy! —

KRÓL.

Cóż się stało?

LA HIRE *(z uniesieniem).*

Stoczono bitwę — myśmy zwyciężyli!

AGNIESZKA.

My? — O! niebieska muzyko tej wieści!

KRÓL.

La Hire! Czyż prawda? — Czy nie czcza ułuda? —
Powtórz! — bo nie śmiem wierzyć twej powieści.

LA HIRE.

O! w większe wkrótce uwierzycie cuda!

(Postrzegając wchodzącego arcybiskupa)

Lecz arcybiskup sam ci o nich, panie!
Opowie lepiej; — z nim na pojednanie
Dunois wraca.

AGNIESZKA.

O! piękne zarody

Zwycięstwa! z których tak rychło dostajem
Owoców nieba: pokoju i zgody!

SCENA IX.

CIŻ, ARCYBISKUP Z REIMS, DUNOIS, DU CHATEL I RAUL *(rycerz w zbroi)*.

ARCYCISKUP *(łącząc ręce Dunois i Króla)*.

Zgoda, książęta! podajcie dłoń wzajem!
Nie dziś czas pomnieć o ziemskiej rozterce,
Gdy Bóg nad wami czyni cuda swoje.

KRÓL.

Odmęt słów waszych pochłania me serce,
Chciałbym uwierzyć — i wierzyć się boję.
Co? jak się stało? — w krótkiej, jasnej mowie,
Powiedzcie! — błagam, każę.

ARCYBISKUP *(wskazując na Raula)*.

On opowie.

RAUL *(występując przed króla)*.

Było nas wszystkich chorągwi szesnaście,
Które szlachetny Baudricourt zgromadził,
I odpierając angielskie napaście,
Ku tobie, królu! na odsiecz prowadził.
Lecz gdy przeszedłszy Vermatońskie wzgórza,
Schodzim w dolinę, gdzie się kręci Yonna,
Patrzym — przed nami z lasu się wynurza
Kolumna wrogów piesza, potem konna.
Chcemy się cofnąć — aż widzim, za nami,
Drugie ich wojsko już wzgórza osiadło.
Tak między dwoma zamknięci ogniami,

Najodważniejszym z nas serce upadło.
Chcą złożyć oręż: — i daremnie wodze
Szukają jeszcze rady, której niema.
Gdy wtem — w powszechnym nieładzie i trwodze,
Cud się nam dziwny jawi przed oczyma!
Z gaju, wprost ku nam, wychodzi Dziewica,
W błyszczącym hełmie, jak bogini wojny,
Piękna jak anioł — choć groźne jej lica
Tchnęły postrachem, a wzrok, acz spokojny,
Gorzał jak ogniem; — wiatr włosy rozwiewał,
A blask poziomy zachodniego słońca
Dziwną jasnością jej postać odziewał. —
Szła ku nam, nakształt niebieskiego gońca,
I głosem, który wskróś wszystkich przeniknął:
„Francuzi! — rzekła — próżno się boicie!
„Dość już wróg wami pomiatać nawyknął,
„Dziś jest kres jego! — wierzcie, a ujrzycie!
„Nie to, że okrył doliny i wzgórza:
„Bóg cud obiecał, i cud wam uczyni!
„Niech będzie silny, jako fale morza,
„Niech będzie liczny, jak piaski w pustyni —
„Naprzód! dziś z wami jest Bóg i Dziewica!
„Duch Jego za was uzbroił jej ramię.
„Za mną, Francuzi!“ — to rzekłszy, pochwyca
Z rąk chorążego rozwinięte znamię,
I z niem najpierwsza bieży w stronę wroga. —
Co krwi w nas było, zawrzała płomieniem.
Wszyscy, jak jeden, za posłanką Boga
Lecim z orężem; — a wróg z podziwieniem
Patrzy się na nas, stojąc nieruchomy.

Lecz wtem — jak gdyby głos trąb ostatecznych
Posłyszał nagle: jakby niewidomy
Anioł swym mieczem zmiótł wszystkich walecznych:
Zachwiał się — widzim — mięsza się i pierzcha,
Broń i rynsztunek miecąc po za siebie;
Jedni na wzgórza, by dosiądz ich wierzcha,
Drudzy ku rzece; — a my ku potrzebie
Sprawiwszy hufce, tu i tam za niemi! —
Rzeź się prawdziwa, nie bitwa zaczęła.
Tysiąc ich z górą poległo na ziemi,
Nie licząc tego, co rzeka połknęła.
Z nas ani jeden nie zginął. —

KRÓL.

Cud Boski!

AGNIESZKA *(do Raula).*

I cud ten, mówisz, stał się przez Dziewicę? —
Któż? skąd jest ona?

RAUL.

Różne czynią wnioski.
Lecz ona sama swoją tajemnicę,
Rzekła, że tylko królowi objawi.
Natchnioną z nieba zowie sama siebie,
I zapowiada, że Orlean zbawi,
Wprzód nim się księżyc odmieni na niebie. —
Wojsko, lud cały, wierzy w nią, i wszędzie
Rwie się do broni.

(Słychać za sceną dzwony, trąby, i szczęk oręża).

KRÓL.

Cóż to? trąby? dzwony?

RAUL.

To ona z wojskiem! za chwilę tu będzie. —
Lud jej jak świętej oddaje pokłony.

KRÓL *(do du Chatela).*

Każ ją wnet przyjąć!
(Do Arcybiskupa) Ty mię ucz, kapłanie!
Co myśleć o tem? — Bóg cud swój okazał,
Gdy cud już tylko zbawić nas był w stanie.
Tegoby żaden człowiek nie okazał!
Lecz mogęż wierzyć, że dla mnie to czyni?

(Głosy za sceną).

Chwała Dziewicy! Cześć, chwała Zbawczyni!

KRÓL

To ona! *(do Dunois)* Usiądź na miejscu królewskiem!
Obaczym zali prorokować umie.
Jeśli jest duchem natchniona niebieskim,
Pozna naprawdę, i znajdzie mię w tłumie.

(Dunois siada, Król staje przy nim po prawej ręce, obok Króla Agnieszka Sorel, dalej Arcybiskup i inni ustawiają się po obu stronach, tak, że środek sceny zostaje próżny).

SCENA X.

CIŻ I JOANNA

(w towarzystwie Radców i wielu Rycerzy, którzy napełniają głąb sceny, ze szlachetną powagą postępuje naprzód i przegląda stojących wokoło).

DUNOIS *(po długiem uroczystem milczeniu).*

Tyś to, cudowna?...

JOANNA *(przerywa mu, z wyniosłością patrząc na niego).*

Synu Orleana!

Doświadczasz Boga! — Nie to miejsce twoje!
Jam jest do tego wyższego posłana.
(Idzie pewnym krokiem do Króla, ugina przed nim kolano i powstaje natychmiast. Wszyscy obecni okazują największe zdumienie. Dunois opuszcza krzesło).

KRÓL.

Skąd mię znasz? pierwszy raz widzisz twarz moję.

JOANNA.

Widziałam ciebie, gdy cię nikt, prócz Boga,
Nie widział więcej. — Pomnisz, przeszłej nocy,
Gdy wiatr trząsł domem, a rozpacz i trwoga
Walczyła w tobie z nadzieją pomocy:
Upadłeś krzyżem, i w pokorze ducha
Błagałeś Boga — a łez twych strumienie
Zlały podłogę. — Każ, niech nikt nie słucha,
A treść ci twojej modlitwy wymienię.

KRÓL.

Co zwierzam Bogu, przed ludźmi nie kryję.
Wymień!

JOANNA.

Trojakie były twoje modły.
Naprzód: — jeżeli dawne winy czyje,
Królów czy ludu, na ten kraj przywiodły
Zgubną tę wojnę: — ty, gdy tego trzeba,
Oddać się za nie chciałeś na ofiarę,
I o to tylko błagałeś u nieba,
By twej ojczyźnie odpuściło karę.

KRÓL *(cofając się z przerażeniem).*

Kto? skąd ty jesteś? Istoto cudowna!

JOANNA.

Druga twa była modlitwa: — jeżeli
Tak zechce niebios wola nieodzowna,
Abyś utracił tron, i co dzierżeli
Przodkowie twoi: — prosiłeś ziszczenia
Trzech tylko życzeń, trzech dóbr na tym świecie.
Za pierwsze kładłeś spokojność sumienia;
Za drugie, szczerość przyjaciół; za trzecie,
Miłość Agnieszki.
(Król zakrywa twarz, łkając gwałtownie. Największe poruszenie między obecnymi).

JOANNA *(po pauzie).*

Mamże mówić dalej?

KRÓL.

Dość, dość! już wierzę. — Tyś z Boga natchniona!

ARCYBISKUP.

Lecz kto? skąd jesteś? — mów, niedocieczona!
Kto są szczęśliwi, co ci życie dali?

JOANNA *(do Arcybiskupa).*

Wielebny ojcze! zowią mię Joanną,
Ojciec mój, z włości królewskiej Dom-Remy,
Ubogi wieśniak, pracą nieustanną
Uprawia z Bogiem własny kawał ziemi.
Tam ja z dzieciństwa pasąc jego trzody,
Słyszałam nieraz, jak opowiadali
O tych wyspiarzach, co przyszli z za wody,
I kraj nasz cichy mieczem najechali.
I jak ich nasza przyjęła stolica,
Jak król ich naszą okrył się koroną,

Jak królów naszych prawego dziedzica
Chcą wygnać z kraju! — To gdy mi mówiono,
Nieraz w skrytości padłszy na kolana,
I płacząc głośno, wołałam do Boga,
By nam obcego nie narzucał pana,
By nas uchronił od niewoli wroga.
A niedaleko od wrót naszej wioski,
Stoi na wzgórzu niewielka kaplica,
A w niej cudowny obraz Matki Boskiej,
Gdzie trzykroć w roku, cała okolica
Idzie pielgrzymką i składa ofiary.
A tuż naprzeciw rośnie dąb sędziwy,
O którym różnie i młody i stary,
A wszyscy różne powiadają dziwy.
Pod cieniem jego, sama nie wiem czemu,
Tak mi swobodnie, tak rozkosznie było,
Że serce gwałtem ciągnęło ku niemu.
I ile razy czasem się zdarzyło
Stracić gdzie w górach jagnię albo owcę:
Jak skoro przyszłam spocząć w jego cieniu,
Wnet mi sen między najdziksze manowce,
Gdzie je mam znaleźć, wskazywał w widzeniu.
Jednego razu, gdy próżno w noc ciemną,
Siedząc tak pod nim, marzyłam na jawie:
Bogarodzica stanęła przede mną —
Z chorągwią w ręku i z mieczem, lecz prawie
Z kształtu i stroju podobna pasterce,
I rzekła głosem, co mi poszedł w serce:
„Jam jest, Joanno! — powstań, rzuć swą trzodę!
„Pan cię opatrzył za narzędzie cudu!

„Sztandar ten wzniesiesz za kraju swobodę
„Mieczem tym pomścisz krzywdy twego ludu;
„Pokonasz wrogów, i przez cię zbawioną,
„W Reims, króla swego uwieńczysz koroną!“ —
Ja wszakże rzekłam: Cóż ja zdziałać mogę,
Słaba pasterka, bez sił do oręża? —
A Ona na to: „Uspokój tę trwogę!
„W czystości serca jest moc, co zwycięża
„Bramy piekielne. — Tę tylko przestrogę
„Pamiętaj: chroń się przed miłością męża!
„Zresztą miej wiarę, i idź prostą drogą! —
„Wszak i ja byłam pasterką ubogą!“ —
To rzekłszy, dłonią dotknęła mych oczu,
I kiedy za nią spojrzałam do góry,
Ujrzałam w niebios błękitnem przezroczu
Nieprzeliczone Serafinów chóry,
A każdy w ręku miał liliję białą,
A dziwne echo na powietrzu brzmiało. —
Noc w noc trzy razy, przed jutrzenką ranną,
Miałam toż samo Najświętszej widzenie.
Zchodziła z niebios, wołając: „Joanno!
„Idź! zbaw twój naród! spełń twe przeznaczenie!“ —
Lecz gdy raz trzeci stanęła przy drzewie,
Wzrok jej był groźny, i rzekła mi w gniewie:
„Wiedz, posłuszeństwo jest wyrok niewieści!
„Cierpieć tu musi i być sługą wszędzie.
„Ale się serce oczyszcza w boleści:
„Kto się tu korzy, tam podwyższon będzie!“ —
I gdy ostatnie domawiała słowa,
Z ramion jej spadło pasterskie odzienie,

I w całym blasku, jak Niebios Królowa
Stała przede mną: — błyskawic promienie
Skroń jej wieńczyły; — i chociaż surowa,
Litośne ku mnie zwróciła wejrzenie,
I na złocistym wzniesiona obłoku,
W krainie chwały znikła memu oku.
(Wszyscy mocno wzruszeni. Agnieszka, łkając, ukrywa twarz na piersiach króla).

ARCYBISKUP *(po długiem milczeniu).*

Przed niepojętą wolą przeznaczenia,
Rozum się ludzki uniża i korzy.
Czyn jej już dowiódł prawdy objawienia —
Zdziałać go przez nią mógł tylko duch Boży.

KRÓL *(wznosząc oczy i ręce ku niebu).*

Panie! jam grzesznik! jaż mogłem zasłużyć
Na dar tak wielki, co z Twej ręki biorę?...
Uczże mię teraz, jak mam łask twych użyć!
Wszystkowidzący! ty znasz mą pokorę.

JOANNA.

Pokora serca prowadzi do Boga,
Z wiarą w moc Jego, człek piekło przemoże.

KRÓL.

A więc mi wróżysz, że zwyciężym wroga?

JOANNA.

Francyą całą pod twe stopy złożę.

KRÓL.

Orlean, mówisz, nie będzie stracony?

JOANNA.

Loara pierwej cofnie się do źródła.

KRÓL.

I w Reims dostąpię mych przodków korony?

JOANNA.

Przez tysiąc przeszkód, ja cię będę wiodła.
(Wszyscy obecni rycerze wstrząsają z łoskotem włócznie i tarcze, i okazują znaki zapału i odwagi).

DUNOIS *(do Króla).*

Postaw Dziewicę wodzem wojsku swemu!
Wzrok jej nam w trudach i bitew zapędzie,
Jak gwiazda królom do Jeruzalemu,
Do Reims i zwycięstw przewodniczyć będzie.

LA HIRE.

Wróg nie zaufa mocy tego świata,
Gdy moc niebieską obaczy widomie.
Jej zwierz twe wojsko! a trwoga skrzydlata
Uprzedzać będzie pogrom po pogromie.
(Wszyscy rycerze uderzają tarczą o tarczę, i postępują naprzód przed króla).

KRÓL.

Tak jest! ty, święta! ty wiedź wojska moje!
Książę i rycerz niech twej słucha woli! —
(Biorąc w ręce miecz Konetabla).
Oto miecz, którym od wieków na boje
Hetmanił Frankom namiestnik ich króli.
Dziś go Konetabl odrzucił od siebie,
Odtąd, natchniona! ty go dźwigaj w polu!
I niech się szerzej rozsławi przez ciebie
Mocą niebieską!

JOANNA.

Nie! Panie i królu!

Nie tem my ziemskiej wielkości narzędziem,
Tak jak nieziemską potęgą i siłą,
Lecz innym mieczem tryumfować będziem,
Jak mi widzenie ducha objawiło.

KRÓL.

Gdzież on jest?

JOANNA.

Poszlij do miasta Fierbois!
Tam pod kościołem świętej Katarzyny,
Jest sklep, gdzie stosy oręża i zbroi
Leżą z lat dawnych; — tam jest ów jedyny
Miecz, w którym siła tajemna się mieści.
Poznać go łatwo bo na rękojeści
Ma trzy lilije nabijane złotem.

KRÓL *(do du Chatela)*.

Śpiesz! i niech goniec orlim pędzi lotem!

JOANNA.

Chorągiew także każ mi zrobić białą,
Z obrazem Niebios Królowej w obłoku,
Z dzieckiem Jezusem; — a dziecię by miało
Świat w swojej dłoni, a bóstwo we wzroku.
A całe niebo aby się zdawało
Jak z głów aniołów, skupionych w natłoku.
Bo taki obraz jaśniał na znamieniu,
Które Najświętsza trzymała w widzeniu.

KRÓL.

Wszystko się stanie.

JOANNA *(do Arcybiskupa)*.

Teraz ty mnie, ojcze!

Błogosławieństwo daj w imię Kościoła!
Dziewica, idę na dzieło zabójcze,
Litość wstrzymuje — lecz powinność woła:
Ono w tej walce będzie duch mój wspierać.

(Uklęka przed nim).

ARCYBISKUP.

Córko! tyś przyszła dawać, nie odbierać
Błogosławieństwa! — W kim jest Pańska siła,
Nie potrzebuje pomocy grzeszników.

(Kładzie rękę na jej czole. Joanna powstaje).

PAŻ *(wchodzi)*.

Herold przysłany z obozu Anglików
Chce wnijść.

JOANNA.

Niech wnijdzie! Bóg go tu przysyła.

(Król daje znak przyzwolenia; Paż odchodzi).

SCENA XI.

CIŻ I HEROLD ANGIELSKI.

DU CHATEL.

Z czem i od kogo przychodzisz do króla?

HEROLD.

Mów, do hrabiego Ponthieu, do Karola. —
Król wasz jest w naszym obozie.

DUNOIS.

Zuchwały!
Gdyby nie miejsce i nie szata gońca,
Sprośny twój język, jak żmiję w kawały.....

KRÓL *(przerywając)*.

Przestań, Dunois! *(Do Herolda)* Mów, czekamy końca.

HEROLD.

Wódz nasz, żałując krwi, co nadaremnie
Płynie i płynąć musi w Orleanie,
Nim da znak szturmu — raz jeszcze przeze mnie
W spokojne z tobą chce wejść pojednanie.

KRÓL.

On ze mną?

JOANNA *(występując)*.

Królu! ja na miejscu twojem
Mówić z nim będę.

KRÓL.

Mów, natchniona z góry!
Mów, i rządź sama wojną i pokojem!

JOANNA *(do Herolda)*.

Kto mówi przez cię?

HEROLD.

Wódz nasz, Salisbury.

JOANNA.

Kłamiesz, Heroldzie! bo tylko żyjący
Mówić przez żywych może, nie umarły.

HEROLD.

O! wódz nasz żyje! i zdrowiem kwitnący
Na zgubę waszą, jako olbrzym karły
Gromi swych wrogów.

JOANNA.

Żył, kiedyś odchodził.
Lecz Pan go dotknął — olbrzym w prochu leży.

Wystrzał go z miasta dziś rano ugodził.
Gdy je z swej średniej przepatrywał wieży.
Ty się uśmiechasz, że ci oddalone
Rzeczy obwieszczam; — nie żądam twej wiary.
Lecz wspomnij o mnie, gdy z pompą niesione
Spotkasz w obozie pogrzebowe mary! —
Teraz zdaj sprawę z polecenia twego.

HEROLD.

Jeśli tak wszystko przenikasz — bez tego
Wiedzieć je musisz.

JOANNA.

Nawet nie chcę wiedzieć!
Ale ty słuchaj, co ja mam powiedzieć!
Słuchaj! i w wiernej rzecz powtórz osnowie
Tym coć przysłali: — bo do nich to mówię.
Królu angielski! książęta Bedfordu
I Glocesteru! Bóg się upomina
Rachunku od was z naszej krwi i mordu.
Bóg sąd swój zaczął: — bo przyszła godzina!
Przyszła Dziewica, której Pan poruczy
Moc swą nad wami! — Ona do was mówi:
Zrzeczcie się naszej korony, i kluczy
Miast, i ziem naszych, i pokój ludowi
Naszemu dajcie — a idźcie w pokoju!
Albowiem biada, biada wam, wodzowie!
I ludziom waszym biada! gdy do boju
Stanie Dziewica! — Bo ja to wam mówię:
Że Pan nie dla was Francyą przeznaczył,
Ani nas stworzył do wiecznej niewoli!

(Wskazując na króla)

Lecz on — on dziedzic, on wnuk naszych króli,
Co go Bóg w próbach poznał i doświadczył,
On siądzie z chwałą na ojców stolicy! —
Idź, i te słowa odnieść twemu panu!
Lecz nim pośpieszysz — już sztandar dziewicy
Powiewać będzie z murów Orleanu.

(Odchodzi, za nią wszyscy. — Zasłona spada).

AKT DRUGI.

Okolica otoczona skałami.

SCENA I.

TALBOT I LIONEL, wodzowie angielscy. FILIP, książę Burgundyi. FASTOLF, CHATILLON, z wojskiem i chorągwiami.

TALBOT.

Tu w skał tych cieniu stańmy, i warowny
Zatoczmy obóz; — azali nie zbierzem
Wojsk, które popłoch, jako wiatr gwałtowny,
Rozproszył wczoraj. *(Do Fastolfa)* Idź, osadź żołnierzem
Szczyt i wąwozy skał! — Choć w tej ustroni,
W tej ciemnej nocy — jeśli chyba skrzydeł
Wróg mieć nie będzie — żartuję z pogoni:
Przecież ostrożność! — Strach nie zna wędzideł,
I lada powód, ima zwyciężonych.

(Fastolf z żołnierzami odchodzi).

LIONEL.

Dość o tem, wodzu! Krew się pali we mnie
Słysząc to słowo. — Po tylu wsławionych
Zwycięstwach naszych, pierzchnąć tak nikczemnie!

O! Orleanie! Orleanie! w tobie
Grób chwały naszej! — Lecz czyż przyszłe wieki
Uwierzyć zechcą? Kto wystawi sobie,
Aby zwycięzcy pod Azincourt, Crequi,
Pierzchli — i przed kim? — przed jedną niewiastą! —
Nie! musim zdobyć to przeklęte miasto!

FILIP.

To nas niech cieszy, że nie ludzka siła,
Ale nas szatan przemógł z ludźmi w zmowie.

TALBOT.

Tak! szatan głupstwa! — Czyżby i wodzowie
Dzielili wiarę, co gmin omamiła? —
Nie! — przesąd nadto jest błahą pokrywą
Tchórstwa wojsk twoich! — to bitwę przegrało.

FILIP.

Popłoch był wszędzie.

TALBOT.

Nie, nie! jako żywo!
Wojsko twe naprzód zgubny przykład dało.
Wpadliście do nas, wołając, że piekło,
Że sam Lucyper przeciw nam się wiąże.
To nas zmięszało.

LIONEL *(do Filipa)*.

Jużciż wyznaj, książę!
Że skrzydło twoje najpierwej uciekło.

FILIP.

Bo na nie najprzód uderzyli wrogi.

TALBOT.

Wiedzieli dobrze kto im nie dostoi,
I drugim jeszcze da przyczynę trwogi.

FILIP.

Co? więc przegrana ma być z winy mojej?

LIONEL.

Gdybyśmy swoje tylko wojska mieli,
Orlean naszej nie widziałby klęski.

FILIP *(z goryczą)*.

Tak! gdyż wybyście jego nie widzieli! —
Kto wam w głąb' kraju otwarł wstęp zwycięzki?
Kto zjednał serca Franków, i w Paryżu
Króla waszego osadził na tronie? —
Jako Bóg żywy! gdyby nie te dłonie
Wwiodły was tutaj: niktby z was w pobliżu
Nie widział dymu z francuskich kominów!

LIONEL.

Gdyby dość było wielkich słów, nie czynów,
Burgund sam jeden byłby panem świata.

FILIP.

Boli was, widzę, Orleanu strata,
Lecz z czyjej winy? — Gdy mieszkańcy chcieli
Mnie poddać miasto — kto z lichej zawiści
Zerwał układy?

TALBOT.

Chciałżbyś, byśmy leli
Krew ludów naszych, dla twojej korzyści?

FILIP.

Gdybymże odszedł — coby z wami było?

LIONEL.

O! nic gorszego jak pod Azinkurem!
Gdzie wojsko nasze samo poradziło

Z całem francusko-burgundzkiem — nad którem
Tyś sam przewodził.

FILIP.

Jednak me przymierze
Snać wam potrzebne było, gdy mi za nie,
Rejent wasz tyle poświęcił w ofierze.

TALBOT.

Ha! nawet naszą cześć przy Orleanie!

FILIP *(wybuchając)*.

To już za wiele! lordzie! to za wiele!
Rozmowa taka — zostanie pamiętną. —
Na tożem rzucił swoich, i na czele
Mem nieskażonem wyrył zdrady piętno:
By mi wróg w obec urągać mógł śmiele,
A jam to znosił duszą obojętną?... —
Nie, nie! lordowie! — toć gdy los przeznaczył,
Bym zawsze tylko służył niewdzięcznemu;
Toć lepiej żeby brat bratu przebaczył,
Bym wrócił służyć królowi mojemu.

TALBOT.

O! rzecz nie nową powiadasz nam, Książę!
Wiemy żeś zaczął z La Hirem układy,
Że skryty spisek przeciw nam się wiąże: —
Lecz mamy sposób ustrzedz się od zdrady.

FILIP.

Ha! śmierć i piekło! — Idź, śpiesz, Chatillonie!
Dziś jeszcze idziem ku naszej granicy.
Każ zwijać obóz! — Niech ludzie i konie
Stają do szyku! — Żegnam was, Anglicy!

(Chatillon odchodzi).

LIONEL.

Szczęśliwa droga! — Nigdy miecz Anglików
Nie słynął szerzej, jak kiedy w potrzebie,
Bez pomocników i bez przewodników,
Sami w swej sprawie walczyli za siebie.
Bo na co kłamać zgodę przyjacielską,
Gdy nas wstręt wieczny rozdziela, jak morze?
Gdy czujem, że krew francuska z angielską,
Z ran chyba w bitwach połączyć się może? —

SCENA II.

Ciż i Królowa Izabela.

IZABELA.

Cóż to ja słyszę? co za wpływ złowrogi
Gwiazdy nieszczęsnej pomięszał wam zmysły? —
Toż czas do swarów? gdy zwycięzkie wrogi
Jak grom spaść mogą na nas: a od ścisłej
Jedności waszej, śród powszechnej trwogi,
Jedyne wojska nadzieje zawisły?...
(Do Filipa) Nie książę! cofnij porywcze rozkazy!
A ty, Talbocie! nie wstydź się przebłagać
Gniew przyjaciela! *(Do Lionela)* Pójdź mi dopomagać,
Przywrócić zgodę i zatrzeć urazy!

LIONEL.

Ja? — nie! Milady! — mnie to obojętnie,
Czy się to zgodą, czy niezgodą skończy.
Owszem, co z sobą trzyma się niechętnie,
Najlepiej zrobi, kiedy się rozłączy.

IZABELA.

Ha! teraz widzę, że piekielne czary,
Jak w bitwie na nas, i tu się sprzysięgły. —
Kto wszczął najpierwszy te szalone swary?
Skąd się te żmije w sercach wam wylęgły?
(Do Talbota) Tyżbyś to, wodzu! niepomny korzyści,
Co kraj twój jego powinien przymierzu,
Chciał wzniecać iskrę dawnej nienawiści,
I serce Franka oburzał w rycerzu? —
Lecz cóż poczniecie bez jego ramienia? —
On tron wasz dźwignął — i on w każdej porze,
Samą potęgą swojego imienia,
Byleby zechciał, obalić go może.
Albowiem wiedzcie! niech Anglia cała
Falami morza na Francyą biegnie:
Francya zgodna, dostoi jak skała,
I sama siebie chyba w jarzmo zegnie.

TALBOT.

Któżby prawdziwej nie cenił przyjaźni?
Lecz przed fałszywą strzedz się rozum każe.

FILIP.

Temu, w kim wdzięczność dumę tylko drażni,
Nie trudno kłamać bezwstydne potwarze.

IZABELA.

Co? książę! tyżbyś twój rozum i serce
Mógł tak poniżyć? tak zbyć uczuć syna?
Byś ojca twego uściskał mordercę,
Byś się powierzył przyjaźni Delfina? —
Aza ci, myślisz, przebaczy w swej dumie,
Żeś go był wtrącił i dźwignął z przepaści?

Aza nie będzie obmyślał, jak umie,
By ci na przyszłość uszczuplić tej właści? —
Nie, nie! Filipie! bądź księciem i synem,
A będziesz wyższym od obrazy lichej!

FILIP.

Nigdym nie myślał o zgodzie z Delfinem,
Ale nie ścierpię cudzoziemców pychy.

IZABELA.

O! pójdź! zapomnij niebacznego słowa!
Wczorajsza klęska serce wodza boli,
A gorycz myśli, łatwo zdradzi mowa;
Niesprawiedliwym być łatwo w niedoli. —
Ale dość o tem! — czas zgasić w iskierce
Zgubny ów pożar, nim go wiatr rozdmucha.

TALBOT.

Co mówisz? książę! — Gdzie jest prawe serce,
Tam rozum chętnie zdrowej rady słucha. —
Królowa mądrze dla nas obu radzi.
(Podając rękę) A więc masz! zgoda zależy od ciebie.
Uznanie błędu niechaj błąd zagładzi.

FILIP *(podając dłoń wzajem)*.

Niech i tak będzie! — ulegam potrzebie.

IZABELA.

Zgoda! wodzowie! i niech uścisk bratni
Świętszem niż dotąd spoi was ogniwem,
By spór ten zgubny był odtąd ostatni!
(Filip i Talbot ściskają się).

LIONEL *(patrząc na nich; na stronie)*.

Nietrwała zgoda za furyi wpływem!

IZABELA.

Los bitwy wprawdzie ostał się przy wrogu,
Lecz niech nas męska pokrzepi otucha!
Napróżno Delfin, nieufny snać w Bogu,
Przyzywa w pomoc przeklętego ducha.
Straci swą duszę, jak swój kraj i władzę. —
Niewiasta stoi na wojsk jego czele;
Chcecie? — ja wasze wojska poprowadzę,
I wzorem lepiej, niż czarem ośmielę.

LIONEL.

O! nie, nie! raczej wracaj do Paryża!
Anglik w broń ufa, nie w sztuki niewieście.

TALBOT.

Tak, wracaj! — W wojsku przesąd się rozszerza,
Że nam twa bytność przyniosła nieszczęście.

FILIP.

Widok twój tutaj osłabia żołnierza,
I dla cię samej przyzwoiciej w mieście.

IZABELA *(patrząc na nich z podziwieniem).*

Cóż to ma znaczyć? Co te słowa wróżą?
I ty, Burgundzie! przeciw mnie, jak oni?

FILIP.

Tak! żołnierz nie śmie ufać w pomoc Bożą,
Póki rozumie, że twej sprawy broni.

IZABELA.

Czyście szaleni? — Ledwom między wami
Zgodę zawarła — łączycie się na mnie.

TALBOT.

Jedź pani z Bogiem! Gdy zostaniem sami,
Czarta się lękać nie będziem przynamnie.

IZABELA.

Czyliż nie jestem przyjaciółką waszą?
Czyż sprawa wasza nie jest także moją?

TALBOT.

Tak! — ale sprawa twoja nie jest naszą! —
My toczym wojnę za ojczyznę swoją.

FILIP.

Ojciec mój poległ z naprawy Delfina,
Synowska czułość moją zemstę budzi.

TALBOT.

Lecz twoja, pani! zawziętość na syna,
Obraża Boga i oburza ludzi.

IZABELA.

Syna? — przeklęty niech będzie na wieki!
On śmiał mię sądzić!

FILIP.

Mścił się ojca swego.

IZABELA.

On mię potępił! wygnał w kraj daleki!

TALBOT.

Prawo i naród domagał się tego.

IZABELA.

Ha! teraz skutku przekleństw mych doświadczy!
I niżbym miała wyrzec przebaczenie,
Niżby miał posiąść tron ojców — niech raczej...

LIONEL *(przerywając).*

Wolisz poświęcić swą cześć i zbawienie!

IZABELA.

Wy, słabe dusze! wy czuć nie możecie
Co jest za siła w matki nienawiści! —
Co mi cześć świata? — Mój cel na tym świecie,
Jest: niech się nad nim zemsta moja ziści!
Lecz wy — wy drudzy, co go wojujecie!
Co, prócz łakomstwa, dumy i zawiści,
Dało wam oręż przeciw mego syna? —
Skąd prawo wasze? W czem jest jego wina
Przeciw bądźkomu, prócz mnie? — Obłudnicy!
Chcecie świat mamić słowy barwionemi.
Lecz czyż świat nie wie, że jak rozbójnicy
Przyszliście dzielić łupy cudzej ziemi,
Lać krew dla zysku? — Ha! a tenże książę,
Co sobie imię D o b r e g o wykłamał!
Z wrogiem na własną ojczyznę się wiąże,
Ziomkom, królowi, Bogu wiarę złamał,
Przez co? — Przez zemstę? — Nieprawda! — Przez
[chciwość,
Przez zazdrość tylko! — A słuchać was przecie:
Co trzecie słowo w ustach sprawiedliwość,
Choć czyn wasz każdy woła, że kłamiecie! —
Ja — ja przynajmniej obłudą się brzydzę,
I gardzę wami! — Lubię wolność moję.
Mam krew, mam serce; kocham, nienawidzę —
Lecz jaką jestem, wyznać się nie boję.

TALBOT.

Tej sławy, pani! nikt ci nie zaprzeczy.

IZABELA.

I nie przed wami będę się tłómaczyć!

Uczucie dla was, jest słowem bez rzeczy. —
Żegnam was! — oby nigdy nie zobaczyć! —
(Odchodzi).

SCENA III.

TALBOT, FILIP I LIONEL.

TALBOT *(patrząc za odchodzącą).*

To mi niewiasta!

LIONEL.

A teraz, czas drogi!
Radźcie, co czynić co przedsięwziąć mamy?
Cofać się? — czyli ochłonąwszy z trwogi,
Iść wstecz, wczorajszej powetować plamy?

FILIP.

Nadtośmy słabi, popłoch nazbyt świeży!

TALBOT.

Popłoch ten powstał z płonnej wyobraźni;
Lecz niech się z widmem oko w oko zmierzy,
Żołnierz przesądnej wnet zbędzie bojaźni.
Moja więc rada — dodawszy odwagi,
Zgromadzić wojsko, i wieść do rozprawy.

FILIP.

Rozważcie tylko! —

LIONEL.

Co tu do rozwagi?
Gdy trzeba umrzeć, lub pomścić niesławy.

TALBOT.

Tak jest — stanęło! — Z pierwszych kurów pianiem
Wrócim za rzekę, na spotkanie wroga.

Ja sam najpierwszy, z tem widmem szataniem
Zmierzyć się muszę; — i z pomocą Boga,
Czy się mnie czekać odważy szalona:
Ufam, że skończy swe gusła i czary;
Czy pierzchać będzie: wojsko się przekona
Jak zabobonnej ulękło się mary.

LIONEL.

Nie, nie! — mnie wodzu! zostaw bój ten łatwy!
A ja ci ręczę — bez dobycia broni,
Wobec wojsk obu, ten postrach dla dziatwy,
Jak lalkę, żywcem uniosę w mej dłoni.

FILIP.

Wieleś obiecał!

TALBOT.

Ze mną pojedynek
Nie tak łagodne wróży jej uściski. —
Lecz czas, wodzowie! czas pójść na spoczynek!
O świcie w drogę — a świt już jest bliski.

(Odchodzą).

SCENA IV.

JOANNA z chorągwią i mieczem w ręku, w hełmie i pancerzu, zresztą po niewieściemu ubrana. DUNOIS, LA HIRE, RYCERZE i WOJSKO, ukazują się na wierzchołku skał; zstępują zwolna i zapełniają scenę.

JOANNA *(do Rycerzy, którzy ją otaczają).*

Skały przebyte! — tu są ich obozy.
Na nic nam teraz noc i tajemnica!
Niech z trąb i z piersi, głos śmierci i zgrozy
Zbudzi ich! — Hasłem jest: Bóg i Dziewica!

WSZYSCY *(uderzając mieczami o tarcze).*

Bóg i Dziewica! *(Trąby i kotły).*

STRAŻE *(za sceną).*

Do broni! do broni!

JOANNA.

A teraz ognia! zapalić namioty!
Przy blasku łuny, gdy ich strach rozgoni,
Wpadną nam oślep na miecze i groty.
Za mną!

DUNOIS *(zatrzymując ją).*

Joanno! uczyniłaś swoje!
Przewiodłaś wojsko niedeptanym szlakiem.
Nam teraz zostaw krwawe kończyć boje.

LA HIRE.

Przodkuj przed nami ze zwycięstwa znakiem,
Lecz nie bierz sama zabójczego miecza!
Los wojny ślepy i modłów nie słucha.
Dość nas, gdzie siła wystarczy człowiecza.

JOANNA.

Kto mi śmie radzić? kto wstrzymywać ducha,
Co mnie prowadzi? — W nim wasze zwycięstwo!
Strzała tam leci, gdzie ją wypuszczono:
Ja tam iść muszę, gdzie niebezpieczeństwo! —
Nie tu, nie dziś mi zginąć przeznaczono!
Póki wróg w kraju, a król nie na tronie,
Ten, co mię posłał, walczy w mej obronie.

(Odchodzi, za nią rycerze i wojsko).

LA HIRE *(odchodząc, do Dunois).*

Dunois! bądźmy blisko ku odsieczy,
I puklerz dla niej złóżmy z naszych mieczy.

SCENA V.

ANGIELSCY ŻOŁNIERZE uciekają przez scenę, potem TALBOT.

ŻOŁNIERZ PIERWSZY.

Śmierć, śmierć nam wszystkim! Dziewica w obozie!

ŻOŁNIERZ DRUGI.

To niepodobna! — Śród skał? o tej porze?...

ŻOŁNIERZ TRZECI.

Z obłoków spadła na ognistym wozie.

ŻOŁNIERZ PIERWSZY.

Nie walczyć z dyabłem!

INNI ŻOŁNIERZE *(wbiegają krzycząc).*

Ratuj się, kto może!

(Wszyscy uciekają).

TALBOT *(wbiegając z mieczem w ręku).*

Stójcie! — Nie słyszą! — Strach pozbył wędzidła.
Stargany urok czci i posłuszeństwa!
Jak gdyby piekło swe wszystkie straszydła
Rzuciło w pogoń: jeden wir szaleństwa
Ogarnął wszystkich; — mężny i nikczemny
Pierzcha zarówno; — zniskąd do oręża
Garstki nie zebrać; — głos wodzów daremny.
Wróg bez oporu rani i zwycięża! —
Jaż tylko jeden pomiędzy wszystkimi
Zdrowe mam zmysły? Mnież jednego pali
Wstyd za ich wszystkich? — Uciekać przed tymi,
Cośmy w dwudziestu bitwach pokonali!...
I któż jest ona? nietknięta żelazem,
Niezwyciężona! na czyj wzrok Gorgony,

Najśmielsi nasi kamienieją głazem,
A lwią odwagą tchnie Frank ośmielony? —
Kuglarkaż cudów kłamanych obrazem
Wydrze mi z ręku tylu zwycięstw plony?
Moc bohaterów złamie czarownica?...

ŻOŁNIERZ *(wpadając zadyszany).*

Dziewica! — Wodzu! ratuj się! Dziewica!

TALBOT *(przebija go).*

Ha! nikczemniku! masz za twą przestrogę!

(Wstrząsając mieczem do góry).

I śmierć każdemu, co roznosi trwogę! *(Odchodzi).*

SCENA VI.

Teatr przedstawia rozległy widok — widać obóz angielski w płomieniach. — Głos trąb — ucieczka i pogoń.

MONTGOMERY *(wbiega z przestrachem).*

Gdzież się udam? nieszczęsny! jak ujdę pogoni?
Tu wódz zapamiętały, z krwawym mieczem w dłoni,
Grozi swoim, i gwałtem zwraca na miecz wroga,
Tam ona! Niepożyta, jak mór i pożoga,
Szerzy śmierć! — O! ja nędzny! o! na cóż mi było
Iść za burzliwe morze! — Serce mię łudziło
Nadzieją łatwej sławy na francuskiej wojnie.
A teraz! — O! czemużem nie został spokojnie
W domu moim rodzinnym! gdzie mię matka tkliwa
Płacząc, zatrzymać chciała; gdzie mię próżno wzywa
Marya moja!...

JOANNA *(ukazuje się w oddaleniu).*

Przebóg! to ona! — Z płomieni,

Na tle czerwonej łuny, wznosi się śród cieni,
Jak z gorejących piekieł czarne widmo nocy! —
Ujrzała mię! — w mej duszy czuję wzrok jej
Biada mi! — Nogi moje w pętach jej uroku [mocy.
Wikłają się i mdleją; wzrok mój w jej widoku
Utkwił zaczarowany. — O! straszne katusze!
Bać się śmierci i wiedzieć, że ją ponieść muszę! —
(Joanna postępuje nieco ku niemu i zatrzymuje się).
Zbliża się! — Precz ode mnie nieszczęśliwa broni!
Miecz mój jej nie pożyje, tarcz mię nie zasłoni;
Moc piekieł walczy przez nią! — Lecz przecież ma duszę,
Jest niewiastą: — w jej sercu może litość wzruszę.
(Rzuca na ziemię miecz i tarczę i chce iść na spotkanie. Joanna szybko zbliża się ku niemu).

SCENA VII.

JOANNA I MONTGOMERY.

JOANNA.

Zginąłeś! krew angielska w żyłach twoich płynie.

MONTGOMERY *(padając na kolana).*

Wstrzymaj się! — jam bezbronny! — u nóg twych [jedynie
Chcę błagać ocalenia. — Widzisz młodość moję,
Ulituj się! — Raz pierwszy wyszedłem na boje,
Czcza chwała mię uwiodła. — Przebacz mej młodości!
Weź mię jeńcem! — Mój ojciec, pan bogatych włości,
W pięknym Walii kraju, nad brzegiem Sawerny,
Da złota ile zechcesz, da okup niezmierny,
Gdy się dowie, że żywy uszedłem pogromu. —
Jam syn jego jedyny, ostatni szczep domu!

JOANNA.

Nieszczęsny! zły twój anioł dał cię w moje ręce!
Prędzejbyś w krokodylej ocalał paszczęce,
W szponach tygrysich; litość wyżebrał u lwicy,
Dzieci jej wprzód zabiwszy! — Lecz kto miecz Dziewicy
Ujrzał — ten zginąć musi. — Próżna twa otucha!
Jam nie jest z tego świata; — wyższa wola ducha
Rządzi mną, nieugięta; — nie może ujść żywy,
Kogo mi raz w moc poda wojny bóg straszliwy.

MONTGOMERY.

Dzika jest mowa twoja — lecz słodycz oblicza
Pociąga mię ku tobie; piękność twa dziewicza
Nie wróży okrucieństwa. — Przez litość płci twojej,
Zbaw mię, miej miłosierdzie!

JOANNA.

Nie wzywaj płci mojej,
Nie myśl, żem jest niewiastą! — Jam jest duch bez ciała.
Ślepe narzędzie woli, co mi iść kazała
Krew przelewać na ziemi. — Żadna płeć nie moją! —
Gotuj się umrzeć! — Serca niema pod tą zbroją.

MONTGOMERY.

O! przez świętej miłości wszechmogące prawo,
Które Bóg wlał w nas wszystkich — cofnij dłoń [twą krwawą!
Jam zaręczony w kraju! — W pierwszej wiośnie życia,
Piękna jak ty, anielska! mojego przybycia
Czeka w domu kochanka. — O! jeśliś już może
Doznała co jest miłość; jeżeli, jak wróżę,
Pragniesz szczęścia przez miłość: — nie rozdzielaj srogo
Dwojga serc, co bez siebie wzajem żyć nie mogą!

JOANNA.

Obcych mi wzywasz bożyszcz, których ja świętości
Nie znam, ani potęgi. — Nie w imię miłości
Ubłagasz mię; — jej ogień byłby zbrodnią we mnie. —
Walcz jak mąż, i umieraj! — bo żebrzesz daremnie.

MONTGOMERY.

A więc w imię rodziców zlituj się nad memi!
W opustoszałym domu, laty sędziwemi
Schyleni, tęsknią po mnie. — Ach! tyś sama pewnie
Zostawiła rodziców, co cię płaczą rzewnie.

JOANNA.

Nieszczęsny! przypomniałeś, ile u nas matek
Pozostało bez dzieci; ile małych dziatek
Sierotami bez ojców; ile wdów strapionych,
Ile łez nieotartych i serc zakrwawionych
Miecz wasz u nas uczynił! — Ha! teraz doświadczą
Żony wasze i matki, z jaką my rozpaczą
Płakałyśmy nad krajem i braćmi naszemi!

MONTGOMERY.

O! jak ciężko umierać nie na swojej ziemi!

JOANNA.

Któż was wezwał na cudzą? by jej bujne łany
Kopytami tratować? by pod dach słomiany
Nizkiej chaty rolnika, i w zamożne grody
Nieść ogień i żelazo? i z naszej swobody
Urągać się? i swoich narzucać nam króli? —
Myśleliście zuchwali! że jarzmo niewoli
Zegnie nas i poniży; że kraj dawnej sławy,
Przywiążecie jak łódkę do swej hardej nawy!
Nie wiedzieliście, głupi! że nasz herb królewski

Tkwi u stóp tronu Boga; że wprzód sklep niebieski
Z gwiazd wam obrać, niżeli jeden zagon żyzny,
Jedną wioskę od naszej oderwać ojczyzny! —
Ale przyszedł dzień zemsty! — Żaden z was przez [wodę
Wielkiego morza — które, jak wieczną przegrodę
Bóg między nas położył, a wyście złamali —
Żaden żywy nie wróci! — Broń się! muszę dalej.

MONTGOMERY.

Teraz czuję że umrę; — błagać cię daremnie!

JOANNA *(łagodnie)*.

Tak! lecz umrzyj jak rycerz! Po co drżeć nikczemnie
Przed śmiercią, przed konieczną? — Los nasz w ręku [Boga.
Patrz na mnie! któż ja jestem? Pasterka uboga,
Słaba dziewica; — dłoń ma nienawykła broni.
Przecież z cichego domu, z samotnej ustroni
Wyrwana — z łona ojca, z sióstr kochanych grona,
Muszę tutaj — nie swoją wolą prowadzona,
Wam na zgubę, i sobie nie na radość — muszę,
Być jak widmem postrachu; zatwardzić mą duszę,
Brodzić we krwi, i w końcu nie ujść śmierci grotu.
Bo nie błyśnie i dla mnie miły dzień powrotu
Do mej strzechy rodzinnej! — Wiele jeszcze, wiele,
Wdów na mnie płakać będzie; wielu z was uścielę
Łoże w zimnej mogile: — lecz i mnie dosięże
Dłoń mego przeznaczenia. — Bierz więc swe oręże,
Broń się! walcz! — Nie unikniesz, co ci Bóg przeznacza,
Lecz biada nędznikowi, co drży i rozpacza! —

MONTGOMERY *(porywając się z ziemi).*

Ha! gdyś i ty śmiertelna, gdy cię dłoń człowiecza
Dosiądz może: — obaczym, czy dla mego miecza
Bóg nie przeznaczył chwały posłać cię do piekła! —
Ja teraz pragnę boju! — ja, furyo wściekła!
Ja! i Bóg mi jest wsparciem! — W Nim moja otucha! —
Ty broń się, i zwij w pomoc piekielnego ducha!
(Porywa miecz i tarczę. — Walczą. — Montgomery upada).

SCENA VIII.

JOANNA *(sama).*

Stało się! Przeznaczenie, nie jam go zabiła!
(Oddala się od niego i stoi w zamyśleniu. — Po pauzie).
Duchu! jakżeś ty straszny! jak twa dziwna siła
Potężnie działa we mnie! — W dłoni mej, tyś męstwo;
W sumieniu, tyś powinność; w sercu, okrucieństwo! —
Dusza płacze z litości — dłoń drży, jakby miała
Burzyć ołtarz w świątyni: gdy ze krwi i z ciała
Stanie przed nią przeciwnik: a wiem, że upadnie,
Że krew lunie mu z piersi, że twarz śmiercią zbladnie! —
Sam błysk miecza mię trwoży, jak łyskanie nieba,
Poprzednicze piorunu; — a jednak, gdy trzeba,
Czuję w sobie moc cudzą, i w mej dłoni drżącej,
Miecz zabija sam przez się, jakby duch żyjący.

SCENA IX.

JOANNA i RYCERZ ze spuszczoną przyłbicą.

RYCERZ.

Ha! tużeś wreście, posłanko szatana!
Tu kres twych guseł, i próżna ich siła!

Broń się, przeklęta! i do swego pana
Idź po zapłatę, za złe, coś zbroiła.

JOANNA.

Szaleńcze! na śmierć idziesz w moje ręce. —
Lecz tyś nie Anglik! tyś syn naszej ziemi!
Burgundzkie barwy i herby książęce!...
Ostrz mego miecza schyla się przed niemi.

RYCERZ.

Ty mi pochlebiasz, piekielna Megero!
Broń się! — Choć czuję, że za twe zaklęcia,
Umrzeć ci raczej pod kata siekierą,
A nie pod mieczem burgundzkiego księcia.

JOANNA.

Tyś więc ów książę?

RYCERZ *(podnosząc przyłbicę).*

Jam jest, na twą zgubę. —
Gmin dotąd pierzchał przed twoim orężem,
Lecz nie mnie zwiodą twoje kłamstwa grube —
Mąż jest przed tobą!

SCENA X.

CIŻ, DUNOIS I LA HIRE wpadając nagle.

DUNOIS.

Mąż niech walczy z mężem,
Nie z niewiastami!

LA HIRE.

Nim świętej Dziewicy
Skroni dosięgniesz, nas wprzód zabić trzeba.

FILIP.

Nie ja się zlęknę guseł czarownicy,
Ni was, co dla niej zrzekliście się nieba! —
Lecz wstyd ci wieczny, synu Orleana!
Wstyd ci, La Hirze! że swój miecz zwycięzki
Czynicie tarczą sprośnych sztuk szatana,
A z siebie giermków wiedźmy czarnoksięzkiej!
Pogardzam wami, i czekam. — Do broni!
Z kim Bóg, ten w czarta nie będzie jasyrze.
(Wszyscy gotują się do walki. — Joanna staje w pośrodku).

JOANNA.

Stójcie!

FILIP.

Ha! nędzna! strach ci mojej dłoni!
(Naciera na Dunois)
Broń się, bo zginiesz!

JOANNA.

Rozłącz ich, La Hirze!
Dość już z stron obu bratniej krwi przelano,
Dość! — lecz nie oręż tę walkę rozstrzygnie.
Inaczej o tem w gwiazdach napisano!
I biada temu, kto go pierwszy dźwignie!
Kto nie uwierzy, i kto nie usłucha
Z ust moich głosu wszechmocnego ducha!

DUNOIS.

Po co wstrzymujesz cios mój sprawiedliwy?
Krew niechaj zdrajcy wstyd Francyi zmaże!

JOANNA *(rozłączając ich, staje znowu w pośrodku).*

Złóżcie broń! mówię, — Bóg, Pan litościwy,
Nie chce krwi waszej — mnie z nim mówić każe.

(Do Filipa) Co chcesz? Filipie! zważ, i przeciw komu
Stoisz z orężem w bratobójczej dłoni? —
On, jak ty, książę francuskiego domu,
On jest twój ziomek, i towarzysz broni!
Jam też nie obca — córka jednej ziemi.
Wszyscy, na których następujesz głowę,
Twoi są. — Powróć, stań pomiędzy niemi,
A poznasz wszystkich! — Serca ich gotowe
Kochać cię; ręce uściskać; kolana
Zgiąć się przed tobą; — bo nawet w potrzebie,
Święta nam w tobie krew naszego pana,
Oręż nasz ostrza mieć nie śmie dla ciebie! —
O! pójdź! wróć do nas! — Czyż dla cię bez ceny
Są cześć i miłość — serc najdroższe dary? —

FILIP.

Dość, dość, obłudna! Śpiew zdradnej syreny
Insze w głąb piekła niech wabi ofiary!
Mnie nie ułudzą szatańskie mamidła,
Przezorny rozum zatkał moje uszy;
I oczu twoich zalotnicze sidła,
Jak z gładkiej zbroi, zemkną się z mej duszy!
Teraz my z sobą! — Dunois! do broni!
Mąż z mężem walczy żelazem, nie słowy.

DUNOIS.

Złą snać ma sprawę, kto się prawdy chroni.
Wysłuchaj pierwej! — Jam zawsze gotowy.

JOANNA.

Patrz wkoło, książę! i sądź, czy nas trwoga,
Czy nas potrzeba u stóp twoich zgina?

Jednem płomieniem gore obóz wroga,
Trupem się jego zasłała równina;
Głos trąb wojennych, jako piorun Boga,
Rozprasza resztę: — naszą jest godzina!
Jako zwycięzcy, sławą i weselem
Chcemy się z dawnym dzielić przyjacielem. —
O! wracaj do nas! Dość mściwej niechęci!
Z nami jest słuszność i błogosławieństwo.
Wy nie widzicie — lecz duchowie święci
Walczą za nami! — Bóg nam dał zwycięstwo!
Bóg ci przeze mnie swą wolę ogłasza,
Przezemnie'ć Jego chce dźwignąć prawica. —
Jako ten nasz sztandar, biała sprawa nasza;
Godłem i hasłem jej — Bóg i Dziewica!

FILIP *(na stronie).*

Umiem znać kłamstwa mamiące wykręty,
Ale jej mowa prosta jest jak dziecka! —
Czyżby i pozór niewinności święty
Wykłamać mogła piekieł moc zdradziecka? —
Nie słucham więcej! — Dunois! do broni!
Ucho me, czuję, jest słabsze od dłoni.

JOANNA.

Zwiesz mię szatanką! Szatańskież to dzieło,
Rozbrajać zemstę, koić serc trucizny?
Piekłoż chce zgody? Onoż mię natchnęło
Żądzą pokoju, miłością ojczyzny? —
Lub się więc zmienił porządek natury,
Że dobrą sprawę wspierać muszą piekła:
Albo — jeżeli jest prawdą, com rzekła, —

Skąd me natchnienie, jeżeli nie z góry?
Kto zstąpił ku mnie, ku biednej pasterce,
I męstwo w piersiach dziewicy rozniecił?
Nadludzki zamiar tchnął w dziecinne serce,
I duszę światłem nadziemskiem oświecił? —
Jam nie wzrastała przed królów obliczem,
Obca mym ustom sztuka słów mamiąca;
Przecież gdy trzeba — gdy tchem tajemniczym
Duch mię owionie: jakby w blasku słońca
Widzę przed sobą cały świat widomy,
Wiem wszystkie rzeczy: — czuję mimowoli
Przeszłość i przyszłość narodów i króli —
A słowa moje wstrząsają jak gromy.

FILIP.

Co mi się dzieje? co za dziwna zmiana!
Moc-że to czarów to wzruszenie budzi? —
Nie! — ta mię postać, ten mię wzrok nie łudzi!
Serce mi mówi: — tyś z nieba zesłana!

JOANNA.

On już wzruszony! stało się! wzruszony —
Twoja w tem, Panie! a nie moja siła! —
Chmura się gniewu we łzy roztopiła,
Pogodą serca świeci wzrok natchniony! —
Precz z tym orężem! — łączmy łzy ze łzami!
On płacze! — Boże! dzięki Ci! — On z nami!

(Miecz i chorągiew wypadają z jej dłoni; bieży do księcia i ściska go. — Dunois i La Hire rzucają również miecze, i śpieszą uściskać księcia).

AKT TRZECI.

Obóz królewski w Chalons nad Marną.

SCENA I.

DUNOIS i LA HIRE.

DUNOIS.

Jesteśmy bracia, towarzysze broni;
Tyleśmy razem wspólnej krwi przeleli,
Nierozerwani w złej i dobrej toni —
Nas-że dziś miłość kobiety rozdzieli?

LA HIRE.

Posłuchaj, książę!

DUNOIS.

Wiem, kochasz Dziewicę
Idziesz twą miłość objawić królowi,
Prosić go o nią. — Król ci nie odmówi;
Król zna twą wierność, twą dzielną prawicę.
Lecz ja — wiedz o tem! — wprzód niźli ją cudzą
Ujrzę, La Hirze!...

LA HIRE.

Wysłuchaj mię, książę!

DUNOIS.

Nie wdzięki lica oczy moje łudzą,
Nie płochy urok serce moje wiąże.
Serce to w bojach zdziczałe od młodu,
Ze strzał miłości urąga pod zbroją.
Lecz ta cudowna zbawczyni narodu,
Ta bohaterka — ta być musi moją!
Przysiągłem sobie przed obliczem nieba.
Bo siłę tylko zdoła pojąć siła;
A w duszy mojej czuję, że jej trzeba
Współczucia drugiej — coby równą była.

LA HIRE.

Któżby twych zasług był tak nieświadomy,
Iżby śmiał z tobą stawać do zawodu? —
Ale zważ, książę! czy stan jej poziomy
Godzien jest twego imienia i rodu?

DUNOIS.

Mojego rodu? Ona jest dziecięciem
Boskiej natury, śród ziemskich padołów!
Onażby równać nie śmiała się z księciem,
Oblubienica niebieskich aniołów?
Którą nad wszystkie ziemskich koron blaski,
Otacza jaśniej święty promień łaski;
Co wszelką wielkość, wszelką jasność ziemi
Widzi poziomą pod stopami swemi? —
O! tam, gdzie ona, na niedoścignionej
Swej wysokości, świeci śród gwiazd koła,
Tam — weź za szczeble wszystkie świata trony,
Dojść nie potrafisz — bez skrzydeł anioła!

LA HIRE.

Król więc rozstrzygnie.

DUNOIS.

Nie! jej własna wola. —
Ona, co wolność wróciła krajowi,
O losie swoim niech sama stanowi! —

SCENA II.

Ciż, Król, Arcybiskup, Agnieszka Sorel, du Chatel i Chatillon.

KRÓL *(do Chatillona)*.

Sam więc przybędzie uznać mię za króla?
Hołd mi swój złożyć?

CHATILLON.

Dziś jeszcze tu stanie.
Wysłał mię przodem, ażebym ci, panie!
Niósł jego lenną cześć i pozdrowienie.

AGNIESZKA.

O! piękne słońce dnia co nam przynosi
Pokój i zgodę, i krzywd przebaczenie!

CHATILLON.

Dwustu rycerzy składa orszak księcia,
Z nimi przed tobą kolano uniży.
Rozumie jednak, że gdy się już zbliży,
Ty jak brat brata przyjmiesz go w objęcia.

KRÓL.

Niczego w życiu nie pragnę goręcej.

CHATILLON.

Książę też prosi, by o tem, co było,
Teraz i nigdy nie wspominać więcej.

KRÓL.

Serce mu moje wszystko przebaczyło.

CHALILLON.

Przebaczyć równie raczysz wszystkim, którzy
Z nim przeciw tobie śmieli podnieść bronie.

KRÓL.

Francya wszystkim serce swe otworzy,
Wszystkich jak dzieci przytuli na łonie.

CHATILLON.

Z matką też twoją, jeśli żądać będzie,
Przyzwolić, panie! zechcesz na ugodę.

KRÓL.

Oby chęć syna mieć chciała na względzie!
Ona to ze mną, nie ja z nią spór wiodę.

CHATILLON.

Dwunastu świadków z pierwszych mężów kraju,
Z obu stron wspólne zaręczą przymierze.

KRÓL.

Niech i tak będzie.

CHATILLON.

A podług zwyczaju,
Gdy arcybiskup, przy świętej ofierze,
Między was jedną hostyę rozdzieli,
Sami przysięgą stwierdzicie układy.

KRÓL.

Niech mi tak święci pomogą anieli,

Jak w sercu mojem niema cienia zdrady! —
Cóż jeszcze książę żąda po mnie?

CHATILLON.

Panie!
Widzę tu męża, którego spotkanie
Mogłoby zatruć pierwszych wzruszeń chwile.

KRÓL.

Rozumiem. *(Do du Chatela)* Musisz odejść, du Chatelu!
(Du Chatel oddala się w milczeniu. — Król przeprowadza go oczyma, nakoniec śpieszy za nim i ściska go).
Nie miej mi za złe! — Ach! ty mi nie tyle
Poświęcić chciałeś, wierny przyjacielu!
(Du Chatel odchodzi).

CHATILLON *(podając zwój pergaminowy).*

Resztę warunków ten pargamin mieści.

KRÓL.

Przyjmuję wszystkie, nie badając treści.
Zwrot przyjaciela cóż godnie opłaci? —
(Do Dunois i La Hire)
Wy ze stem jeźdźców idźcie spotkać braci!
Hełmy swe kwieciem niech stroją żołnierze,
A miasto postać godową przybierze:
Podczas gdy święty głos dzwonów ogłosi,
Że Burgund pokój Francyi przynosi! —
(Głos trąb za sceną. — Paź wchodzi).
Co to jest?

PAŹ.

Książę burgundzki przybywa.

DUNOIS

Śpieszmy go spotkać! *(Odchodzi z La Hir'em i Chatillon'em)*

AGNIESZKA.

O! chwilo szczęśliwa!

KRÓL.

Ty płaczesz, luba! — Ach! i we mnie serce
Ściska się, myśląc, ile krwi rodzinnej,
Ile łez przelać musiał lud niewinny,
Nim on kres bratniej położył rozterce. —
Lecz nie dziś o tem! — Dzień po nocy błyska,
Po burzy słońce i nam zajaśnieje.

ARCYBISKUP *(patrząc przez okno).*

Co za tłum! — Orszak ledwo się przeciska.
Otóż i Filip! — Lud nakształt mrowiska
Kupi się wkoło — z radości szaleje.
Klęczą przed koniem, podnoszą ramiona —
Ha! cóż to? — z konia porwali na ręce!
Niosą w tryumfie! — a kwiaty i wieńce
Zaćmiły niebo jak chmura zielona.

KRÓL.

Dobry lud! jakże prędko zapomina
Krzywd swych i kraju; krwi ojców i dzieci!
Miłość się jego, jak gniew, ogniem nieci,
Wszystkiem dla niego obecna godzina! —
(Do Agnieszki)
Dość łez, najmilsza! uzbrój serce w stałość,
Wróć pokój twarzy! — bo wszystko w tej porze,
Zbyteczna radość, jak zbyteczna żałość,
Równie go zdrażnić jak zawstydzić może.

SCENA III.

Ciż, Filip, Dunois, La Hire, Chatillon i dwaj inni rycerze z orszaku księcia.

(Filip zatrzymuje się w miejscu. — Król porusza się ku niemu, ale go Książę uprzedza, i w chwili, gdy chce ugiąć przed nim kolano, Król przyjmuje go w swe objęcia).

KRÓL.

Pośpiech twój tylko uprzedził nas, książę!
Chciałem cię spotkać; — lecz szybkie masz konie.

FILIP.

Nie dziw! do mojej powinności dążę.
(Ściska i całuje w czoło Agnieszkę).
Wybacz, kuzynko! ale w mojej stronie,
Jest to obyczaj, któremu bez sporu
Piękność ulega.

KRÓL.

Podług naszych wieści,
Na dworze twoim szukać trzeba wzoru
Wdzięcznej godności i krasy niewieściej.

FILIP.

Ze wszystkich skarbów burgundzkiej krainy
To jest najdroższe, czem ją niebo darzy.

KRÓL.

Lecz ty sam, książę! przyznaj się do winy,
Albo się musisz oczyścić z potwarzy:
Że lekceważąc miłość i jej wiarę,
Nie wierzysz w wierność.

FILIP.

Najcięższą swą karę

Ma samo w sobie każde odszczepieństwo! —
Błogo ci królu! żeś się w tem z natchnienia
Pięknego serca, ustrzegł doświadczenia!
(postrzegając Arcybiskupa)
Witaj pasterzu! twe błogosławieństwo
Niech stwierdzi węzły braterskiego związku! —
Dawnom cię widział: — bo chcąc spotkać ciebie,
Trzeba iść, widzę, drogą obowiązku.

ARCYBISKUP.

O! dniu radosny! teraz mię do siebie
Pan niech powoła! — Cóżbym więcej żądał
Widzieć na ziemi, gdym ten dzień oglądał? —

FILIP *(do Agnieszki).*

Mówią, kuzynko! żeś swe dyamenty
Przedać kazała, by mię ścigać zbrojnie. —
O! nie wiedziałem, że duch tak zawzięty
Mieszka w twem sercu. — Lecz już koniec wojnie!
Wraca się wszystko, co było stracone:
Pociechy serca, i ozdoby stroju. —
Patrz! twe klejnoty są też znalezione!...
(bierze z rąk dworzanina szkatułkę i podaje ją Agnieszce)
Na wojnę ze mną były przeznaczone,
Przyjm je ode mnie za godło pokoju! —
(Agnieszka waha się, spoglądając na Króla).

KRÓL.

Przyjm! jest to zakład podwójnej świętości:
Braterskiej zgody, i szczerej miłości.
(Agnieszka płacząc usuwa się na stronę. — Król i wszyscy mocno wzruszeni).

FILIP

(spojrzawszy po kolei na wszystkich, rzuca się w objęcia Króla).

Królu mój!

(W tejże chwili trzej burgundzcy rycerze ściskają się z Arcybiskupem, Dunois i La Hirem. — Król i Filip pozostają przez czas niejaki we wzajemnych uściskach).

FILIP *(po pauzie).*

Jaż cię mogłem nienawidzić?
Ja wroga twoją uwieńczyć koroną...

KRÓL *(przerywając).*

Dość!

FILIP.

Nie! — Występek powinien się wstydzić.

KRÓL.

Dość! — Wszystko przeszło — wszystko przebaczono! —
Był to błąd losu — wpływ gwiazdy złowrogiej.

FILIP.

Naprawię wszystko, wierzaj mi, naprawię!
Francyą całą złożę pod twe nogi:
Żadnej wsi, żadnej lepianki ubogiej
Nie będzie braknąć twych przodków dzierżawie! —

KRÓL.

Gdyśmy złączeni, któż nas zachwiać zdoła? —

FILIP.

Ach! nie wiesz, królu! jak ciężkie zgryzoty
Truły mi duszę śród twych wrogów koła!
(wskazując na Agnieszkę)
Czemuś mi tego nie przysłał anioła?
Samby jej widok wrócił mię do cnoty. —

Lecz teraz, teraz — żaden podstęp wroga,
Żadna moc piekieł — nic nas nie rozdwoi!
Tutaj się kończy moich błędów droga,
Pokój mój, czuję, jest na piersi twojej! —

ARCYBISKUP *(stając pomiędzy nimi).*

A więc, książęta! pokój między wami!
Francya znowu, jak feniks z popiołu,
Wzniesie się — blizny zakryje laurami:
Praca, i ziemia bogata darami,
Wrócą zamożność i miastu, i siołu.
Lecz ci, co przez was i dla was zginęli,
Tysiące ziomków, czyż z mogił swych wstaną?
Lecz łzy, co przez was i dla was wylano,
Któż je powróci tym, co je wyleli? —
Zakwitnie może przyszłe pokolenie,
Lecz przeszłe przez was było łupem zbójców;
Pomyślność synów, nie wskrzesi ich ojców,
Krew ich na wasze opadła sumienie! —
Obyż z niej przecie wyszła wam przestroga,
By nim spór kiedy zaczniecie orężny,
Pomnieli naprzód na ludzi i Boga!
Bo wojnę łatwo rozkiełzna Potężny.
Lecz wojna nie jest jako sokół, który
Pojmawszy zdobycz, posłusznemi pióry
Wraca do łowca na dzwonek mosiężny.
Nie! sęp to dziki, co się krwią rozjada,
I gardzi głosem człowieka; — i biada
Tym, co go puszczą! — A nie zawsze z nieba
Cudowna pomoc zstępuje, gdy trzeba.

FILIP.

Tak, królu! anioł walczy przy twym boku! —
Lecz gdzież jest ona?

KRÓL *(do otaczających).*

Kędy jest Dziewica?
Czyżby się szczęścia chroniła widoku,
Co nam jej własna zjednała prawica? —

ARCYBISKUP.

Nie dla niej, panie! zgiełk dworskiej zabawy.
Gdy ją powinność nie woła na bitwy,
Gdy nic nie może dla Francyi sławy,
W ustroniu za nią przesyła modlitwy.
I w Bogu tylko, przez Boga natchniona,
Żyje dla Boga.

DUNOIS.

Lecz otóż i ona.

SCENA IV.

Ciż i JOANNA w pancerzu, ale bez hełmu i z wieńcem we włosach.

KRÓL.

Pójdź, pójdź kapłanko! w tym świątecznym stroju,
Pójdź stwierdzić związek spojony przez ciebie! —

FILIP.

Onaż to? niegdyś tak groźna w potrzebie,
Tak dziś łagodna, jak Anioł pokoju!
(Do Joanny) Widzisz, spełniłem, com obiecał tobie.
Nie wart żem dzięków?

JOANNA.

O! dziękuj sam sobie!

O! dziękuj Panu! że dziś gwiazdą jasną
Jaśniejesz przed Nim; ty, coś wczoraj jeszcze,
Groźny kometa, nad ojczyzną własną
Rozsiewał światło krwawe i złowieszcze.
(Patrząc dokoła) Wszyscy tu, widzę, radzi i weseli,
A tam smutnego spotkałam w przedsieniu,
Co się kryć musi, i szczęścia nie dzieli!

FILIP.

Któż jest tak winnym, że się nie ośmieli
Dziś nawet w naszem ufać przebaczeniu? —

JOANNA.

Możeż on ufać? — O! powiedz, że może!
I niech się w pełni twa zasługa ziści!
Bo gdy chcesz godnie spełnić dzieło Boże,
Pełń je do końca! — Kropla nienawiści
Sam zdrój zbawienia zamienia w truciznę.
Zdaj miłosierdziu twej zemsty spuściznę! —

FILIP.

Teraz rozumiem.

JOANNA.

I przebaczysz, książę? —
Tak, tak! przebaczysz! — Pójdź tu, du Chatelu!
(Otwiera drzwi i wprowadza du Chatela, który zatrzymuje się opodal).
(Do Filipa) Kto tu odpuścił winowajcom wielu,
Z wielu go grzechów Pan w niebie rozwiąże.

FILIP.

Joanno! wszystko uczynię dla ciebie,
Ale ty nie wiesz, jakiej chcesz ofiary!

JOANNA.

Wiem, że jak słońce, dla wszystkich na niebie,
Jak rosa z nieba, jak wszystkie swe dary
Niebo zarówno dla wszystkich swych dzieci:
Tak miłosierdzie, które jest od Boga,
Na wszystkich spada i dla wszystkich świeci.
Wiem, że przebaczyć i miłować wroga,
Jest to zwycięstwo nad wszystkie zwycięstwa,
Natchnienie łaski, boskość człowieczeństwa!

FILIP.

O! niepojęta! skąd ci moc nade mną?
(Do du Chatela)
Zbliż się! — Przebaczam! — Duchu mego ojca!
Przebacz mi równie, że twój wróg zabójca
Ściska dłoń syna, co cię pomścić miała! —
A wy, bogowie śmierci! których ramię
Sięga szeroko; niech wasz gniew nie pała,
Że wam złożony ślub mej zemsty łamię! —
W waszych tam państwach, gdzie serce nie bije,
Wszystko niezmienne, niezachwiane, wieczne;
Lecz póki człowiek tu czuje i żyje,
Wpływ chwili musi rodzić czucia sprzeczne.

KRÓL *(do Joanny)*.

Com ci nie winien? posłanniczko Boga!
Tyś zawróciła koło mej fortuny;
Ty mi powracasz brata; ty z rąk wroga
Wydzierasz berło; ty wojny pioruny
Gasisz nad nami! — Któryż z ziemskich króli,
Tyle dobrodziejstw, jak warte, odpłaci?

JOANNA.

Bądź ludzkim w szczęściu, jakeś był w niedoli!
Boga za ojca — bliźnich miej za braci! —
Najuboższemu zpośród twego ludu
Czyń sprawiedliwość; strzeż praw i swobody;
A nie pogardzaj nizkim! — bo od trzody
Bóg tobie zesłał spełnicielkę cudu! —
Francya tobie ukorzy się cała,
I będziesz ojcem królów pokolenia;
I wielka będzie ich moc i ich chwała,
Dopóki pycha serca i myślenia
Nie zbluźni Bogu, i ludem nie wzgardzi.
Bo wtenczas! — wtenczas i Bóg się zatwardzi,
I skąd ci pomoc — z pod wieśniaczej strzechy,
Wyzwie mścicieli za mocarzów grzechy!

FILIP.

Gdy ci otwarte przeznaczenia księgi,
Czytaj z nich, Święta! przyszłość mego domu!

JOANNA.

Obok królewskich tron jego potęgi;
Chce wznieść się wyżej: — nie lęka się gromu
Boga, ni ludzi. — Grom przecież uderzy,
Grom przeznaczenia! — Lecz się nie bój zbytnie!
Dom twój nie upadł! — Nie z miecza rycerzy,
Z łona dziewicy szczep jego odkwitnie,
I na dwóch tronach, w pełni majestatu,
Króluje, widzę, znajomemu światu,
Ha! i nowemu! który wola Boża
Kryje dziś jeszcze za zasłoną morza!

KRÓL.

O! mów! czy węzeł, co nas dzisiaj wiąże,
W przyszłe też wieki, dwa bratnie narody
Połączać będzie?

JOANNA.

O! królu! o! książę!
Mocarze ziemi! strzeżcie się niezgody!
Nie budźcie Jędzy! niech w swych lochach drzemie!
Bo raz zbudzoną, kto zdoła powstrzymać?
Z jadu jej smocze rozrodzi się plemię,
Z pożaru pożar będzie się rozdymać! —
Dość! — Obłok stanął u przyszłości progu. —
Cieszcie się z dzisiaj, jutro zwierzcie Bogu!

AGNIESZKA.

Święta Dziewico! ty wiesz myśli moje,
Powiedz, co przyszłe rokują mi lata?

JOANNA.

Duch widzi tylko wielkie dzieje świata,
Własnym twym losem rządzi serce twoje.

DUNOIS.

Lecz jakież szczęście, jakie ziemskie blaski,
Jaka nagroda będzie godną ciebie?
Ty! coś nam zlała zdrój niebieskiej łaski!

JOANNA.

Szczęście prawdziwe mieszka z Ojcem w niebie.

KRÓL.

Lecz dać ci ziemskie, należy od króla.
On cię uczyni celem czci narodu,
On! — I wnet jego dopełni się wola. —
Klęknij, Joanno!

(Joanna przyklęka, Król dobywa miecza i uderza ją nim zlekka po ramieniu).

I z nizkości rodu
Wstań! — Ja król, ciebie, i twój ród, i w grobie
Prochy twych przodków, uszlachcam zarazem!
Lilie białe będą herbem tobie,
Jak są cnót twoich godłem i obrazem.
A nikt z rycerzy, ni książąt, przed tobą,
Nikt, prócz krwi królów, niema mieć pierwszeństwa.
Związek twój będzie najwyższych ozdobą,
A mnie, królowi, zdaj swadźbę małżeństwa!

DUNOIS *(występując)*.

Serce ją moje wybrało już wprzódy,
Nimeś ją, panie! w blask twej łaski odział.
I jeślim godzien tak wielkiej nagrody,
By los mój z ręką chciała przyjąć w podział:
Was samych, królu! i ty mężu Boży!
Wzywam na świadków mej szczerej przysiędze.

KRÓL *(do Joanny)*.

Cuda po cudach Bóg nam w tobie mnoży!
Cóż niepodobnem będzie twej potędze,
Gdy nawet jego — miłości szydercę,
Zhołdować mogłaś?

LA HIRE *(występując)*.

Znam Dziewicy serce,
Pierwszą jej cnotą jest pokora święta.
I jakbądź warta czci, którą odbiera —
Nie ją ułudzi wielkości ponęta,
Nie od niej wzgardy dozna miłość szczera.

Więc chociem prosty rycerz — wybacz, książę!
Wybór jej serca niech nasz los rozwiąże.

KRÓL.

I ty, La Hirze? — Dziewico! dla Boga!
Ledwieś pomogła przejednać mi wroga,
Chcesz-że poróżnić przyjaciół mych? — Oba
Godni są ciebie; — dla obudwóch jedna
Życzliwość moja. — Po co długa próba?
Mów, kto szczęśliwy, co twe serce zjedna?

AGNIESZKA.

Nagłość twa, królu! przeraża Dziewicę,
Rumieniec wstydu widzę na jej czole.
Daj czas, niech sama zbada tajemnicę
Serca swojego! — Ani ją w tem kole
Wyjawić może. — Zostawcie nas same!
Siostrze przed siostrą powróci swoboda,
Ufność przemoże nieśmiałości tamę.
Wyrok jej serca, ja ogłoszę.

KRÓL.

Zgoda! *(Chce odchodzić).*

JOANNA.

Nie, królu! zostań! Nie rumieniec sromu,
Nie żar miłości czoło moje pali.
Nic do zwierzenia nie mam tu nikomu,
Cobym nie rada, by drudzy słuchali.
Umiem czuć wdzięcznie cześć, co mię spotkała;
Alem nie na to wzięła miecz śmiertelny,
Bym krwią mych bliźnich, sobie kupić miała
Książęcą mitrę, albo mirt weselny.

O! nie! mój królu! — Wielkie dzieło Boże,
Co mi na ziemi spełnić przeznaczono,
Czysta dziewica tylko spełnić może. —
Żadnemu z mężów nie mogę być żoną.

ARCYBISKUP.

Azaliż nie wiesz, że na ulgę troski
Pierwszemu z mężów, Bóg niewiastę stworzył? —
W głosie natury, jest głos woli Boskiej.
Gdy dojdziesz celu, co ci Bóg założył,
Rychło, odwykłszy od miecza i zbroi,
Piękniejszy zawód obaczysz przed sobą:
Byś cnót niewieścich dała wzór płci twojej,
Jak byłaś mężom wzorem i ozdobą.

JOANNA.

Ojcze! któż zgadnie przyszłą wolę ducha?
Lecz gdy czas przyjdzie, a poznam, co trzeba:
Serce go moje z pokorą usłucha. —
Tymczasem spełńmy pierwszą wolę nieba!
Król nie jest jeszcze pomazańcem Boga,
Olej mu święty nie namaścił czoła;
Do Reims nam drogę zaszło wojsko wroga —
Tam, bracia! za mną! tam powinność woła! —

KRÓL.

Jedna myśl, widzę, rządzi sercem twojem,
Miłość się przed nią ozwać nie ośmiela.
Lecz gdy kraj cały zakwitnie pokojem,
A w serca ludzi wróci duch wesela:
Wierz mi, że wtenczas twe serce niewieście
Wzbudzi też w sobie uczucia dziś śpiące;

I coś zaczęła zbawiając tysiące,
Szczęściem jednego zakończysz nareszcie.

JOANNA.

Delfinie! takżeś syt już Bożej łaski,
Że chcesz w proch ziemski rzucić jej narzędzie?
Tak-że cię rażą wyższych światów blaski,
Że ziemię tylko mieć umiesz na względzie? —
O! ślepe serca! ludzie małej wiary!
Niebo przed wami działa na odkryte;
Cuda po cudach świadczą jego dary,
A wy w tem tylko widzicie — kobietę! —
Gdzież jest kobieta? gdzie jest ziemska siła,
Aby uczynić, co Pan przez mię czyni? —
Biadaż mi, biada! gdybym się ważyła
Myśleć o sobie: — i cudu sprawczyni,
Ziemskim rozumem mierzyć moje życie!
Biada wam wszystkim, którzy mię kusicie!
Lecz Pan jest ze mną! On mię wziął w opiekę!...
(urywa nagle — i po chwili woła w natchnieniu).
Słyszę głos Jego! — Do broni, mój królu!

SCENA V.

CIŻ I RYCERZ *(wpadając z pośpiechem).*

KRÓL.

Cóż nam przynosisz?

RYCERZ.

Wróg przeszedł przez rzekę,
I szyk bojowy rozwija na polu.

JOANNA.

Do broni! mówię. — Dziś kres jego pysze!

Sami na oślep idą w nasze ręce.
Za mną, kto Francuz! *(Wybiega).*

KRÓL.

Idźmy, towarzysze!
Niech mą koronę zwycięstwem uświęcę! —
Sam jako żołnierz chcę walczyć na czele.
(Do Agnieszki)
Bądź zdrowa, luba! nie płacz!

AGNIESZKA.

O! nie płaczę,
Nie drżę o ciebie! — Bóg nazbyt już wiele
Uczynił dla nas, by tylko rozpacze
Zsyłać miał w końcu! — Jemu ufam śmiele,
Że cię w Reims dzisiaj zwycięzcą zobaczę.
(Wszyscy odchodzą).
(Słychać głos trąb wojennych, który podczas przemiany dekoracyi, coraz w większą wrzawę przechodzi, naśladując zgiełk i zamięszanie bitwy. Orkiestra łączy się z nim przy otwartej scenie, wraz z odgłosem wojennych instrumentów za sceną).

SCENA VI.

Teatr zamienia się w obszerne, otwarte pole, otoczone drzewami. Podczas muzyki widać w głębi szybko przebiegających żołnierzy.

TALBOT wsparty na FASTOLFIE i otoczony żołnierzami — wkrótce potem LIONEL.

TALBOT.

Dość! — pod tem drzewem złóż mię, przyjacielu!
Wracaj do bitwy! — Nic mi już nie trzeba,
A umrzeć umiem.

LIONEL *(wchodząc).*

Co widzę? — o! nieba!

FASTOLF.

Na smutny widok trafiasz, Lionelu!
Wódz nasz umiera.

LIONEL.

Nie daj tego Boże!
(Do Talbota) Dziś nam najbardziej potrzebna twa siła.
Wstań, wodzu! doświadcz, co moc woli może!
Powstań! i rozkaż naturze, by żyła!

TALBOT.

Próżno! nie zmienić, co zły los przeznaczy! —
Tron nasz, dźwigniony tylu prac ogromem,
Wali się w gruzy; — próżno bój rozpaczy
Wiodłem do końca; — patrz! rażony gromem
Leżę, bym nie wstał. — Reims jest już stracony,
Brońcie Paryża!

LIONEL.

Paryż sprzymierzony
Z Delfinem; — właśnie odebrałem gońca.

TALBOT *(odrywając zawiązki ran).*

A więc krwi moja, upływaj do końca!
Bo już mi światło obrzydło słoneczne.

LIONEL *(do Fastolfa).*

Śpiesz unieść wodza na miejsce bezpieczne!
Wróg z całą na nas następuje siłą.

TALBOT.

O! głupstwo gminu! tyś mię zwyciężyło!
Ty! — i nie ludziom walczyć z mocą twoją,
Przed którą same bogi nie dostoją! —
Lecz ty, rozumie! światło niebios tronu!
Ty sprawco świata! ty bóstwo człowiecze!

I cóż ty jesteś? gdy szał zabobonu
Porwie cię z sobą, i w przepaść zawlecze? —
Przekleństwo temu! co w krainie myśli
Szuka wielkości: trwoni moc i lata,
I wierzy planom, gdy je mądrze skreśli! —
Bo szał i głupstwo — to są władzcy świata!

LIONEL.

Przestań, milordzie! Krótkie są twe chwile.
Myśl o wieczności! pojednaj się z Bogiem!

TALBOT.

Gdybyż przynajmniej męskiej uledz sile,
Upaść w zapasach z godnym siebie wrogiem!... —
Lecz stać się pastwą głupstwa i obłudy —
O! to dotkliwsze od śmierci tysiąca! —
Czyż wszystkie nasze ofiary i trudy
Nie były warte — choć lepszego końca? —

LIONEL *(podając mu rękę).*

Żegnaj, milordzie! — Hołd łez i modlitwy
Złożę ci w czasie, gdy mię los ocali.
Teraz powinność zwie mię na plac bitwy,
Gdzie los ojczyzny waży się na szali.
Żegnaj, Talbocie! — Tak! do powitania
Na lepszym świecie, gdzie niema rozstania!
(Odchodzi)

TALBOT.

Stało się! trzeba spłacić dług natury,
Oddać żywiołom, to co z nich powstało! —
Chwila nie minie — a z Talbota, który
Świat niegdyś cały napełnił swą chwałą,
Zostanie tylko — proch! — Tak kończy człowiek!

A cała korzyść światła, co dziedziczym,
Jest — że ze wzgardą, przed zawarciem powiek,
Widzim, że wszystko było tylko niczem!

SCENA VII.

Ciż, Król, Filip, Dunois, Du Chatel i Żołnierze francuscy.

FILIP.

Zwycięstwo nasze!

KRÓL *(postrzegając Talbota).*

Patrzcie! ktoś umiera!
Śpieszcie dać pomoc! gdy już nie daremnie.
(Żołnierze francuscy zbliżają się do umierającego).

FASTOLF *(zastępując im drogę).*

Precz stąd! szanujcie zwłoki bohatera,
Przed którym w życiu drżeliście nikczemnie!

FILIP *(zbliżając się).*

Co widzę? Talbot!

FASTOLF.

Oddal się, Filipie!
Niech zgonu męża wzrok zdrajcy nie brudzi!
(Talbot wlepia wzrok w Filipa i kona).

DUNOIS.

Toż ten, tak ufny w męstwie i dowcipie,
Że za nic ważył i Boga i ludzi? —
Straszny Talbocie! jak ci teraz mało
Ziemi potrzeba! — a dziś jeszcze rano,
Francyi całej nie dosyć się zdało! —
(Do Króla) Teraz cię królem witać mogę śmiało!

Bo szczęście zawsze groziło odmianą,
Póki duch żywy poruszał to ciało.

KRÓL.

Nie my, moc wyższa zmogła cię, rycerzu!
Na ziemi Franków, jak na swym puklerzu,
Coś i konając nie chciał puścić z dłoni,
Ległeś, byś spoczął! — I ona cię przyjmie
Do swego łona. — Tu, gdzie kres twej broni,
Tu grób ci wzniesiem, — a samo twe imię,
Sam ten grób, w środku państw naszych dzierżawy,
Stanie za pomnik twych czynów i sławy.

FASTOLF *(zbliża się i oddaje miecz).*

Przyjm, panie! — jestem twym jeńcem.

KRÓL *(nie przyjmując).*

Nie, wcale!
Świętą powinność umiem czcić i w wojnie.
(Do żołnierzy angielskich)
Idźcie, i wierni wodza swego chwale,
Cześć mu ostatnią oddajcie spokojnie! —
(Fastolf z żołnierzami odchodzi).
Ty, Du Chatelu! śpiesz, nie tracąc chwili,
Śpiesz do Agnieszki! — uspokój jej trwogę!
Powiedz, że żyjem; żeśmy zwyciężyli;
Że ją w Reims czekam. — Ty jej wskażesz drogę.
(Du Chatel odchodzi).

SCENA VIII.

Ciż i La Hire.

DUNOIS *(do wchodzącego).*

Gdzież jest Dziewica?

LA HIRE.

Właśnie pytać chciałem.
Przy tobie była wpośród bitwy pola.

DUNOIS.

W twojej ją straży zostawić mniemałem,
Gdym z jazdą poszedł na obronę króla.

FILIP.

Przed chwilą jeszcze śród zastępów wroga,
Widziałem zdala jej chorągiew białą!

DUNOIS.

Biada nam! gdzież jest? — Jakaś myśl złowroga
Trwoży mię o nią; — drżę, by nazbyt śmiało
Nie wpadła w tłumy, gdy nikt nie był przy niej.

KRÓL.

Do broni! śpieszmy na odsiecz zbawczyni!
(Odchodzą).

SCENA IX.

Inna, pusta okolica bitwy. — W oddaleniu widać wieże miasta Reims, oświecone słońcem.

RYCERZ w czarnej zbroi, ze spuszczoną przyłbicą, wchodzi cofając się. — JOANNA ściga go aż na przodek sceny, gdzie on staje i czeka na nią.

JOANNA.

Ha! nędzny! teraz doszłam twych podstępów!
Chciałeś ocalić resztę twoich braci,
Uwieść mię zdala od waszych zastępów. —
Lecz krew mi twoja tę zdradę zapłaci

CZARNY RYCERZ.

Po cóż mię ścigasz? — Pocoś tak, jak widzę,
Zawzięta na mnie? —

JOANNA.

Bo cię nienawidzę.
Bo jak noc piekieł, której nosisz barwę,
Sama twa postać wściekłość budzi we mnie. —
Zedrzyj z twej twarzy tę szatańską larwę,
Co cię mym oczom chce ukryć daremnie!
Mów, ktoś jest? — Gdybym nie widziała w boju,
Jak tuż przedemną, choć nie moim grotem,
Legł mężny Talbot: — z postaci i stroju
Mogłabym wnosić, żeś ty jest Talbotem.

CZARNY RYCERZ

Nic-że ci wewnątrz nie mówi głos ducha?

JOANNA.

Ha! skąd wiesz o tem, że mi złem zagraża? —
Lecz duch mój tylko głosu Boga słucha!
Groźba złych duchów, czystych nie przeraża.

CZARNY RYCERZ.

Joanno! słuchaj! — Duch ci prawdę wróży.
Oto Reims! — Nie wchodź! — złóż oręż przed bramą!
Szczęście nikomu do końca nie służy —
Puść je od siebie — nim odbiegnie samo! —

JOANNA.

I któż ty jesteś, co mi na pół drogi
Radzisz opuścić nieskończone dzieło?
Mnież to rozumiesz zachwiać widmem trwogi,
Mnie, którą niebo swem męstwem natchnęło? —

CZARNY RYCERZ.

Siła się tobie nie oprze człowiecza,
Lecz jest moc wyższa, co i tobą władnie.

JOANNA.

Żadna, prócz Boskiej! — i nie złożę miecza,
Aż tron Lankastra w proch się nie rozpadnie.

CZARNY RYCERZ.

Złóż broń! powtarzam — ostrzegam raz jeszcze.
Nie wchodź do miasta!

JOANNA.

Milcz, widmo piekielne!
Mów kto ci natchnął te groźby złowieszcze?
Mów, lub giń! *(podnosi miecz jak do cięcia).*

CZARNY RYCERZ
(dotyka ręką Joannę, która staje nieruchoma).

Zabij to co jest śmiertelne! —

(Nagła ciemność — uderzenie piorunu — Rycerz znika).

JOANNA *(z przerażeniem).*

To nie był człowiek! — Zwodna mara piekła
Wyszła z przepaści, by mi zachwiać serce,
Bym się mej świętej powinności zrzekła! —
Lecz mnież to — Boga mojego rycerce,
Mnież to wszechmocnej nie ufać potędze? —
O! niech się cała moc piekieł sprzysięże,
Pan mój jest ze mną! — wierna mej przysiędze,
W Nim ufać będę, i przezeń zwyciężę!

(Chce odchodzić).

SCENA X.

LIONEL I JOANNA.

LIONEL *(wchodząc).*

Przeklęta! broń się! — bo jedno z nas obu
Zginąć tu musi. — Krew tysiąca braci,
Szlachetny Talbot z przedwczesnego grobu
Woła o pomstę; — miecz ci mój odpłaci! —
I byś wiedziała, zwodzicielko podła!
Że mię nie splątasz w guseł twoich matni:
Jam jest Lionel — wojska wódz ostatni! —
Walcz, i klnij chwilę, co cię ze mną zwiodła!

(Walczą. — Po krótkiej chwili Joanna wytrąca mu miecz z ręki).

Niewierne szczęście! *(Pasuje się z nią).*

JOANNA *(porywa go lewą ręką za pióro od hełmu i zdziera mu hełm z głowy, tak, że twarz jego odsłania; w prawej ręce podnosi miecz jak do ciosu)*

Miej więc, czegoś żądał!

(W tej chwili spogląda mu w oczy; wzrok jego mięsza ją nagle i jakby przeraża. Staje nieporuszona, i powoli opuszcza rękę).

LIONEL.

Uderz, przeklęta! — Próżno będziesz czekać;
Nie przyjdzie nigdy dzień, coby oglądał
Pokorę moją. — Uderz!

(Joanna daje mu znak ręką, aby się oddalił).

Mam uciekać?
Przed tobą? — Nigdy! — Stokroć umrzeć raczej!

JOANNA *(z odwróconą twarzą).*

Nie chcę pamiętać, żeś był w mojej mocy.

LIONEL.

Nie! — Gardzę tobą! nie chcę twej pomocy! —

JOANNA.

Zabij mię, a uciekaj!

LIONEL.

Cóż to znaczy?

JOANNA *(zakrywa twarz rękoma).*

Biada mi!

LIONEL.

Mówią, że każdego jeńca
Zabijać zwykłaś. — Czemuż mnie jednego
Ocalasz?

JOANNA *(w gwałtownem poruszeniu podnosi miecz, ale spojrzawszy mu w oczy, znowu go opuszcza).*

Boże! wspieraj mię!

LIONEL.

Jakiego
Śmiesz wzywać Boga? — Nasz Bóg nie uświęca
Czarów piekielnych! —

JOANNA *(w najgwałtowniejszej boleści).*

Cóżem uczyniła! —
Ślub mój złamany! — *(załamuje ręce z rozpaczą).*

LIONEL *(spogląda na nią z politowaniem, i zbliża się do niej)*

Co się dzieje ze mną? —
Ty płaczesz! — Jakaś niepojęta siła
Gniew mój rozbraja! — Czuję, że daremno
Chcę nienawidzieć! — Ktoś ty, tajemnicza?

JOANNA.

Uciekaj! —

LIONEL.

Piękność twojego oblicza
Chwyta mi serce. — Chcę cię zbawić — muszę!
Pójdź ze mną! — zerwij piekielne sojusze!
Rzuć ten miecz! —

JOANNA *(z przerażeniem).*

Ja mam iść z tobą?

LIONEL.

Czas drogi!
Nie trać go! — idźmy!
(Pokazuje rękojeść swego miecza) Na to znamię krzyża!
Zaklinam — każę — rzuć ten miecz złowrogi!
Idźmy! *(porywa ją za rękę).*

JOANNA.

Co widzę? — Dunois się zbliża! —
Uchodź, nieszczęsny! Czuję, że twej zguby
Przeżyć nie zdołam.

LIONEL.

Jestżem ci więc luby?

JOANNA.

Święci niebiescy!

LIONEL.

Spotkamyż się jeszcze?

JOANNA.

Nie! — nigdy, nigdy!

LIONEL.

Spotkamy się! — ręczę.
Przeczucia serca nie mylą mię wieszcze. —
Twój miecz na zakład! *(wydziera jej miecz).*

JOANNA.

Co czynisz? szaleńcze!

LIONEL.

Kocham cię! — Ufaj rycerskiemu słowu:
Będę cię szukał — spotkamy się znowu! —
(Odchodzi).

SCENA XI.

LA HIRE, DUNOIS I JOANNA.

LA HIRE.

To ona! — żyje!

DUNOIS.

Wszędzie cię szukamy.

LA HIRE *(patrząc w stronę, gdzie odszedł Lionel).*

Któż to uchodzi? — Ha! znam go zdaleka,
To jest Lionel!

DUNOIS.

Mniejsza! niech ucieka!
(Do Joanny)
Zwycięstwo nasze! Reims otwiera bramy.
Lud cały tłumnie, z radości wyrazem,
Spotyka króla! — Pójdź z nami, Joanno!
(Podaje jej rękę. — Joanna chwieje się i ma upaść).

LA HIRE *(podchwytując ją).*

Cóż to jest? — Przebóg! Dziewica jest ranną!
Krew jej upływa!

JOANNA.

Oby z życiem razem!
(Upada zemdlona na ręce La Hira).

AKT CZWARTY.

Scena w Reims.

SCENA I.

Wspaniale ozdobiona sala; kolumny otoczone girlandami. Za sceną słychać oboje i flety.

JOANNA *(sama).*

Umilkł szczęk broni, przeszła groza wojny,
Po krwawych znojach wraca pokój miły.
Do świątyń Pańskich lud tłoczy się strojny,
Ganki i ołtarz kwieciem się okryły.
Wszędzie wesołość, albo wczas spokojny,
Nęcą po mieście lud zdala przybyły;
Reims nie ogarnie niezliczonych gości,
Na wielkie święto chwały i radości.

A wszystkie serca jednem czuciem gorą,
A z wszystkich oczu bije blask wesela.
Co gniew i zemsta dzieliły przed porą,
Razem dziś szczęście i radość podziela.
Frank, co drżał tylko i cierpiał z pokorą,
Olbrzymem wzniósł się nad nieprzyjaciela.

Francya, krusząc pęta swej niewoli,
Wita na tronie potomka swych króli!

A ja! — ja jedna! — ja, com to zdziałała!
Mnie jednej szczęście tych wszystkich nie wzrusza! —
Moc potężniejsza serce mi wyrwała,
W obozie wrogów uwięzła ma dusza! —
W proch mię poniża dawana mi chwała,
Hołdem jej zgryzot jątrzy się katusza.
Stronię od braci, uciekam z ich koła,
By ukryć rozpacz i wstyd mego czoła! —

Kto? ja? w piersi mej dziewiczej
Nosić obraz męża? — Ja? —
Światłoż Łaski tajemniczej
W ziemskiem czuciu zgasnąć ma? —
Ja ludu mego pasterka,
Ja Boga mego rycerka,
Ja goreć miłością wroga?... —
I nie ściągnęż niebios gromu?
I nie spłonęż ogniem sromu,
Przed okiem ludzi i Boga? —
(Muzyka przechodzi zwolna w miękką, rzewną melodyę).
Biada, biada! co za tony!
Dźwięk ich, czuję, urzekł mnie.
W każdym, zda się, ulubiony
Głos z wiatrami ku mnie tchnie! —

Oby mnie porwał szał wojny człowieczej!
Oby usłyszeć świst strzał i szczęk mieczy!
Śród nichby może nanowo ożyła
Duszy mej siła!

Lecz te dźwięki! lecz te nuty!
Myśl ich echem tylko brzmi.
Dusza mdleje od tęsknoty,
Serce taje w żalu łzy! —

(Po pauzie z żywością)
Miałażem zabić? mogłażem go zabić,
Widząc te oczy, ten wyraz oblicza?...
O! wprzódbym na się cios wolała zwabić! —
Zbrodniąż jest ludzkość i litość dziewicza? —
Ha! ludzkość, litość! Czułażeś je wprzódy,
Gdy cię posłano nieść mord na morderce?
Czułażeś litość, gdy Walijczyk młody
Błagał cię o nią? — Milcz, milcz, podłe serce!
Nie kłam przed Bogiem! — On zna prawdy skrytość.
Nie kłam nikczemnie! — To nie była litość! —

Na cóż mi było patrzeć w jego lice? —
Bóg chce mieć ślepe woli swej narzędzia.
Jam śmiała spojrzeć! — Przeklęte źrenice!
Z ojca i stróża, został tylko — sędzia!
(Głos fletów odzywa się znowu. — Joanna w smutnem pogrążona dumaniu. — Po pauzie).
Obym cię nigdy, lasko pastusza,
Nie zamieniła na miecz wojowniczy!
Czemuż cię, czemu, prosta moja dusza
Słuchać musiała, dębie tajemniczy?! —
Królowo Niebios! oby twój przeczysty
Nigdy przede mną nie zjawił się blask! —
Odbierz go, odbierz twój wieniec gwiazdzisty!
Jam jest grzesznica niegodna twych łask.

Jam widziała śmiertelnemi,
Chwałę niebios, oczyma;
Przecież cel mój jest na ziemi,
W niebie dla mnie go niema! —

Ciężkie, ciężkie powołanie,
O! Wszechmocny! na mnieś włożył! —
Jaż zatwardzić jestem w stanie
Serce, któreś tkliwem stworzył? —

Chcesz okazać moc twą światu,
Masz twe duchy, masz anioły!
Ich, z twej chwały majestatu,
Na śmiertelne szlij padoły!
Im, zleć woli twojej czyny!
Im wybranym — co bez winy,
Co bez serca — nieskalani,
Nieśmiertelni, niezachwiani
Ziemską trwogą, ni rozpaczą,
Ani czują, ani płaczą!
Nie dziewicy, nie pasterce,
Kładź ten ciężar na jej serce! —

Co mi do losów krajów i król?
Co mi do ludów niezgody? —
Swobodna, rada z ubogiej doli,
Wesoło pasłam me trzody.

Tyś mię wyrwał z pod mej strzechy,
Ty na krwawy popchnął bój! —
Mojeż za to będą grzechy?... —
Ach! to nie był wybór mój! —

SCENA II.

AGNIESZKA SOREL I JOANNA.

AGNIESZKA *(wbiega w najwyższem poruszeniu, i postrzegając Joannę rzuca się jej na szyję; lecz w pierwszej chwili cofa się, i upada na kolana przed nią).*

Nie, nie tak! — W prochu...

JOANNA.

Co czynisz?

AGNIESZKA.

Wesele,
Zbytek wesela przepełnił mą duszę.
Szukam cię — z Bogiem podzielić je muszę,
Niewidomego czczę w tobie, aniele! —
Pójdź, skończ twe dzieło! ty sprawczyni cudu!
Król, pan mój, Karol, śród swych parów koła,
Wodzowie, wojsko, tłum radośny ludu,
Czekają na cię, by iść do kościoła. —
Ja to widziałam! — ja słyszałam zdala
Okrzyk tryumfu narodu i miasta! —
O! zbytek szczęścia tłoczy mię, przywala!...
Ratuj mię, wspieraj! bom słaba niewiasta.
(Joanna podnosi ją zwolna w milczeniu. Agnieszka wpatruje się w nią z podziwieniem, i po chwili).
Aleś ty smutna? — Szczęścia, coś nam dała,
Nie dzielisz sama? — Nie dziw! twoja dusza,
Co nieśmiertelny blask niebios widziała,
Ziemską się naszą radością nie wzrusza.
(Joanna ujmuje ją za rękę, ale wnet ją znowu opuszcza).
O! gdybyś chciała czuć sercem kobiety!... —

Lecz precz ten oręż! precz hełm z twego czoła!
Nie gardź słodszemi płci twojej zalety! —
Miłość się zbliżyć nie śmie i nie zdoła,
Póki w twych ręku lśni miecz archanioła.

JOANNA.

Czego chcesz po mnie?

AGNIESZKA.

Złóż oręż i zbroję,
Daj się miłości z twem sercem oswoić!
Stań się niewiastą! —

JOANNA.

Ja mam się rozbroić? —
Teraz? — O! wiedź mię na mordy i boje!
Na groty wrogów! — tam ja się rozbroję,
Tam! — Ale teraz! — murem nie żelazem
Kryć mi się od was — i od siebie razem!

AGNIESZKA.

Dunois kocha ciebie. — Ach! czyż szczera
Miłość serc takich ma goreć daremnie? —
Pięknie jest zyskać miłość bohatera,
Lecz piękniej stokroć kochać go wzajemnie!

(Joanna odwraca się ze wstrętem).

Wzdrygasz się? Cóż to? — Miałażbym się brzydzić
Hołdem rycerza? — Nie! — Możesz odrzucić,
Możesz nie kochać: — lecz go nienawidzieć!...
Nie! nigdy, nigdy! — Nienawiść ocucić
Może ten tylko, co nam chce wydzierać
Cel uczuć naszych. — Ty go jeszcze nie masz —
Lecz w najgodniejszych, chciej, możesz wybierać.

JOANNA.

Załuj mię! — jestem biedniejsza niż mniemasz.

AGNIESZKA.

Ty? — i cóż jeszcze braknie szczęściu twemu? —
Stargałaś kraju niewolnicze pęta,
Król przez cię stoi zwycięzcą śród Remu,
Tyś jest boginią twej ojczyzny święta!
Milion serc dla cię jednem czuciem płonie. —
Król w całym blasku swego majestatu,
Nie jest tak wielkim, jak ty, której skronie
Bóg opromienił swą łaską tajemną!

JOANNA.

Milcz! dość! — O! ziemio! rozstąp się pode mną!

AGNIESZKA.

Joanno! przebóg! cóż ta rozpacz dzika
Znaczy w twych ustach? — Ach! komuż z nas, komu
Czuć dzisiaj radość, gdy cię żal przenika? —
Mnie to, mnie trzeba płonąć ogniem sromu,
Mnie, com przy tobie tak niska i mała,
Że nie śmiem spojrzeć do twej wysokości! —
Bo znaj mą słabość! — Nie ojczyzny chwała,
Nie szczęście braci, nie tryumf jedności,
Nie to, nie! wzrusza duszę moją biedną!
Nim tylko jednym i sobą zajęta,
We wszystkiem widzi, czuje tylko jedno:
On pan tych ludów, on cel tego święta!
Jemu koronę i laurowy wianek
Zesłało niebo! — On mój — mój kochanek!

JOANNA.

O! tyś szczęśliwa! — Szczęśliwa dziewico!
Kochasz, gdzie wszystko kocha razem z tobą.
Miłość twa nie drży przed ludzką źrenicą,
Ona ci szczęściem i razem ozdobą.
Słyszysz ten okrzyk, to radości echo,
One bolesnym nie rażą cię wstrętem;
Pociecha braci, jest twoją pociechą,
Święto narodu, jest twych uczuć świętem.
We wszystkiem tylko masz nowe ogniwo
Szczęścia twojego, z ojczyzną szczęśliwą;
A On, najwyższy, jak słońce na niebie,
Świecąc dla wszystkich — kocha tylko ciebie!

AGNIESZKA *(rzuca się jej na szyję).*

Joanno! jam się myliła! — Ty czujesz,
Ty znasz co miłość! ty mnie tak pojmujesz!
Wszystkieś tajniki mej duszy przenikła.
Dotąd cię tylko czcić byłam nawykła,
Teraz cię kocham! — O! gdybyż wzajemnie!

JOANNA *(wyrywając się jej z objęć).*

Odstąp, nieszczęsna! uciekaj ode mnie!
Chroń się zabójczej tchu mego zarazy,
Idź, bądź szczęśliwa!

AGNIESZKA.

Dziwne twe wyrazy!
Badać ich nie śmie dusza czcią przejęta. —
Aleś ty dla mnie zawsze niepojęta!
Nie dziw! któż z ludzi zrozumie lub zgadnie,
Co w duszy świętych ukrywa się na dnie? —

JOANNA.

Świętych? — Niebaczna! — Tyś czysta, tyś święta! —
Gdybyś zajrzała w otchłań mego serca,
Każdy twój wyraz zdałby się bluźnierca! —

SCENA III.

Też, Dunois, Du Chatel i La Hire z chorągwią Joanny.

DUNOIS.

Szukamy ciebie, Joanno! — Król żąda,
Byś pierwsza przed nim święte niosła znamię,
Bo jak sam czuje, chce niech świat ogląda,
Że twoje tylko zbawiło go ramię.

LA HIRE.

Oto chorągiew! Spiesz! bo chwila droga.

JOANNA.

Ja iść przed królem? — Ja ją nieść? —

DUNOIS.

Któż inny
Śmiałby się mniemać, że jest dość niewinny,
By miał tknąć znamię posłanniczki Boga? —
Tyś z niem do zwycięztw przodkowała w boju,
Ty nam wskaż drogę szczęścia i pokoju!

(La Hire chce jej podać chorągiew. — Joanna odwraca się ze wstrętem).

JOANNA.

Precz z nią! precz!

LA HIRE.

Cóż to? czyż ci nie znajomy
Sztandar twój własny? obraz Matki Bożej? —

(Roztacza chorągiew).

JOANNA *(poglądając na nią, z rozpaczą).*

Ach! tak! — to Ona! — patrzcie, jak się sroży!
Jak z ócz jej biją płomieniste gromy!

AGNIESZKA.

Co ci jest? przebóg! — Urojeń mamidło,
Czcza jakaś mara obłąkała ciebie. —
Patrz! wszak to tylko ziemskie malowidło,
Sama Najświętsza, z aniołami w niebie!

JOANNA *(z okiem wlepionem w chorągiew).*

Przyszłażeś znowu, by gromić grzesznicę? —
Karz, karz! jam winna! jam cierpieć gotowa!
Ale te gniewu twego błyskawice —
Któż je wytrzyma?

DUNOIS.

Przebóg! co za mowa!

LA HIRE *(do du Chatela).*

Cóż sądzisz o tem?

DU CHATEL.

Nie śmiem rzec, co myślę,
Lecz nie od dzisiaj już mię ta myśl trwoży.

DUNOIS.

Jaka myśl?

DU CHATEL.

Sam jej nie chcę badać ściśle.
Bóg daj! niech tylko król koronę włoży!

LA HIRE *(do Joanny).*

Jak to? czyż powiew tajemniczej trwogi
Z sztandaru twego i ciebie pochłania? —

O! niechaj przed nim drżą Francyi wrogi!
Nam on jest zawsze godłem zmartwychwstania!

JOANNA.

Tak! prawdę mówisz! — tak! niechaj drżą wrogi!
(Słychać marsz koronacyjny za sceną).

DUNOIS.

Bierz więc chorągiew! Śpiesz! bo czas jest drogi.
(Przymuszają ją do wzięcia chorągwi. — Joanna porywa ją nakoniec z gwałtownością i odchodzi; wszyscy za nią).

SCENA IV.

Teatr zmienia się, i przedstawia otwarty plac przed kościołem katedralnym. Tłum ludu zapełnia głąb sceny; ze środka jego wychodzą BERTRAND, STEFAN i KLAUDYAN. Słychać zdaleka muzykę koronacyjnego marszu.

BERTRAND.

Słyszycie granie? — To oni! — już blisko!
Pójdźmy pod kościół! — tam najlepiej z boku
Będziemy widzieć całe widowisko.

STEFAN.

Gdzie tam! nie sposób przecisnąć się w tłoku!
Zostańmy lepiej gdzie stoim; toć przecie
I stąd coś ujrzym.

KLAUDYAN.

Jak żyję na świecie,
Nigdym nie widział tyle razem ludu.

BERTRAND.

Cóż za dziw? Któżby nie chciał widzieć cudu,
Nie święcić święta narodowej sławy? —

A rzecz też słuszna, aby król nasz prawy
Nie mniejszy przecież miał orszak, niżeli,
Co go w Saint-Denis królem zrobić chcieli;
I by mu każdy, w czyich piersiach bije
Serce francuskie — krzyknął dziś: „Niech żyje!“

SCENA V.

Ciż, Anna i Aniela *(wychodzą z tłumu)*.

ANIELA.

Ach! moja Anno! będziem ją widziały!
Serce me, czuję, to raz drży, to skacze.

ANNA.

Ujrzym ją w blasku wielkości i chwały!

ANIELA.

Wiesz ty co, siostro? Póki nie zobaczę,
Nie mogę jakoś wierzyć w sobie szczerze,
Żeby ta, którą cały świat ogłasza,
Której słuchają sam król i rycerze,
Żeby to była ona — siostra nasza!

ANNA.

Wątpisz? — Za chwilę obaczymy same.

BERTRAND *(patrząc w stronę)*.

Już idą! przeszli tryumfalną bramę!

SCENA VI.

MARSZ KORONACYJNY.

Muzycy z obojami i fletami idą na czele orszaku. — Po nich Dzieci, ubrane biało, z palmami w ręku. — Za niemi dwaj Herołdowie. — Dalej poczet Halabardzistów. — Członkowie Magistratu w obrzędowych togach. — Dwaj Marszałkowie z laskami w ręku. — Książę Burgundzki niosący miecz koronacyjny. — Dunois z berłem. — Inni Dygnitarze z koroną, jabłkiem i laską sądową, inni z ofiarnymi darami. — Za nimi Rycerze w obrzędowych strojach. — Chłopcy choralni z kadzielnicami. — Księża. — Dwaj Biskupi ze świętą ampułką. — Arcybiskup reimski z krucyfiksem w ręku. — Za nim Joanna z chorągwią; idzie zwolna niepewnym krokiem, ze spuszczoną głową. *(Siostry na jej widok dają sobie nawzajem znaki radości i podziwienia).* — Za nią Król pod baldachimem, niesionym przez czterech Baronów. — Dalej Dworzanie i Żołnierze zamykający orszak. — *(Gdy wszyscy wnijdą do kościoła, muzyka ustaje).*

SCENA VII.

Anna, Aniela, Klaudyan, Stefan i Bertrand.

ANNA.

Widziałeś siostrę?

KLAUDYAN.

Ta, co szła we zbroi?
Z chorągwią w ręku?

ANNA.

Tak jest, tak! to ona!
Nie myśli pewno, że ją widzą swoi.

ANIELA.

Ależ, mój Boże! jaka zamyślona!
Jak cała drżąca! — jakby czuła trwogę. —
Widząc ją nawet, cieszyć się nie mogę.

ANNA.

Ktoby mógł myśleć, znając ją w Dom-Remy,
Gdy za trzodami chodziła po polu,

Że ją tak ujrzym oczyma naszemi,
W takiej świetności, i pierwszą po królu?

ANIELA.

Pamiętasz przecie, co się ojcu śniło,
Że w Reims jej będziem kłaniać się w kościele. —
Toż Reims — to kościół — wszystko się spełniło!
Lecz w śnie tym było i złych marzeń wiele. —
Ach! strach mię o nią, że jest tak wysoko!

BERTRAND.

Cóż tu stoimy? Trzeba wejść do środka,
Widzieć jak króla w purpurę obloką.

ANNA.

Tam może łatwiej dojrzy nas lub spotka.

ANIELA.

Darmo! tłok taki! ludzi jak w mrowisku! —
Wracajmy raczej! — Wszakżeśmy widziały
Siostrę; — dość na tem.

ANNA.

Jak to? bez uścisku?
Bez powitania?

ANIELA.

Czyż będziemy śmiały
Zbliżyć się do niej w tej prostej odzieży? —
Ach nie! już ona do nas nie należy.
Miejsce jej teraz z królmi i panami!
Któż my jesteśmy, by się równać do niej? —
Obcą nam była będąc jeszcze z nami.

ANNA.

Myślisz, że wzgardzi? że się nas zapłoni?

BERTRAND.

Wzgardzić?... Król królem, a nikim nie gardzi,
Wita się z każdym; — a onaż tem bardziej!...
Bo niechaj będzie jak chce wywyższona,
Król przecież zawsze jest wyższy jak ona.

(Z głębin kościoła słychać huk trąb i kotłów).

KLAUDYAN.

Ależ się śpieszmy! bo już późno będzie.
A żal byłoby nie być na obrzędzie.

(Oddalają się w głąb sceny i gubią się w tłumie).

SCENA VIII.

TEOBALD wchodzi, ubrany czarno. — RAJMUND idzie za nim i chce go zatrzymać.

RAJMUND.

Nie idź tam ojcze! zostańmy na boku,
Trudno ci będzie między taką rzeszą.
Albo wracajmy! — Z twoim smutkiem w oku,
Co tu masz czynić, gdzie się wszyscy cieszą?

TEOBALD.

Widziałeś moje nieszczęśliwe dziecię? —
Czy uważałeś? —

RAJMUND.

Dość o tem!

TEOBALD.

O! biada!
Czy uważałeś? — czy widziałeś przecie
Jak drżała idąc? — jak smutna, jak blada? —

Nieszczęsna! czuje sama czego warta. —
Lecz jeszcze pora! ratować ją muszę. *(Chce iść).*

RAJMUND *(zatrzymując).*

Stój! co chcesz czynić?

TEOBALD.

Skruszyć jarzmo czarta,
Gwałtem do Boga nawrócić jej duszę!
Strącić ją z szczytu wielkości i grzechu,
Której swe wieczne szczęście poświęciła!...

RAJMUND.

Ach! ojcze! bój się zbytniego pośpiechu!

TEOBALD.

Mniejsza o ciało, byle dusza żyła!

(Joanna wybiega z kościoła bez chorągwi. Lud ciśnie się ku niej; klękają przed nią, całują jej szaty; natłok zatrzymuje ją w głębi sceny).

TEOBALD.

To ona! — Patrzaj! ucieka z kościoła!
Trwoga ją wnętrzna z świętych miejsc wygania.
Patrz, jaka blada! — trąba archanioła
Brzmi już w jej duszy na sąd zmartwychwstania!

RAJMUND.

Bądź zdrów! okrutny! idziesz krzywo świadczyć.
Żal twój ma za nic przyjaciela słowo. —
Bądź zdrów! — Ach! na toż miałem ją zobaczyć,
Abym czuł tylko, że tracę nanowo! — *(Odchodzi).*

(Teobald usuwa się w przeciwną stronę sceny).

SCENA IX.

JOANNA, LUD, potem ANNA i ANIELA.

JOANNA

(wydziera się z tłumu, i postępuje szybko na przód sceny).

Nie mogłam zostać! nie! — organ mię głuszy,
Jak huk piorunów; kościół zda się cały
Wali się na mnie; — piekło w mojej duszy! —
O! nie mnie teraz nieść mój sztandar biały!
Tam na ołtarzu oddałam go Bogu. —
Tu jakoś lepiej! — tu oddychać mogę;
Tu śmielej!... O nie! nie myśleć o wrogu,
Nie! — pragnę tylko uspokoić trwogę. —
Czy mi się zdało? czy przed chwilą w tłoku
Widziałam siostry? — Byłoż to w istocie?
Czy tylko widmo pożądane oku,
Przyszło urągać, czy ulżyć tęsknocie? —
Ach! tak, tak! — po co łudzić się daremnie?
One daleko, daleko ode mnie!
Jak moje szczęście, moja młodość ranna!...

(Anna i Aniela wchodzą).

ANNA *(do Anieli).*

Patrz, patrz! to ona!

ANIELA *(biegnąc ku Joannie).*

To nasza Joanna!

JOANNA.

To wy! O! siostry! o najmilsze moje!
Więc to nie mara? — Nie! sen mię nie łudzi! —
O! co za rozkosz spotkać serca swoje,
Śród tej pustyni nieznajomych ludzi!

ANNA.

A co? Anielo! — czy się nas wyrzeka?
Czy gardzi nami?

JOANNA.

I wy z tak daleka
Przyszłyście do mnie — com was opuściła?

ANIELA.

Boska w tem wola a nie twoja była.

ANNA.

Sława dzieł twoich napełnia świat cały,
Bóg cię uczynił swoich łask obrazem;
I myśmy przyszły widzieć blask twej chwały —
I to nie same!

JOANNA *(prędko).*

Co? ojciec jest razem? —
Gdzież on? — gdzie? mówcie! —

ANNA.

Nie, ojca tu niema.

JOANNA.

Niema? — Dlaczego? — Czy może trwa w gniewie?
Nie chce mię widzieć przed swemi oczyma? —
Może złorzeczy? —

ANIELA.

O! nie! lecz on nie wie,
Że tu jesteśmy.

JOANNA.

Nie wie? — Cóż to znaczy? —
Wy się mięszacie? — Gdzież on jest? dla Boga!
Mówcie! czy żyje?

ANNA.

Żyje, i przebaczy
Wszystko! — Lecz odkąd poszłaś, siostro droga!
Ojciec nasz —

ANIELA *(dając znak aby milczała).*

Anno!

ANNA.

Stał się więcej jeszcze
Smutnym, niż dawniej.

JOANNA.

Smutnym z winy mojej!

ANIELA.

Znasz ojca umysł i myśli złowieszcze.
Los go twój trwoży. — Lecz się uspokoi,
Gdy mu powiemy, że jesteś szczęśliwa.

ANNA.

Bo wszakże jesteś? — Na czemże ci zbywa?

JOANNA.

O! tak! na niczem! — Niczego nie żądam,
Kiedy was widzę; gdy z ust waszych słyszę,
Że mię kochacie: i zda się, oglądam
Nasze rozkoszne, rodzinne zacisze,
Gdzie w cieniu ojca i waszej opieki,
Chodząc za trzodą po zielonym gaju,
Byłam szczęśliwa — szczęśliwa jak w raju,
I jak już nigdy nie będę na wieki!
(Ukrywa twarz na piersiach Anieli).

SCENA X.

Też, Stefan, Klaudyan i Bertrand, *(wchodzą i z nieśmiałością zatrzymują się zdaleka).*

ANNA *(do wchodzących).*

Chodźcie tu, chodźcie! wszystko się spełniło!
Siostra nie dumna, nie ma nas za cudze.
(Ci zbliżają się i chcą podać jej rękę; Joanna wpatruje się w nich bystro i wpada w głębokie zamyślenie).

JOANNA.

Gdzież to ja jestem? Czyż to wszystko było
Snem tylko marnym? — a teraz się budzę? —
O! tak, tak! pewnie! — Musiałam, jak nieraz,
Zasnąć pod drzewem i marzyć — a teraz!...
Lecz mówcież, mówcie! Jesteśmyż w Dom-Remy?
Was-że to widzę przed oczyma memi? —
Czyż więc te króle, te mordy, te boje,
Były snem tylko? — Ach! bo myśli moje
Dziwnie splątane! — Nic nie wiem, nie pomnę.
Dąb ten mię urzekł! — Gdzież są te ogromne
Wojska? te tłumy radośnego ludu? —
Byłoż to wszystko dziełem snu, czy cudu? —
Mnież to mówiono, że Francyą zbawię? —

ANIELA.

Tak! i zbawiłaś, zbawiłaś na jawie!
Przed tobą pierzchli jej nieprzyjaciele.
To jest Reims — patrzaj! Król jest w tym kościele,
Król, co przez ciebie posiadł państwo swoje! —
To nie sen, siostro! — patrz! widzisz swą zbroję!
(Joanna chwyta się ręką za piersi, przychodzi do przytomności, i wzdryga się z przerażeniem).

BERTRAND.

Jam ci hełm przyniósł — pamiętasz to przecie?

ANNA.

Nie dziw, że wszystko snem być ci się zdaje.
Bo co przez ciebie Bóg zdziałał na świecie,
Ludzkim rozumem pojąc się nie daje.

JOANNA.

Idźmy stąd, idźmy! uciekajmy razem!

ANIELA.

Ty chcesz iść z nami?

JOANNA.

Ach! ci obcy ludzie,
Czcią swoją dla mnie, gorzej niż żelazem
Rażą me serce: — hołd niosą ułudzie!
Ale wy moi! — wy mię lepiej znacie!
Wyście mię znali jako słabe dziecię,
Jako pasterkę w niskiej, wiejskiej chacie —
Wy mię kochacie — ale nie wielbicie!

ANNA.

Masz-że dość serca rzucić taką chwałę?

JOANNA.

O! precz ode mnie, przez te blaski liche!
Wam chce poświęcić życie moje całe,
Służyć jak sługa; by odkupić pychę,
Co się tak bardzo na nas wynieść chciała.
(Słychać trąby i kotły).

SCENA XI.

KRÓL wychodzi z kościoła w ubiorze koronacyjnym, AGNIESZKA SOREL, ARCYBISKUP, FILIP, DUNOIS, LA HIRE, DU CHATEL, RYCERZE, DWORZANIE, LUD.

OKRZYKI LUDU.

Niech żyje Karol siódmy! Chwała! chwała!

(Trąby i kotły. — Na znak Króla, heroldowie podnosząc laski, nakazują milczenie).

KRÓL.

Dzięki, mój ludu! dzięki ci! — Korona,
Którą Bóg dzisiaj dał na skronie nasze,
Twoim jest znojem i krwią okupiona,
Lecz ja ją wieńcem oliwnym opaszę.
Dzięki tym wszystkim, co praw jej bronili,
A wrogom, łaska i krzywd zapomnienie!
Bóg nam przebaczył — i nasze w tej chwili
Pierwsze niech będzie słowo: przebaczenie!

LUD.

Niech żyje Karol łaskawy! niech żyje!

KRÓL.

Przez łaskę tylko Bożą, a nie czyję,
Wszyscy królowie, poprzednicy moi,
Tron swój dzierżyli; — lecz jam z Jego dłoni
Wziął go widoczniej. — Patrzcie! oto stoi
Zesłanka niebios! Jej to dziełem broni
Zwycięstwo nasze; jej syn waszych króli
Winien swe berło; ona z pęt niewoli
Lud swój wywiodła; — jej więc przed wszystkiemi
Cześć naszą dajmy! — i odtąd w modlitwach,

Obok świętego patrona tej ziemi,
Kładźmy jej imię w pokoju i bitwach,
I ołtarz dla niej zbudujmy w świątyni!

LUD.

Chwała Dziewicy! Cześć, chwała Zbawczyni!

KRÓL *(do Joanny).*

Jeśliś ty ze krwi i z ciała, Dziewico!
Mów! jakich darów, jakiej żądasz łaski?
Największa, małą stanie się dla ciebie. —
Lecz jeśli twoja ojczyzna jest w niebie;
Jeżeli tylko przed ludzką źrenicą
Ukrywasz w ciele archanielskie blaski:
Zjaw się, czem jesteś! — bo nie mogąc dociec
Natury twojej, chwiejem się i trwożym.
Zjaw się! — a w prochu przed posłańcem Bożym
Padniem na twarze.

(Ogólne milczenie; wszystkich oczy zwrócone na Joannę).

JOANNA *(spostrzegając Teobalda).*

Nieba! to mój ojciec!

SCENA XII.

CIŻ I TEOBALD *(wychodzi z tłumu i zatrzymuje się naprzeciw Joanny).*

WIELE GŁOSÓW.

Jej ojciec!

TEOBALD.

Tak jest! ojciec nieszczęśliwy,
Najnieszczęśliwszy, jaki był na świecie!
Ojciec, któremu sąd Boga straszliwy
Każe oskarżać swe najmilsze dziecię!

FILIP.

Ha! cóż to?

DU CHATEL.

Tu się wyda tajemnica.

TEOBALD.

Zwiedziony królu! zaślepiony ludu!
Myślisz że Boska dźwiga cię prawica? —
Nie! jest to dzieło czarta, a nie cudu!
(Wszyscy cofają się z przestrachem).

DUNOIS.

On jest szalony!

TEOBALD.

Nie! wyście szaleni!
Wy, co myślicie, że Bóg majestatu,
Dla lichej dziewki prawa swoje zmieni,
Że przez jej pychę objawi się światu!... —
Ale obaczym, czy kuglarka podła
Będzie się ważyć, wobec ojca swego
Popierać kłamstwa, któremi was zwiodła? —
(Do Joanny) W Imię Najświętsze w Trójcy Jedynego,
Pytam cię: jestżeś święta i niewinna? —
(Przerażenie i cisza powszechna. — Wszystkich oczy zwrócone na Joannę, która stoi nieporuszona).

AGNIESZKA.

O! nieba! — Milczy!

TEOBALD.

Bo milczeć powinna,
Bo milczeć musi przed strasznem imieniem,
Przed którem nawet drżą otchłanie piekła. —
Ona natchniona! — Pod przeklętym cieniem

Drzewa Druidów, gdzie krew ludzka ciekła,
Gdzie moc swą dotąd szerzy duch piekielny,
Tam z nim bezbożne zawarła przymierze,
I całą wieczność duszy nieśmiertelnej,
Za czczy blask świata oddała w ofierze.

FILIP.

Dziwna rzecz wprawdzie! lecz ojciec dziecięcia
Świadom najlepiej; — trudno nie dać wiary.

DUNOIS.

Co? wierzyć w gminu szalone pojęcia,
W zabobonnika chorowite mary?...

AGNIESZKA *(do Joanny).*

O! mów, mów! przerwij to straszne milczenie!
My ci wierzymy, my ufamy w tobie:
Ale rzecz słowo! zbij czcze oskarżenie! —
Winnaś to Bogu, królowi, i sobie.
(Joanna stoi nieporuszona. — Agnieszka oddala się od niej z przestrachem).

LA HIRE.

Strach ją oniemił — bo i kogóż z ludzi
Na taką skargę przestrach nie ogarnie? —
Ale, Joanno! niech się duch twój zbudzi!
Jest w niewinności moc, na którą marnie
Wszystkie swe jady wywrze potwarz wściekła.
Ufaj jej, przemów! i w szlachetnym gniewie
Skarć lud — co widział twe czyny, a nie wie
Kto je mógł zdziałać: duch z nieba, czy z piekła? —
(Joanna stoi nieporuszona. — La Hire odstępuje od niej ze zgrozą. — Szmer i poruszenie między ludem).

DUNOIS.

Co są te szmery? Czego chce gromada? —
Ona niewinna! — Na mą cześć rycerza,
Ja ręczę za nią! — a kto niedowierza,
(rzucając rękawicę)
Niech ją podniesie, i niech mi fałsz zada! —

(Gwałtowne uderzenie piorunu: wszyscy stoją przerażeni).

TEOBALD *(do Joanny).*

Przez tego Boga, który grzmi na niebie,
Mów! czyś niewinna? czyś z Boga natchnięta?
Czy duch zwodziciel nie obłąkał ciebie? —
Milczysz — nieszczęsna! — A więc bądź przeklęta!

(Drugie, mocniejsze uderzenie piorunu. — Lud pierzcha na wszystkie strony).

FILIP.

Boże! ty naucz, co nam czynić trzeba!

DU CHATEL *(do Króla).*

Pójdź! pójdź stąd, królu! ustąp woli nieba!

ARCYBISKUP *(do Joanny).*

Nie w imię Boga gniewu, lecz litości,
Pytam cię, córko! co ci mówić broni:
Uczucie winy? czy gniew niewinności? —
Jeśliś niewinna — weź krzyż z mojej dłoni.

(Podaje krzyż. — Joanna stoi zawsze nieporuszona. — Nowe gwałtowne uderzenie piorunu. — Król, Agnieszka Sorel, Arcybiskup, Filip, La Hire i Du Chatel odchodzą).

SCENA XIII.

DUNOIS I JOANNA.

DUNOIS.

Teraz tyś moją! — Uwierzyłem w ciebie
Od pierwszej chwili, i dotychczas wierzę —
Więcej, niż wszystkim tym znakom na niebie,
Których się uląkł lud, król, i rycerze.
Nie! tyś niewinna! Gniew krzywdzonej cnoty
Zamknął twe usta; gardzisz sądem zgrai
Aniś jej mogła, bez wnętrznej sromoty,
Objawiać świętość, co się w duszy tai.
I oto wszyscy odbiegli nikczemnie. —
Lecz jam ci został; — złóż twą ufność we mnie!
Nie chcę słów nawet: — jeden znak twej dłoni,
Jedno spojrzenie — dość mi będzie na tem.
Miecz cię mój tarczą przed światem zasłoni;
Jak mię twój wybór zaszczyci przed światem.

(Podaje jej rękę. Joanna odwraca się ze wstrętem. Dunois patrzy na nią z podziwieniem).

SCENA XIV.

CIŻ I DU CHATEL, potem RAJMUND.

DU CHATEL.

Słuchaj, Joanno d'Arc! Król ci dozwala
Opuścić miasto wolno i bezpiecznie,
Bez krzywd i zniewag. — Idź więc, i żyj zdala,
Żyj tak, byś potem nie cierpiała wiecznie! —
Dunois! ze mną! — My wszyscy błagamy,
Król każe — wracaj! — spełń niebios przestrogę.

(Dunois obudza się nagle z zamyślenia, spogląda jeszcze raz na Joannę, i odchodzi z Du Chatelem. — Joanna zostaje sama. — Po chwili ukazuje się Rajmund, i czas niejaki, stojąc zdaleka, patrzy się na nią z cichą boleścią. Nakoniec zbliża się do niej, i bierze ją za rękę).

RAJMUND.

Śpiesz stąd, śpiesz! póki otwarte są bramy. —
Ja idę z tobą, ja ci wskażę drogę.

(W tej chwili Joanna okazuje pierwszy znak czucia; spogląda bystro na niego, i wznosi oczy ku niebu; poczem porywa go silnie za rękę, i odchodzą razem).

AKT PIĄTY.

Teatr wystawia dziką puszczę: w odległości widać chaty węglarzy. — Ciemność zupełna. — Burza, grzmoty i błyskawice. — Zdaleka słychać strzelanie.

SCENA I.

WĘGLARZ I JEGO ŻONA.

WĘGLARZ.

Co za okropny szturm! co za ulewa!
Niebo się zdaje stopi w błyskawicach,
Lub spłynie z deszczem. Najsilniejsze drzewa,
Nieporuszone w zwykłych nawałnicach,
Gną się jak trzciny, lub się kruszą w borze.
Istny dzień sądny! — A jednak, mój Boże!
Że też ta walka żywiołów zawzięta
Złości człowieczej złagodzić nie może! —
Słyszysz te, z wiatru i gromów hałasem,
Strzały po strzałach! — to ludzkie modlitwy!
Obadwa wojska stoją tuż za lasem,
I lada chwila przyjść musi do bitwy.

ŻONA.

Boże zmiłuj się! A już tak spokojne

Były te strony; wróg był uciekł z pola. —
Cóż jest, że znowu śmie podnosić wojnę?

WĘGLARZ.

Jest to, że znowu nie boi się króla. —
Wszystko jak z płatka szło nam przy Dziewicy,
Było i szczęście, była i odwaga;
Lecz jak w Reims naród zląkł się czarownicy,
Wszystko znów na wspak; — czart już nie pomaga,
A król! — *(ściskając ramionami).*
Ha! prawda, że to się nie godzi
Trzymać z szatanem! — jednak...

ŻONA.

Ktoś nadchodzi!

SCENA II.

Ciż, Rajmund i Joanna.

RAJMUND *(wchodząc, do Joanny).*

Widzę tu chaty, widzę ludzkie twarze,
Pójdź! tu się schronim: — iść nie możesz dłużej.
Trzy dni o głodzie i śród takiej burzy!
(Zbliżając się) Ludzie ci, widzę, są biedni węglarze,
Gościnność zawsze jest w ubogich domu.
(Do Węglarza) Prosim was o gościnność w imię Boże!

WĘGLARZ.

Nie odmówiłem jej nigdy nikomu,
Waszem jest wszystko, co mój dom mieć może.
(Burza zaczyna się uciszać).

ŻONA *(wpatrując się w Joannę).*

Cóż to się znaczy? niewiasta we zbroi? —

Lecz prawda, prawda! że w dzisiejszych czasach
Oręż i zbroja każdemu przystoi,
I że w niej może bezpieczniej niż w lasach. —
Wszakciż to sama królowa, jak wiecie —
Odpuść jej Panie! — w obozie Anglików
Chodzi we zbroi; — a i u nas przecie
Dziewica była wodzem wojowników.

WĘGLARZ.

Ot przestań bajać, a idź obacz lepiej,
Niema tam czego, co ich trud pokrzepi?
(Żona odchodzi do chaty).

RAJMUND *(do Joanny).*

Widzisz! nie wszyscy ludzie nieużyci.
Wszędzie człek znajdzie wsparcie i pociechę.
Rozwesel myśli! — patrz! słońce już świeci,
Szturm się uciszył; — pójdź spocząć pod strzechę!

WĘGLARZ.

Chcecie iść pewno do obozu króla,
Żeście tak zbrojni? lecz idźcież ostrożnie!
Obóz angielski stoi tuż od pola,
A czaty jego krzyżują się różnie.

RAJMUND.

Cóż radzisz czynić?

WĘGLARZ.

Spocząć tu tymczasem.
Syn nasz wnet z miasta być musi z powrotem.
Wie on najskrytsze ścieżki między lasem,

Co chyba sarny deptały przelotem:
Bądźcie spokojni! on was przeprowadzi.

RAJMUND *(do Joanny).*

Złóż już tę zbroję! bronić nie obroni.
A tylko znuży, lub co gorsza, zdradzi.
(Joanna daje znak odmowny).

WĘGLARZ.

Ktoś idzie! — cicho! — skryjmy się w ustroni!

SCENA III.

CIŻ, ŻONA WĘGLARZA powraca z chaty z kubkiem w ręku, potem ich SYN.

ŻONA.

To syn nasz, Franek, wraca widzę z miasta.
(Do Joanny, podając kubek)
Napij się kroplę! — to cię wnet posili,

WĘGLARZ *(do wchodzącego syna).*

No! cóż tam w mieście?

SYN *(postrzegając Joannę).*

Cóż to za niewiasta?
(Zbliża się szybko ku niej, właśnie gdy ona kubek do ust przykłada; poznaje ją, wyrywa kubek, i woła z przerażeniem)
Ach! ojcze! matko! coście wy zrobili? —
To czarownica! — zgubicie się sami!
Precz z nią!

WĘGLARZ I JEGO ŻONA.

Ach! Boże! zmiłuj się nad nami!
(Żegnają się i uciekają).

SCENA IV.

JOANNA I RAJMUND.

JOANNA *(spokojnie i łagodnie).*

Widzisz! przekleństwo ściga za mną wszędzie.
Idź i ty! — po co masz cierpieć daremno?

RAJMUND.

Ja miałbym odejść? Któż przy tobie będzie?

JOANNA.

O! bądź spokojny! jest kto pójdzie ze mną! —
Słyszałeś głos tych gromów? — Przyjacielu!
One mi rzekły, że mam przewodników,
Co mię chcąc nie chcąc prowadzą do celu.

RAJMUND.

Gdzież się obrócisz? tu obóz Anglików,
Co krwi twej pragną; tam nasi, co ciebie
Sami skazali na wstyd i wygnanie.

JOANNA.

Nie bój się! wszystko widzą tam na niebie,
I to się tylko, co stać musi, stanie.

RAJMUND.

Któż cię pożywi? kto obronić zdoła
Od dzikich zwierząt, dzikszych jeszcze ludzi?
W kim znajdziesz pomoc, gdy cię życie strudzi?

JOANNA.

Znam wszystkie zdrowe i pożywne zioła,
Znam biegi planet; — po nich w nocach ciemnych
Znajdę mą drogę — Szmer zdrojów podziemnych

Słyszę mem uchem! — Niewiele, co trzeba,
Sama natura daje człowiekowi.

RAJMUND *(biorąc ją za rękę).*

Joanno! przebacz, co przyjaciel powie! —
Czyżby nie pora przejednać gniew nieba,
Zmyć grzech pokutą, i na łonie wiary?...

JOANNA.

Jak to? i ty mnie sądzisz godną kary?

RAJMUND.

Ach! czyż nie muszę? — To milczenie twoje.:...

JOANNA *(z żalem).*

O! to już nadto! Ty jeden na świecie,
Ty mój ostatni! co niedolę moję
Podzielasz ze mną: — myślałam, że przecie
Ty mię znasz lepiej!

RAJMUND *(z radośnem podziwieniem).*

Czyżbyś więc nie była
W zmowie ze złemi?

JOANNA.

Ja w zmowie ze złemi?

RAJMUND.

I wszystkie cuda, któreś uczyniła,
Czyniłaś z Bogiem i Jego świętemi?

JOANNA.

Z kimżeby innym?

RAJMUND.

I trwałaś w milczeniu,
Gdy jedno słowo mogło zbawić ciebie?

JOANNA.

Milcząc uległam memu przeznaczeniu,
Które tu na mnie zesłał Pan mój w niebie.

RAJMUND.

Zniosłaś gniew ojca w niesłusznym zapędzie?

JOANNA.

Co szło od ojca, znać przyszło od Boga. —
To też ojcowska próba tylko będzie.

RAJMUND.

A też pioruny? a twa niema trwoga?...

JOANNA.

Niebo mówiło, jam milczeć musiała.

RAJMUND.

I mogłaś ścierpieć, że Francya cała
Będzie podzielać błąd i omamienie?

JOANNA.

O! nie! to nie był błąd, lecz dopuszczenie!

RAJMUND.

Więc tyś niewinna! i taką sromotę
Zniosłaś cierpliwie!... — O! teraz pojmuję,
Teraz się korzę i wielbię twą cnotę —
Kto to mógł zrobić, z tym już Bóg współczuje!

JOANNA.

Toż więc rozumiesz, iżby mię posłano,
Gdybym nie ślepo czciła jego wolę?
Ani śmiej sądzić, że gdy mię wygnano,
Gdy mię skazano na wstyd i niedolę,
Bóg mię opuścił! — Nie! On mi przebaczył,
I tylko nowy cud swej łaski czyni.

Potrzebę serca mojego obaczył
Wejść samej w siebie kazał na pustyni! —
Gdy mię światowe otaczały blaski,
Wtenczas to, wtenczas w sercu wrzały burze!
Teraz w ciemnościach świta promień łaski. —
Zamęt żywiołów w widomej naturze,
Co zdał się w gruzy roztrząść świat poziomy,
Cud odrodzenia w duszy mojej ziścił.
Myśli wezbrały nad swój cel znikomy,
Jak to powietrze, duch się mój oczyścił,
I to, bez czego byłam mniej niż niczem,
Moc Jego, czuję, wraca w piersi moje.

RAJMUND.

O! pójdźmy, pójdźmy! przed świata obliczem
Ogłosić prawdę, i niewinność twoję!

JOANNA.

Kto błąd dopuścił, ten go sam rozjaśni.
Lecz jak i kiedy? nikt prócz Jego nie wie. —
Czas wszakże przyjdzie, że ziomkowie właśni,
Co mię dziś z wzgardą odepchnęli w gniewie,
Uznają prawdę – i z gorzką rozpaczą,
Razem nade mną i sobą zapłaczą.

RAJMUND.

Co? miałbym czekać aż traf kiedyś zrządzi?...

JOANNA *(biorąc go za rękę).*

Wszystko chcesz mierzyć na rozum człowieczy,
Co się sam tylko sędzią świata sądzi! —
Lecz ja widziałam blask nadziemskich rzeczy
Ja ci powiadam: jak gwiazdy na niebie,

Jak ziarna piasku w oceanach na dnie,
Bóg z nas każdego policzył u Siebie,
Bez woli Jego włos z głowy nie spadnie.
(Wskazując ręką ku niebu)
Widzisz to słońce u kresów zachodu?
Jak to jest pewno, że znów jutro wejdzie,
I świecić będzie: tak wierz bez zawodu,
Że prędzej, później, dzień prawdy nadejdzie!

SCENA V.

CIŻ I KRÓLOWA IZABELA Z ŻOŁNIERZAMI.

IZABELA *(za sceną).*

Tędy na lewo! tu jest droga nasza.

RAJMUND.

Przebóg! Anglicy!
(Żołnierze wchodzą, i postrzegając Joannę, zatrzymują się, i cofają się w nieładzie).

IZABELA *(do żołnierzy).*

Czegoście stanęli?

ŻOŁNIERZE.

Boże zmiłuj się!

IZABELA.

Cóż was tak przestrasza,
Jakbyście czarta samego ujrzeli?
(Przedziera się przez tłum żołnierzy i cofa się postrzegając Joannę).
Cóż to ja widzę? Ha! ona to, ona!
(Wstrzymuje się — i szybko postępuje naprzód ku Joannie).
Poddaj się, nędzna!
(Joanna stoi nieporuszona. — Rajmund uchodzi czyniąc znaki rozpaczy).

IZABELA *(do żołnierzy).*

Okuć ją w łańcuchy!

(Żołnierze zbliżają się z bojaźnią; Joanna sama im ręce do okucia podaje).

Toż jest ta mężna, ta niezwyciężona?
Ha! niech cię teraz wyzwolą złe duchy!
(Do żołnierzy) Patrzcie! widzicie tę, coście mniemali
Wyższą nad ludzi i nad siłę wszelką;
Patrzcie, nikczemni! i niech was wstyd spali! —
Małość to wasza czyniła ją wielką;
Strach wasz i podłość, to były jej czary! —
Precz z nią z mych oczu! — Niech widzą w obozie,
Przed kim rzucali i broń i sztandary. —
Do Lionela wieść ją na powrozie!
Niechaj się pomści śmierci przyjaciela. —
Ja wnet przybędę.

JOANNA *(z przerażeniem).*

Mnie do Lionela!
Nie! nigdy, nigdy! Każ raczej sto razy
Śmierć mi tu zadać!

IZABELA *(do żołnierzy).*

Wiecie me rozkazy *(odchodzi).*

SCENA VI.

JOANNA I ŻOŁNIERZE.

JOANNA.

Anglicy! wyż to ścierpicie, bym żywa
Wyszła z rąk waszych? — Ja to, ja, pomnicie,
Morze krwi waszej przelałam, i mściwa
Bezbronnym jeńcom wydzierałam życie.

Macie mię teraz! zemsta sprawiedliwa!
Bierzcie ją, radzę; — bo gdy ocalicie,
Wierzcie mi! porę stracicie przychylną.
Nie zawsze będę, jak jestem bezsilną.

DOWÓDCA.

Dość tego! — pełńcie rozkazy królowej.

JOANNA *(wznosząc oczy w niebo).*

Cóż jeszcze po mnie chcesz, o! Niepojęty!
Mam-że nanowo wpaść w grzechu okowy?
Dasz-że mi siłę zmódz pokus ponęty? —
Biada mi! czuję że pytam daremno —
Duch milczy we mnie, i niebo nade mną!

(Odchodzi z żołnierzami).

SCENA VII.

Obóz francuski.

DUNOIS między ARCYBISKUPEM i DU CHATELEM.

ARCYBISKUP.

Raz przecie, książę! zwalcz posępność myśli!
Chceszże twój naród opuszczać w potrzebie,
Dziś, gdyśmy znowu na ten koniec przyszli,
Że musim upaść i zginąć bez ciebie?

DUNOIS.

Zginąć? Któż winien, że Francya ginie?
Że jak łeb smoczy wróg się znów odradza? —
Ja was mam bronić? — Kto wygnał zbawczynię,
Ten was niech broni! ten niech dziś zaradza!
Jam tylko jeden — a tych jest tak wielu!

DU CHATEL.

Książę! ojczyzna wzywa twojej broni.

DUNOIS.

Ty milcz! — rad twoich nie chcę, Du Chatelu!
Ty byłeś pierwszy, któryś zwątpił o niej.

ARCYBISKUP.

Któż z nas nie zwątpił? Kto z nas nie wykroczył,
Gdy samo niebo przeciw niej się zdało? —
Przestrach obłąkał, przesąd nas omroczył!
Lecz omamienie nazbyt krótko trwało.
Pomnimy teraz, jaką była z nami,
Jej świętą skromność, jej anielskie cnoty! —
Niesłuszność naszą uznaliśmy sami —
Gniew-że twój jeszcze ma zwiększać zgryzoty?

DUNOIS.

Ona fałszywa!... — Gdyby tajemnicza
Prawda się chciała ukazać na ziemi,
Wziąćby musiała rysy jej oblicza! —
Jeśli są jeszcze między śmiertelnemi,
Szczerość, niewinność, czystość nieskażona —
To ich obrazem jedna chyba Ona!

ARCYBISKUP.

Bóg sam zna prawdę; — bo rozum człowieczy
Dojść jej w tym razie napróżno się kusi. —
Lecz jakbądźkolwiek obrócą się rzeczy,
To jedno z dwojga w końcu wypaść musi:
Że albo w pomoc przyzwaliśmy czary,
Albośmy świętą wygnali niegodnie.
A to czy owo, są to równe zbrodnie,
Które pozostać nie mogą bez kary.

SCENA VIII.

CIŻ i GIERMEK, potem RAJMUND.

GIERMEK *(do Dunois).*

Wieśniak tu jakiś z waszą wysokością
Chce mówić. — Mówi, że jest od Dziewicy.

DUNOIS.

Śpiesz! wiedź go tutaj!

ARCYBISKUP.

O! z jakąż radością
Ujrzymy wreszcie koniec tajemnicy!

(Giermek otwiera drzwi, Rajmund wchodzi).

DUNOIS *(idąc naprzeciw niemu).*

Tyś od Dziewicy? Gdzież jest? mów! gdzie ona?

RAJMUND.

O! szczęście moje żem was znalazł wreszcie.
Szlachetny książę! i że tu jesteście
Ojcze wielebny! — W was cnoty obrona.

DUNOIS.

Gdzież jest Dziewica?

ARCYBISKUP.

Powiedz nam, mój synu!

RAJMUND.

Ach! Panie! Ona nie jest czarownicą!
Niesłuszny wyrok był króla i gminu.
Świadczę się Bogiem i Boga-Rodzicą,
Ona niewinna!

DUNOIS.

O! wiem, że niewinna!
Lecz gdzież jest ona?

RAJMUND.

Ach! Panie jedyny!
Toć gdy wam o niej przyszła już myśl inna,
Brońcież ją, brońcie! bo zginie bez winy.

DUNOIS.

Zginie? — Nieszczęsny! mów, co się z nią stało?

RAJMUND.

W lesie Ardeńskim, gdzieśmy się chronili,
Wojsko angielskie jeńcem ją zabrało! —
Sam byłem świadkiem, jak ją prowadzili.

ARCYBISKUP.

O! nieszczęśliwa!

DUNOIS.

Do broni! do broni!
Kto Francuz, za mną! Ogniem i żelazem
Idźmy ją zbawić — albo zginąć razem!
(Odchodzi śpiesznie).

ARCYBISKUP *(wznosząc ręce ku niebu).*

Boże! błogosław sile jego dłoni!
(Odchodzą wszyscy).

SCENA IX.

Obóz angielski.

Teatr wystawia wieżę strażniczą, z oknem u góry.

JOANNA, LIONEL, FASTOLF I IZABELA.

FASTOLF *(wchodząc z pośpiechem).*

Niema sposobu! bunt coraz się szerzy,
Tłum krwi jej pragnie. — Nie oprzem się dłużej.

I albo głowę jej zrzućmy z tej wieży,
Lub ją wnet wojsko zdobędzie i zburzy.

IZABELA *(wchodząc do Lionela).*

Ratuj się, wodzu! już stawią drabiny. —
Co tu się wahać? — ratunek jedyny
Wydać ją; — zbrodnię niech krwią swą odpłaci.
Inaczej zginiem z rąk własnych współbraci.

LIONEL.

Ha! niech szturmują! uchodź stąd, Królowo!
Bo ja się raczej w tych gruzach zagrzebię,
Niż uledz zgrai! — Joanno! rzecz słowo,
Rzecz, żeś jest moją; a jak Bóg na niebie!
Choćby świat cały chciał być twoim katem,
Walki za ciebie nie zlęknę się z światem!

IZABELA.

Czyś ty szalony?

LIONEL *(do Joanny).*

Twoi cię wygnali,
Twoi skazali na wstyd i sromotę.
Podli! o twoją wprzód rękę żebrali,
A potem wierzyć nie śmieli w twą cnotę! —
Lecz jam ci został — ja wszystkim dostoję,
Ja twój obrońca! — Niegdyś życie moje,
Dałaś mi wierzyć, że ci było drogiem.
A jam natenczas był tylko twym wrogiem!
Dziś, prócz mnie, innych nie masz przyjacieli.
Wszystko nas łączy.

JOANNA.

Nie! wszystko nas dzieli!

Wróg ludu mego zawsze będzie moim! —
Lecz gdy się ku mnie serce twoje skłania,
Dowiedź to czynem! — a stronom oboim
Przyjaźń ta będzie godłem pojednania.
Cofnij twe wojsko! zaniechaj napaści!
Oswobódź jeńców! wróć nam nasze właści,
Wróć łup nieprawy! i przysięgą szczerze
Zatwierdź umowę! — a wtedy ci wzajem
Król mój przeze mnie zaręczy przymierze,
I Bóg grom zemsty wstrzyma nad twym krajem.

IZABELA.

Zuchwała! w więzach chcesz nam dawać prawa!

JOANNA.

I śpiesz się, radzę, aby czas nie minął!
Bóg wam nie wiecznie w moc Francyą dawa,
Nie przez gniew nad nią będzie wiecznie słynął!
W proch już runęła broni waszej sława,
Pod mieczem naszym kwiat rycerstwa zginął;
Śpiesz się! powiadam — bo i reszcie biada!
Wyrok wasz: pokój, lub śmierć i zagłada!

IZABELA *(do Lionela).*

I tyż bezkarnie zniesiesz te bluźnierstwa?

SCENA X.

CIŻ I KILKU DOWÓDCÓW *(wchodzą śpiesznie).*

JEDEN Z DOWÓDCÓW.

Wodzu! w imieniu wojska i rycerstwa,
Błagamy przebacz uniesienia chwilę!
Francuzi na nas idą w całej sile —

Bronią ich cała połyska równina.
Wróć nam hetmanić!

JOANNA *(wznosząc oczy ku niebu).*

Przyszła więc godzina!
Sprawiedliwości twej stało się zadość! —

FASTOLF.

Nieszczęsna! poskrom tę niewczesną radość
Wprzód nim my zginiem, głowie twojej biada!

JOANNA.

Lud mój zwycięży, a ja umrę rada!
Umrę szczęśliwa — że ich dość beze mnie!

LIONEL.

Nędzni! w stu bitwach pierzchali nikczemnie,
Nim ta cudowna stanęła za niemi! —
Toć prócz niej jednej, pogardzam wszystkiemi! —
Pójdźmy, Fastolfie! uczują po chwili,
Żeśmy ci sami, co pod Crequi byli.
(Do Izabeli wskazując na Joannę).
Ty ją, Królowo! miej tutaj w swej straży,
Nim Bóg, czy szatan, los bitwy przeważy.

FASTOLF.

Co? czarownicę chcesz w tyle zostawić?

JOANNA.

Tak cię więc trwoży bezbronna niewiasta?

LIONEL *(do Joanny).*

Słowo? — że sama nie zechcesz się zbawić.

JOANNA.

Ja? — Z każdą chwilą chęć swobody wzrasta.

IZABELA *(do żołnierzy).*

Hola! w potrójne okuć ją łańcuchy! —
Że stąd nie ujdzie, ja wam ręczę głową.
(Żołnierze przynoszą pęki łańcuchów i krępują nimi Joannę).

LIONEL *(do Joanny).*

Zmuszasz nas! — Widzisz! próżne twe otuchy! —
Lecz jeszcze pora! — Jedno twoje słowo —
A wnet ci sami, co krwi twojej pragną,
U stóp twych w prochu harde czoła nagną.

FASTOLF.

Czas śpieszyć, wodzu!

JOANNA *(do Fastolfa).*

Śpiesz, śpiesz! śmierć cię wzywa.
(Słychać głos trąb. — Lionel wybiega).

FASTOLF *(wskazując na Joannę).*

Królowo! pomnij! gdyby się los wojny
Przeciw nam zwrócił...

IZABELA *(dobywając sztylet).*

O to bądź spokojny,
Klęski wojsk naszych nie obaczy żywa.

FASTOLF *(do Joanny).*

Słyszałaś? — Teraz módl się za twojemi! *(Odchodzi).*

SCENA XI.

IZABELA, JOANNA I ŻOŁNIERZE.

JOANNA.

Ja się nie modlić? — Żadna moc na ziemi,
Żadna twa groźba nie wzbroni mi tego! —
(Za sceną słychać trąby i pieśni wojenne).

Boże! to trąby! to pieśń ludu mego! —
Śmiało, mój ludu! z tobą ramię Boże,
Z tobą Dziewica! — Ach! ona nie może,
Nie może swego sztandaru rozwinąć,
Nie może z wami zwyciężać lub ginąć! —
Lecz duch jej wolny, z niewolniczej cieśni,
Buja nad wami, z echem waszych pieśni!

IZABELA *(do jednego z żołnierzy).*

Wstąp tam ku oknu, i patrz co się dzieje!
(Żołnierz wstępuje ku oknu w górze).

JOANNA.

Śmiało! mój ludu! śmiało! miej nadzieję!
Bóg nie opuści twojej dobrej sprawy! —

IZABELA *(do żołnierza).*

Co widzisz?

ŻOŁNIERZ.

Widzę obłoki kurzawy,
Lecz nic w niej dojrzeć nie mogę na błoniu. —
Ha! widzę, widzę! już się zwarli z nami.
Jakiś szaleniec na arabskim koniu,
W tygrysiej skórze leci z żandarmami.*)

JOANNA.

Dunois! — Boże! twa moc niech go wspiera!

ŻOŁNIERZ.

Jazda burgundzka na nasz most naciera.

IZABELA.

Przekleństwo zdrajcom!

---

*) *Gens d'armes*, ówczesna jazda francuska.

ŻOŁNIERZ.

Lord Fastolf go broni. —
Co za rzeź! widzę — zeskakują z koni,
Wręcz się ścinają.

IZABELA.

Nie widzisz Delfina?
Znaków królewskich?

ŻOŁNIERZ.

Nie! — cała równina
Znowu się kurzu zakryła obłokiem.

JOANNA.

Oby on mojem mógł poglądać okiem,
Lub jam tak mogła, jak on, patrzeć z góry!
Wzrokby mój przebił te mgły i te chmury,
Nicby tam, nicby nie skryło się przed nim! —

ŻOŁNIERZ.

Bój najzaciętszy wre przy szańcu średnim.
Wszyscy tam nasi.

IZABELA.

A nasz sztandar?

ŻOŁNIERZ.

W górze!

JOANNA.

Oby mi spojrzeć, choć przez szparę w murze!
Wzrokby mój bitwą rządził na wsze strony.

ŻOŁNIERZ.

Nieba! co widzę! wódz nasz otoczony!

IZABELA *(podnosząc sztylet nad Joanną).*

Giń!

ŻOŁNIERZ *(prędko).*

Już jest wolny! — Widzę w chmurach pyłu
Lord Fastolf z jazdą zabiega im z tyłu.
Już, już są blisko — ledwie mały przedział!

IZABELA *(opuszczając sztylet).*

Ha! twój to anioł, a nie on powiedział!

ŻOŁNIERZ.

Pierzchają — widzę — pierzchają!

IZABELA.

Kto?

ŻOŁNIERZ.

Oni! —
Tłum się w bezładzie rozsypał po błoni. —
Lord sprawił szyki — i w pogoń się puścił.

JOANNA.

Boże mój, Boże! takżeś mię opuścił?

ŻOŁNIERZ.

Kogoś rannego prowadzą w tę stronę.
Wódz, widać, jakiś — bo tłum za nim bieży.

IZABELA.

Nasz, czy francuski?

ŻOŁNIERZ.

Czoło ma zwieszone,
A w tłoku dojrzeć nie mogę odzieży. —
Ha! cóż to? omdlał? — hełm zdjęli mu z głowy —
Dunois!

JOANNA *(wstrząsając kajdany).*

Boże! skrusz mi te okowy!

ŻOŁNIERZ.

Patrz, patrz! ktoś w płaszczu błękitnym ze złotem...

JOANNA *(z przerażeniem).*

To król!

ŻOŁNIERZ.

Koń jego dosięgniony grotem,
Wspina się — nasi opadli go zbliska.
Broni się — widzę — miecz raz po raz błyska.
Znikł! —

JOANNA.

Czyż Bóg teraz cudu nie uczyni?!

IZABELA *(śmiejąc się szyderczo).*

Teraz masz porę, zbawiaj go, zbawczyni!

JOANNA *(w najgwałtowniejszem poruszeniu, rzuca się na kolana, i wznosząc załamane ręce do góry, modli się rzewnym, prędkim i naglącym głosem).*

Słuchaj mię, Boże! bo wzywam Ciebie,
Ojcze na niebie!
Duszą wierzącą,
Wiarą gorącą,
Ach! nie dla siebie wzywam Cię, Panie!
Nad ludem moim miej zlitowanie!
Ty sieć pajęczą w stalne obręcze,
Ty więzy zmienisz w sieci pajęcze,
Boś Ty Wszechmocny! bo to się stanie,
Co Ty chcesz, Panie!
Samson wydany na urąganie,
W więzach u wrogów — jak ja w tej chwili,
Wołał do Ciebie: — oni szydzili,
A on Ci ufał! — stary i ślepy! —

I dałeś siłę, że twarde sklepy
Zrzucił na wrogów: — boś Pan nad pany!

ŻOŁNIERZ.

Tryumf nasz! tryumf!

IZABELA.

Cóż jest?

ŻOŁNIERZ.

Król pojmany!

IZABELA.

Ha! zginął wreszcie nienawistny wróg!

JOANNA *(porywając się z ziemi).*

Francya żyje! bo ze mną jest Bóg!

(Wstrząsa oburącz i rozrywa łańcuchy. W tejże chwili rzuca się na stojącego u drzwi żołnierza, wyrywa mu z rąk miecz i wybiega. — Wszyscy zostają w osłupieniu).

SCENA XII.

CIŻ SAMI prócz JOANNY.

IZABELA *(po długiem milczeniu).*

Prawdaż to była? czy mi się to śniło? —
Jak mogła zerwać potrójne łańcuchy? —
Nie! ludzką tego nie zdołała siłą!
(Do żołnierza) Widzisz ją?

ŻOŁNIERZ.

Widzę. — Zda się, że złe duchy
Pędzą ją wichrem! — Już tonie w natłoku —
Rozrywa szyki; — bystrzejsza od wzroku,
Jest tu, jest ówdzie — wszędzie zda się razem! —
Jak błyskawicą wywija żelazem! —

Francuzi ku niej zbiegają się — stają —
Pędzą na naszych. — Zmięszali się zgrają —
Biada nam! nasi ustępują z pola!

IZABELA.

Przeklęta!

ŻOŁNIERZ.

Wpadła na wiodących króla! —
Co za rzeź! — Boże! lord Fastolf upada! —
Lionel wzięty! —

IZABELA.

Dość! nie kończ!

ŻOŁNIERZ.

O! biada!
Królowo! uchodź — ich jazda tu bieży!

IZABELA *(dobywając miecza).*

Brońcież się, nędzni!

SCENA XIII.

CIŻ I LA HIRE Z WOJSKIEM.

(Żołnierze angielscy składają broń przed wchodzącym).

LA HIRE.

Poddaj się, królowo!
Najpierwsi z waszych wodzów i rycerzy
Są w ręku naszym. — Zdaj się na me słowo!
Mów, gdzie chcesz mieszkać w państwach twego syna?

IZABELA.

Wiedź gdzie chcesz — byle nie spotkać Delfina!
(Oddaje miecz i odchodzi z La Hirem i żołnierzami).

SCENA XIV.

Teatr zmienia się i wystawia plac bitwy.

ŻOŁNIERZE FRANCUSCY z rozwiniętemi chorągwiami napełniają głąb sceny. — Na przodzie KRÓL i książę burgundzki FILIP; na ręku ich obudwóch JOANNA śmiertelnie raniona, bez znaku życia. — AGNIESZKA SOREL przybiega ze strony.

AGNIESZKA *(do Króla).*

Królu mój! panie! tyżeś mi wrócony? —
Przy tobie tryumf!

KRÓL *(wskazując na Joannę).*

Patrz! czem okupiony.

AGNIESZKA.

Joanna! Boże! umiera!

FILIP.

Widzicie,
Zejście anioła! — Jak znużone dziecię,
Usypia, zda się. — Jak piękna! jak cicha!
Pokój już niebios z jej twarzy oddycha! —
Serce ustało — lecz jeszcze krwi drganie
Zdradza znak życia.

KRÓL.

Ach! już nie powstanie!
Nie wróci do nas dusza wniebowzięta,
Nie ujrzy naszych zgryzot i żałoby!

AGNIESZKA *(z wykrzyknieniem).*

Otwiera oczy! żyje!

FILIP *(z podziwieniem).*

Czyż i groby
Zwalczyć potrafi jej moc niepojęta? —

JOANNA *(powstaje o własnej sile, i spoglądając wkoło).*
Gdzież to ja jestem?

FILIP.
Śród twoich, Dziewico!
Śród ludu twego!

KRÓL.
Król twój wspiera ciebie!

JOANNA.
Nie! ja nie byłam nigdy czarownicą!
Nie! —

KRÓL.
O! tyś czysta, jak anieli w niebie!
Nas to błąd uwiódł — nas niegodnych cudu!

JOANNA *(uśmiechając się łagodnie).*
Prawdaż to, prawda? żem śród mego ludu?
Że mną nie gardzą? nie winią o czary?...
(Pogląda wkoło).
Tak, tak! — to król nasz! — to nasze sztandary! —
Gdzież jest mój sztandar? — Dajcie mi go w dłonie!
Pan mi go zwierzył; — z nim przy Jego tronie
Stanąć powinnam — bom go nie skalała...

KRÓL.
Dajcie jej sztandar!
(Żołnierze podają rozwiniętą chorągiew. Joanna bierze ją w ręce, i stoi chwilę z oczyma wzniesionemi ku górze. W tej chwili różana jasność ukazuje się na niebie, i coraz się bardziej rozszerza).

JOANNA *(w natchnieniu).*
Całe niebo pała
Blaskiem swej chwały! — Widzicie, widzicie!

Tę jasną tęczę na niebios błękicie?
To droga moja! — Tam widzę — to Ona!
Z Synem na ręku, śród aniołów grona,
Zstępują ku mnie! — O! Nieogarniona!
O! Pani moja! — O! jakąż rozkoszą
Pierś moja pełna! — Chmury mię unoszą —
Jasność mię od Niej otacza słoneczna! —
Krótka jest boleść — ale radość wieczna!
(Chorągiew wymyka się z jej ręku; sama upada na nią bez życia. — Chwila powszechnego milczenia. — Wszyscy w najgłębszem rozrzewnieniu. — Na znak Króla wszystkie chorągwie schylają się nad Joanną, tak, że niemi całkiem zakrytą zostaje. — Zasłona spada).

WOJEWÓDZKA I MIEJSKA BIBLIOTEKA PUBLICZNA
125400/II
w Białymstoku

WOJEWÓDZKA I MIEJSKA BIBLIOTEKA PUBLICZNA
27592/II

SPIS RZECZY.

Str.

Korsarz, powieść Lorda Byrona 1
Narzeczona z Abydos, powieść turecka Lorda Byrona . 83
Mazeppa, powieść Lorda Byrona 143
Niebo i Ziemia, dramat liryczny Lorda Byrona 177
Czciciele ognia, powieść wschodnia Tomasza Moora . . 245
Peri i Raj, powieść wschodnia Tomasza Moora 343
Dziewica Orleańska, tragedya romantyczna Szyllera w pięciu aktach, z prologiem 365

Kraków. — Druk W. L. Anczyca i Spółki.

T/5
100
562 135540

821
Byron
Konsonz
27592